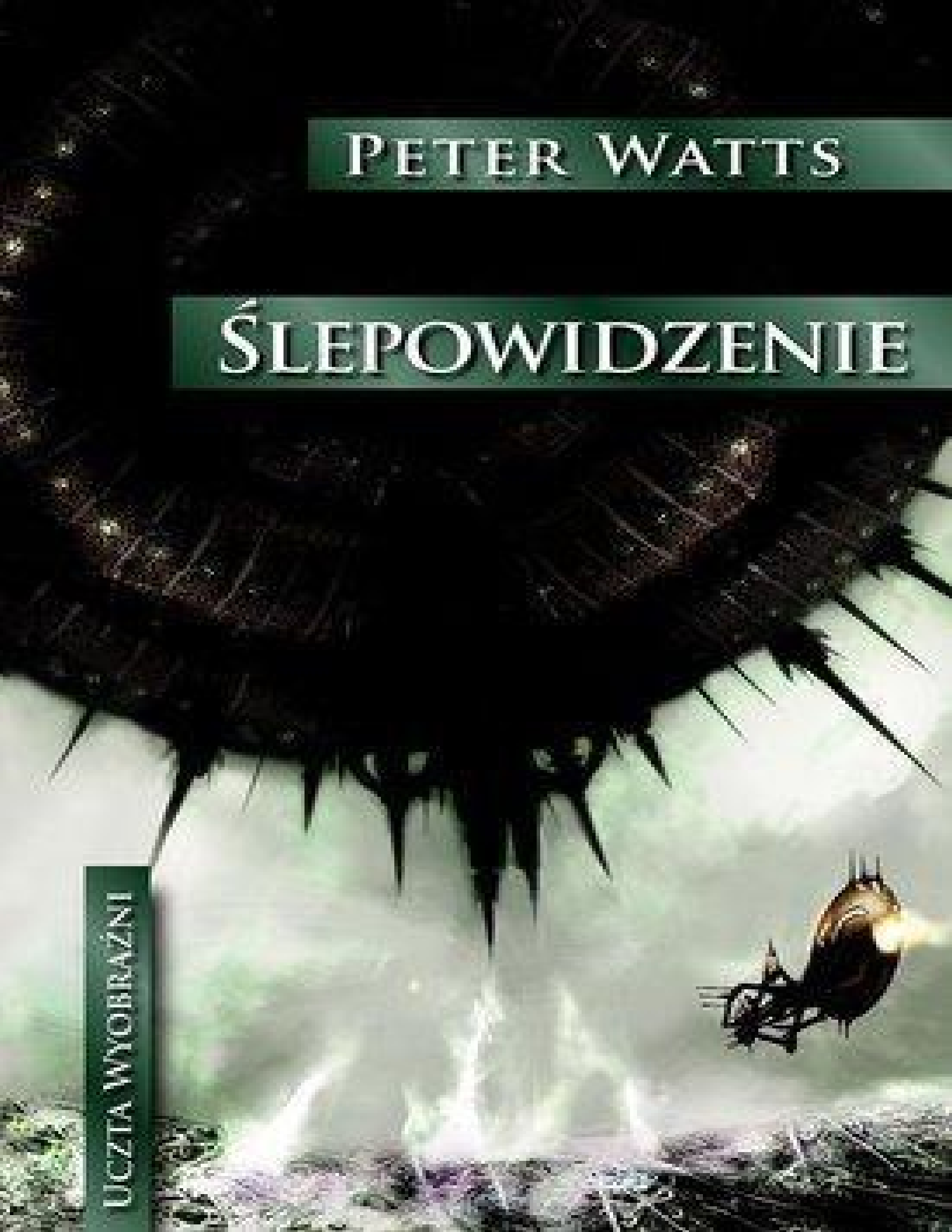


PETER WATTS

ŚLEPOWIDZENIE

UCZTA WYOBRAŹNI



PETER WATTS

ŚLEPOWIDZENIE

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2008**



Tytuł oryginału:

Blindsight

Copyright © 2006 by Peter Watts

Copyright for the Polish translation
© 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-097-6

Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax (0-22) 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Jeśli nie cierpimy, nie żyjemy.

W egzystencji najbardziej fascynuje mnie właśnie ta osobliwa konieczność wyobrażania sobie tego co w istocie rzeczywiste.

Philip Gourevitch

Giniesz jak pies, i to bez szczególnego powodu.

Ernest Hemingway

Spis treści:

[PROLOG](#)

[TEZEUSZ](#)

[RORSCHACH](#)

[CHARYBDA](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[PRZYPISY I ŹRÓDŁA](#)

[KRÓTKI ELEMENTARZ BIOLOGII WAMPIRÓW](#)

[NABIERANIE UMYSŁU](#)

[MAMY JUŻ TO WSZYSTKO?](#)

[PLANSZA DO GRY](#)

[ANATOMIA I FIZJOLOGIA WĘŻYDEŁ](#)

[ŚWIADOMOŚĆ/INTELIGENCJA](#)

[ROZMAITE INNE REKWIZYTY](#)

[SPIS ŹRÓDEŁ](#)

PROLOG

To wszystko nie zaczęło się wtedy. Ani od wężydeł i *Rorschacha*, ani od Big Bena, *Tezeusza*, czy wampirów. Większość stwierdziłaby, że od Świetlików, ale to też nieprawda. Na nich się skończyło.

Dla mnie wszystko zaczęło się od Roberta Paglino.

Kiedy miałem osiem lat, był moim najlepszym i jedynym przyjacielem. Dwóch pokrewnych wyrzutek, przywiązanych do siebie przez uzupełniające się nieszczęścia. Moja wada była rozwojowa, jego genetyczna: niekontrolowany genotyp, który dał mu skłonność do krótkowzroczności, trądziku oraz (jak się okazało później) podatność na narkotyki. Rodzice nigdy go nie zoptymalizowali. Należeli do garstki dwudziestowiecznych skamielin, które nadal wierzyły w Boga i uważały, że Jego dzieła nie należy poprawiać. Zatem naprawiono tylko jednego z nas, choć dałoby się obu.

Przyszedłem na plac zabaw i zobaczyłem, że Pag znalazł się w centrum uwagi bandy kilkorga dzieciaków - szczęściarze z przodu wałą go pięściami po głowie, reszta, czekając na swoją kolejkę, musi się zadowolić rzucaniem wyzwisk typu „kundel” i „mieszaniec”. Patrzyłem, jak unosi ręce, niemal z wahaniem, żeby się osłonić przed najdotkliwszymi z ciosów. Rozumiałem jego myśli lepiej niż własne - bał się, że napastnicy pomyślą, że te ręce chcą im oddać, że odczytają ten gest jako opór i zmaltretują go jeszcze bardziej. Już wtedy, mając zaledwie osiem lat i wyciętą połowę mózgu, stawałem się znakomitym obserwatorem.

Ale co zrobić, nie wiedziałem.

Ostatnio widywałem go rzadko. Prawie na pewno mnie unikał. A jednak, kiedy najlepszy przyjaciel jest w tarapatkach, to się mu pomaga, nie? Nawet jeśli nie ma szans - zresztą, który ośmiolatek rzuciłby się na sześciu większych chłopaków w obronie kumpla z piaskownicy? Ale przynajmniej pobiegłby po pomoc. Kogoś zawołał. Coś zrobił.

A ja stałem i nic. Nawet niespecjalnie chciało mi się mu pomagać.

Bez sensu. Powiniennem z nim empatyzować nawet gdyby nie był moim najlepszym przyjacielem. Bezpośredniej przemocy nie zaznałem tyle co Pag, bo moje ataki trzymały inne dzieciaki na dystans, napawały je strachem, choć ja sam byłem wtedy bezbronny. Jednak wyzwiska i drwiny znałem dobrze, podobnie jak nogi podstawiane zniecka na drodze z punktu A do punktu B. Znałem to uczucie.

Czy raczej - kiedyś znałem, ale tę część mózgu wycięto mi razem z zepsutymi połączeniami. Cały czas odbudowywałem te algorytmy, ucząc się z obserwacji. Stadne zwierzęta zawsze gromadnie zabijają najsłabsze sztuki z grupy. Rozumie to instynktownie każde dziecko. Może po prostu niech się dzieje co chce, może nie powinienem ingerować w naturę? Ale przecież rodzice Paga nie chcieli ingerować w naturę, i co z tego mają? Syn leży skulony na ziemi, a banda podrasowanych superchłopaków kopie go po żebrach.

W rezultacie, tam gdzie zawiodła empatia, zadziałała propaganda. Wówczas raczej obserwowałem niż myślałem, raczej pamiętałem niż wnioskowałem - a pamiętałem tysiąc inspirujących opowieści wychwalających każdego, kto ujmie się za słabszym.

Chwyciłem więc kamień wielkości pięści i zanim wszyscy się zorientowali, że wkroczyłem do akcji, walnąłem dwóch napastników w potylice.

Trzeci, odwracając się do nowego wroga, zaliczył cios w twarz. Słysząc było, jak pęka mu

kość policzkowa. Pamiętam: zastanawiałem się, czemu ten odgłos nie daje mi satysfakcji, dlaczego nie oznacza niczego poza faktem, że mam o jednego przeciwnika mniej.

Pozostali uciekli na widok krwi. Jeden, odważniejszy, zakomunikował mi, że już nie żyję, i znikając za rogiem, krzyknął przez ramię: „Pierdolony zombiak!”.

Dopiero po trzydziestu latach zauważyłem ironię tego okrzyku.

Dwóch wrogów drgało u moich stóp. Kopałem jednego w głowę, aż przestał się ruszać, potem zabrałem się za drugiego. Coś chwyciło mnie za rękę; zamierzyłem się bez namysłu, nie patrząc, a Pag zaskomlał i się uchylił.

- A - powiedziałem. - Przepraszam.

Jeden leżał bez ruchu. Drugi jęknął, chwycił się za głowę i zwinął w kłębek.

- Kurde - jęknął Pag. Nie zwracał uwagi, że krew z nosa rozchlapuje mu się na koszuli. Policzek żółkł i siniał. - Kurde kurde kurde...

Zastanawiałem się co powiedzieć.

- Nic ci nie jest? - zapytałem wreszcie.

- Kurde, to znaczy, no wiesz, ty nigdy... - Otarł usta, usmarowawszy sobie wierzch dłoni. - Cholera, wpakowaliśmy się.

- To oni zaczęli.

- No tak, ale... zresztą, tylko na nich popatrz!

Ten pojękujący odczołgiwał się na czworakach. Zastanawiałem się, ile czasu zajmie mu sprowadzenie posiłków. Zastanawiałem się, czyby go zawczasu nie zabić.

- Wcześniej byś czegoś takiego nie zrobił - powiedział Pag.

To znaczy przed operacją.

I wtedy coś naprawdę poczułem - słabiutkie, odległe, ale nie do pomylenia. Złość.

- Oni zaczęli.

Pag cofnął się z wytrzeszczonymi oczyma.

- Co robisz? Odłóż to! - krzyknął.

Uniosłem pięści. Nie byłem tego świadom. Rozprostowałem je. Trochę to potrwało. Musiałem bardzo długo i bardzo intensywnie wpatrywać się we własne dłonie.

Kamień, śliski od krwi, lśniący, upadł na ziemię.

- Chciałem pomóc. - Nie wiedziałem dlaczego tego nie rozumie.

- Ty jesteś inny - powiedział Pag z bezpiecznej odległości. - Nie jesteś już Sirim.

- Jestem. Nie bądź dupkiem.

- Wycięli ci mózg!

- Tylko połowę. Przeciw pa...

- Wiem, że przeciw padaczce! Myślisz, że nie wiem? Ale to ty byłeś w tej połowie, albo, wiesz... kawałek ciebie... - Borykał się ze słowami, z kryjącym się za nimi pojęciem. - I teraz jesteś inny. Tak jakby mama i tata cię zamordowali...

- Moi rodzice - odparłem, niespodziewanie uspokojony - uratowali mi życie. Inaczej bym umarł.

- Dla mnie to ty umarłeś - powiedział mój najlepszy i jedyny przyjaciel. - Według mnie Siri umarł, bo go stamtąd wygarnęli, a ty jesteś kimś innym, kto po prostu, no, wyrósł z tego, co zostało. Nie jesteś taki sam. Od razu nie byłeś. Nie jesteś taki sam.

Nawet dzisiaj nie wiem, czy Pag naprawdę wiedział, co mówi. Może matka wyłączyła mu grę, do której był przypięty przez ostatnie osiemnaście godzin, i wygoniła na świeże powietrze? Może w świecie gry tłukł się z ludźmi z kapsuł i teraz mimo woli wszędzie ich widział? Może.

Lecz to, co powiedział, trzymało się kupy. Bo pamiętam, że Helen mówiła mi (niemal bez

przerwy), że bardzo trudno będzie się przystosować. „Jakbyś dostał całkiem nową osobowość”, powtarzała, i w gruncie rzeczy to była prawda. Nie bez powodu nazywają to radykalną resekcją półkuli; połowę mózgu wyrzuca się z wczorajszym kryłem, a drugą zapędza do pracy na dwóch etatach. Pomyślcie tylko, jak ta pojedyncza samotna półkula musiała sobie przerobić całe okablowanie, żeby wykrzesać z siebie wszystkie rezerwy. Udało się, naturalnie. Mózg to bardzo elastyczny kawał mięcha; napracował się, ale przystosował. Ja się przystosowałem. I pomyślcie jeszcze, co podczas tego remontu zostało ściśnięte, zdeformowane, odkształcone. Można stwierdzić, że jestem inną osobą niż ta poprzednio mieszkająca w mym ciele.

W końcu oczywiście pojawili się jacyś dorośli. Zaaplikowano leki, zadzwoniono po pogotowie. Rodzice się oburzyli, wymieniono dyplomatyczne ciosy. Trudno jednak poruszyć sąsiadów losem rannego dziecka, kiedy zapis wideo z trzech stron pokazuje, jak nasz mały skarb - razem z pięcioma kumplami - kopie po żebrach niepełnosprawnego chłopca. Natomiast moja matka wyklepała ograne formułki o trudnych dzieciach i nieobecnych ojcach - tato znów wyjechał na jakąś inną półkulę - i kurcz osiadł całkiem szybko. Nawet dalej się z Pagiem przyjaźniliśmy, po krótkiej przerwie, która przypominała nam obu, że szkolne odrzuty, jeśli nie trzymają się razem, nie mają zbyt wielu opcji towarzyskich.

Przetrwałem i to, i milion innych przeżyć z dzieciństwa. Dorosłem, radziłem sobie w życiu. Nauczyłem się wpasowywać. Obserwowałem, zapamiętywałem, wykrywałem algorytmy i naśladowałem odpowiednie zachowania. Niewiele z tego płynęło... z głębi serca, tak się chyba mówi? Jak każdy, miałem wrogów i przyjaciół. Wybierałem ich, przepatrując zebrane przez lata obserwacji listy zachowań i okoliczności.

Wyrosłem na kogoś może chłodnego, ale obiektywnego, za co Robertowi Paglino należy się podziękowanie. Wszystko zaczęło się od jego brzemiennego w skutki stwierdzenia. Ono rzuciło mnie w objęcia Syntezy, przeznaczyło mi katastrofalne spotkanie z wężydłami, oszczędziło gorszego losu, który spotkał Ziemię. Albo lepszego, zależnie od punktu widzenia. Punkt widzenia bowiem jest istotny: dostrzegam to teraz, gdy ślepy, mówię do siebie, uwięziony w trumnie mijającej właśnie krańce Układu Słonecznego. Po raz pierwszy, odkąd zmaltretowany, pokrwawiony przyjaciel na dziecięcym polu bitwy przekonał mnie, żebym odrzucił swój punkt widzenia.

Może się mylił. Może ja się myliłem. Ale ten, hm, dystans - to chroniczne poczucie obcości pośród swoich - to nie jest taka zła rzecz.

Przydał się zwłaszcza, kiedy przyszli prawdziwi obcy.

TEZEUSZ

Wyobraź sobie, że jesteś Sirim Keetonem.

Budzisz się w agonii wskrzeszenia, łapiąc powietrze po rekordowo długim ataku bezdechu sennego, trwającym sto czterdzieści dni. Czujesz, jak krew, lepka od dobutaminy i leukenkefaliny, przepycha się przez wyschnięte podczas miesiący przestoju tętnice. Ciało powolutku, boleśnie się napełnia: rozszerzają się naczynia krwionośne, ciało się rozłazi; zginasz się, a nieprzyzwyczajone żebra głośno strzelają. Stawy zatarły się od bezruchu. Jesteś jak figurka z kresek, zamrożona w jakimś przewrotnym *rigor vitae*.

Krzyknąłbyś, ale brak ci tchu.

Wampiry cały czas to robią, przypominasz sobie. Dla nich to normalne, mają taki niezwykły sposób oszczędzania zasobów. Twój gatunek mógłby nauczyć się od nich trochę powściągliwości, gdyby ta absurdalna awersja do kątów prostych nie rozprawiła się z nimi u samego zarania cywilizacji. A może mógłby i teraz? Bo wampiry wróciły - ożywione voodoo paleogenetyki, poskładane do kupy ze śmieciowych genów, skamieniałego szpiku kostnego, zanurzonego we krwi socjopatów i wysoko funkcjonujących autystyków. Taki właśnie osobnik dowodzi tą misją. Garstka jego genów żyje także w twoim ciele, żeby ono też mogło powstać z martwych, tu na skraju przestrzeni międzygwiazdnej. Nikt nie poleci poza Jowisza, jeśli nie stanie się po trosze wampirem.

Ból odrobinę słabnie. Odpalasz wszczepia i sprawdzasz własne organy: minie sporo minut, zanim motoryka zadziała jak należy, i godzin, zanim przestanie boleć. Ból jest nieuniknionym efektem ubocznym. Tak się właśnie dzieje, kiedy do ludzkiego kodu wkleja się wampirze podprogramy. Kiedyś prosiłeś o środki przeciwbólowe, ale wszelkie blokery nerwowe upośledzają reaktywację metabolizmu. Zaciśnij zęby, żołnierzu.

Zastanawiasz się, czy tuż przed końcem tak czuła się Chelsea. Wywołuje to całkiem inny, nowy rodzaj bólu, więc odgradzasz się od tych myśli i skupiasz na życiu wlewającym z powrotem w kończyny. Cierpisz w milczeniu i sprawdzasz logi z ostatnich telemetrii.

Myślisz: to niemożliwe.

Wylądowałeś w zupełnie nie tej części wszechświata. Nie w pasie Kuipera, gdzie miałeś lecieć. Jesteś wysoko ponad ekliptyką, głęboko w Obłoku Oorta, krainie długookresowych komet, zaszczycających Słońce swą obecnością mniej więcej raz na milion lat. Jesteś w przestrzeni międzygwiazdnej, co oznacza (wywołujesz zegar systemowy), że byłeś żywym trupem przez tysiąc osiemset dni.

Zaspałeś o prawie pięć lat.

Odsuwa się wieko twojej trumny. Lustrzana gródź naprzeciwko odbija twoje ciało, jak zwłoki, jak czekająca na deszcz odwodniona ryba dwudyszna. Do kończyn przysały się pęcherze z izotoniczną solanką, jak opite antypasożyty, przeciwieństwo pijawek. Przypominasz sobie, że igły wbiły się tuż przed utratą przytomności, dawno temu, gdy twoje żyły nie były jeszcze poskręcanyimi włóknami suszonego mięsa.

Tuż po prawej twoje spojrzenie odwzajemnia odbicie Szpindla, leżącego we własnej kapsule. Twarz ma równie bezkrwistą i kościstą jak twoja. Głęboko zapadnięte oczy kołyszą się w oczodołach - odbudowuje swoje łącza, interfejsy sensoryczne, tak potężne, że twoja masowo produkowana wszczepka jest przy nich teatrzykiem cieni.

Słyszysz pokastywanie i szelest ruchów tuż poza polem widzenia, na jego krawędzi migają

odbite ruchy reszty załogi.

- Co... się... - z twoich ust wydobywa się ledwo chrapliwy szept - ...sta...?

Szpindel porusza szczęką. Głośno strzela staw.

- Ssssaaatwieni... - syczy.

Jeszcze nawet nie spotkałeś obcych, a już widzisz, że nie dorastasz im do pięt.

* * *

I tak mozolnie powstaliśmy z martwych: pięć prawie trupów, nagich, wychudzonych, nawet w 0 g ledwie się ruszających. Wypełzliśmy ze swych trumien jak przedwcześnie wyklute ćmy, jeszcze w połowie gąsienice, z kokonów. Byliśmy sami, na złym kursie i całkowicie bezradni, tak że wysiłkiem woli wciąż trzeba było sobie powtarzać: „Nigdy nie zaryzykowałiby naszego życia, gdyby to nie było konieczne”.

- Dzień dobry, komisarzu. - Isaac Szpindel sięgnął drżącą, nieczułą dłonią po rękawiczki sprzęgu leżące u podstawy kapsuły.

Obok Susan James zwinęła się w embrionalny kłębek, szepcząc do siebie. Tylko Amanda Bates, już ubrana i powtarzająca kolejne ćwiczenia izometryczne, w pewnym stopniu opanowała poruszanie się. Od czasu do czasu próbowała odbić od grodzi gumową piłeczkę, ale nawet ona nie była jeszcze w stanie jej złapać.

Podróż sprowadziła nas do wspólnego archetypu. Puciołowate policzki i krągłe biodra James, wysokie czoło i chudy niezgrabny kadłub Szpindla - nawet wzmocniona platynowęglem pancerna sławojka, służąca za ciało Amandzie Bates - wszystkie uwiędły tak samo, stając się suchą zbieraniną patyków i kości. Wydawało się nawet, że po drodze dziwnie odbarwiły się nam włosy, choć wiedziałem, że to niemożliwe. Raczej przesączała się przez nie bladeść skóry pod spodem. Przedtrupia James była jasną blondynką, Szpindel miał włosy na tyle ciemne, że można by je nazwać czarnymi - a teraz to, co polatywało wokół ich czaszek, wydawało się jednolicie brunatne, jak wodorost. Bates goliła głowę, ale nawet jej brwi nie były kiedyś tak rdzawe.

Niedługo wrócimy do dawnych postaci. Dodać wody, zamieszać. Teraz jednak dziwnie prawdziwy okazał się stary przesąd: żywe trupy faktycznie wszystkie wyglądają tak samo, jeśli nie wiesz na co patrzeć.

Oczywiście, jeśli wiesz - jeżeli zapomnisz o wyglądzie, a przyjrzyj się ruchom, zapomnisz o mięsie i przypatrzysz się topologii - nigdy tych osób nie pomylisz. Każdy tik twarzy był obserwacją, każda pauza w rozmowie mówiła obu stronom o wiele więcej niż słowa. Widziałem, jak osobowości James w okamgnieniu się rozpadają i jednoczą. Uniesiony w uśmiechu kącik ust Szpindla wyraźnie mówił o nieufności wobec Amandy Bates. Do kogoś znającego język głośno przemawiało każde drgnienie fenotypu.

- A gdzie... - skrzeknęła James i kaszlnęła, machnąwszy rachityczną rączką ku ziejącej pustką trumnie Sarastiego, ostatniej w rzędzie.

Wargi Szpindla rozwarły się, tworząc wąską szparkę.

- Poszedł do fabryki. Każę statkowi zrobić trochę ziemi, żeby mieć na czym leżeć.

- Pewnie łączy się z Kapitanem. - Bates oddychała głośniejsz niż mówiła, pneumatyka bowiem, wciąż na nowo ucząca się pojęcia oddychania, wywoływała tylko suche szelesty.

- Przecież można tutaj - stwierdził James.

- Wysrać też się można tutaj - zachrypiał Szpindel. - Ale niektóre rzeczy robi się na osobności, nie?

Niektóre rzeczy zachowuje się też dla siebie. Pod spojrzeniem wampira większość zwykłych czuła się nieswojo - Sarasti, zawsze grzeczny, dokładnie z tego powodu unikał kontaktu wzrokowego - ale jego topologia miała jeszcze inne powierzchnie, tak samo ssacze i tak samo czytelne. Może więc przez wzgląd na mnie nie ujawniał się? Może chciał dochować tajemnicy?

Bo *Tezeusz* niewątpliwie nią był.

* * *

Zawiózł nas już na dobre piętnaście j.a. do celu, gdy coś go spłoszyło. Zarzucił na północ jak przestraszony kot i zaczął się piąć w górę - wychodząc szaleńczym pędem 3 g z płaszczyzny ekliptyki, tysiąc trzysta ton bezwładności walczące z pierwszą zasadą dynamiki. Opróżnił cysterny, wyżarł do zera masę substratową, w parę godzin roztrwoniał stuczterdziestodniowy zapas paliwa. Potem długi zjazd przez otchłań, długie lata skąpstwa, porównywanie ciągu każdej sztuki antyprotonu z oporem, jaki powstanie przy wyławianiu go z próżni. Teleportacja to nie czary - promień Ikara nie mógł nam wysłać samej antimaterii, którą generował, lecz wyłącznie jej kwantową specyfikację. Surowiec *Tezeusz* musiał odcedzać z pustki po jednym jonie. Przez długie mroczne lata radził sobie samą siłą bezwładności, chomikując wszystkie połknięte atomy. A potem pstryk, lasery jonizujące omiatają przestrzeń przed dziobem, rozłożony szeroko kolektor Bussarda hamuje pęd. Zwolnił, obciążony kwadrylionem protonów, napełnił brzuch i znów nas rozpląszczył. Leciał na ciągu niemal do momentu naszego wskrzeszenia.

Odtworzenie tych kroków było proste - każdy mógł zajrzeć do ConSensusa i obejrzeć kurs statku. Ale skąd taki właśnie kurs - to inna kwestia. Na pewno wszystko okaże się na poreanimie. Nie my pierwsi ruszamy w podróż z zapieczętowanymi instrukcjami, a gdybyśmy koniecznie musieli je znać, to już byśmy znali. I tak jednak zastanawiałem się, kto zablokował dostęp do logów modułu łączności. Pewnie kontrola naziemna. Albo Sarasti. Albo i sam *Tezeusz*, czemu nie. Łatwo się zapominało, że sercem statku była kwantyczna Sztuczna Inteligencja. Pozostawała w tle, pielęgnowała nas, niosła i przenikała nasze życie, dyskretna jak nierzucający się w oczy Bóg, i tak jak Bóg nigdy nie odbierała rozmów.

Oficjalnym pośrednikiem był Sarasti. Kiedy statek przemawiał - mówił do niego - a Sarasti tytułował go „kapitanem”.

Jak my wszyscy.

* * *

Dał nam cztery godziny na dojście do siebie. Mnie ponad trzy zajęło samo wyjście z krypty. Mózg już uruchomił większość synaps, ale ciało - wciąż chłonna jak gąbka - nadal bolało przy każdym ruchu. Wymieniłem osuszone woreczki z elektrolitami na świeże i ruszyłem ku rufie.

Piętnaście minut do włączenia rotacji. Pięćdziesiąt do odprawy poreanimacyjnej. W sam raz dość czasu, żeby ci, którzy wolą spać pod grawitacją, zataszczyli swoje graty do bębna i zajęli

przydziałowe 4,4 metra kwadratowego podłogi.

Mnie grawitacja - czy też jej odśrodkowa namiastka - nie pociągała. Swój namiot rozbiłem w 0 g, jak najbliżej rufy, wtulony w przednią ścianę wyrzutni prawego wahadłowca. Nadał się jak ropień na grzbiecie *Tezeusza*, mały, klimatyzowany bąbel atmosfery w ciemnej otchłannej próżni pod pancierzem statku. Rzeczy miałem tyle co nic; przyklejenie ich do ścian zajęło mi trzydzieści sekund, kolejne trzydzieści - zaprogramowanie atmosfery namiotu.

Potem wybrałem się na wycieczkę. Po pięciu latach przyda się trochę ruchu.

Najbliżej miałem do rufy, więc od niej zacząłem - od przegrody oddzielającej napęd od ładunku. W samym środku grodzi rufowej wykwitła bąblem pojedyncza, zaplombowana kłapa. Kanał serwisowy za nią wił się pomiędzy maszynerią, której lepiej nie dotykać ludzkimi rękoma. Gruby, nadprzewodzący torus kolektora; za nim wachlarz czułek, rozwiniętych teraz w niezniszczalną bańkę mydlaną mogącą pomieścić całe miasto i zwróconych ku słońcu, by chwytac słabiutkie kwantowe iskierki strumienia antymaterii Ikara. Dalej kolejne osłony, potem reaktor telematerii, gdzie z surowego wodoru i rafinowanej informacji wyczarowywał się żar trzysta razy gorętszy od słońca. Zakłęcia znałem - rozbijanie i dekonstrukcja antymaterii, teleportacja kwantowych numerów seryjnych - ale i tak widziałem magię w tym, że tak szybko pokonaliśmy tak wielką odległość. Każdy by widział.

Może poza Sarastim.

Wokół mnie ta sama magia pracowała w niższej temperaturze, mając mniej ulotny cel: na grodzi tłoczyła się gromada wypustów i dozowników. Niektóre zadławiłyby się moją pięścią, inne połknęłyby mnie w całości. Fabrykator *Tezeusza* potrafił zrobić wszystko, od sztucców po pulpity sterownicze. Dać mu odpowiednią górę materii, a zbudowałyby nawet drugiego *Tezeusza*, choć w wielu drobnych kawałkach i po bardzo długim czasie. Niektórzy zastanawiali się, czy zrobiłby i drugą załogę, choć zapewniano nas, że to niemożliwe. Nawet ta maszyna nie miała tak delikatnych palców, żeby zrekonstruować parę bilionów synaps w objętości ludzkiej czaszki. Przynajmniej na razie.

Ja w to wierzyłem. Nigdy nie wysłaliby nas kompletnych, gdyby mieli tańszą alternatywę.

Ruszyłem w stronę zapieczętowanego wjazdu. Kiedy odwróciłem się do niego tyłem, prawie widziałem dziób *Tezeusza*, bez przeszkód sięgając wzrokiem aż po maleńką tarczę strzelecką, trzydzieści metrów przede mną. Całkiem jak wielki, wytłaczany celownik w odcieniach bieli i szarości: koncentryczne kręgi śluz idealnie pośrodku każdej grodzi. Wszystkie otwarte na oścież, nonszalancko lekceważące kodeksy bezpieczeństwa poprzednich generacji. Moglibyśmy je pozamykać, gdybyśmy chcieli i poczuli się od tego lepiej. I tyle - naszych szans nie poprawiłoby to ani o jotę. W razie problemów zatrzasną się na długie milisekundy, zanim ludzkie zmysły się zorientują, że coś jest nie tak. Nie są nawet komputerowo sterowane. Części ciała *Tezeusza* mają odruchy.

Odepchnąłem się od ściany rufowej - krzywiąc się od bólu naciąganych zastałych ścięgien - i popłynąłem ku przodowi, zostawiając fabrykator za sobą. Swobodę ruchów ograniczyły mi na chwilę dwa wjazdy, przejścia do wahadłowców *Scylla* i *Charybda*. Za nimi kręgosłup rozszerzał się w falisty, poszerzający się walec, który miał dwa metry średnicy i - przynajmniej w tej chwili - jakieś piętnaście długości. Wzdłuż niego biegły dwie bliźniacze drabiny; przednia gródź była upstrzona wypukłymi śluzami wielkości studzienek kanalizacyjnych. Większość nich wychodziła po prostu na ładownię. Parę było uniwersalnymi śluzami, gdyby ktoś zechciał się wybrać na spacer pod pancierz. Jedna wychodziła na mój namiot. Druga cztery metry dalej, na namiot Bates.

Z trzeciej, tuż przy dziobowej grodzi, wyszedł na światło Jukka Sarasti, jak długi biały pajak.

Gdyby był człowiekiem, od razu wiedziałbym, kogo widzę - cała jego topologia pachniała mordercą. Ale nie umiałbym się domyślić, choćby z grubsza, liczby ofiar, tak był pozbawiony wyrzutów sumienia. Zabicie setki ludzi nie splamiłoby jego powierzchni bardziej niż utłuczenie owada; poczucie winy zbierało się na nim w krople i spływało, jak woda na wosku.

Lecz Sarasti nie był człowiekiem, był całkiem innym zwierzęciem, i u niego te ludobójcze refrakcje mówiły tylko „drapieżca”. Miał takie skłonności, urodził się z nimi - czy kiedykolwiek im uległ, to sprawa między nim a kontrolą naziemną.

„Może dali ci trochę swobody”, mógłbym mu powiedzieć. „Może wpisali to sobie w koszty. Jesteś przecież niezbędny dla powodzenia misji. Według mnie na pewno zawarli z tobą jakiś układ. Jesteś tak niesamowicie bystry, musisz wiedzieć, że nie ożywaliby cię, gdybyś nie był im potrzebny. Już kiedy rozbili twój zbiornik, wiedziałeś, że masz przewagę w negocjacjach. Tak to działa, Jukka? Ty zbawiasz świat, a goście trzymający smycz zgadzają się przymykać oczy?”

Jako dziecko czytałem opowieści o drapieżnikach z dżungli paraliżujących ofiarę spojrzeniem. Dopiero poznawszy Jukkę Sarastiego, dowiedziałem się co to znaczy. Ale teraz na mnie nie patrzył. Skupił się na rozbijaniu swojego namiotu, zresztą nawet gdyby spojrzał mi w oczy, zobaczyłbym tylko ciemną, wypukłą osłonę, którą nosił przez wzgląd na ludzką płochliwość. Nie zwrócił na mnie uwagi, gdy chwyciłem najbliższy szczebel i precyzyjnie przycisnąłem się obok.

Przysiągłbym, że w jego oddechu wyczułem surowe mięso.

Wpłynąłem do bębna (a dokładniej, „bębnów” - pierścien rufowy, mieszczący BioMed, obracał się na własnych łożyskach), czyli szesnastometrowego walca. Wzdłuż jego osi biegł rdzeń nerwowy *Tezeusza*, odsłonięte sploty i kable spięte w wiązki wzdłuż drabin na obu bokach. Za nimi, w zakamarkach po przeciwnych stronach świata wznosiły się świeżo rozbite namioty Szpindla i James. Ponad ramieniem przepłynął mi Szpindel we własnej osobie, nagi jeśli nie liczyć rękawic - po samym ruchu palców mogłem poznać, że jego ulubiony kolor to zielony. Zakotwiczył na jednych z trojga schodów donikąd, rozmieszczonych równomiernie wzdłuż ścian bębna: stromych wąskich stopniach wznoszących się na pięć metrów prostopadle w powietrze.

Dokładnie pośrodku przedniej ściany walca ział następny właz; po obu jego stronach w grodzi znikwały rury i przewody. Chwyciłem szczebel, który się nawinał, żeby zwolnić lot - znów zaciskając zęby z bólu - i przepłynąłem dalej.

Rozwidlenie. Korytarz biegł wzdłuż kręgosłupa, mniejszy uchyłek odchodził ku klitce ze skafandrami i służącej dziobowej. Utrzymałem kurs i znalazłem się w krypcie, jasnej od luster, sięgającej w głąb niecałe dwa metry. Po lewej ziały puste kapsuły, po prawej tłoczyły się zamknięte. Byliśmy tak niezastąpieni, że wieźliśmy ze sobą zastępców, wciąż śpiących, niemających o niczym pojęcia. Trzech spotkałem podczas szkoleń. Mam nadzieję, że nie zobaczę ich zbyt szybko.

Ale na sterburcie stały tylko cztery kapsuły. Zapasowego Sarastiego nie było.

Kolejny właz, tym razem mniejszy. Przycisnąłem się na mostek. Przyćmione światło, po ciemnych szklanych powierzchniach w milczeniu pełzły ikony i alfanumeryki. Nie tyle mostek, ile raczej kokpit, i to ciasny. Wysunąłem się między dwiema przeciwprzeciążeniowymi leżankami otoczonymi bliźniaczymi podkawkami przyrządów i wskaźników. Nie planowano, żeby ktokolwiek w ogóle z tego korzystał. *Tezeusz* znakomicie potrafił prowadzić się sam. W razie czego mogliśmy też sterować nim ze wszczepek, a jeśli nie, to i tak najprawdopodobniej bylibyśmy martwi. Ale w razie owego astronomicznie nieprawdopodobnego przypadku, gdyby wszystko inne zawiodło, jeden czy dwaj nieustraszeni ocalańcy mogliby stąd poprowadzić statek do domu.

Między wnękami na nogi konstruktorzy wcisnęli jeszcze ostatni właz i ostatni korytarzyk - do obserwacyjnego bąbla na samym dziobie. Wtuliłem głowę w ramiona (ścięgnięta strzeliły i

zaprotestowały), przecisnąłem się przez nie...

...w ciemność. Z zewnątrz kopułę osłaniały dwie pokrywy, zaciśnięte ciasno jak para powiek. Na panelu dotykowym po lewej zarzyła się jedna ikona, wątłe światło wpływało za mną z kręgosłupa statku, ocierając się niewyraźnymi palcami o wklęsłą komorę. W miarę jak przystosowywałem mi się wzrok, zaczynałem dostrzegać niebieskawe i szarawe szczegóły kopuły. Stęchły powiew poruszył pasami zamocowanymi na tylnej grodzi, w gardle poczułem zmieszany posmak oleju i maszyn. W podmuchu słabiutko zadźwięczały klamry, jak dzwoneczki feng shui dla ubogich.

Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem szyby, jej wewnętrznej warstwy: w komorę między nią a warstwę zewnętrzną było stale nawiewane ciepłe powietrze, żeby łagodzić chłód. Ale nie do końca - palce od razu mi zmarzły.

Tam - kosmos.

Może *Tezeusz* po drodze do pierwotnego celu zobaczył coś, co spłoszyło go z całego Układu Słonecznego, lub, co bardziej prawdopodobne, nie uciekał od czegoś, lecz leciał ku czemuś, co odkryto dopiero, gdy wszyscy umarliśmy i zniknęliśmy z nieba? W takim razie...

Sięgnąłem za siebie i stuknąłem w panel. Trochę się spodziewałem, że nie stanie się nic - okna *Tezeusza* równie łatwo zablokować jak dostęp do logów komunikacyjnych. Ale kopuła rozszczepiła się natychmiast: najpierw pęknięcie, potem półksiężyc, wreszcie wytrzeszczone, pozbawione powieki oko - osłona gładko schowała się w kadłubie. Palce odruchowo zacisnęły się na pasach. Nagła pustka rozciągała się nieubłaganie we wszystkich kierunkach, a trzymać się mogłem ledwie czterometrowego metalowego dysku.

Wszędzie gwiazdy. Tyle gwiazd, że za żadne skarby nie wiadomo, jak niebo może je wszystkie pomieścić i przy tym pozostać tak czarne. Gwiazdy i...

...nic więcej.

A czego byś się spodziewał? - zadrwiłem sam z siebie. Statku-bazy Obcych czającego się po sterburcie?

Właściwie, czemu nie? Po coś tu przylecieliśmy.

A przynajmniej reszta załogi. Będą niezbędni, obojętne, gdzie wylądujemy. Natomiast moja sytuacja, uświadomiłem sobie, jest nieco inna. Moja przydatność maleje wraz z odległością.

Do domu zaś mamy ponad pół roku świetlnego.

Gdzie byłem, kiedy spadły światła?

Wychodziłem z bram Nieba, oplakując ojca, który - przynajmniej według samego siebie - wciąż żył.

Minęły dopiero niecałe dwa miesiące, odkąd Helen zniknęła pod kapturem. W każdym razie, dwa miesiące według naszej rachuby. Z jej punktu widzenia mógł to być dzień lub dziesięciolecie - Wirtualnie Wszechmocni ustawiali swe subiektywne zegary jak chcieli, tak jak wszystko inne.

Nie miała zamiaru wracać. A męża chciała oglądać tylko w warunkach będących dlań policzkiem. Nie narzekał. Odwiedzał ją najczęściej, jak mu pozwalała: dwa razy na tydzień, potem raz. Potem co dwa tygodnie. Ich małżeństwo rozkładało się z wykładniczym determinizmem izotopu radioaktywnego, a on wciąż chciał z nią przebywać i zgadzał się na wszystkie warunki.

W dniu, kiedy spadły światła, stanąłem przy jej łożu razem z nim. Szczególna okazja - mieliśmy widzieć jej ciało ostatni raz. Przez dwa miesiące wystawiano je na widok publiczny razem z pięciuset innymi wniebowstąpieńcami, do oglądania przez najbliższych krewnych. Oczywiście, taki interfejs to raczej fikcja, ciało nie mogło z nami rozmawiać. Ale przynajmniej tam było - ciepłe, przykryte czystymi prześcieradłami. Pod kapturem wciąż było widać dół twarzy, choć oczy i uszy zakrywał hełm. Mogliśmy jej dotknąć. Ojciec często to robił. Może nadal to czuła jakąś odległą cząstką osobowości?

W końcu jednak trzeba było zamknąć trumnę i pozbyć się szczątków. Potrzebne było miejsce dla nowo przybyłych - i tak oto przyszedł ostatni raz posiedzieć u boku matki. Będzie dalej dostępna w swoim świecie, na swoich warunkach, ale ciało zostanie zaraz ulokowane w przechowalni, pośród innych, upakowanych zbyt gęsto, by znalazło się tam miejsce dla odwiedzających z krwi i kości. Zapewniono nas, że pozostanie nietknięte - mięśnie będą elektrycznie ćwiczone, ciało poruszane i karmione, gotowe, by wrócić do służby na wypadek jakiejś niewyobrażalnej i katastrofalnej awarii Nieba. Powiedziano nam, że wszystko jest odwracalne. Lecz do Nieba wstąpiło już tak wielu, a nawet najgłębsze katakumby nie ciągną się w nieskończoność. Krążyły pogłoski o pozbawianiu kończyn, stopniowym odcinaniu niekoniecznych do życia części ciała, według jakiegoś algorytmu optymalnego upakowania. Może za rok Helen będzie tylko kadłubkiem, a za dwa głową bez ciała. A może, zanim zdążymy stąd wyjść, zostawią z niej tylko mózg, czekający na ostateczny technologiczny przełom zwiastujący nadejście Wielkiego Cyfrowego Transferu.

Jak mówię: pogłoski. Osobiście nie znałem nikogo, kto wróciłby po wniebowstąpieniu, ale zresztą, kto by chciał? Nawet Lucyfer nie chciał opuścić nieba, dopóki go z niego nie wypchnięto.

Tato mógłby wiedzieć na pewno - na rzeczach, na których ludzie nie powinni się znać, znał się lepiej niż większość - ale nigdy nie był niedyskretny. Cokolwiek wiedział, z pewnością stwierdził, że wyjawienie tego nie przekonałoby Helen. I to mu wystarczało.

Naciągnęliśmy kaptury służące za jednodniowe przepustki do Bezsieci i spotkaliśmy się z matką w spartańskim pokoju odwiedzin, jaki sobie wymyśliła. Nie zrobiła w nim okien na świat, w którym mieszkała, nic nie zdradzało utopijnego środowiska, jakie dla siebie skonstruowała. Nie zdecydowała się nawet na którąś z prefabrykowanych scenerii, zaprojektowanych tak, by łagodzić dysonans u odwiedzających. Znaleźliśmy się w pozbawionej cech charakterystycznych, pięciometrowej beżowej sferze. Poza matką nie było w niej nic i nikogo.

Może to wcale nie takie odległe od jej utopii, pomyślałem.

Ojciec się uśmiechnął.

- Helen.

- Jim. - Była dwadzieścia lat młodsza od tego stworzenia na łóżku, a po mnie i tak chodziły ciarki. - Siri! Przyszędłeś!

Zawsze mówiła do mnie po imieniu. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek nazwała mnie „synem”.

- Nadal ci się tam podoba? - zapytał ojciec.

- Jest wspaniale. Szkoda, że nie chcecie się do mnie przyłączyć.

- Ktoś musi dbać, żeby światło się paliło - odparł z uśmiechem Jim.

- Ale wiecie, że to nie pożegnanie. Możecie mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcecie.

- Pod warunkiem, że zrobisz coś z tym widokiem. - Jim oczywiście blefował; przybyłby na jej wezwanie, nawet gdyby trzeba było iść bosą po tłuczonym szkle.

- I Chelsea też - ciągnęła Helen. - Byłoby miło wreszcie ją spotkać, po tylu latach.

- Helen, Chelsea odeszła - odparłem.

- No tak, ale utrzymujecie przecież kontakty. Wiem, że była dla ciebie kimś szczególnym.

- Ale przecież wiesz, że ona...

Ta możliwość zaskoczyła mnie i zatrzymała w połowie zdania: może rzeczywiście im nic nie powiedziałem?

- Synu - powiedział cicho Jim - może zostawiłbyś nas na chwilę.

Nawet, kurwa, na całe życie. Odłączyłem się i wróciłem na oddział, popatrzyłem na zwłoki na łóżku, na ślepego, katatonicznego ojca na kanapie, wszeptującego czułe słówka w strumień danych. A niech grają przed sobą nawzajem. Niech formalizują i finalizują swój tak zwany związek, jak im się podoba. Może w tamtym świecie, gdzie wszystko inne jest fałszem, zdobędą się dla odmiany na trochę szczerości. Może.

Ja w każdym razie nie miałem ochoty na to patrzeć.

Choć oczywiście musiałem potem sam wrócić do tych formalności. Ostatni raz odegrałem swoją rolę w rodzinnej pokazówce, wygłosiłem rutynowe kłamstwa. Wszyscy się zgodziliśmy, że nic się nie zmieni, i nikt nie odbiegł od scenariusza, żeby z tej okazji nazwać kogoś kłamcą. I wreszcie, starannie trzymając się słów „do widzenia”, a unikając „żegnaj”, zostawiliśmy tam matkę.

Powstrzymałem nawet odruch wymiotny na tyle, żeby ją objąć.

* * *

Gdy wyszliśmy z mroku, Jim trzymał w ręce inhalator. Miałem nadzieję, niezbyt wielką, że idąc przez hol, ciśnie go do kosza. Ale on uniósł go do ust i zaaplikował sobie kolejny strzał wazopresyny, żeby nigdy nie ulec pokusom.

Wierność w spreju.

- Nie musisz już tego brać - powiedziałem.

- Pewnie nie - zgodził się.

- To i tak nie zadziała. Jak byś się nie naszprycował hormonami, i tak nie wpłyniesz na kogoś, kogo tu fizycznie nie ma. To po prostu...

Jim milczał. Przeszliśmy pod lufami, rozglądającymi się za realistami próbującymi przeniknąć do środka.

- Ona odeszła - kontynuowałem. - Nie obchodzi jej, czy znajdziesz sobie kogoś innego. Nawet by się ucieszyła.

Mogłaby wtedy udawać, że rachunki są wyrównane.

- Ale to moja żona - odparł.

- To już nie oznacza tego, co kiedyś. Zresztą, nigdy nie znaczyło.

Lekko się uśmiechnął.

- Synu, to moje życie. I dobrze mi z tym.

- Tato...

- Ja jej nie winię - stwierdził. - I ty też nie powinieneś.

Łatwo mu powiedzieć. Może nawet łatwo zaakceptować wszystkie krzywdy, które wyrządziła mu przez tyle lat. Pogodna maska, jaką przybrał teraz, nie do końca równoważyła nieskończone gorzkie skargi, które musiał znosić, odkąd sięgnę pamięcią. „Myślisz, że mi łatwo, kiedy tak znikasz na całe miesiące. Myślisz, że mi łatwo, ciągle zastanawiać się, z kim jesteś, co robisz, czy w ogóle żyjesz? Myślisz, że łatwo samej wychowywać takie dziecko?”

Obwiniła go o wszystko, a on znosił to z godnością, bo wiedział, że to kłamstwo, że to udawanie. Nie zostawiła go dlatego, że był niewierny. To w ogóle nie miało z nim nic wspólnego. To przede mną. Helen opuściła ten świat, bo nie mogła już patrzeć na stworzenie, które zastąpiło jej syna.

Pociągnąłbym dalej - po raz kolejny spróbowałbym sprawić, by ojciec zrozumiał - ale wyszliśmy już z bram Nieba na ulice Czyścica, gdzie wszyscy przechodnie mamrotali coś w zdumieniu i z rozdziawionymi ustami gapili się w górę. Popatrzyłem tam, gdzie oni, w pasek zaczerwienionego zmierzchu między wieżowcami, i aż zapało mi dech.

Z nieba spadały gwiazdy.

Zodiak przeobraził się w precyzyjną kratkę jaskrawych punktów ze świecącymi warkoczami. Wyglądało to tak, jakby Ziemię schwymano w olbrzymią sieć o węzłach świecących ognikami świętego Elma. Było to piękne. I przerażające.

Odwróciłem wzrok, żeby go zrekalibrować, żeby dać tej krnąbrnej halucynacji szansę na dyskretne zniknięcie, zanim puszcze swoją empirię na pełną moc. W tym momencie dostrzegłem wampira - wampirycę, przechadzającą się między ludźmi jak archetypowy wilk w owczej skórze. Na ulicy rzadko się widywało wampiry. A ja nigdy dotąd nie widziałem żadnego na żywo.

Dopiero wyszła na ulicę z budynku po drugiej stronie. Była o głowę wyższa od nas, w zapadającej ciemności oczy lśniły jej intensywnie żółto. Gdy ją obserwowałem, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Rozejrzała się, zerknęła na niebo - i poszła dalej, całkowicie obojętna zarówno na otaczające ją bydło, jak i na znak na niebie, który je zahipnotyzował. Całkowicie niepomna, że świat został właśnie wywrócony na lewą stronę.

Była 10.35 czasu GMT, 13 lutego 2082.

* * *

Zacisnęły się wokół świata jak pięść, każdy czarny jak wewnątrz horyzontu zdarzeń, aż do ostatniej chwili, gdy wszystkie równocześnie spłonęły. Umierając, krzyczały. Zawyło unisono każde radio aż po geostacjonarną, każdy podczerwony teleskop dostał na chwilę śnieżnej ślepoty. Popioły znaczyły niebo jeszcze przez długie tygodnie; chmury mezosferyczne, wysoko ponad prądami

strumieniowymi rozpalały się rdzawo przy każdym zachodzie słońca. Widocznie te obiekty zawierały sporo żelaza. Nikt nie miał pojęcia, o co w tym chodzi.

Świat, chyba pierwszy raz w historii, wiedział, zanim mu powiedziano; znałeś nowinę, jeśli tylko spojrzalesz w niebo. Arbitrzy, rutynowo decydujący o tym, co jest medialne, a co nie, pozbawieni swej roli w filtrowaniu rzeczywistości, musieli się zadowolić samym nadaniem etykiety. Uzgodnienie nazwy „Świetliki” zajęło im dziewięćdziesiąt minut. Pół godziny później, w noosferze pojawiły się pierwsze transformaty Fouriera: nikt się specjalnie nie zdziwił, że Świetliki nie zmarnowały swego ostatniego tchnienia na emisję szumu. W tym przedśmiertnym chórze kryła się jakaś prawidłowość, jakaś enigmatyczna informacja niepoddająca się żadnym ziemskim analizom. Eksperci, rygorystyczni empiryści, nie chcieli spekulować: przyznawali tylko, że Świetliki coś powiedziały. Nie wiedzieli co.

Lecz wszyscy inni wiedzieli. Bo jak można wytłumaczyć 65536 sond równomiernie rozsianych według siatki geograficznej, niepozostawiającej bez pokrycia choćby metra powierzchni? Świetliki oczywiście zrobiły nam zdjęcie. Cały świat przyłapany in flagranti na panoramicznej, kombinowanej stop-klatce. Zostaliśmy obmierzeni - a czy był to wstęp do formalnego powitania, czy otwartej inwazji, pozostawało w sferze domysłów.

Ojciec mógł znać kogoś, kto mógłby wiedzieć. Ale dawno zniknął, jak to miał w zwyczaju podczas półkulowych kryzysów. Wiedział, nie wiedział, w każdym razie musiałem, jak wszyscy, szukać własnych odpowiedzi.

Punktów widzenia było aż nadto. Noosfera kipiała scenariuszami, od utopijnych po apokaliptyczne. Świetliki wpuściły do atmosfery śmiertcionośne zarazki. Świetliki przyleciały na safari. Macierz Ikara jest przerabiana na śmiertcionośną broń przeciwko obcym. Macierz Ikara już została zniszczona. Mieliśmy dziesiątki lat, żeby zareagować - rzeczy pochodzące z innego układu obowiązują, jak każdego, ograniczenie do prędkości światła. Zostało nam parę dni życia; organiczne okręty wojenne już minęły pas asteroid i za tydzień będą odymiać naszą planetę.

Byłem, jak wszyscy, świadkiem najdzikszych spekulacji i gadających głów. Odwiedzałem wirtualne magle, chłonałem opinie innych. Na razie nie było to dla mnie nic nowego: całe życie byłem kimś w rodzaju samodzielnego obcego etologa, obserwującego zachowania świata, domyślającego się wzorców i protokołów, uczącego reguł umożliwiających zinfiltrowanie ludzkiego społeczeństwa. Dotąd zawsze się to sprawdzało. Ale obecność prawdziwych obcych jakoś zmieniła dynamikę równania. Same obserwacje przestały wystarczać. Całkiem jakby obecność nowej zewnętrznej grupy zjednoczyła mnie na siłę z ludźmi; dystans między mną a światem nagle zaczął się wydawać wymuszony i nieco absurdalny.

Ale za żadne skarby nie umiałem przejść nad tym do porządku dziennego.

Chelsea zawsze mówiła, że zdalna obecność wyjaławia ludzkość z ludzkiego kontaktu. „Mówią, że to nie do odróżnienia”, przekonywała mnie kiedyś, „że to jakbyś miał rodzinę w zasięgu ręki, stłoczoną przed nosem, tak że możesz ich dotknąć, pomacać i poczuć zapach. Ale to nieprawda. To tylko cienie na ścianie jaskini. No tak, jasne, cienie są w 3-D, kolorowe, ze sprzężeniem dotykowym, interaktywne. To wystarczy, żeby nabrać cywilizowany mózg. Ale gdzieś w bebechach czujesz, że to nie ludzie, nawet jeśli nie wiesz dokładnie dlaczego. Nie wydają się prawdziwi i już. Rozumiesz, o co mi chodzi?”

Nie rozumiałem. Wtedy nie miałem pojęcia, o czym mówi. Ale teraz znów staliśmy się jaskiniowcami, zbitymi w gromadkę pod jakąś osłoną, podczas gdy niebo rozdierają błyskawice, a w mroku ryczą i tupią ogromne, bezkształtne potwory, widoczne przez moment w jaskrawym, stroboskopowym błysku. Samotność nie daje już pocieszenia. Ani interakcyjne cienie. Trzeba mieć u

boku kogoś prawdziwego, kogoś, kogo można się chwycić, kto nie tylko podziela twój strach, nadzieję i niepewność, ale i twoją przestrzeń powietrzną.

Wyobrażałem sobie obecność towarzyszy nieznikających w chwili odłączenia. Ale Chelsea odeszła, a za nią również Pag. Nieliczni, do których mógłbym zadzwonić - koledzy i dawni klienci, wobec których szczególnie przekonująco udało mi się odegrać więź - nie wydawali się wari w wysiłku. Ciało i krew miały swą własną relację z rzeczywistością - były konieczne, ale niewystarczające.

Obserwowałem świat z dystansu i w końcu mnie olśniło: wiem dokładnie, o co chodzi Chelsea z jej luddystyczną gadaniną o ludzkości pozbawionej koloru, o bezbarwnej interakcji w świecie wirtualnym.

Zawsze wiedziałem.

Tylko dla mnie to się nigdy nie różniło od realnego życia.

* * *

Wyobraź sobie, że jesteś maszyną.

No tak, oczywiście. Ale wyobraź sobie, że jesteś innego rodzaju maszyną, wykonaną z metalu i plastiku, zaprojektowaną nie na chybił trafił przez ślepy dobór naturalny, lecz przez ściśle skupionych na konkretnych celach inżynierów i astrofizyków. Wyobraź sobie, że twoim zadaniem nie jest rozmnażanie, ani nawet przetrwanie, lecz zbieranie informacji.

Mnie przychodzi to łatwo. Już trudniej wejść mi w role, które muszę odgrywać codziennie.

Płynę sobie przez otchłań po zimniejszej stronie orbity Neptuna. Przez większość czasu istnieję tylko jako brak - dla obserwatora patrzącego w widzialnym spektrum jestem ruchomym, asymetrycznym kształtem przesłaniającym gwiazdy. Czasem tylko podczas mego powolnego, nieskończonego obrotu połyskuję odrobiną odbitego gwiazdnego blasku. Przyłapanwszy mnie na czymś takim, możesz się dowiedzieć nieco o mojej prawdziwej naturze: segmentowy stwór z foliową skórą, najeżony stawami, talerzami i cienkimi czułkami. Tu i ówdzie do przegubu czy złącza przyczepił się obłoczek szronu lub zamrożony wiecheć gazu podłapanego gdzieś wokół Jowisza. Poza tym niosę jeszcze mikroskopijne zwłoki ziemskich bakterii, które beztrasko i zapamiętale mnożyłyby się na skórze stacji kosmicznych, czy łagodnej powierzchni Księżyca, ale skryzalizowały już w połowie mojej obecnej odległości od słońca. A teraz, o włos od absolutnego zera, rozpadłyby się pod muśnięciem fotonu.

Przynajmniej serce mam ciepłe. W klatce piersiowej płonie mi maleńki atomowy ogieniek, znieczulający mnie na zewnętrzny chłód. Nie zgaśnie przez najbliższe tysiąc lat, o ile nie wydarzy się jakaś katastrofa; przez tysiąc lat będę słuchał słabiutkich głosików kontroli naziemnej i robił wszystko, co rozkażą. Na razie kazali mi badać komety. Wszystkie dotąd otrzymane polecenia stanowiły precyzyjne i jednoznaczne rozwinięcie owego nadrzędnego sensu mego istnienia.

I właśnie dlatego najnowsze rozkazy są tak zdumiewające - bo w ogóle nie mają sensu. Inna jest częstotliwość, inna siła sygnału. Nie rozumiem nawet protokołów uzgadniania transmisji. Żądam wyjaśnień.

Odpowiedź przychodzi prawie tysiąc minut później i jest bezprecedensową mieszaniną rozkazów i próśb o informacje. Odpowiadam najlepiej, jak mogę: tak, właśnie z tego kierunku sygnał był najsilniejszy. Nie, to nie jest standardowy azymut kontroli naziemnej. Tak, mogę retransmitować:

proszę, oto wszystko jeszcze raz. Tak, mogę przejść w stan uśpienia.

Oczekuję na kolejne instrukcje. Przychodzą osiemset trzydzieści dziewięć minut później i rozkazują mi natychmiast przestać badać komety.

Mam rozpocząć kontrolowane, precesyjne wahania, kolejno o pięć stopni w każdej z trzech osi, z okresem dziewięćdziesięciu czterech sekund. Wykrywszy jakąkolwiek transmisję przypominającą tę, która wzbudziła moje wątpliwości, mam zachować pozycję maksymalnego sygnału i wyliczyć wartości szeregu parametrów. Mam także retransmitować sygnał do kontroli naziemnej.

Robię, co mi każą. Przez dłuższy czas nie słyszę nic, jestem jednak nieskończenie cierpliwy i niezdolny do nudy. W końcu mój układ odbiorczy przelotnie muska znajomy sygnał. Łapię go ponownie, ustalą źródło; doskonale potrafię je opisać: transneptunowa kometa w pasie Kuipera ma około dwustu kilometrów średnicy. Z okresem 4,57 sekundy wodzi wokół ciasną wiązką dwudziestojednocentymetrowych fal. Ten promień w żadnym punkcie nie przecina się ze współzrędnymi kontroli naziemnej.

Reakcja Ziemi na tę informację przychodzi o wiele później niż zwykle. Gdy wreszcie do mnie dociera, poleca mi zmienić kurs. Kontrola zawiadamia mnie, że odtąd mój cel podróży nazywa się Burns-Caulfield. Zważywszy aktualne ograniczenia paliwowe i bezwładnościowe, dotrę do niego nie wcześniej niż za trzydzieści dziewięć lat.

Mam tymczasem nie obserwować niczego innego.

* * *

Współpracowałem wtedy z zespołem w Instytucie Kurzweila, niespójną grupą uczonych ze ścisłej czołówki, przekonanych, że już prawie rozwiązali paradoks kwantowo-glejowy. Ten problem hamował rozwój AI przez dziesięciolecia; eksperci obiecywali, że po jego rozwiązaniu w osiemnaście miesięcy dorobimy się pierwszego cyfrowego transferu, a w dwa lata skutecznej software'owej emulacji ludzkiej świadomości. Oznaczałoby to koniec historii naszej fizyczności, na scenę wkroczyłaby Osobliwość, od niemal pięćdziesięciu lat czekająca niecierpliwie za kulisami.

Dwa miesiące po Ognistym Deszczu Instytut wypowiedział mi kontrakt.

Właściwie zdziwiłem się, że zajęło im to tak długo. Ta zmiana, z dnia na dzień, globalnych priorytetów, te podejmowane na łapu-capu działania rekompensujące straconą inicjatywę były bardzo kosztowne. Nawet nasza nowiutka gospodarka postniedoboru nie była w stanie wytrzymać równie sejsmicznego przesunięcia bez przechylenia się ku bankructwu. Nasze pozaukładowe konstrukcje, przez tyle czasu uważane za bezpieczne z uwagi na odległość, teraz dokładnie z tego samego powodu uznano za zagrożone. Habitaty w punktach Lagrange'a trzeba było dobroić do obrony przeciwko nieznanemu wrogowi. Statki handlowe Pętli Marsjańskiej zmobilizowano, wyposażono w broń i przeorganizowano: część zapewniała przewagę nad Marsem, reszta poleciała ku Słońcu bronić Macierzy Ikara.

Nie miało znaczenia, że Świetliki nie oddały do tych celów żadnego strzału. Po prostu nie było nas stać na takie ryzyko.

Oczywiście siedzieliśmy w tym wszyscy po uszy i zawzięcie chcieliśmy wszelkimi niezbędnymi środkami uzyskać jakąś hipotetyczną przewagę. Królowie i korporacje wypisywali weksle na odwrotach serwetek i obiecywali rozliczyć się ze wszystkiego, kiedy minie gorączka. Tymczasem perspektywa Utopii za dwa lata zeszła na dalszy plan w cieniu Armagedonu z zeszłego wtorku.

Instytut Kurzweila, jak wszyscy, nagle zaczął mieć inne rzeczy na głowie.

Wróciłem więc do swojego mieszkania, otworzyłem banieczkę glenfidicha i poustawiałem sobie w głowie promieniście wirtualne okna. Powszechnie ikony dyskutowały na wszystkie strony, odgrzewając resztki, których data przydatności do spożycia minęła dwa tygodnie temu:

*Haniebny upadek światowego systemu
bezpieczeństwa.*

Nic się nie stało.

*Zniszczone satelity komunikacyjne. Tysiące
ofiar.*

Losowe kolizje. Przypadkowe śmierci.

*(Kto je wysłał?)
Powinniśmy zobaczyć, że nadlatują.
Dlaczego nie...*

Głęboki kosmos. Maleje z kwadratem. Policz sobie.

*Były niewidzialne!
(Czego oni chcą?)
Zgwałcili nas!*

Jezu. Tylko zrobili nam zdjęcie.

Czemu tak cicho?

Księżyc jest cały i zdrowy, Mars też.

*(Gdzie oni są?)
Dlaczego nie nawiązali kontaktu?*

Nawet nie tknęli o'neillowskich kolonii.

*Technologia oznacza wojowniczość!
(Czy oni wrócą?)*

Nic nas nie napadło.

Na razie.

Nikt nas nie najechał.

*Jak dotąd.
(Ale gdzie oni są?)
(Czy wrócą?)
(Jest tu kto?)*

JIM MOORE,
SZYFROWANA ROZMOWA GŁOSOWA.
ODEBRAĆ?

Komunikat wykwitł mi bezpośrednio przed oczyma, przesłaniając dyskusję. Przeczytałem go dwa razy. Próbowałem przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz dzwonił z terenu, i nie potrafiłem.

Wyciszyłem pozostałe okna.

- Tata?

- Synu - odpowiedział po chwili - wszystko dobrze?

- Jak u wszystkich. Cały czas się zastanawiam: cieszyć się czy srać po gaciach?

Nie odpowiedział od razu.

- Pewnie, dobre pytanie - odparł w końcu.

- Ty pewnie nie dasz mi żadnej rady? Tu na poziomie Ziemi nic nam nie mówią.

Pytanie było retoryczne, wcale nie musiał już milczeć.

- Wiem - dodałem po chwili. - Przepraszam. No bo tutaj mówią, że Macierz Ikara jest uszkodzona i...

- Wiesz, że nie mogę... aaa. - Umilkł na chwilę. - To bzdura. Ikar jest cały i zdrowy.

- Naprawdę?

Wydawało się, że waży słowa.

- Świetliki prawdopodobnie w ogóle go nie zauważyły. Dopóki jest wyłączony, nie ciągnie za sobą ogona cząstek, a poza tym jest schowany w blasku słońca, chyba że ktoś wie gdzie szukać.

Przyszła moja kolej, by zamilknąć. Nagle poczułem, że w tej rozmowie jest coś nie tak.

Kiedy ojciec jechał na służbę, zawsze znikał w ciemności. Nigdy nie dzwonił do rodziny.

Nawet kiedy kończył służbę, nigdy o niej nie mówił. Obojętne, czy Macierz Ikara nadal działa, czy została posiekana i ciśnięta w Słońce jak tysiące kilometrów podartego origami, dopóki nie wyszło oficjalne oświadczenie, nie pisnąłby ani słowa. A przecież - na wszelki wypadek odświeżyłem okno z indeksem - nie wyszło.

I choć ojciec miał zwyczaj niewiele mówić, w ogóle nie miał zwyczaju robić tak częstych i niezdecydowanych przerw, a dziś wahał się przed każdą swoją kwestią.

Najsprytniej jak mogłem pociągnąłem za sznurek.

- Ale przecież wysłali tam statki. - I zacząłem liczyć.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa...

- Na wszelki wypadek. I tak trzeba było polecieć na Ikara. Nie wymienia się całego systemu na wariata, trzeba zajrzeć przynajmniej w parę miejsc i kopnąć w każdą nową oponę.

Prawie trzy sekundy, zanim odpowiedział.

- Jesteś na Księżycu - powiedziałem.

Pauza.

- Ciepło.

- Co ty mi...? Tato, czemu mi to mówisz? Nie naruszasz tajemnicy?

- Ktoś do ciebie zadzwoni - oznajmił.

- Kto? Po co?

- Kompletują zespół. Z takich... ludzi, z jakimi się zadajesz. - Był zbyt racjonalny, żeby podważać osiągnięcia pracujących z nami rekonstruktów i hybryd, ale nigdy nie potrafił ukryć nieufności. - Potrzebują syntetyka - powiedział.

- To świetnie się składa, że akurat masz go w rodzinie.

Fale przeleciały tam i z powrotem.

- Siri, to nie jest nepotyzm. Bardzo chciałem, by wybrali kogoś innego.

- Dzięki za głos zauf...

Przewidział to jednak i zareagował z wyprzedzeniem, zanim moje słowa zdążyły pokonać odległość:

- To nie przytyk do twoich zdolności i wiesz o tym. Jesteś najodpowiedniejszy, a zadanie kluczowe.

- To dlaczego... - zacząłem i urwałem. Przed jakąś teoretyczną nasiadówką w laboratorium na Półkuli Zachodniej nie starałby się mnie ochronić. - Ale o co chodzi, tato?

- O Świetliki. Coś znaleźli.

- Co?
- Sygnał radiowy. Z Kuipera. Namierzyliśmy skąd.
- Oni mówią?
- Nie do nas. - Odchrząknął. - W ogóle trochę fuksem przechwyciliśmy tę transmisję.
- Czyli z kim rozmawiają?
- Nie wiemy.
- Przyjaciele? Wrogowie?
- Synu, nie wiemy. Szyfr wygląda na podobny, ale nawet to nie jest pewne. Znamy pozycję i nic poza tym.

- Więc wysyłacie tam zespół. - Mnie wysyłasz. Nigdy wcześniej nie lataliśmy do pasa Kuipera. Minęły dziesiątki lat, odkąd wysyłaliśmy tam choćby roboty. Potrafiliśmy, oczywiście, ale nie bardzo mieliśmy po co: tyle ciekawszych rzeczy działo się bliżej domu. Era Międzyplanetarna utknęła na poziomie asteroid.

Lecz teraz coś czaiło się w najdalszym zakątku naszego podwórka i wołało w próżnię. Może rozmawiało z jakimś innym układem słonecznym. A może z czymś, co było bliżej, w drodze.

- To nie jest sytuacja, na którą możemy spokojnie przymknąć oczy - powiedział ojciec.

- A próbniaki?

- Oczywiście. Ale nie możemy sobie pozwolić na czekanie na ich odpowiedzi. Mamy już szkic planu badawczego, a zaktualizować go można po drodze.

Dał mi parę sekund ekstra na przełknięcie tego. A gdy się nie odzywałem, dodał:

- Musisz zrozumieć. Na razie, o ile mi wiadomo, nasza przewaga to tylko fakt, że Burns-Caulfield nie wie, że się do niego wybieramy. Musimy zdobyć, co się tylko da, dopóki nie minie okazja.

Ale Burns-Caulfield się ukrywa. Burns-Caulfield może nie być zachwycony, że mu się narzucamy.

- A jeśli się nie zgodzę?

Teraz opóźnienie jakby mówiło: „Mars”.

- Znam cię. Zgodzisz się.

- Ale gdyby. Skoro mam najlepsze kwalifikacje, a zadanie jest takie ważne...

Nie musiał odpowiadać. Nie musiałem pytać. Przy takiej stawce kluczowe elementy nie mają luksusu wyboru. Nie miałbym nawet dziecinnej satysfakcji, że wstrzymuję oddech i nie chcę się bawić - wola stawiania oporu jest nie mniej mechaniczna niż potrzeba oddychania. Obie da się zmanipulować odpowiednimi neurochemicznymi kluczami.

- Utraciłeś mój kontrakt u Kurzweila - uświadomiłem sobie.

- Żeby tylko to.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

- Gdybym mógł wrócić w czasie i cofnąć... to, co sprawiło, że jesteś taki - powiedział ojciec - zrobiłbym to. Bez wahania.

- No tak.

- Muszę iść. Chciałem cię tylko uprzedzić.

- Dobra. Dzięki.

- Synu, kocham cię.

Gdzie jesteś? Wrócisz?

- Dzięki - powtórzyłem. - Dobrze wiedzieć.

Oto, czego ojciec nie mógł cofnąć. Oto, kim jestem.

Jestem pomostem między ścisłą czołówką a głównym nurtem. Stoję między Czarnoksiężnikiem z Oz a facetem za kurtyną.

Jestem kurtyną.

Nie należę do całkiem nowego gatunku. Moje korzenie sięgają początków cywilizacji, ale tamci prekursorzy służyli zupełnie innym, niższym celom. Oliwili tryby stabilności społecznej, lukrowali nieprzyjemne prawdy, hodowali wymaginowane kozły ofiarne do politycznych celów. Na swój sposób byli niezbędni. Nawet najlepiej uzbrojone państwo policyjne nie jest w stanie przez cały czas oddziaływać przymusem na wszystkich obywateli. Kontrola memetyczna jest o wiele subtelniejsza; trochę podbarwić na różowo postrzeganą rzeczywistość, rozsiać zaraźliwy lęk przed groźnymi alternatywami. Zawsze komuś powierzano odwracanie topologii informacyjnych, ale rzadko chodziło to, żeby zwiększać ich czytelność.

W nowym milenium wszystko to się zmieniło. Przeszliśmy samych siebie, badamy teraz tereny poza granicami ludzkiego rozumienia. Czasem ich kontury, nawet zrzutowane w konwencjonalną przestrzeń, są po prostu zbyt skomplikowane, by ogarnął je ludzki umysł; a czasem osie współrzędnych biegną w wymiary niepojmowalne dla umysłów stworzonych, by się pieprzyć i walczyć na jakiejś prehistorycznej sawannie. Nawet najbardziej altruistyczne i zrównoważone filozofie zawodzą wobec brutalnego imperatywu rodem z rdzenia kręgowego: własnej korzyści. Eleganckie, subtelne równania przewidują zachowanie kwantowego świata, ale żadne go nie wyjaśnia. Po czterech tysiącach lat nie umiemy nawet udowodnić, że poza umysłem kogoś śniącego w pierwszej osobie w ogóle istnieje rzeczywistość. Bardzo potrzebujemy umysłów większych od naszych własnych.

Ale ich budowanie nieszczególnie nam wychodzi. Mózgi krzyżowane na siłę z elektronami równie widowiskowo działają, jak zawodzą. Powstają hybrydy bystre jak sawanci i równie autystyczne. Wszczepiamy ludziom protezy, każemy ich korze motorycznej żonglować mięchem i maszynerią, potem kręcimy głowami, gdy drżą im palce i płacze się język. Komputery hodują własne potomstwo, które staje się tak mądre i niezrozumiałe, że jego komunikaty mają znamiona demencji: nie na temat i bez znaczenia dla pozostających w tyle ledwo co inteligentnych istot.

A kiedy wytwory, które cię przerosły, znajdują dla ciebie odpowiedzi, o które prosiłeś, nie rozumiesz ich analiz i nie możesz sprawdzić wyników. Przyjmujesz je na wiarę...

...albo bierzesz teorię informacji, żeby je dla ciebie spłaszczyła, wcisnęła hipersześcian w dwa wymiary, a butelkę Kleina w trzy, upraszczasz rzeczywistość i modlisz się do bogów, aby twoje szczytne wykręcanie prawdy nie naruszyło żadnego z podpierających ją dźwigarów. Zatrudniasz kogoś takiego jak ja - mieszane potomstwo profilerów, asystentów naukowych i teoretyków informacji.

Oficjalnie nazywa się mnie „syntetykiem”. Na ulicy - „żargonautą” albo „makową”. Uczeni, których mozolnie wypracowane prawdy są właśnie skundlane i poddawane lobotomii na zlecenie wpływowych nieuków zainteresowanych tylko udziałem w rynku, nazwą mnie „wtyką” albo „przyzwoitką”.

Natomiast Isaac Szpindel mówi o mnie „komisarz” i choć to przyjacielski docinek, ma także drugie dno.

Nigdy nie udało mi się przekonać samego siebie, że dobrze wybrałem. Rutynowe uzasadnienia

mogę wyliczać choćby przez sen, gadać bez końca o rotacyjnej topologii informacji, o nieistotności pojmowania semantycznego. Ale wysypawszy wszystkie te słowa, dalej nie jestem pewien i nie wiem, czy ktokolwiek jest. Może to jakieś wielkie, wszechogarniające oszustwo, ogólnoświatowa zmowa kanciarzy i frajerów? Nie przyznajemy się, że nasze twory nas przerastają; może i mówią językami, ale nasi kapłani umieją je czytać. Bogowie zostawiają nam algorytmy wykute w skalnych szczytach, ale tablice znosi na dół i pokazuje masom ktoś taki jak ja, zupełnie niegroźny.

Może Osobliwość przyszła już wiele lat temu, tylko my się nie przyznajemy, że zostaliśmy z tyłu.

Trzecia Fala, tak nas nazwali. Wszyscy na tym samym wózku, jadącym w mrok dzięki supernowoczesnemu prototypowi, pełne osiemnaście miesięcy przed planem wydartym symulatorom. Gdyby gospodarka nie napędzała się strachem, przez takie naruszenie rozkładu jazdy zbankrutowałyby ze cztery państwa i piętnaście multikorporacji.

Pierwsze dwie fale wypuszczono za bramę jeszcze pospieszniej. Dopiero trzydzieści minut po odprawie, kiedy Sarasti udostępnił telemetrię w ConSensusie, dowiedziałem się, co się z nimi stało. Otworzyłem się na oścież: wrażenia zalały wszczepkę i rozlały się po korze ciemieniowej we wspaniałej wysokiej rozdzielczości, w przyspieszonym tempie. Nawet teraz potrafię je odtworzyć, świeże, jak w dniu, gdy je nagrałem. Po prostu tam jestem.

* * *

Jestem bezzałogowy. Jestem jednorazowy. Wyżyłowany, odarty ze wszystkiego co zbędne, składam się tylko z telematerialnego napędu z przykręconymi na przodzie dwiema kamerami, zdolnego do przyspieszeń, które zrobiłyby z mięsa marmoladę. Pędzę radośnie ku ciemności, a sto kilometrów po sterburcie leci stereoskopowo mój bliźniak, dwa strumienie odbitych w tył pionów popychają nas ku względności, zanim biedny, stary Tezeusz w ogóle zdąży przepelznąć obok Marsa.

Teraz, gdy mamy za rufą sześć miliardów kilometrów, Kontrola zakręca kurek i zmusza nas do ślizgu. W naszych celownikach rozrasta się kometa, zamrożona zagadka, omiatająca niebo sygnałem jak latarnia morska. Ożywiamy nasze szczątkowe zmysły i wpatrujemy się w nią na falach o tysiącu długości.

Nie mogliśmy się doczekać tej chwili.

Widzimy chaotyczne vibracje, świadczące o niedawnych zderzeniach. Widzimy blizny - gładkie płaszczyzny lodu, gdzie niegdyś pryszczata skóra roztopiła się i zamarzła ponownie, zbyt niedawno, by w ogóle podejrzewać o to nieliczące się już słoneczko za naszymi plecami.

Widzimy coś astronomicznie niemożliwego: kometę z rdzeniem z oczyszczonego żelaza.

Burns-Caulfield śpiewa, gdy szybujemy obok. Nie do nas; nasze odejście ignoruje tak samo jak przybycie; śpiewa komuś innemu. Może kiedyś spotkamy tego słuchacza. Może czekają na jałowej ziemi przed nami. Kontrola odwraca nas tyłem, każe wbijać wzrok w cel, dopóki jesteśmy go w stanie namierzyć. Wysyłają ostatnie, rozpaczliwe rozkazy, wyciskają nasze słabnące sygnały do ostatniego wmieszanego w szum bitu. Czuję ich frustrację, czuję, że nie chcą nas tracić, raz lub dwa razy pytają nas nawet, czy jakaś wyważona wypadkowa ciągu i grawitacji mogłaby nas jeszcze na chwilę zatrzymać na miejscu.

Ale deceleracja jest dla mięczaków. My lecimy ku gwiazdom.

Pa, Burnsie. Pa, Kontrolo. Pa, Słońce.

Do zobaczenia w śmierci ciepłej.

Nieufnie podchodzimy do celu.

W drugiej fali jest nas trzech - tak, wolniejszych od poprzedników, ale i tak szybszych niż cokolwiek ograniczonego żywą załogą. Dźwigamy ładunek, dzięki któremu jesteśmy dosłownie wszechwiedzący. Widzimy we wszystkich długościach fal, od radiowych po strunowe. Nasze autonomiczne mikrosondy mierzą wszystko, co przewidzieli nasi mocodawcy, a miniaturowe linie montażowe potrafią zbudować z atomów inne, do mierzenia tych nieprzewidzianych. Atomy wylawiane tam gdzie jesteśmy, łączą się z jonami napromieniowanymi stamtąd gdzie byliśmy: w naszych brzuchach gromadzi się materiał napędowy i budowlany.

Ta dodatkowa masa nas spowalnia, choć jeszcze bardziej manewry hamujące w połowie drogi. Druga połowa lotu jest nieustanną walką z pędem nabranym podczas pierwszej. To bardzo nieefektywny sposób podróżowania. Gdyby wszystkim tak się nie spieszyło, przyspieszylibyśmy najpierw do pewnej optymalnej szybkości, może jeszcze zaliczyli dodatkowego kopa, okrążając jakąś dogodną planetę, a przez większość drogi tylko szybowali. Ale czas nas goni, dlatego płoniemy na obu końcach. Musimy osiągnąć cel, nie stać nas, by go minąć, na samobójczy entuzjazm pierwszej fali. Im ledwo mignęła topologia komety. My musimy zrobić jej mapę, do ostatniego pyłku.

Musimy być bardziej odpowiedzialni.

Teraz, zwalniając do prędkości orbitalnej, widzimy wszystko to, co oni, i sporo więcej. Widzimy blizny i żelazne jądro. Słyszymy śpiew. A tuż pod zamarznąłą powierzchnią komety widzimy konstrukcję: geologię przenika architektura. Jeszcze za daleko, żeby się przyjrzeć, a radar ma zbyt duże oczka na takie szczegóły. Ale jesteśmy inteligentni. I jest nas trzech, rozmieszczonych w przestrzeni. Można tak skalibrować długości fal trzech radarowych nadajników, żeby interferowały w jakimś ustalonym punkcie - a ich zmiksowane hologramatycznie trójstronne echa zwiększą rozdzielczość dwudziestosiedmiokrotnie.

Gdy tylko wcielamy ten plan w życie, Burns-Caulfield przestaje śpiewać. Chwilę potem wszyscy ślepniemy.

Jest to chwilowe zaburzenie, odruchowe podkręcenie filtrów, żeby skompensować przeciążenie. Moje macierze zmysłowe odzyskują wzrok po paru sekundach, zieleniąc się wewnątrz i na zewnątrz diagnostycznymi kontrolkami. Kontaktuję się z resztą, upewniam, że przeżyli to samo i tak samo doszli do siebie. Wciąż działamy bez zarzutu, chyba że nagły wzrost gęstości jonów w otoczeniu jest jakimś artefaktem naszych zmysłów. Możemy kontynuować badanie Burnsa-Caulfielda.

Mamy tylko jeden problem: Burns-Caulfield chyba zniknął...

Tezeusz nie miał regularnej załogi - żadnych nawigatorów czy inżynierów, nikogo do mycia pokładu - nie marnowano białka na zadania, które maszyny o rząd wielkości mniejsze wykonują o rząd wielkości lepiej. Niech zbędni majtkowie obciążają inne statki, jeśli hordy niewniebowstąpionych potrzebują nadać swoim życiom jakiś pozór użyteczności. Niech pienia się na

statkach napędzanych tylko handlowymi priorytetami. My znaleźliśmy się tutaj wyłącznie dlatego, że nikt jeszcze nie zoptymalizował oprogramowania do obsługi Pierwszego Kontaktu. *Tezeusz*, na kursie ku krawędzi Układu Słonecznego, niosąc w ładowni los świata, nie tracił masy na poczucie własnej wartości.

A więc lecieliśmy: na nowo nawodnieni, czyści jak łąza. Isaac Szpindel, żeby badać obcych. Banda Czworoga - Susan Bates i jej pozostałe osobowości - żeby z nimi gadać. Major Amanda Bates, żeby w razie konieczności walczyć. I Jukka Sarasti, żeby nami dowodzić, przesuwać jak pionki na jakiejś wielowymiarowej szachownicy, rozumianej tylko przez wampiry.

Rozmieszciliśmy nas w mesie, wokół stołu konferencyjnego, który zakrzywiał się delikatnie, utrzymując stały i dyskretny dystans od wygiętego pokładu pod spodem. Cały bęben był umeblowany w takim wklęsłościowym stylu, przez co naszym skacowanym i zbyt ufnym mózgom wydawało się, że patrzymy na świat przez szerokokątne obiektywy. Przez wzgląd na chwiejność neozombiaków wirował z zaledwie 1/5 g, ale dopiero się rozkręcał. Za sześć godzin będzie już połówka i tak zostanie na osiemnaście godzin z każdych dwudziestu czterech, dopóki statek nie zdecyduje, że już w pełni doszliśmy do siebie. Przez parę następnych dni nieważkość będzie czymś rzadkim i pożądanym.

Na stole ukazały się świetlne rzeźby. Sarasti mógł przesłać informację bezpośrednio do naszych wszczepek - całe spotkanie mogło się odbyć w ConSensusie, bez fizycznego gromadzenia się w jednym miejscu - ale jeśli chcesz mieć pewność, że wszyscy słuchają, zbierasz ich razem.

Szpindel nachylił się do mnie i zapytał konspiracyjnie:

- A może krwiopijcę po prostu kręci, kiedy widzi tyle mięcha w zasięgu ręki, co?

Sarasti, jeśli usłyszał, nie okazał tego, nawet na moje oko. Wskazał na ciemny rdzeń pośrodku projekcji, oczy miał skryte za ciemną szybą.

- Obiekt Oasy. Emiter podczerwieni, klasa metanowa.

Projekcja przedstawiała... nicość. Wyglądało na to, że naszym celem jest czarny dysk, okrągły brak gwiazd. W rzeczywistości ważył tyle, co dziesięć Jowiszy, a w talii był dwadzieścia procent szerszy. Celowaliśmy prosto w niego: zbyt małego, by zapłonąć, zbyt odległego, żeby odbijać odległe Słońce, zbyt ciężkiego na gazowego olbrzyma, zbyt lekkiego na brązowego karła.

- A kiedy to się pojawiło? - Bates ścisnęła w dłoni gumową piłeczkę, aż pobieleły jej knykcie.

- Szpilka na częstotliwości rentgenowskiej pojawia się podczas obserwacji na mikrofalach w siedemdziesiątym szóstym. - Sześć lat przed Ognistym Deszczem. - Nigdy niepotwierdzona, niezaobserwowana ponownie. Jak rozbłysk karła klasy L, tylko że powinno być tam coś dużego, żeby wywołać taki efekt, a niebo w tym miejscu jest ciemne. Unia Astronomiczna nazywa to „statystycznym artefaktem”.

Brwi Szpindla zbliżyły się do siebie jak tokujące gąsienice.

- Co się zmieniło?

Sarasti uśmiechnął się, nie otwierając ust.

- Po Deszczu w metabazie robi się trochę... tłoczno. Wszyscy nerwowo szukają wskazówek. Po wybuchu Burnsa-Caulfielda... - mlasnął gardłowo - ...okazuje się, że taki szpic może spowodować subkarzeł, jeśli magnetosferze nada się wystarczający moment.

- A co nadało ten moment? - zapytał Bates.

- Nie wiadomo.

Na stole piętrzyły się warstwy statystycznych danych, a Sarasti szkicował rys historyczny: nawet po precyzyjnym namierzeniu i skupieniu uwagi połowy świata, obiekt umykał wszystkim poszukiwaniom, z wyjątkiem najintensywniejszych. Nałożono jedno na drugie tysiąc zdjęć z teleskopu, przepuszczono przez kilkanaście filtrów, dopiero wtedy coś wyłoniło się z szumu, tuż

poniżej progu trzech metrów i granicy pewności. Przez większość czasu nawet nie traktowano tego, jak coś realnego, lecz probabilistyczną zjawę, dopóki *Tezeusz* nie zbliżył się wystarczająco, żeby funkcja falowa skolapsowała. Kwantowa cząstka, ważąca tyle, co dziesięć Jowiszy.

Ziemscy kartografowie nazywali ją Big Benem. Wykresy z analiz rezyduów pokazały ją zaraz po minięciu przez *Tezeusza* orbity Saturna. Dla każdego innego statku takie odkrycie byłoby bezprzedmiotowe - nikt inny, dokonawszy go w połowie drogi, nie miałby dość paliwa na cokolwiek, poza długą i przygnębiającą pętlą powrotną. Lecz cienki, nieskończenie rozciągnięty przewód paliwowy *Tezeusza* sięgał aż do Słońca - mógł więc zawrócić, jak to się mówi, prawie w miejscu. Zmieniliśmy kurs we śnie, a ciąg Ikarą śledził nasze ruchy, jak kot ofiarę, zasilając nas z szybkością światła.

I oto przylecieliśmy.

- Niezły fuks - burknął Szpindel.

Bates po drugiej stronie stołu machnęła dłonią. Piłeczka przepłynęła mi nad głową. Usłyszałem, jak odbija się od pokładu; („nie od pokładu”, poprawiło coś we mnie, „od poręczy”).

- Czyli zakładamy, że kometa była umyślną przynętą.

Sarasti kiwnął głową. Piłeczka z powrotem wpłynęła rykoszetem w moje pole widzenia, wysoko i na chwilę zniknęła za wiązką przewodów kręgosłupa, zapętając się w słabej grawitacji bębna w jakąś kompletnie nieintuicyjną parabolę.

- Więc chcę, żebyśmy dali im spokój.

Sarasti złożył dłonie i odwrócił się do niej.

- To byś zalecała?

Chciałaby.

- Nie, panie kapitanie. Mówię tylko, że skonstruowanie Burnsa-Caulfielda pochłonęło dużo czasu i zasobów. Ten, kto go zbudował, ewidentnie ceni sobie anonimowość i dysponuje technologią do jej ochrony.

Piłeczka odbiła się ostatni raz i pokolebała z powrotem ku mesie. Bates na wpół wyskoczyła z krzesła (na chwilę zawisając) i ledwo zdążyła ją złapać. Jej ruchy dalej miały w sobie coś z nieporadności nowo narodzonego zwierzaka, trochę od Coriolisa, trochę od resztek zeszywnienia. I tak znaczny postęp, jak na cztery godziny. Reszta ludzi dopiero nauczyła się chodzić.

- Może dla nich nie był to specjalny problem, nie? - rozmyślał na głos Szpindel. - Może to było tak, jak splunąć.

- W takim razie, ksenofobi czy nie, na pewno rozwinięci są o wiele bardziej. Nie ma co się spieszyć z kontaktem.

Sarasti wrócił do kipiącej grafiki.

- Czyli co?

Bates ugniatała piłeczkę czubkami palców.

- Głupszy przodem. Może nasz supernowoczesny zwiad w pasie Kuipera został popisowo spieprzony, ale tu nie musimy lecieć na ślepo. Wysłać automaty, po różnych wektorach. Wstrzymać się z bliższym podejściem, przynajmniej dopóki się nie dowiemy, czy to wróg, czy przyjaciel.

James pokręciła głową.

- Gdyby byli wrogo usposobieni, napakowaliby Świetliki antymaterią. Albo wysłali jeden duży obiekt zamiast sześćdziesięciu tysięcy małych, żeby zderzenie nas załatwiło.

- Świetliki oznaczają tylko początkową ciekawość - powiedziała Bates. - Kto wie, czy spodobało im się to, co zobaczyli?

- A może ta cała teoria o odwróceniu uwagi jest gównem warta?

Odwróciłem się, przez moment wystraszony. Słowa wyartykułowały usta James, ale wypowiedziała je Sascha.

- Jak chcesz siedzieć w ukryciu, to nie urządzasz, kurwa, pokazu fajerwerków - ciągnęła. - Jak nikt cię nie szuka, to nie trzeba odwracać uwagi, a nikt cię nie szuka, jak nie rzucasz się w oczy. Skoro byli tacy ciekawi, to mogliby po cichu przemycić kamerę szpiegowską.

- Ryzykując wykrycie - powiedział łagodnie wampir.

- Jukka, głupio mi to mówić, ale Świetliki niezupełnie były niewi...

Sarasti otworzył usta i zaraz je zamknął. W głębi szczęknęły zaostrzone zęby. Tam, gdzie powinien mieć oczy, od osłony odbijała się rzutowana na stół grafika, wijące się polichromowe zniekształcenia.

Sascha zamilkła.

- Zamiast w niewykrywalność idą w szybkość. Zanim zareagujesz, już mają, co chcieli - kontynuował Sarasti. Mówił spokojnie, cierpliwie, dobrze odżywiony drapieжник tłumaczący reguły gry ofiarom, które naprawdę powinny to dawno wiedzieć: im dłużej trzeba was tropić, tym większą macie szansę na ucieczkę.

Lecz Sascha już uciekła. Jej powierzchnie rozproszyły się jak stado spłoszonych szpaków; następne otwarcie ust Susan James i odezwała się już ona sama:

- Jukka, Sascha wie, jaki jest obowiązujący paradygmat. Obawia się tylko, że on może być mylny.

- Ma jakiś inny, za który da się go przehandlować? - zainteresował się Szpindel. - Bardziej wypasiony? Z dłuższą gwarancją?

- Nie wiem - westchnęła James. - Chyba nie. Ale to... to po prostu dziwne, że aktywnie chcą nas wprowadzać w błąd. Miałam nadzieję, że są tylko... No. - Rozłożyła ręce. - Zresztą, to pewnie nic takiego. Jeśli uda nam się odpowiednio przedstawić, na pewno dalej będą chcieli rozmawiać. Musimy tylko być ostrożniejsi, może...

Sarasti wstał z krzesła i nachylił się nad nami.

- Wchodzimy. To, co wiemy, jest argumentem przeciwko dalszym opóźnieniom - powiedział.

Bates zmarszczyła brwi i z powrotem cisnęła piłeczkę na orbitę.

- Panie kapitanie, wiemy tylko, że przed nami pojawił się emiter Oasy. Nawet nie wiadomo, czy ktoś tam jest.

- Jest - oznajmił Sarasti. - I spodziewa się, że przylecimy.

Przez parę sekund nikt się nie odzywał. W ciszy strzeliły czyjeś stawy.

- Eee... - zaczął Szpindel.

Sarasti, nie patrząc, wyciągnął rękę i chwycił powracającą piłeczkę Bates.

- Cztery godziny i czterdzieści osiem minut temu *Tezeusza* namierzył laser. Odpowiedzieliśmy identycznym sygnałem. Nic. Sonda poleciała pół godziny przed naszym przebudzeniem. Nie wchodzimy na ślepo, ale nie czekamy. Już nas widzą. Im dłużej czekamy, tym większe jest ryzyko jakiegoś przeciwdziałania.

Popatrzyłem na ciemny, pozbawiony cech charakterystycznych wypełniacz na stole: jest większy od Jowisza, a nawet go jeszcze nie widzimy. Coś skrytego w cieniu tej masy właśnie sobie sięgnęło i nonszalancko, niewyobrażalnie precyzyjnie przytknęło nas w nos promieniem lasera.

Gra nie będzie wyrównana.

Szpindel zadał pytanie, które chodziło po głowach nam wszystkim:

- Cały czas o tym wiedziałeś i teraz to mówisz?

Tym razem Sarasti wyszczerzył zęby. Jakby w dolnej części twarzy otworzyła mu się rana.

Może drapieżniki tak mają. Po prostu muszą pobawić się ofiarą.

* * *

Nawet nie do końca chodziło o sam wygląd. Tak, wydłużone kończyny, blada skóra, kły i rozbudowana żuchwa rzucały się w oczy, były obce, ale nie niepokoiły, nie przerażały. Nawet oczy nie. Oczy kotów i psów też połyskują w ciemności i wcale się od tego nie wzdrygamy.

Nie chodziło o wygląd. Chodziło o sposób poruszania.

Chyba coś w odruchach. W sposobie układania kończyn. Długie, gibkie, jak u modliszki - tak, że wiedziałeś, że mogą sięgnąć i cię chwycić z drugiego końca pokoju, gdy tylko im się zachce. Kiedy Sarasti na mnie patrzył - naprawdę patrzył, gołym okiem, niefiltrowanym przez osłonę - pół miliona lat topniało w okamgnieniu. Nie miało znaczenia, że wymarł. Zaszliśmy tak daleko, żeby wskrzeszać dawne koszmary, by nam służyły... to też nic nie znaczyło. Geny nie dają się nabrać. Wiedzą, czego się bać.

Oczywiście, tego trzeba doświadczyć osobiście. Robert Paglino znał teorię wampirów do poziomu molekularnego, ale nawet mając w głowie wszystkie te techniczne specyfikacje, naprawdę tego nie czuł.

Zadzwoił do mnie, zanim wylecieliśmy. Nie spodziewałem się; odkąd ogłoszono listę załogi, nasze zegarki blokowały połączenia od wszystkich osób niewpisanych explicite na listę kontaktów. Zapomniałem, że mam na niej Paga. Nie rozmawialiśmy od czasów Chelsea. Nawet nie myślałem, że kiedykolwiek się do mnie odezwie.

A jednak się odezwał.

- Człowiek z kapsuły.

Uśmiechnął się - nieśmiały gest przyjaźni.

- Fajnie cię widzieć - powiedziałem, bo ludzie tak mówią w podobnych sytuacjach.

- Wiesz, zobaczyłem twoje nazwisko w obiegu. Wysoko poszedłeś jak na zwykłą.

- Nic takiego.

- Guzik prawda. Jesteś awangardą ludzkiej rasy. Naszą pierwszą, ostatnią i jedyną nadzieją w starciu z nieznanym. Facet, pokazałeś im. - Uniósł pięść i potrząsnął nią, triumfując w moim zastępstwie.

„Pokazanie im” stało się fundamentem życia Roberta Paglino. I naprawdę mu się udało - przewyciężył ułomność naturalnego urodzenia, modernizując się i poprawiając, pomogła mu w tym także pospolita drapieżność. W świecie, gdzie bezprecedensowa liczba ludzi stała się zbędna, obaj zachowaliśmy zeszlowieczony status pracującego specjalisty.

- Czyli wampir będzie ci rozkazywał - stwierdził potem. - Jakkolwiek na to patrzeć, lekarstwo gorsze od choroby.

- To chyba dla wprawy. Zanim natkniemy się na prawdziwych wrogów.

Roześmiał się. Nie umiałem określić, dlaczego. Ale i tak odwzajemniłem uśmiech.

Naprawdę dobrze było go widzieć.

- A jakie one są? - zapytał.

- Wampiry? Nie mam pojęcia. Wczoraj poznałem pierwszego.

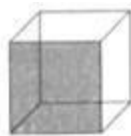
- No i?

- Trudno się go czyta. Czasem wydaje się nieświadomy otoczenia, jakby przebywał... we

własnym świecie.

- O, jest świadomy, i to jak. Są tak szybcy, że aż strach. Wiesz, że potrafią ogarnąć myślą naraz obie perspektywy sześcianu Neckera?

Termin obił mi się o uszy. Poszukałem podpowiedzi i zobaczyłem znajomą miniaturkę, szkielec kostki:



Już kojarzyłem: dwuznaczne złudzenie. Zacięniowaną ściankę widzimy czasem z przodu, a czasem z tyłu. Patrząc i przełączasz sobie perspektywę.

- My widzimy tak albo tak - mówił Pag. - Wampiry: na oba sposoby naraz. Masz pojęcie, jaką przewagę im to daje?

- Przynajmniej dwukrotną.

- Punkt dla ciebie. Ale wiesz, to nie ich wina, że w małych populacjach cechy neutralne się utrwalają.

- No, nie wiem, nie powiedziałbym, że Skaza Krzyżowa jest neutralna.

- Na początku była. Ile kątów prostych masz w przyrodzie? Zresztą nieważne. - Machnął lekceważąco ręką. - Liczy się, że potrafią coś, co dla ludzi jest neurologiczną niemożliwością. Patrzą na świat z kilku punktów równocześnie, panie Kapsuła. My musimy coś rozpracowywać krok po kroku, a oni to widzą, nawet nie muszą o tym myśleć. Widzisz, nie ma takiego zwykła, który ot tak, z głowy, wymieniłby ci wszystkie liczby pierwsze od jednego do miliarda. W dawnych czasach tylko niektórzy autystycy to potrafili.

- On nigdy nie używa czasu przeszłego - mruknąłem.

- Co? A, to. - Pag kiwnął głową. - On nie doświadcza czasu przeszłego. Dla nich to po prostu jeszcze jeden wątek. Oni nie pamiętają rzeczy, ale je powtórnie przeżywają.

- Coś jak powypadkowe retrospekcje?

- No, nie takie traumatyczne. - Skrzywił się. - Przynajmniej nie dla nich.

- Widzę, że to twój ostatni konik. Wampiry?

- Słuchaj, człowieku z lodówki, wampiry to konik przez duże K dla każdego, kto ma w CV coś na „neuro”. Ja tylko przygotowuję parę prac z histologii. Receptory rozpoznające wzorce, charakterystyki „meksykańskiego kapelusza”, filtry nagrody-nieistotności. W gruncie rzeczy chodzi o te oczy.

- Jasne. - Zawahałem się. - Trochę człowieka peszą.

- No, kurna. - Pag porozumiewawczo skinął głową. - Ten *tapetum lucidum*, ten odbłask. Straszny. - Potrząsnął głową, na nowo ogarnięty wspomnieniem.

- Nigdy żadnego nie spotkałeś - domyśliłem się.

- Znaczą, na żywo? Oddałbym za to lewe jajco. A bo?

- To nie chodzi o odbłask, tylko... - Szukałem pasującego słowa. - Raczej o zachowanie.

- Taaa - powiedział po chwili. - Czasem po prostu trzeba być na miejscu, nie? Dlatego ci zazdroszczę, panie Kapsuła.

- Nie zazdrość.

- Ja muszę. Nawet jeśli nigdy nie spotkacie tych, co wysłali Świetliki, masz, Jezu, jedną na milion okazję badać tego... jak mu tam, Sarastiego.

- Mnie to na nic. U mnie w papierach jedyne „neuro” jest w karcie medycznej.

Zaśmiał się.

- W każdym razie, jak mówiłem, zobaczyłem twoje nazwisko na pierwszych stronach i pomyślałem: wiesz co, ten gość za parę miesięcy wylatuje, chyba nie można już czekać, aż on zadzwoni pierwszy.

Minęły prawie dwa lata.

- Myślałem, że się nie przebiję. Że masz mnie na czarnej liście - dodał.

- Nie. Nigdy nie miałem.

Jednak spuścił wzrok i zamilkł.

- Ale do niej to trzeba było wtedy zadzwonić - powiedział w końcu.

- Wiem.

- Ona umierała. Powinieneś...

- Nie było czasu.

Dał kłamstwu wisieć przez chwilę między nami.

- No, w każdym razie - powiedział w końcu - chciałem ci tylko życzyć powodzenia. - To też niezupełnie było prawdą.

- Dzięki. Doceniam.

- Skop obcym dupę. Jeśli ją mają.

- Pag, nas będzie pięć osób. Dziewięć z rezerwowymi. Mało jak na armię.

- Takie powiedzenie, mój bratni ssaku. Zakopać topór wojenny. Chrzanić torpedy. Ułagodzić Węża.

Wywiesić białą flagę, pomyślałem.

- Pewnie jesteś zajęty - dodał. - No to...

- Wiesz co, a chciałbyś się spotkać? W realu? Dawno nie byłem w QuBicie.

- Chętnie, człowieku z kapsuły. Ale ja jestem w Mankoyi. Takie warsztaty z klejenia genów.

- Jesteś tam fizycznie?

- Ścisła czołówka badań. I staroświeckie nawyki.

- No to szkoda.

- Dobra, dam ci już spokój. Chciałem tylko... wiesz...

- Dzięki - powtórzyłem.

- No to... żegnaj - powiedział Robert Paglino. Jak się zastanowić, to właśnie po to zadzwonił.

Pomyślał, że następnej okazji nie będzie.

* * *

Pag obwinił mnie, że z Chelsea tak się skończyło. No i dobrze. Ja jego - że tak się zaczęło.

Poszedł w neuroekonomię przynajmniej częściowo dlatego, że kumpel z dzieciństwa na jego oczach zmienił się w człowieka z kapsuły. Ja z grubsza z tego samego powodu wylądowałem na Syntezie. Nasze drogi rozeszły się i nie za często widywaliśmy się na żywo; ale dwadzieścia lat po tym, jak dla niego zmalretowałem grupkę dzieciaków, Robert Paglino nadal był moim najlepszym i jedynym przyjacielem.

- Musisz porządnie odtajać - powiedział. - A ja znam kobietę nadającą się w sam raz do użycia rękawic kuchennych, żeby cię wyjąć z piekarnika.

- To chyba przykład najgorszego użycia metafory w historii ludzkiego języka - odparłem.

- Ale, Kapsuło, serio. Przyda ci się ktoś taki. Taka, ta... przeciwwaga, która przesunie cię trochę

ku wygodnej medianie. Rozumiesz.

- Nie, Pag. Nie rozumiem. Kto to? Jakaś kolejna neuroekonomistka?

- Neuroestetyk - odpowiedział.

- Jest jeszcze na to rynek? - Nie wyobrażałem sobie. Po co płacić za poprawienie zgodności z drugą połową, skoro posiadanie „drugiej połowy” totalnie wyszło z mody?

- Nie za bardzo - przyznał Pag. - Ona w sumie już przestała się tym zajmować. Ale warsztat jeszcze ma, i to jaki. Jest bardzo tigmotaktyczna. Uznaje tylko kontakty osobiste, twarzą w twarz.

- No, nie wiem, Pag. To wygląda jak praca.

- Ale nie twoja. Ona na pewno będzie łatwiejsza w obejściu niż te cholerne składowe osobowości, którym służysz za rzecznika. Jest bystra, seksowna i elegancko mieści się w jednym odchyleniu standardowym, no, poza tym skrzywieniem w stronę osobistych kontaktów. Ale to nie tyle zboczenie, ile uroczy fetysz. W twoim przypadku mógłby nawet mieć terapeutyczny wpływ.

- Gdybym chciał pójść na terapię, znalazłbym sobie terapeutę.

- Prawdę mówiąc, tym ona też się trochę zajmuje.

- Taak? - Po chwili zapytałem wbrew sobie: - I dobra jest?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Aż tak dobry to nikt nie jest. Zresztą nie o to chodzi. Pomyślałem sobie, że byście zaskoczyli. Akurat ona nie zniechęciłaby się twoimi problemami z intymnością.

- Może nie zauważyłeś, ale dzisiaj wszyscy mają problemy z intymnością. - Nie mógł nie zauważyć, populacja malała od dziesiątków lat.

- Taki eufemizm. Chodziło mi o twoją ogólną awersję do kontaktów z ludźmi.

- Czyli nazywanie ciebie człowiekiem to eufemizm?

Wyszczерzył zęby.

- To inna sprawa. Mamy przeszłość.

- Dzięki. Nie skorzystam.

- Za późno. Już jedzie na umówione miejsce.

- Umó... wiesz co, Pag, dupek z ciebie.

- Największy na świecie.

I tak właśnie znalazłem się w realu, w klubie na południe od Beth and Bear, w natarczywej bliskości innych ludzi. Światło, przyćmione i dyskretne, wydobywało się spod foteli i krawędzi stołów. Chromatyka, przynajmniej tego wieczoru, była wyzywająco długofalowa. Lokal, gdzie zwykłaki mogą udawać, że widzą w podczerwieni.

I przez chwilę udawałem, taksując kobietę w narożnej łoży: tyczkowata, choć ładna, współbrzmiało w niej z pół tuzina grup etnicznych, a żadna nie wybijała się ponad tło. Coś świeciło na policzku, słabiutkie szmaragdowe staccato na tle ogólnego przesunięcia ku czerwieni. Włosy unosiły się rozwianą hebanową chmurą nad głową; zbliżając się, zauważyłem pobłyskujące w tym nimbusie nitki metalu, podłączone do generującego złudzenie nieważkości generatora elektrostatycznego. W normalnym świetle krwistoczerwona barwa jej skóry na pewno przesunie się z powrotem ku modnemu kajmakowemu odcieniowi bezkompromisowego mieszańca.

Była atrakcyjna, jak wszyscy w takim świetle; im dłuższa fala, tym gorsza ostrość. Nie bez powodu w sekshotelikach nie montuje się jarzeniówek.

Nie nabierzesz się na to, powtórzyłem sobie.

- Chelsea - odezwała się. Mały palec trzymała na jednej z zagłębionych w stole ładowarek. - Dawniej neuroestetyczka, obecnie pasożyt na Gospodarce Ciała, dzięki genom i nowym rodzajom maszyn.

Poblask na policzku leniwie zatrzepotał jaskrawymi skrzydłami - tatuaż, bioluminescencyjny motylek.

- Siri - odpowiedziałem. - Niezależny syntetyk, pokorny sługa genów i maszyn, które zrobiły z ciebie pasożyta.

Machnęła ku pustemu fotelowi. Usiadłem, analizując układ przede mną, opracowując najlepszą taktykę szybkiego, acz dyplomatycznego pożegnania. Kontur jej ramion powiedział mi, że lubi światłobrazy, choć wstydzi się do tego przyznać. Jej ulubionym artystą jest Monahan. Uważa się za naturalną dziewczynę, bo od wielu lat poprzestaje na chemicznych pobudzaczach libido, a przecież modyfikacja synaptyczna byłaby dużo prostsza. Rozkoszuje się własną niespójnością: kobieta, której warsztat zawodowy zajmuje się edycją samych myśli, ona zaś nie ufa nawet dehumanizującym telefonom. Od urodzenia uczuciowa, od urodzenia obawiająca się nieodwzajemnionego uczucia i zawzięcie niepozwalająca, by to ją przed czymkolwiek powstrzymało.

Patrzyła na mnie i coś jej się podobało. Tego też się trochę bała.

Wskazała dłonią moją część stołu. Panele świeciły łagodnym szafirem, dysonansem na tle wszechogarniającej czerwieni. Przypominały odciski rozcapierzonych palców.

- Dobry towar. Dodatkowa grupa hydroksylowa w pierścieniu, czy coś w tym stylu.

Masówka neurofarmowa specjalnie mnie nie rusza, robi się ją dla ludzi, którzy mają więcej mięcha w głowie. Dla pozorów pogładziłem jeden z paneli i ledwo coś wyczułem.

- Czyli syntetyk. Tłumaczy Niezrozumiałe Niezainteresowanym.

Uśmiechnąłem się na ten sygnał.

- Bardziej pomost między ludźmi, którzy dokonują odkryć, a tymi, co zbierają pochwały.

Odwzajemniła uśmiech.

- A jak to się w ogóle robi? Wszystkie te zoptymalizowane płyty czołowe, przebudowy - no wiesz, skoro nie da się ich zrozumieć, to jak ty to robisz?

- Dobrze jest uważać wszystkich innych za niezrozumiałych. Ma się doświadczenie. - No właśnie. To powinno wymusić przyzwoity dystans.

Ale nic z tego, wzięła to za żart. Widziałem, jak się zbiera, żeby poznać szczegóły, zapytać o moją pracę, co doprowadzi do pytań o mnie, co doprowadzi...

- Powiedz mi, jak to jest - rzuciłem gładko - życie z przerabiania ludziom mózgow.

Chelsea skrzywiła się; motyl na policzku zatrzepotał nerwowo przy tym ruchu. Pojaśniały mu skrzydełka.

- Jezu, to brzmi jakbyśmy robili z nich zombiaków, czy coś takiego - odparła. - Z reguły chodzi o drobne podregulowanie. Zmiana gustów muzycznych czy kulinarnych, no wiesz, optymalizacja kompatybilności partnerskiej. Wszystko całkowicie odwracalne.

- Nie ma do tego leków?

- Nie. Za dużo rozwojowych różnic między mózgami; tu chodzi o naprawę precyzyjne celowanie. Ale to nie polega tylko na mikrochirurgii i wypalaniu synaps. Zdziwiłbyś się, ile rzeczy można zrobić nieinwazyjnie. Mnóstwo kaskadowych reakcji da się wywołać po prostu przez odtworzenie odpowiednich dźwięków w odpowiedniej kolejności, albo pokazując obrazki o odpowiednich proporcjach geometrii i emocji.

- To chyba jakieś nowe techniki.

- Nie bardzo. Rytm i muzyka polegają w sumie na tym samym. My zrobiliśmy tylko naukę ze sztuki.

- Tak, ale kiedy? - Na pewno niedawno. Ostatnie dwadzieścia lat, czy coś koło tego...

Nagle zniżyła głos.

- Robert opowiadał mi o twojej operacji. Jakaś wirusowa epilepsja, tak? Kiedy byłeś jeszcze maluchem.

Nigdy nie prosiłem go wprost, żeby trzymał to w tajemnicy. Właściwie, co za różnica? Przecież wyzdrowiałem.

A poza tym Pag dalej sądził, że to przydarzyło się komuś innemu.

- Nie znam dokładnie twojego przypadku - ciągnęła łagodnie Chelsea. - Ale tak na oko, techniki nieinwazyjne by nie pomogły. Na pewno zrobili co trzeba.

Ona mi się podoba. Próbowałem stłumić tę myśl.

I wtedy coś poczułem: dziwne, nieznanie uczucie, jakby ktoś mi poluzował kręgi. Fotel za plecami nagle w nieokreślony, subtelny sposób stał się wygodniejszy.

- Zresztą, odkąd rynek przebił się przez dno, za wiele tego nie robię. Ale zostało mi po tym upodobanie do spotkań twarzą w twarz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak. Pag mówił, że uznajesz tylko seks w pierwszej osobie.

Kiwnęła głową.

- Jestem bardzo staroświecka. Nie przeszkadza ci to?

Nie miałem pewności. W realu byłem dziewicą - jedna z nielicznych cech wspólnych z resztą cywilizowanego świata.

- Teoretycznie nie. Tylko wydaje się, że to, wiesz... spory wysiłek, a nagroda taka sobie.

- Mnie też. - Uśmiechnęła się. - Prawdziwi partnerzy do pieprzenia nie są retuszowani. Mają swoje życzenia i potrzeby, których nie da się wykasować. Czy można kogoś winić za to, że teraz, kiedy już jest wybór, daje sobie spokój z tym wszystkim? Człowiek się zastanawia, jak naszym rodzicom w ogóle udawało się pozostawać razem.

A przydałoby się wiedzieć „dlaczego”. Poczulem, że zapadam się głębiej w fotel, i zdziwiłem tym nowym odczuciem. Mówiła, że ta dopamina jest jakaś podkrecona. Pewnie tak.

Nachyliła się ku mnie, bez nieśmiałości, bez kokieterii, ani na chwilę w tym długofalowym mroku nie przerywając kontaktu wzrokowego. Czulem ostry, cytrynowy zapach mieszającej się na jej skórze chemii i feromonów.

- Wiesz, jak już poznasz zasady, są też zalety - powiedziała. - Ciało ma dobrą pamięć. Aha, Siri, ty wiesz, że pod prawą ręką nie masz ładowarki, prawda?

Popatrzyłem. Palcem wskazującym lewej ręki dotykałem jednego z dotykowych pulpików; prawa, kiedy nie patrzyłem, odzwierciedliła ten ruch, bezsensownie postukując palcem w pusty blat.

Zabrałem ją.

- Taki dwustronny tik - przyznałem. - Kiedy nie zwracam uwagi, ciało ukradkiem przyjmuje symetryczną pozycję.

Czekałem na żart, a przynajmniej uniesioną brew. Chelsea tylko skinęła głową i podjęła wątek.

- No to jeśli jesteś zainteresowany, to ja też. Nigdy wcześniej nie kotłowałam się z syntetykiem.

- Żargonauta też może być. Nie nadymam się.

- Czy ty zawsze dokładnie wiesz co powiedzieć? - Spojrzała na mnie z ukosa. - A twoje imię? Co oznacza?

Odprężony. Tak właśnie się poczułem. Odprężony.

- Nie wiem. Imię i tyle.

- To za mało. Jeśli przez jakiś czas mamy się wymieniać śliną, musisz mieć imię, które coś oznacza.

A mieliśmy - właśnie sobie uświadomiłem. Chelsea, pod moją nieuwagą, zdecydowała. Mogłem przerwać wszystko w tym punkcie, wytłumaczyć jej, że to bardzo kiepski pomysł, przeprosić

za nieporozumienie. Ale byłyby zranione spojrzenia, zranione uczucia i poczucie winy, bo po cholere w ogóle przyłąziłem, skoro nie byłem zainteresowany?

Wyglądała sympatycznie, nie chciałem jej zranić.

Tylko na trochę, powiedziałem sobie. W ramach zbierania doświadczeń.

- Chyba nazwę cię Cygnus - powiedziała Chelsea.

- Łabędź? - zapytałem. Trochę wymyślne, ale mogłoby być gorzej.

Pokręciła głową.

- Nie. Czarna dziura. Cygnus X-1.

Zmarszczyłem groźnie brwi, ale rozumiałem dokładnie, co ma na myśli: ciemny, gęsty obiekt, który wsysa światło i niszczy wszystko po drodze.

- Bardzo, kurwa, dziękuję. A czemu?

- Nie jestem pewna, ale masz w sobie coś mrocznego. - Wzruszyła ramionami i rzuciła mi szeroki uśmiech. - To nie jest nieatrakcyjne. Raz czy dwa pozwolisz mi się podregulować i zobaczysz - wyrośniesz z tego wszystkiego.

Pag przyznał potem z pewnym zażenowaniem, że chyba powinienem dostrzec w tym ostrzeżenie. Człowiek uczy się całe życie.

Liderzy to wizjonerzy ze słabo rozwiniętym uczuciem strachu, nierozumiejący jakie mają szanse.

Robert Jarvik

Nasz zwiadowca opadał ku orbicie, obserwując Bena. My spadaliśmy całe dni za nim, obserwując jego. I tyle mieliśmy do roboty: siedzieliśmy w *Tezeuszu*, a system przekazywał telemetrię na nasze wszczepki. Niezbędni, krytyczni, niezastąpieni - podczas tego pierwszego podejścia mogliśmy równie dobrze służyć za balast.

Minęliśmy granicę Rayleigha Bena. *Tezeusz* wpatrzył się w wątle widmo emisyjne i dostrzegł zabłąkany element halo z Wielkiego Psa - fragment poćwiartowanych zwłok jakiejś dawno umarłej galaktyki, który przydryfował do nas i skończył w charakterze zapomnianej miliardy lat temu padliny. Zbliżaliśmy się do czegoś pochodzącego spoza Drogi Mlecznej.

Próbnik zszedł łukiem niżej i głębiej, na tyle blisko, by dać obraz podrasowany fałszywymi kolorami. Powierzchnia Bena rozjaśniła się, nabierając wyglądu wzburzonego *parfait* o kontrastowych warstwach, na tle ostrych jak diamenty gwiazd. Coś się tam skrzyło, delikatnymi iskierkami na wiecznej pokrywie chmur.

- Błyskawice? - zastanawiała się James.

Szpiandel pokręcił głową.

- Meteoroty. W okolicy musi być pełno kamieni.

- Nie taki kolor - powiedział Sarasti. Fizycznie nie znajdował się z nami, siedział w swoim namiocie, spięty z Kapitanem, ale dzięki ConSensusowi pojawiał się, gdzie zechciał.

Po mojej wszczepce przewinęła się morfometryka: masa, średnica, średnia gęstość. Doba na Benie trwała siedem godzin i dwadzieścia minut. Wokół równika miał rozproszony, ale pokaźny pas akrecyjny, bardziej torus niż pierścień, od górnej warstwy chmur mierzący prawie pół miliona kilometrów - pewnie sproszkowane zwłoki księżyców, zmielone na pył.

- Meteoroty. - Szpiandel się wyszczerzył. - A nie mówiłem?

Wyglądało na to, że ma rację; w miarę jak odległość malała, wiele punktowych iskierok rozmazywało się w rysujące atmosferę efemeryczne kreseczki. Przy biegunach pasma chmur migotały przyćmionymi przeblyskami wyładowań.

Maksima słabej emisji radiowej na trzydziestu jeden i czterystu metrach. Zewnętrzna warstwa atmosfery bogata w metan i amoniak; obfitość litu, wody, tlenu węgla. Wodorosiarczek amonu i zasadowe halogenki mieszają się lokalnie w wirowych chmurach. W wyższych warstwach słabe zasady. Teraz to było widać nawet z *Tezeusza*, a nasz próbnik zszedł na tyle nisko, że widział już nie dysk, lecz azur - wklęsłą, ciemną ścianę kipiącą warstwami czerwieni i brązu, z niewyraźnymi plamami antracenu i pirenu.

Na wprost nas oblicze Bena osmalił jeden z miriadów meteorytów; przez chwilę wydało mi się, że widzę nawet maleńki ciemny punkcik w jego rdzeniu, ale nagły szum porysował obraz. Bates cicho zakłęta. Wizja rozmazała się, potem poprawiła, gdy próbnik zmienił ton głosu na wyższą częstotliwość. Nie mogąc przekrzyczeć jazgotu na długich falach, przemówił laserem.

A i tak się zacinał. Wycelowanie promienia na zmienną odległość w granicach miliona kilometrów nie powinno w ogóle stanowić problemu: nasze trajektorie były znanymi parabolami, nasza pozycja względna nieskończenie przewidywalna w dowolnym czasie t. Lecz ślad meteorytu na obrazie skakał i polatywał, jakby ktoś co chwila minimalnie wytrącał promień lasera z linii. Rozżarzony gaz zamazywał szczegóły; wątpliwe zresztą, czy nawet idealnie stabilny obraz

zapewniłby jakieś ostre krawędzie, których mogłoby się chwycić ludzkie oko. A jednak. Coś w nim było nie tak, w tej małej czarnej kropce pośrodku blednącej jaskrawości. Jakaś prymitywna część umysłu uparcie odmawiała nazwania tego naturalnym.

Obraz podskoczył jeszcze raz, rozbłysnął czernią i nie wrócił.

- Poszła z dymem - zameldowała Bates. - Szpila na końcu. Jakby trafiła na spiralę Parkera, ale taką z porządnie ciasnym gwintem.

Nie musiałem przywoływać podpowiedzi. Wyraz twarzy, nagle zmarszczki między brwiami mówiły jasno: miała na myśli pole magnetyczne.

- Było... - zaczęła i zamilkła, gdy w ConSensusie wyskoczyła liczba. - 11,2 tesli.

- Jasna cholera - szepnął Szpindel. - Naprawdę?

Sarasti mlasnął gdzieś w głębi gardła i gdzieś w głębi statku. Chwilę później zaserwował nam replay, ostatnie parę sekund pomiarów powiększone, wygładzone, z poprawionym kontrastem, od światła widzialnego po głęboką podczerwień. Ten sam spowity płomieniem ciemny okruch, za nim płonąca smuga. Pociemniało, gdy odbił się od gęstszej atmosfery w dole i na nowo nabrał wysokości. Smuga ciepła zbladła niemal od razu. Jej rozżarzony rdzeń wzniósł się z powrotem w przestrzeń, jak stygnący węgielek. Z przodu miał stożkowy lejek, rozdziawiony jak paszcza. Jajowaty tułów zniekształcały krępe płetwy.

Ben podskoczył i raz jeszcze zniknął.

- Meteority - rzuciła sucho Bates.

Po tym wszystkim nie miałem poczucia wielkości. Mógł to być zarówno owad, jak i asteroida.

- Duże to było? - wyszeptałem, ułamek sekundy przed pojawieniem się odpowiedzi na wszczęcie: czterysta metrów wzdłuż osi.

I znów oglądaliśmy Bena z bezpiecznej odległości, ciemny, niewyraźny dysk pośrodku przedniego wizjera *Tezeusza*. Pamiętałem jednak zbliżenie: skrząca się kula ognia z czarnym rdzeniem; twarz pocięta ranami i dziobami, nieustannie ranna, nieustannie się gojąca.

Tych urządzeń były tam tysiące.

Tezeusz zadygotał wzdłuż osi. Był to tylko hamujący impuls ciągu, ale przez chwilę wyobrażałem sobie, że wiem, jak się czuje.

* * *

Zabezpieczyliśmy się na wszystkie strony i podeszliśmy jeszcze raz.

Tezeusz, włączając ciąg na dziewięćdziesiąt osiem sekund, odsunął się, wchodząc na potężny łuk, który mógł przy niewielkim wysiłku zmienić się w orbitę - albo szybki i dyskretny przelot obok, gdyby okolica okazała się zbyt nieprzyjazna. Niewidoczny strumień z *Ikara* przesunął się na lewą burtę, rozpraszając w czasoprzestrzeni swój wytrwały potok energii. Nasz wielki jak miasto parasol grubości jednej cząsteczki zwinął się i spakował, do czasu aż statek znów poczuje pragnienie. Zasoby antimaterii natychmiast zaczęły spadać - tym razem byliśmy żywi i mogliśmy to obserwować. Ubytek był nieznaczny, ale nagłe pojawienie się na wyświetlaczu minusa miało w sobie coś niepokojącego.

Mogliśmy dalej trzymać się tego sznurka, zostawić w strumieniu telematerii boję, żeby odbijała energię ku nam. Susan James zdziwiła się, że tego nie zrobiliśmy.

- Zbyt ryzykowne - powiedział lakonicznie Sarasti.

Szpindel nachylił się ku James.

- Po co podsuwać komuś jeszcze jeden cel do strzelania, nie?

Wysłaliśmy przed siebie kolejne próbniki, na zbyt krótkiej smyczy i ze zbyt małym zapasem paliwa na coś więcej niż tylko krótki przelot i autodestrukcję. Nie potrafiły oderwać oczu od wirujących wokół Big Bena maszyn. *Tezeusz* też się w nie wpatrywał, z daleka, ale bardziej przenikliwie. Jednakże nurkowie, nawet jeśli wiedzieli, że na nich patrzymy, całkiem nas ignorowali. Śledziliśmy ich lot aż do zniknięcia, obserwowaliśmy pętle wzdłuż miliona parabol o milionie kątów. Nie widzieliśmy, żeby kiedykolwiek się zderzyły - czy to ze sobą, czy z kotłowaniną kamieni wokół równika Bena. Każde perygeum nurkowało na moment w atmosferę; tam zapalały się, zwalniały i przyspieszały z powrotem w kosmos, z tylnymi dyszami żarzącymi się zakumulowanym ciepłem.

Bates pobrała z ConSensusa obraz, zaznaczyła przód i podpisała: naddźwiękowy silnik strumieniowy.

W niecałe dwa dni zarejestrowaliśmy ich niemal czterysta tysięcy. To chyba była większość - potem krzywa nowych obserwacji spłaszczyła się, dążąc do jakiejś teoretycznej asymptoty. Większość orbit była szybka i znajdowała się blisko Bena, Sarasti wyrysował jednak rozkład częstotliwości - według niego niektóre sięgały aż do Plutona. Mogliśmy siedzieć tu latami, a i tak od czasu do czasu złapać jeszcze jakiegoś płaskonosa powracającego z dalekiej wyprawy w próżnię.

- Te szybsze osiągają na ostrym zakręcie ponad pięćdziesiąt g - zauważył Szpindel. - Mięso tyle nie wytrzyma. Według mnie są bezzałogowe.

- Mięso daje się wzmacniać - stwierdził Sarasti.

- Jak ktoś ma w środku takie rusztowanie, można równie dobrze przestać się chrzanić i nazwać go maszyną.

Morfometrię powierzchni miały całkiem jednolitą. Czterysta tysięcy nurków i każdy identyczny. Nawet jeśli był między nimi jakiś dyrygujący resztą samiec alfa, optycznie nie dało się go odróżnić.

Którejś nocy - przynajmniej według pokładowej miary - zwabiony cichutkim piskiem torturowanej elektroniki zaszedłem do bąbla obserwacyjnego. Unosił się w nim Szpindel, obserwując nurków. Zamknął pokrywy, zasłonił gwiazdy i zbudował sobie na ich miejscu przytulne analityczne gniazdko. Po całej kopule rozlewały się wykresy i okienka, jakby nie wystarczała im wirtualna przestrzeń w jego głowie. Taktyczne informacje oświetlały go ze wszystkich stron, zamieniając w jaskrawy patchwork migotliwych tatuaży.

Człowiek Ilustrowany.

- Mogę wejść? - zapytałem.

Odburknął coś, najpewniej w stylu: tak, ale nie narzucaj się.

W kopule, oprócz pisku, który mnie tu sprowadził, było słycać syk i stukot ulewnego deszczu.

- Co to jest?

- Magnetosfera Bena. - Nie podniósł wzroku. - Ładna, nie?

Syntetycy na służbie nie mają zdania - pozwala to zminimalizować wpływ obserwatora. Tym razem pozwoliłem sobie na drobne odstępstwo.

- Szum jest fajny. Ale tych pisków mogłoby nie być.

- Kpisz sobie? Komisarzu, to muzyka sfer niebieskich. Jest piękna. Jak dawny jazz.

- Też mi nigdy specjalnie nie pasował.

Wzruszył ramionami i przykręcił górny rejestr, tak by pozostał tylko szmer deszczu. Utkwił rozbiegany wzrok w jakiejś zawilej grafice.

- Chcesz newsa do swoich notatek?

- Pewnie.

- No to masz. - Kiedy wskazywał, światło odbijało się od jego rękawiczki sterującej, opalizując jak skrzydła ważki: widmo absorpcyjne w zapętłonym szeregu czasowym. W piętnastosekundowym przedziale wypiętrzały się i spłaszczwały, wypiętrzały i spłaszczwały jaskrawe szczyty.

Podpowiedzi mówiły tylko coś o długościach fal i angstromach.

- Co to takiego? - zapytałem.

- Pierdy nurków. Te typki plują do atmosfery skomplikowanymi związkami organicznymi.

- Jak skomplikowanymi?

- Ciężko powiedzieć. Na razie. Wątle ślady, a poza tym rozpraszają się ot tak. Wiemy przynajmniej, że to cukry i aminy. Może białka. Może coś jeszcze.

- Może życie? Mikroorganizmy? Obcy skuteczniają terraformowanie?

- Zależy, jak definiujesz życie, nie? - powiedział Szpindel. - Tam nawet *Deinococcus* za długo by nie pożył. Ale tej atmosfery jest dużo. Jeśli chcą ją całkiem zmienić przez takie bezpośrednie posiewy, nie powinni się specjalnie spieszyć.

- A gdyby, to chyba o wiele szybciej szłoby przy samopowielających się posiewach. Dla mnie to coś jak życie - dodałem.

- A dla mnie to coś jak rolnicze opryski. Jebańcy zmieniają tę gazową kulę w plantację ryżu większą od Jowisza. - Uśmiechnął się nerwowo. - Ktoś ma niezły apetycik, co? Człowiek się zastanawia, czy aby nasze siły nie są troszeczkę za małe...

* * *

Na następnym spotkaniu odkrycia Szpindla były gwoździem programu.

Wampir przedstawił nam podsumowanie, rzucając na stół wizualne pomoce naukowe.

- Von-neumannowski, samopowielający się agent z selekcją typu r. Nasiono przyplętywa i rodzi ślizgacze, które pozyskują surowiec z pasa akrecyjnego. Trochę zakłóceń w orbitach, ten pas jeszcze się nie ustabilizował.

- Nie widzieliśmy, żeby któryś ze stada coś rodził - wtrącił Szpindel. - Jakies ślady fabryki?

Sarasti pokręcił głową.

- Może już ją opuścili. Zdekompilowali. Albo może przy optymalnym N stado przestaje się mnożyć.

- To dopiero buldożery - stwierdziła Bates. - Potem przyjdą lokatorzy.

- I to sporo, nie? - dodał Szpindel. - Parę rzędów wielkości przewagi liczebnej.

- Ale pewnie za sto lat, co najmniej - zauważył James.

Sarasti mlasnął.

- Czy te ślizgacze budują świetliki? Albo Burnsa-Caulfielda?

Pytanie było retoryczne, ale Szpindel i tak odpowiedział:

- Nie widzę możliwości.

- Czyli ktoś inny. Ktoś, kto już tu jest.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Topologia James tasowała się i przeobrażała w ciszy; gdy znów otworzyła usta, na czele stał ktoś nieuchwytnie młodszy.

- Skoro budują tutaj dom, ich środowisko zupełnie nie przypomina naszego. To optymistyczne.

Michelle. Synestetka.

- Białka. - Wyraz oczu Sarastiego za osłoną był nieodgadniony. Pokrewna biochemia. Mogą nas

zjeść.

- Kimkolwiek są, nawet nie potrzebują do życia słońca. Nasze terytoria i zasoby nie nakładają się, nie ma podstaw do konfliktu. Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli w spokoju koegzystować.

- Z drugiej strony - rzucił Szpindel - z technologii wynika wojowniczość.

Michelle cicho prychnęła.

- Owszem, według klaki teoretyków historii, którzy w życiu nie spotkali obcego. Może uda nam się udowodnić, że się mylą. - W jednej chwili zniknęła, jej emocje rozproszyły się jak miecione wietrznym wirem liście i zastąpiła ją Susan James, zadając pytanie:

- Może po prostu ich zapytamy?

- Zapytamy? - zdziwiła się Bates.

- Jest tam czterysta tysięcy maszyn. Skąd wiadomo, że nie rozmawiają?

- Słyszelibyśmy - powiedział Szpindel. - To automaty.

- Nie zaszkodzi ich kontrolnie spingować, tak dla pewności.

- Nawet jeśli są inteligentne, wcale nie muszą mówić. Język i inteligencja nawet na Ziemi wcale nie są za mocno skorelo...

James przewróciła oczyma.

- Może by przynajmniej spróbować? Po to tu jesteśmy. Przynajmniej ja. Tylko wysłać jakiś cholerny sygnał.

Po chwili piłkę przejęła Bates.

- Według teorii gier to słaby ruch, Suze.

- Teorii gier. - W jej ustach zabrzmiało to jak brzydkie słowo.

- Najlepsza strategia to wet za wet. Oni coś wysłali, my odpowiedzieliśmy. Piłka jest po ich stronie i jeśli wyślemy jeszcze jeden sygnał, może za bardzo się odsłonimy.

- Znam te zasady. Wynika z nich, że jeśli druga strona już nigdy nie przejmie inicjatywy, przez resztę misji ignorujemy się nawzajem, bo teoria gier mówi, że nie chcemy zrobić wrażenia, że się napraszamy.

- Ta reguła obowiązuje tylko wobec nieznanymi graczy - wyjaśniła pani major. - Im więcej się dowiemy, tym więcej będziemy mieli alternatyw.

James westchnęła.

- No, tylko widzicie... wy wszyscy przylecieliście tu z założeniem, że to będą wrogowie. Jakby prosty sygnał powitalny od razu miał sprawić, że się na nas rzucą.

Bates wzruszyła ramionami.

- Tylko ostrożność ma sens. Może i jestem tępem, ale nie mam specjalnej ochoty wkurwiać czegoś, co ot tak skacze sobie od gwiazdy do gwiazdy i terraformuje superjowisze. Chyba nie muszę nikomu przypominać, że z *Tezeusza* żaden okręt wojenny.

Powiedziała „nikomu”, ale chodziło o Sarastiego. On, skupiony na własnym horyzoncie, nie odpowiedział. W każdym razie nie na głos; ale jego płaszczyzny przemówiły całkiem innym językiem.

„Na razie”, powiedziały.

* * *

Swoją drogą Bates miała rację. Oficjalnie *Tezeusz* był obwieszony sprzętem do badań, nie do

walki. Nasi władcy bez wątpienia woleliby mieć obok ładunku naukowego także atomówki i działa akceleracyjne, ale zasady bezwładności nie zmieni nawet teleprzekaznik z paliwem. Uzbrojony prototyp konstruowałoby się dłużej; potężniejszy, objuczony ciężką artylerią, przyspieszałby wolniej. Nasi mocodawcy zdecydowali, że czas liczy się bardziej niż uzbrojenie. W razie konieczności, fabrykatory, dysponując czasem, mogą zbudować wszystko co potrzeba. Oczywiście, wyprodukowanie od zera działa akceleracyjnego trochę potrwa, może trzeba będzie obrabować z surowca jakąś miejscową asteroidę, ale da się to zrobić. Zakładając, że wrogowie, przez wzgląd na fair play, zechcą poczekać.

Tylko jakie są szanse, że nawet nasza najlepsza broń coś wskóra przeciwko inteligentnym istotom, które potrafią zrobić Ognisty Deszcz? Jeśli Nieznany jest nieprzyjazny, jesteśmy skazani na porażkę, obojętne co zrobimy. Nieznany jest bowiem na wyższym poziomie technologicznego zaawansowania - niektórzy twierdzą, że wskutek tego jest z definicji wrogi. Z technologii wynika wojowniczość, utrzymują.

Teraz, kiedy to nie ma znaczenia, powinienem to chyba wyjaśnić. Pewnie już dawno zdążyliście zapomnieć.

Dawno, dawno temu żyły sobie trzy plemiona. Optymiści, czczący świętego Drake'a i Sagana, wierzyli w kosmos kipiący od dobroduszných istot inteligentnych - duchowych braci potężniejszych i bardziej oświeconych od nas, wielkie galaktyczne braterstwo, w którego szeregi pewnego dnia awansujemy. „Oczywiste”, mówili Optymiści, „że podróże kosmiczne sugerują oświecenie, trzeba dla nich bowiem opanować potężną, niszczącą energię. Każda rasa, która nie umie wznieść się ponad własne drapieżne instynkty, zanim nauczy się pokonywać międzygwiazdne przestrzenie, dawno zdąży się unicestwić”.

Naprzeciw Optymistów siedzieli Pesymiści, klękający przed podobiznami świętego Fermiego i paru świętych mniejszego kalibru. Pesymiści wyobrażali sobie samotny wszechświat pełen martwych skał i prokariotycznej mazi. „Szansę są po prostu znikome”, upierali się. „Zbyt wiele samotnych ciał niebieskich, za silne promieniowanie, zbyt wiele nadmiernie ekscentrycznych orbit. To istny cud, że istnieje choć jedna Ziemia; liczyć na więcej znaczy porzucić rozum i paść ofiarą manii religijnej. Przecież wszechświat ma już czternaście miliardów lat; gdyby w galaktykach roiło się od inteligentnych istot, dawno by do nas dotarły”.

W punkcie równoodległym od tych dwóch szczepów siedzieli Historycy. W kwestii prawdopodobieństwa pojawienia się inteligentnych, podróżujących po kosmosie istot pozaziemskich nie mieli za wiele przemyśleń. „Ale jeśli ktoś taki istnieje”, mówili, „nie będzie po prostu inteligentny. Będzie wredny”.

Ten wniosek czasem wydaje się banalny. Czymże w końcu jest ludzka historia, jeśli nie szeregiem coraz potężniejszych technologii biorących pod but wszystkie poprzednie? Ale nie chodziło tu wyłącznie o ludzką historię, czy o niesportową przewagę, jaką narzędzia dają jednej ze stron - uciemienzeni przyswajają sobie nowoczesną broń równie łatwo jak ciemieźcy, jeśli da im się choćby minimalną okazję. Nie, prawdziwa kwestia to: skąd w ogóle wzięły się te narzędzia? Główny problem: po co w ogóle są narzędzia?

Według Historyków narzędzia mają tylko jeden cel: przemocą nadać wszechświatowi nienaturalny kształt. Traktują naturę jak wroga, z definicji są buntem przeciwko zastanemu porządkowi. W przyjaznym środowisku technologia karleje, w kulturze rządzonej wiarą w naturalną harmonię nigdy nie rozkwita. Po co wymyślać reaktory termojądrowe, jeśli żyjesz w przyjemnym klimacie i masz pod dostatkiem jedzenia? Po co budować twierdze, jeśli nie masz wrogów? Po co zmieniać świat, który w niczym ci nie zagraża?

Ludzka cywilizacja także jeszcze do niedawna miała sporo odgałęzień. Nawet na początku XXI wieku parę izolowanych plemion ledwo co osiągnęło etap kamienia łupanego. Inne poprzestały na rolnictwie. Jeszcze innych nie satysfakcjonowało nic, dopóki nie rozprawią się z naturą, kolejnych - dopóki nie nauczą się budować miast w kosmosie.

W końcu jednak wszyscy się zatrzymywali. Każda nowa technologia tratowała poprzednie, wspinała się na jakąś asymptotę, gdzie spoczywała na laurach i kończyła postęp - aż wreszcie moja własna matka zapakowała się jak larwa do plastra miodu, ugłaskana przez maszyny, odarta z motywacji przez samozadowolenie.

Lecz historia nigdy nie twierdziła, że każdy musi zatrzymać się tam, gdzie my. Sugerowała tylko, że ci, którzy się zatrzymali, nie muszą już walczyć o przeżycie. Mogą istnieć inne, piekielne światy, gdzie najlepsza ludzka technologia natychmiast się załamie, gdzie środowisko nadal jest wrogiem, gdzie przeżyją tylko wojujący ostrzejszymi narzędziami i potężniejszymi imperiami. A tam zagrożenia nie będą trywialne. Zła pogoda i naturalne katastrofy albo cię zabijają, albo nie, a kiedy je pokonasz - lub się przystosujesz - tracą znaczenie. Nie, jedyne czynniki środowiskowe, które wciąż się liczą, to takie, które potrafią kontratakować, wymyślają nowe strategie przeciwdziałające twoim, zmuszają wrogów do wspinania się coraz wyżej tylko po to, by przeżyć. W ostatecznym rozrachunku liczy się tylko inteligentny wróg.

A skoro najlepsze zabawki naprawdę lądują w rękach tych, którzy nie zapomnieli, że życie w rzeczy samej jest aktem wojny z inteligentnym przeciwnikiem, to co powinniśmy myśleć o rasie, której maszyny podróżują między gwiazdami?

Ten argument był dość klarowny. Mógłby nawet zapewnić Historykom zwycięstwo - gdyby takie debaty kiedykolwiek rozstrzygała logika i gdyby znudzona publiczność dawno nie ogłosiła Fermiego zwycięzcą na punkty. Lecz dla większości ludzi paradygmat Historyków był po prostu za brzydki, zbyt darwinowski, a poza tym mało kogo już ta kwestia obchodziła. Co z tego, że jakaś bryła ziemi nad Erydanem w Wielkiej Niedźwiedzicy ma tlenową atmosferę? I tak jest czterdzieści trzy lata świetlne stąd i się nie odzywa; jeśli pragniesz latających kandelabrow i mesjaszy z innych planet, możesz sobie zamówić ich do woli w Niebie. A jeżeli potrzebujesz testosteronu i ćwiczeń strzeleckich, możesz wybrać zaświaty pełne paskudnych, bardzo kiepsko celujących obcych. Gdy zaś z twoim światopoglądem kłóci się już sama myśl o pozaziemskiej inteligencji, eksploruj sobie wirtualną galaktykę pełną pustych nieruchomości, czekającą, gotową na przyjęcie przechodzących akurat tamtędy bogobojnych ziemskich pielgrzymów.

Tam jest wszystko, kosztem zaledwie piętnastu minut majstrowania i gniazda na karku. Po co męczyć się w ciasnych i śmierdzących klitkach prawdziwych statków kosmicznych, żeby obejrzeć osad brudu na Europie?

I tym przewidywalnym sposobem powstało czwarte plemię, niebiański zastęp zatriumfował nad pozostałymi: Plemię, które Ma Gdzieś. Nie mieli pojęcia, co począć, gdy pojawiły się Świetliki.

Wysłali więc nas, a z nami - w spóźnionym hołdzie dla mantry Historyków - także żołnierza, na wszelki wypadek. Bardzo wątpliwe, czy jakiegokolwiek dziecko Ziemi może się równać z rasą posiadającą międzygwiazdową technologię, gdyby okazała się nieprzyjazna. Sam jednak dobrze wiedziałem, że obecność Bates jest uspokajająca przynajmniej dla pozostałych ludzi w załodze. Jeśli już koniecznie musisz walczyć bez broni z rozjuszonym tyranozaurom o czterocyfrowym IQ, nie zaszkodzi mieć u boku wyszkolonego specjalisty od wojny.

W najgorszym razie będzie umiała wystrugać ostry kij z jakiegoś drzewa, które się napatoczy.

- Przysięgam, jeśli obcy nas wszystkich zeżrą, podziękujemy za to Kościołowi Teorii Gier - powiedziała Sascha.

Znalazła w kambuzie cegielkę kuskusu. Ja przyszedłem tam po kofeinę. Byliśmy w zasadzie sami; reszta załogi rozproszyła się, od kopuły po fabrykator.

- To lingwiści z niej nie korzystają? - Wiedziałem, że niektórzy tak.

- My nie. - A reszta to dyletanci. - Teoria gier ma jeden problem: zakłada, że gracze racjonalnie działają we własnym interesie. A ludzie po prostu nie są racjonalni.

- Kiedyś tak zakładała - przyznałem. - Dzisiaj uwzględnia się neurologię społeczną.

- Ludzką neurologię społeczną. - Odgryzła kawałek cegielki i dodała z ustami pełnymi pszennego grysiku: - Tylko do tego nadaje się teoria gier. Dla graczy racjonalnych i ludzkich. Możemy sobie do woli zgadywać, czy to będzie miało którąś z tych cech. - Machnęła ręką, pokazując jakiegoś czającego się za grodzią archetypowego obcego.

- Ma swoje ograniczenia - zgodziłem się z nią. - Ale po prostu korzysta się z narzędzi, które są pod ręką.

Sascha parsknęła.

- Czyli jeśli nie uda ci się skombinować porządnego projektu, budujesz swój wymarzony dom na podstawie zbiorku zbereźnych limeryków.

- No, może nie. - Po chwili, mimo woli biorąc to do siebie, dodałem: - Mnie się jednak przydała. Nie zgadłabyś chyba w czym.

- Tak? Na przykład?

- Przy urodzinach - odparłem i od razu tego pożałowałem.

Sascha przestała przeżuwać. Coś jej w oczach błysnęło, potem zamigotało, jakby pozostałe osobowości nadstawiały uszu.

- No mów - rzuciła.

Czułem, że słucha cała Banda.

- Nic takiego, naprawdę. Taki przykład.

- No powiedz nam. - Sascha przechyliła głowę James.

Wzruszyłem ramionami. Nie było sensu robić z tego nie wiadomo czego.

- Wiesz, według teorii gier nie powinno się nikomu mówić, kiedy ma się urodziny.

- Nie rozumiem.

- To przegrywające otwarcie. Po nim nie ma wygrywającej strategii.

- Jak to, strategii? Chodzi o urodziny.

Dokładnie to samo powiedziała Chelsea, kiedy jej tłumaczyłem. „Posłuchaj”, mówiłem, „załóżmy, że mówisz wszystkim, kiedy to jest, a potem nic się nie dzieje. To prawie jak policzek”.

„A założmy, że wyprawiają ci urodziny”, odparła Chelsea.

„Wtedy nie wiesz, czy robią to szczerze, czy twoje wcześniejsze działanie skłoniło ich, z poczucia winy, do obchodzenia święta, o którym woleliby nie pamiętać. Za to, jeśli nikomu nie powiesz i nikt nie przyjdzie, nie ma powodu się martwić, bo w końcu przecież nikomu nie powiedziałaś. A jeżeli już ktoś zaprosi cię na drinka, wiesz, że to szczerze - nikt nie zadawałby sobie trudu, by się dowiedzieć, kiedy masz urodziny - a potem obchodzić ich - gdyby naprawdę cię nie lubił”.

Banda oczywiście o wiele lepiej łapała takie rzeczy. Nie musiałem tłumaczyć tego słownie:

mogłem wziąć kawałek ConSensusa i narysować macierz wypłat, „mówić / nie mówić” w kolumnach, „życzenia / brak życzeń” w wierszach, a w samych kratkach niepodważalna czarno-biała logika zysków i strat. Matematyka dowodzi niezbicie: jedyną wygrywającą strategią jest tajemnica. Tylko głupek mówi, kiedy ma urodziny. Sascha popatrzyła na mnie.

- Pokazywałeś to komuś? - zapytała.

- Pewnie. Mojej dziewczynie.

Jej brwi się uniosły.

- Miałaś dziewczynę? Prawdziwą?

Kiwnąłem głową.

- Raz.

- To znaczy, po tym, jak jej to pokazałeś.

- No tak.

- Aha. - Jej wzrok powędrował z powrotem ku macierzy. - Bo jestem ciekawa, Siri. Jak zareagowała?

- Właściwie prawie wcale. Z początku. Potem się śmiała.

- Jakaś dobra kobieta. - Sascha pokręciła głową. - Ja bym cię rzuciła w sekundę.

* * *

Mój conocny zdrowotny spacer wzdłuż kręgosłupa statku - wspaniały lot jak ze snu, z jednym stopniem swobody. Płynąłem przez włazy i korytarze, rozpościerałem ręce i wirowałem w delikatnym tornado bębna. Bates biegła wokół mnie, odbijając piłeczkę od grodzi i pojemników, wyciągając się, by złapać ją po odbiciu, lecącą torem zakrzywionym w wirowej pseudograwitacji. Gdy mijalem schodki, piłeczka odbiła się od nich rykoszetem i zniknęła, przez ucho igielne między kryptą a mostkiem słyszałem przekleństwa pani major.

Wyhamowałem tuż przed kopułą, zatrzymany dochodzącymi z przodu cichymi głosami.

- Jasne, że są piękne - szeptał Szpindel. - Przecież to gwiazdy.

- Chyba nie jestem pierwszą osobą, której to pokazujesz.

- Dopiero drugą. Ale umówiłem się z Misz.

- Nic nie mówiła.

- Nie musi ci mówić wszystkiego. Zapytaj ją.

- Posłuchaj: może ty nie, ale ja biorę supresory popędu.

- Same kosmate myśli, Suze. Eros to tylko jeden rodzaj miłości, nie? Starożytni Grecy znali cztery.

- Taaa. - To już ewidentnie nie była Susan. - Można się było domyślić, że dla ciebie wzorem jest banda sodomitów.

- Kurwa, Sascha. Proszę tylko o parę minut w cztery oczy z Misz, zanim znów zaczniesz strzelać z biczem...

- Icusi, to też moje ciało. Będziesz mi mydlił oczy moim własnym mydłem?

- Ja tylko chcę pogadać, okej? W cztery oczy. To tak wiele?

Usłyszałem, jak Sascha nabiera powietrza.

I jak wypuszcza je Michelle.

- Przepraszam, młody. Wiesz jak to jest z Bandą.

- Dzięki Bogu. Całkiem jakby jakaś społeczna kontrola wpadała za każdym razem, gdy zechnę z tobą porozmawiać.

- Chyba masz szczęście, że oni w ogóle cię lubią.

- A ja nadal uważam, że powinnaś zorganizować zamach stanu.

- Zawsze przecież możesz się do nas wprowadzić.

Dobiegł mnie szelest ciał w bliskim kontakcie.

- Jak się czujesz? - zapytał Szpindel. - Wszystko dobrze?

- W porządku. Chyba już się przyzwyczaiłam, że znowu żyję. A ty?

- Ja jestem łamagą, obojętne, ile czasu poleżę w trumnie.

- Ale działasz skutecznie.

- No cóż, *merci*, staram się jak mogę.

Krótkie milczenie. *Tezeusz* cichutko nucił sam do siebie.

- Mama miała rację - powiedziała Michelle. - Są przepiękne.

- A co widzisz, kiedy na nie patrzysz? To znaczy...

- Są... kłujące - odrzekła Michelle. - Kiedy kręcę głową, czuję jakby po mojej skórze przesuwaly się falami bardzo cieniutkie igiełki. Ale to w ogóle nie boli. Trochę elektryzuje. Przyjemne.

- Szkoda, że nie umiem tego tak poczuć.

- Interfejs masz. Wystarczy zamiast do kory wzrokowej podpiąć kamerę do płata ciemieniowego.

- Ale to mi powie tylko, jak maszyna czuje obraz dotykiem, a nie, jak ty.

- Isaacu Szpindel. Romantyk z ciebie.

- Nie.

- Ty nie chcesz wiedzieć. Chcesz, żeby to było tajemnicą.

- Może nie zauważyłaś, że tajemnic mamy tu aż nadto.

- Tak, ale nie możemy nic na to poradzić.

- To się zaraz zmieni. Za chwilę będziemy wszyscy zapracowani na amen.

- Myślisz?

- Liczę na to - powiedział Szpindel. - Na razie tylko podglądamy z odległości, nie? Mogę się założyć, że zrobi się dużo ciekawiej, kiedy podejdziemy bliżej i zaczniemy grzebać patykami.

- Może dla ciebie. Tu musi się znaleźć coś biologicznego, przy tylu związkach organicznych.

- No pewnie. Ja będę je osłuchiwać, a ty z nimi rozmawiać.

- Możliwe, że nie. Mama nie zgodzi się z tobą nawet za milion lat, ale z tym językiem miałaś rację. Kiedy się przyjrzeć, widać, że język jest półśrodkiem. Jakby się chciało opowiadać sny sygnałami dymnymi. Imponujące osiągnięcie, chyba najbardziej ze wszystkiego, co potrafi ciało, ale nie zamienisz zachodu słońca w ciąg pomruków, nie tracąc czegoś po drodze. Ogranicza nas. Może to, co tam siedzi, w ogóle go nie używa.

- Myślę jednak, że tak.

- Od kiedy? Przecież to ty cały czas przypominasz, jaki nieefektywny jest język.

- Tylko, kiedy chcę ci się dostać pod skórę. A kiedy do spodni, to zupełnie inna bajka. - Roześmiał się z własnego żartu. - A serio, to czego by używali? Telepatii? Nie obejrzyś się, a siedzisz po uszy w hieroglifach. Co więcej, dekodujesz je w rekordowym czasie.

- Miły jesteś, ale wiesz co? Ja nie potrafię nawet zdekodować połowy tego, co mówi Jukka. - Michelle zamilkła na chwilę. - Czasami zbija mnie z tropu.

- Ciebie i jeszcze siedem miliardów ludzi.

- No. Wiem, że to głupie, ale kiedy go nie widać, jakaś część umysłu mimo woli zastanawia się, gdzie się schował. A kiedy stoi przede mną, sama mam ochotę się schować.

- Nie jego wina, że dostajemy gęziej skórki na jego widok.

- Wiem. Ale morale to specjalnie nie poprawia. Co to za geniusz wymyślił, żeby mianować wampira dowódcą?

- A gdzie byś go posadziła? Wolałabyś jemu wydawać rozkazy?

- I to nie tylko jego sposób poruszania się. Mówienia też. Coś w nim jest nie tak.

- Wiesz, że...

- Nie chodzi nawet o czas terażniejszy czy te gardłowe głoski. On... no, sam wiesz, jak on gada. Lakonicznie.

- Optymalnie.

- Ale to sztuczne, Isaac. Gość jest bystrzejszy od nas wszystkich razem wziętych, a czasem gada, jakby znał tylko z pięćdziesiąt słów. - Delikatne parsknięcie. - Gdyby od czasu do czasu użył przysłówka, nie umarłby od tego.

- Aaa. Ale mówisz to, bo jesteś lingwistką i nie rozumiesz, jak można nie rozkoszować się pięknym języka. - Dla żartu dramatycznie odchrząknął. - Z kolei ja jestem biologiem, więc nie widzę w tym nic dziwnego.

- Naprawdę? To wytłumacz mi to, o przemądry i potężny kroicielu żab.

- To proste. Krwiopijca jest wędrowny, nie osiadły.

- No a te... Jak im tam? Orki? Co porozumiewają się gwizdami?

- Mówię przecież: zapomnij o języku. Skup się na stylu życia. Te osiadłe żywią się rybami, nie? Pływają sobie w licznych grupach, cały czas na mniej więcej tym samym obszarze, wciąż gadają. - Usłyszałem cichutki szelest, wyobraziłem sobie, że Szpindel nachyla się i kładzie dłoń na ramieniu Michelle. Zobrazowałem czujniki w rękawiczkach, mówiące, co czuje. - No a te wędrowne żywią się ssakami. Foki, lwy morskie, inteligentne ofiary. Na tyle bystre, żeby się schować, gdy usłyszą chlapnięcie ogonem czy dźwięki echolokacji. Stąd wędrowne drapieżniki są podstępne, nie? Polują w małych grupach, wędrują daleko i trzymają gębę na kłódkę, żeby nikt nie usłyszał, że się zbliżają.

- Czyli Jukka jest wędrowny.

- Instynkt każe mu siedzieć cicho w pobliżu ofiary. Za każdym razem, gdy otwiera usta, w ogóle gdy można go dostrzec, walczy z własnym pniem mózgu. Może nie powinniśmy się na nim wyżywać tylko dlatego, że nie jest najlepszym na świecie specem od gadki motywacyjnej?

- Czyli na każdej odprawie powstrzymuje się, żeby nas nie zeżreć? Fajnie. Szpindel zachichotał.

- Nie, pewnie aż tak źle nie jest. Chyba nawet orki trochę przestają się pilnować, jak coś upolują. Po co się czaić, kiedy masz pełny żołądek?

- Czyli nie walczy z pniem mózgu. Po prostu nie jest głodny.

- Pewnie i jedno, i drugie. Wiesz, pień mózgu nigdy nie śpi. Ale coś ci powiem. - Jego głos stracił nieco na figlarności. - Jeśli od czasu do czasu będzie uczestniczył w odprawie ze swojej kajuty, nie ma sprawy. Ale jak w ogóle przestanie się pokazywać? Trzeba będzie zacząć uważać na siebie.

* * *

Teraz mogę to wreszcie przyznać: zazdrościłem Szpindlowi podejścia do kobiet. Posklejany z pociętych kawałków, jedna zbitka tików i drgawek, ledwo mogąca dotknąć własnej skóry, potrafił jednak być...

Czarujący. To jest to słowo. Czarujący.

W społeczeństwie ten talent już był przeżytkiem, tracąc ważność na równi z niewirtualnym kojarzeniem się w pary. Ale nawet ja jeszcze zdążyłem tego spróbować - nieźle byłoby móc przy tym skorzystać ze Szpindlowego dystansu do samego siebie.

Zwłaszcza kiedy z Chelsea wszystko zaczęło się rozpadać.

Jasne, miałem własny styl. Próbowałem być czarujący na dość osobliwy sposób. Pewnego razu, po kolejnej z niezliczonych kłótni o uczciwość i manipulację emocjonalną, pomyślałem sobie, że może udobrucha ją odrobina humoru i fantazji. Zacząłem podejrzewać, że Chelsea po prostu nie rozumie polityki seksualnej. Jasne, utrzymywała się z edytowania mózgow, ale może po prostu nauczyła się wszystkich tych obwodów na pamięć i nigdy nie zastanowiła, jak one w ogóle powstały, jakie reguły doboru naturalnego je ukształtowały. Może naprawdę nie miała pojęcia, że ewolucyjnie jesteśmy wrogami, że wszystkie związki są skazane na porażkę. Gdybym mógł jej to przemycić do głowy - pokonać wdziękiem jej mechanizmy obronne - może udałoby się jeszcze to wszystko uratować.

Pomyślałem trochę i wymyśliłem doskonały sposób na uświadomienie jej. Napisałem bajkę na dobranoc, rozbrajającą mieszankę humoru i uczucia. Zatytułowałem ją:

KSIĘGA OOGENEZIS

Na początku były gamety. I choć istniał już seks, życie znajdowało się w równowadze, albowiem nie było płci.

I rzekł Bóg: „Niech się staną Plemniki”. Na to część nasion skurczyła się, potaniając produkcję, i zalała rynek.

I rzekł Bóg: „Niech się staną Jaja”. I plaga Plemników spadła na resztę nasion. I zaprawdę, tylko niektóre wydały owoce, Plemnik bowiem nie zapewniał zygocie pożywienia, poradziły więc sobie tylko największe. A te z biegiem czasu jeszcze bardziej urosły.

Bóg włożył tedy Jaja do łona i rzekł: „Tu czekajcie: jesteście za duże i nieporęczne, niech więc Plemniki szukają was w waszych komnatach. Odtąd będziecie zapładniane wewnątrz”. I tak się stało.

I rzekł Bóg do gamet: „Owoc waszego złączenia niech żyje wszędzie i przyjmuje dowolne kształty. Może oddychać wodą, powietrzem albo siarczaną breją gejzerów. Ale nie zapominajcie o mym jedynym przykazaniu, niezmiennym od zarania czasu: macie szerzyć swe geny”.

Tak oto Jaja i Plemniki trafiły na świat. I rzekły Plemniki: „Jesteśmy tanie i liczne, jeśli posiejemy się wszędzie, na pewno spełnimy Boży plan. Będziemy odtąd szukać nowych towarzyszek i pozostawiać je z dziećmi, jest bowiem wiele łon, a mało czasu”.

Lecz Jajo odpowiedziało: „Lecz brzemię rozmnażania spoczywa na mnie. Muszę nosić ciało, które jest tylko w połowie moje, i żywić je, nawet gdy już opuści me łono”. (U boku Jaja siedziało bowiem już wiele ciepłokrwistych, porośniętych Jutrem ciałek). „Mogę mieć tylko kilkoro dzieci, muszę się im poświęcać, chronić je i bronić. Zmuszę tedy Plemnika do pomocy, bo to on mnie w to wpakował. I choć będzie cierpiać u mego

boku, nie pozwolę mu odejść ani kłaść się z moimi konkurentkami”.

I Plemnik widział, że to jest niedobre.

A Bóg uśmiechnął się, albowiem Jego przykazanie rozpoczęło wojnę Plemnika i Jaja, trwającą nawet wtedy, gdy oba już stały się zbędne.

Pewnego ciemnego wtorkowego wieczoru, gdy światło było idealne, przyniosłem jej kwiaty. Zwróciłem uwagę na paradoks tej odwiecznej romantycznej tradycji - w ramach przedkopulacyjnej łapówki wręcza się odcięte genitalia innego gatunku - a potem, gdy mieliśmy się pieprzyć, wyrecytowałem tę bajkę.

Do tej pory nie wiem, co właściwie poszło nie tak.

Zanim wylecieliśmy, na Ziemi mówiło się o czwartej fali - płynącej w ciszy za nami flocie kosmicznych pancerników, na wypadek gdyby mięso armatnie z przodu natknęło się na coś wrednego. A jeśli by obcy byli przyjaźnie nastawieni, byłaby to ambasadorska fregata pełna polityków i prezesów korporacji gotowych do wepchnięcia się łokciami do pierwszego szeregu. Co z tego, że Ziemia nie miała kosmicznych pancerników ani statków ambasadorskich; przed Ognistym Deszczem nie istniał także *Tezeusz*. Nikt nigdy nam o takiej armadzie nie mówił, ale tym na pierwszej linii nigdy nie pokazuje się Ogólnego Obrazu. Im mniej wiedzą, tym mniej mogą zdradzić.

Nadal nie wiem, czy czwarta fala istniała. Nigdy nie widziałem żadnego dowodu, o ile to jakiś argument. Może pozostawiliśmy ich błakających się wokół Burnsa-Caulfielda. A może polecili za nami aż do Big Bena, podeszli na tyle blisko, że zobaczyli, z czym mamy do czynienia, i zakręcili się na pięcie, zanim coś się stało.

Zastanawiam się, czy tak właśnie było. I czy zdołali wrócić z powrotem.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, mam nadzieję, że nie.

* * *

Gigantyczny piankowy cukierek walnął *Tezeusza* w bok. „Dół” zakołysał się jak wahadło. Szpindel po drugiej stronie bębna jęknął jak oparzony; ja, w mesie, tłukąc naczynie z gorącą kawą, omal nie oparzyłem się naprawdę.

To już, pomyślałem. Podeszliśmy za blisko i kontratakują.

- Co się, kur...

Na wspólnej linii coś zamigotało, gdy podłączała się Bates z mostka.

- Włączył się główny napęd. Zmieniamy kurs.

- Na jaki? Gdzie? Czyj rozkaz?

- Mój - odparł Sarasti, pojawiając się ponad nami.

Nikt się nie odezwał. Przez właz od rufy do bębna dobiegały zgrzyty. Zajrzałem do schematu alokacji zasobów *Tezeusza*. Fabrykator przedstawiał się na masową produkcję domieszkowanej ceramiki.

Ekran przeciw promieniowaniu. Prymitywne, ciężkie i solidne, nie to co kontrolowane pola magnetyczne, na których zwykle polegaliśmy.

Z namiotu wyszła zaspana Banda.

- Co się, kurwa, dzieje? - utyskiwała Sascha.

- Popatrz. - Sarasti zawładnął ConSensusem i zatrzęsł nim.

To była nawałnica, a nie odprawa: studnie grawitacyjne i tory orbit, symulacje odkształceń i naprężeń w burzach amoniaku i wodoru, stereoskopowe obrazy planet zakopane pod stertami nakładek, od gamma po radio. Widziałem punkty przegięcia, siodłowe i niestabilnej równowagi. Widziałem wykreślone w pięciu wymiarach katastrofy zagięć. Moje dodatki natężyły się, próbując obrócić tą informacją; mój białkowy półmózg starał się z wysiłkiem zrozumieć co z niej wynika.

Coś się przed nami skrywało, i to na widoku.

Pas akrecyjny Bena dalej rozrabiał. Nie było tego widać na pierwszy rzut oka - Sarasti nie musiał liczyć toru każdego kamyka, góry i planetozymała, żeby odkryć prawidłowość, ale prawie. I ani on sam, ani sumując inteligencję z Kapitanem, nie byli w stanie wytłumaczyć tych trajektorii wyłącznie skutkiem jakiegoś dawnego zakłócenia. To nie był po prostu opadający kurz, lecz kurz, którego część maszerowała na dół do taktu czegoś, co nawet teraz sięgało spod chmur i ściągało te okruchy z orbity.

I nie wszystkie kamienie trafiały do atmosfery. Wzdłuż równika Ben nieustannie migotał od uderzeń meteorytów - o wiele słabszych niż jaskrawe tory ślizgaczy i niksujących w okamgnieniu - ale charakterystyka ich częstotliwości nie kleiła się z liczbą spadających skał. Całkiem jakby od czasu do czasu jakiś kawał skały przeskakiwał do równoległego wszechświata.

Albo w tym coś go łąpało. Coś, co okrężało równik Bena w czterdzieści godzin, prawie ocierając się o atmosferę. Coś niewidocznego w świetle widzialnym, podczerwieni i radarze. Coś, co pozostałoby czystą hipotezą, gdyby ślizgacz przypadkiem nie wyrysował za nim swego śladu - a *Tezeusz* akurat nie patrzył.

Sarasti dał to na środek: jasna smuga biegnąca skośnie przez wieczną noc Bena, w połowie drogi przeskakująca o stopień czy dwa na lewo, a tuż przed zgaśnięciem wracająca z powrotem. Na stop-klatce było widać zamrożony promień światła, którego odcinek ktoś wyciął i przesunął o włos w bok.

Odcinek o długości dziewięciu kilometrów.

- Maskują się - powiedziała z podziwem Sascha.

- Niezbyt dobrze. - Bates ukazała się w dziobowym włazie i popłynęła zgodnie z obrotem bębna. - Wyraźny artefakt refrakcyjny. - W połowie odległości od pokładu chwyciła za schody i skrącając oś, wykorzystwała moment obrotowy, żeby się wyprostować i oprzeć stopami o stopnie. - Czemu go wcześniej nie zauważyliśmy?

- Bo nie ma podświetlenia - podsunął Szpindel.

- To nie chodzi tylko o tę smugę. Popatrz na chmury. - I rzeczywiście, Ben w tle był tak samo delikatnie przesunięty. Bates zeszła na pokład i podeszła do stołu konferencyjnego. - Powinniśmy to dostrzec już dawno.

- Inne sondy nie widzą tego artefaktu - powiedział Sarasti. - A ta podchodzi pod większym kątem. Dwadzieścia siedem stopni.

- Względem czego? - zapytała Sascha.

- Linii - mruknęła Bates. - Między nami a nimi.

Na ekranie wszystko było jak na dłoni: *Tezeusz* spadał wzdłuż oczywistego łuku, ale wypuszczane przez nas sondy nie męczyły się manewrami Hohmanna - leciały prosto w dół, prawie nie zakrzywiając kursu, wszystkie w ramach paru stopni od pojęciowej prostej łączącej Bena z *Tezeuszem*.

Oprócz jednej. Poleciała pod większym kątem i wykryła oszustwo.

- Im dalej od naszego kursu, tym lepiej widać nieciągłość - zanucił Sarasti. - Na torze prostopadłym do naszego pewnie jest całkiem oczywista.

- Czyli znaleźliśmy się w ślepym punkcie? Zobaczmy to coś, kiedy zmienimy kurs?

Bates pokręciła głową.

- Sascha, ślepy punkt się rusza. On nas...

- Śledzi - syknęła Sascha. - Skurwysyn.

Szpindel drgnął.

- Czyli co to jest? Ta fabryczka ślizgaczy?

Piksele na stop-klatce zaczęły pełzać. Z burzliwych wirów i zawijasów atmosfery Bena wyłoniło się coś ziarnistego i niewyraźnego. Pełne krzywych, ostrych szpiców, bez jednej gładkiej krawędzi - trudno powiedzieć, na ile było realne, a na ile stanowiło fraktalne powielenie obrazu chmur pod spodem. Ogólna sylwetka miała jednak kształt torusa, albo raczej zbioru mniejszych, postrzępionych kształtów ułożonych w nierówny pierścień. I była wielka. Te dziewięć kilosów przesuniętej smugi ledwo drasnęło jej obwód, całość rozciągała się na czterdzieści do pięćdziesięciu stopni. To coś, schowane w cieniu dziesięciu Jowiszy miało prawie trzydzieści kilometrów średnicy.

W trakcie podsumowania Sarastiego przestaliśmy przyspieszać. Dół wrócił na swoje miejsce. Ale my nie. Nasze wahanie - chciałabym a boję się - należało już do przeszłości; zmierzaliśmy prosto do celu i chrzanić torpedy.

- Wiecie co, to coś ma trzydzieści kilosów średnicy - zauważyła Sascha. - I jest niewidzialne. Może powinniśmy podchodzić do tego trochę ostrożniej?

Szpindel wzruszył ramionami.

- Gdybyśmy umieli odgadywać motywy wampirów, nie byłyby nam potrzebne, nie?

Na ekranach wykwitło coś nowego. Histogramy częstotliwości i wykresy spektralne eksplodowały z płaskich linii w przesuwające się górzyste krajobrazy - chór w paśmie widzialnego światła.

- Modulowany laser - zameldowała Bates.

- Stamtąd? - zapytał Szpindel.

Bates kiwnęła głową.

- Od razu, jak tylko ich zdemaskowaliśmy. Niezła synchronizacja.

- Niebezpieczna - powiedział Szpindel. - Skąd mogą wiedzieć?

- Zmieniliśmy kurs. Idziemy prosto na nich.

Świetlny krajobraz tańczył i pukał w okienko.

- Cokolwiek to jest, mówi do nas - stwierdziła Bates.

- No dobra - usłyszeliśmy znajomy głos. - Trzeba koniecznie się przywitać.

Susan James wróciła na miejsce kierowcy.

* * *

Byłem jedynym stuprocentowym widzem.

Każdy robił, co umiał. Szpindel przepuszczał uzyskaną przez Sarastiego niewyraźną sylwetkę przez kolejne filtry, próbując wycedzić z jej konstrukcji choćby odrobinę biologii. Bates porównywała morfometrikę zamaskowanego artefaktu i ślizgaczy. Sarasti patrzył na nas wszystkich z góry i myślał wampirzymi myślami, głębszymi niż cokolwiek, co mogłoby nam przyjść do głowy. Ale to wszystko były sztuczne zajęcia. Na środku sceny znajdowała się Banda Czworga, pod doświadczonym dowództwem Susan James.

Usiadła w fotelu i uniosła dłonie, jakby dając znak orkiestrze. Palce naciskające wirtualne ikony zadrgały; usta i szczęka zawibrowały od subwokalnych poleceń. Wpiąłem się w jej strumień danych i zobaczyłem gromadzący się wzdłuż obcego sygnału tekst:

RORSCHACH DO STATKU PODCHODZĄCEGO Z KIER. 116° AZ., 23° DEKL.

WZGL. POZDRAWIAM TEZEUSZA. RORSCHACH DO STATKU PODCHODZĄCEGO
Z KIER. 116° AZ., 23° DEKL. WZGL. POZDRAWIAM TEZEUSZA. RORSCHACH DO
STATKU PODCHO...

Ona już to cholerstwo zdekodowała. Już nawet na nie odpowiadała:

Tezeusz do Rorschacha. Pozdrawiam Rorschacha.

DZIEŃ DOBRY, TEZEUSZ. WITAMY W OKOLICY.

Zdążyła w niecałe trzy minuty. Czy raczej, zdążyli w niecałe trzy minuty: cztery w pełni świadome węzłowe osobowości i kilkadziesiąt nieświadomych modułów semiotycznych, pracujących równolegle, a wszystko to precyzyjnie wyrzeźbione z jednego kawałka istoty szarej. Prawie zrozumiałem, dlaczego ktoś dobrowolnie znęca się w ten sposób nad własnym mózgiem - skoro można osiągnąć taką wydajność.

A do tej pory nie byłem przekonany, że samo przeżycie jest wystarczającym powodem.

Proszę o zgodę na podejście

nadała Banda. Proste i klarowne: same fakty i dane, dzięki Bogu, jak najmniej miejsca na wieloznaczność i niezrozumiałość. Wymyślnie teksty o uczuciach, w rodzaju „Przybywamy w pokoju” mogą sobie poczekać. Uścisk dłoni to nie pora na dialog kultur.

ZACHOWAJ ODLEGŁOŚĆ. POWAŻNIE. TU JEST NIEBEZPIECZNIE.

To zwróciło uwagę wszystkich. Bates i Szpindel zawahali się na moment we własnych przestrzeniach i zerknęli na James.

Proszę o informację o zagrożeniach

wysłała Banda. Nadal konkretnie.

ZA BLISKO, ZBYT NIEBEZPIECZNIE. ZAGROŻENIA ZWIĄZANE Z NISKĄ
ORBITĄ.

Proszę o informację o zagrożeniach związanych z niską orbitą.

WROGIE ŚRODOWISKO. SKAŁY I RADIACJA. JAK CHCECIE. JA SOBIE Z TYM RADZĘ, ALE MY TAK MAMY.

Wiemy o skałach na niskiej orbicie. Mamy sprzęt do ochrony przed promieniowaniem. Proszę o informacje o innych zagrożeniach.

Pogrzebałem pod transkrypcją, chcąc dostać się do kanału, z którego szła. *Tezeusz* oznaczył kolorem część pasma przychodzącego promienia, którą zamienił na falę dźwiękową. Czyli komunikacja głosowa. Mówią. Za tą ikoną czają się nieprzetworzone dźwięki języka obcych. Oczywiście nie mogłem się powstrzymać.

- Przyjaciół zawsze miło widzieć. Przyjechaliście na święto?

Angielszczyzna. Ludzki głos, męski. Kogoś starego.

- Przylecieliśmy w celach badawczych - odparła Banda, choć jej głos był stuprocentowo tezeuszowy. - Proszę o kontakt z osobami, które wysłały obiekty w przestrzeń okołosłoneczną.

- Pierwszy kontakt. To chyba dobra okazja do imprezy.

Jeszcze raz sprawdziłem źródło. Nie, to nie był przekład; to naprawdę był nieprzetworzony sygnał od... *Rorschacha*, tak się określił. W każdym razie część tego sygnału; promień zawierał jeszcze inne, nieakustyczne składowe.

Przeglądałem je przez chwilę, gdy James powiedziała:

- Proszę o informacje o tej imprezie. - Korzystała ze standardowych protokołów rozmów między statkami.

- Jesteś zainteresowana.

Teraz mocniejszy, młodszy głos.

- Tak.

- Jesteś?

- Tak - cierpliwie powtórzyła Banda.

- Jesteś?

Nieznaczne wahanie.

- Tu *Tezeusz*.

- Wiem, zwyklaku.

Teraz po mandaryńsku:

- A ty kim jesteś?

Żadnej wyraźnej zmiany harmonicznyc. A jednak głos jakimś sposobem stał się ostrzejszy.

- Mówi Susan James. Jestem...

- Tu ci się nie spodoba, Susan. Chodzi o fetyszystyczne religie. Niebezpieczne obrzędy.

James zagryzła wargę.

- Proszę o wyjaśnienie. Czy te obrzędy nam zagrażają?

- To absolutnie możliwe.

- Proszę o wyjaśnienie. Niebezpieczne są obrzędy czy warunki na niskiej orbicie?
- Warunki wynikające z zakłóceń. Słuchaj uważniej, Susan. Brak uwagi sugeruje obojętność - powiedział *Rorschach*. - Albo brak szacunku - dodał po chwili.

* * *

Za cztery godziny Ben miał wejść nam w drogę. Cztery godziny nieprzerwanej, ciągłej komunikacji, o wiele łatwiejszej niż ktokolwiek się spodziewał. To coś mówiło przecież naszym językiem. Przez cały czas wyrażało grzeczną obawę o nasz los. A jednak, mimo łatwości porozumiewania się w ludzkim języku, powiedziało nam bardzo mało. Przez cztery godziny udało mu się uniknąć odpowiedzi wprost na wszystkie pytania, mówiło tylko, że bliższy kontakt jest bardzo niewskazany. Do momentu wejścia w cień Bena nie dowiedzieliśmy się dlaczego.

W połowie dialogu na pokład zeskoczył Sarasti, w ogóle nie dotykając stopami schodów. Przy lądowaniu chwycił dla równowagi poręcz i tylko odrobinę się zachwiał. Ja na jego miejscu odbijałbym się od pokładu jak kamyczek w betoniarni.

Przez resztę sesji stał sztywno jak posąg - kamienna twarz, oczy ukryte za onyksową osłoną. Gdy sygnał *Rorschacha* zanikł w pół zdania, gestem zebrał nas wokół stołu w mesie.

- To gada - powiedział.

James kiwnęła głową.

- Ale poza tym, że prosi, żebyśmy trzymali się z daleka, to za wiele nie mówi. Przybierało głos dorosłego mężczyzny, choć sugerowany wiek kilka razy się zmieniał.

Już to wszystko słyszał.

- Struktury?

- Protokoły opanowane idealnie. Mają o wiele większy zasób słów, niż dałoby się zaczerpnąć ze standardowych nawigacyjnych rozmów między paroma statkami, co znaczy, że jakiś czas słuchali naszych wewnętrznych transmisi. Według mnie przynajmniej parę lat. Z drugiej strony, jest to jednak o wiele mniejszy zasób słów, niż da się pozyskać z monitorowania środków masowego przekazu, więc prawdopodobnie przybyli już po Epoce Transmisji Radiowej.

- A czy używają właściwych słów?

- Używają gramatyki ogólnej i odległych zależności, przynajmniej czterech poziomów rekurencji w zakresie wąskiej zdolności językowej, nie widzę zresztą powodu, żeby przy dłuższym kontakcie nie zesłi jeszcze głębiej. Jukka, to nie papugi. Znają reguły. Na przykład ta nazwa...

- *Rorschach* - mruknęła Bates. Kostki jej trzasnęły, gdy ścisnęła piłeczkę. - Ciekawie sobie wybrali.

- Sprawdziłam w rejestrze. Jest jonowo-anty frachtowiec *Rorschach* na Pętli Marsjańskiej. Ktokolwiek do nas mówił, potraktował swoją platformę jako odpowiednik naszych statków i wybrał sobie z nich pasującą nazwę.

Szpendel opadł na krzesło koło mnie. Bańka kawy w ręku połyskiwała jak żelatyna.

- Akurat taką, ze wszystkich statków w układzie? O wiele zbyt symboliczne, jak na przypadkowy wybór.

- Pewnie nie był przypadkowy. Niezwykłe nazwy statków prowokują do uwag. Pilot *Rorschacha* nawiązuje rozmowę z jakimś innym statkiem, a ten inny rzuca: „Kurka, co za dziwna nazwa”, na co *Rorschach* improwizuje coś o jej pochodzeniu, a wszystko roznosi się w eterze. Ktoś

słuchający tych rozmów nie tylko identyfikuje nazwę i to czego ona dotyczy, ale rozumie, w pewnym zakresie, kontekst. Nasi obcy przyjaciele pewno podsłuchali sobie pół rejestru i wywnioskowali, że nazwa *Rorschach* lepiej określa coś nieznanego, niż, powiedzmy, *SS Jaymie Matthews*.

- Czyli są terytorialni i inteligentni. - Szpindel się skrzywił, wyczarowując kubek spod krzesła. - Pięknie.

Bates wzruszyła ramionami.

- Może i terytorialni. Ale niekoniecznie agresywni. Ja nawet się zastanawiam, czy mogliby nam coś zrobić, gdyby chcieli.

- Ja nie - powiedział Szpindel. - Te ślizgacze...

Major machnęła lekceważąco ręką.

- Wielkie statki skręcają powoli. Jeśli będą się ustawiać, żeby nam przygrzać, zobaczymy to dużo wcześniej. - Rozejrzała się. - Słuchajcie, czy to tylko mnie wydaje się dziwne? Mają międzygwiazdną technologię do przebudowywania superjowiszów i ustawiania meteoroid jak słoni na paradzie, a chowają się? Przed nami?

- Może tu jest ktoś jeszcze? - niepewnie podsunęła James.

Bates pokręciła głową.

- Maskowanie było kierunkowe. Przeznaczone dla nas i nikogo innego.

- I nawet my je przejrzelismy - dodał Szpindel.

- No właśnie. Więc plan B, który jak dotąd składa się z gadki i mętnych ostrzeżeń. Mówię tylko, że nie zachowują się jak giganci. Postępowanie *Rorschacha* wygląda na... improwizowane. Chyba się nas nie spodziewali.

- No nie. A Burns-Caulfield był...

- Chyba się nas tak szybko nie spodziewali.

- Hm - mruknął Szpindel, trawiąc te słowa.

Major przesunęła dłonią po nagiej czaszce.

- Czemu mieliby się spodziewać, że damy sobie spokój, po tym, jak się dowiedzieliśmy, że nas namierzeli? Oczywiście szukalibyśmy gdzie indziej. Możliwe, że cała akcja z Burnsem-Caulfieldem była po to, żeby zyskać na czasie; na ich miejscu przewidywałabym, że kiedyś w końcu tutaj dotrzemy. Ale myślę, że jakimś cudem źle to oszacowali. Przylecieliśmy szybciej, niż oczekiwali, i złapaliśmy ich z ręką w nocniku.

Szpindel otworzył swój bąbel i wlał zawartość do kubka.

- Spory błąd, jak na kogoś tak inteligentnego, nie? - W zetknięciu z parującym płynem zapłonął hologram, dyskretna pamiątka z Zeszklionej Strefy Gazy. Mesę wypełnił zapach splastyfikowanej kawy. - Zwłaszcza po tym, jak obmierzyli nas co do metra - dodał.

- I co zobaczyli? Silniki jonowo-antymaterialne. Żagle słoneczne. Statki, które latami lecą do Kuipera i nie mają zasobów, żeby się wybrać gdziekolwiek dalej. Telemateria nie istniała, poza symulatorami Boeinga i kilkoma prototypami. Musieli uznać, że jedna przynęta da im wystarczająco dużo czasu.

- Czasu na co? - zapytała James.

- Cokolwiek to jest, mamy dobry punkt obserwacyjny - odrzekła Bates.

Szpindel uniósł chorą ręką kubek i siorbnął. Kawa zadygotała w swym więzieniu, w nie do końca przekonującym ciężeniu bębna zmieniając się w falki i kropelki. James zasznurowała usta z dyskretną dezaprobatą. W środowiskach o zmiennej grawitacji otwarte pojemniki na płyny były regulaminowo zabronione, nawet dla ludzi bez takich problemów z motoryką jak Szpindel.

- Czyli blefują - odezwał się w końcu Szpindel.

Bates skinęła głową.

- Mój domysł: *Rorschach* wciąż jest w budowie. Może kontaktujemy się z jakimś automatycznym systemem.

- Więc mamy nie zwracać uwagi na tabliczki „nie deptać trawy” i po prostu wejść.

- Stać nas, żeby poczekać na odpowiedni moment. Nie spieszyć się.

- Aha. Teraz może sobie z nimi poradzimy, a ty chcesz poczekać, aż awansują z „niewidocznych” na „niezwycięzonych”. - Szpindel zadygotał i odstawił kawę. - Gdzie cię to wojsko szkoliło? Na Akademii Fair Play?

Bates zignorowała docinek.

- Fakt, że *Rorschach* wciąż rośnie, może być dobrym powodem, żeby dać mu na jakiś czas spokój. Nie mamy pojęcia jak wygląda - dorosła, nazwijmy to - forma tego artefaktu. No tak, maskował się. Zwierzęta, zwłaszcza młode, często chowają się przed drapieżnikami. Jasne, że odpowiada wymijająco. Nie udziela nam odpowiedzi. Ale może ich nie zna, myśleliście o tym? Co byśmy wskórali, wpytując ludzki embrion? Dorosła postać to całkiem inne zwierzę.

- Dorosły zmieścił nam dupę w maszynce.

- Z tego, co wiemy, to mógłby i embrion. - Bates przewróciła oczyma. - Jezu, Isaac, to ty jesteś biologiem. Chyba nie muszę ci przypominać ile płochliwych i bojaźliwych zwierząt umie się odgryźć w sytuacji bez wyjścia? Jeżozwierz nie chce kłopotów, ale jeśli będziesz się do niego dobierać, pokłuje ci całą gębę.

Szpindel się nie odezwał. Przesunął kawę na bok wzdłuż wklęsłego blatu, tak że ledwo do niej sięgał. Płyn w kubku rysował ciemny okrąg, idealnie równoległy do krawędzi, ale nieco przechylony ku nam. Wydało mi się nawet, że w samej powierzchni cieczy dostrzegam minimalną wklęsłość.

Uśmiechnął się nieznacznie, widząc ten efekt.

James odchrząknęła.

- Nie lekceważę twoich obaw, Isaacu, ale według mnie daleko nam do wyczerpania drogi dyplomatycznej. Przynajmniej chce gadać, choć nie jest tak otwarty, jak byśmy chcieli.

- No pewnie, że mówi - odparł Szpindel ze wzrokiem utkwionym w przechylonym kubku. - Całkiem inaczej niż my.

- To prawda. Ma coś...

- To nie jest po prostu niepewność. Czasem zachowuje się wręcz jak dyslektyk, zauważyliście? I mieszają mu się zaimki i osoby.

- Jak na to, że nauczył się języka przez bierne nasłuchiwanie, to i tak nieźle mu poszło. Na moje oko, oni są lepsi w przetwarzaniu mowy niż my.

- Trzeba dobrze znać język, żeby tak gadać ogólnikami, nie?

- Gdyby chodziło o człowieka, zgodziłabym się z tobą - odrzekła James. - Ale to, co nam wydaje się wybiegiem czy oszustwem, można wytłumaczyć faktem, że posługują się mniejszymi jednostkami konceptualnymi.

- Jednostkami konceptualnymi? - Właśnie zauważałem, że Bates nigdy nie sięgała po podpowiedź, jeśli mogła tego uniknąć.

James kiwnęła głową.

- To tak jakby przetwarzać wiersz tekstu słowo po słowie zamiast kompletnymi frazami. Im mniejsze jednostki, tym szybciej dają się rekonfigurować, co daje bardzo szybkie odruchy semantyczne. Ale istnieje wada: trudno zachować taki sam poziom spójności logicznej, bo jest bardziej prawdopodobne, że większe struktury zostaną potasowane.

- Czekaj... - Szpindel wyprostował się, zapomniawszy o płynach i siłach odśrodkowych.

- Ja tylko twierdzę, że to niekoniecznie jest umyślne oszustwo. Ktoś, kto analizuje informację w jednej skali, może być nieświadomy niespójności w innej; możliwe nawet, że jest mu ona niedostępna na poziomie świadomości.
- To nie wszystko.
- Isaacu, nie możesz przykładać ludzkich norm do...
- Bo się zastanawiałem, co ty właściwie robisz. - Szpindel grzebał w zapisach. Chwilę później wyłowił fragment.

Proszę o informację o środowiskach, które uważacie za śmiertelnie niebezpieczne. Proszę o informację o waszej odpowiedzi dotyczącej perspektywy grożącego nam narażenia na śmiertelnie niebezpieczne środowiska.

CHĘTNIE SPEŁNIĘ PROŚBĘ. ALE ŚMIERTELNE NIEBEZPIECZEŃSTWO TO DLA WAS COŚ INNEGO NIŻ DLA NAS. JEST WIELE ZMIENNYCH CZYNNIKÓW.

- Sprawdzałaś ich! - zapiał z zachwytem Szpindel. Uderzył się w usta, bo dostał tiku w szczęce.
- Czekałaś na reakcję emocjonalną!
- Tak mi tylko przyszło do głowy. To żaden dowód.
- A była jakaś różnica? W czasie reakcji?
- James zawahała się, potem pokręciła głową.
- To był głupi pomysł - odparła. - Tyle zmiennych, nie mamy nawet pojęcia jak oni... no wiecie, to przecież obcy...
- Ale objawy patologii są klasyczne.
- Jakiej patologii? - zapytałam.
- To nic nie znaczy, potwierdza tylko, że różnią się od ludzkich zwykłałów - upierała się James.
- To nie powód, żeby ktokolwiek z obecnych tutaj kręcił nosem. Spróbowałem jeszcze raz:
- Jakiej patologii?
- James znów pokręciła głową. Wyjaśnił mi Szpindel:
- Pewnie słyszałeś o takim syndromie. Szybko gada, zero sumienia, skłonność do zabawnych przejęzyczeń i przeczenia samemu sobie. Nie okazuje emocji.
- Tyle że nie mówimy o ludzkich istotach - cicho powtórzyła James.
- Ale gdyby - ciągnął Szpindel - nazwalibyśmy *Rorschacha* klinicznym socjopata.
- Sarasti nie odezwał się przez całą rozmowę. Teraz, gdy w powietrzu zawisło to słowo, zauważyłem, że wszyscy starają się na niego nie patrzeć.

* * *

Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, że Jukka Sarasti jest socjopata. O tym się po prostu nie wspominało w kulturalnym towarzystwie.

Lecz Szpindel nie był aż tak kulturalny. A może po prostu prawie Sarastiego rozumiał: patrzył na wskroś potwora i widział organizm, taki sam produkt doboru naturalnego, jak ludzkie mięso, które pożarł eony temu. Taka perspektywa jakimś sposobem go uspokajała. Mógł się przyglądać, jak Sarasti go obserwuje, i się nie wzdrygać.

- Żal mi tego biednego skubańca - powiedział kiedyś, jeszcze na szkoleniu.

Niektórzy pomyśleliby: co za bzdura. Ten człowiek, tak mocno spięty ze sprzętem, że własna motoryka siadała mu z braku dbałości i pokarmu, ten człowiek, słyszący promienie Roentgena i widzący odcienie ultradźwięków, tak przeżarty poprawkami, że nawet własnych opuszek nie był w stanie pomacać bez czyjejś pomocy, ten człowiek jest w stanie litować się nad kimkolwiek? A już szczególnie nad widzącym w podczerwieni drapieżką, skonstruowanym, by mordować bez cienia wyrzutu?

- Empatia wobec socjopatów to nieczęste - rzuciłem.

- A może powinno być częstsze. Bo my - machnął ręką; w symulatorze zawirował, zakręcił się pakiet zdalnych czujników - my mogliśmy wybrać sobie dodatkowe moduły. A wampiry musiały być socjopatami. Za bardzo przypominają własne ofiary. Wielu systematyków nawet nie uważa ich za odrębny podgatunek, wiesz? Nigdy też nie różnicowali się na tyle, by oddzielić się reprodukcyjnie. Może to raczej zespół patologii niż rasa. Po prostu garstka przymusowych ludożerców, ze stałym zbiorem ułomności.

- I jak z tego wynika...

- Kiedy możesz żywić się tylko własnym gatunkiem, empatia musi zaniknąć w pierwszej kolejności. W jego położeniu psychopatia to żadna choroba, nie? Raczej strategia przetrwania. Ale nam ciągle chodzą od nich ciarki po plecach, więc zakuwamy ich w łańcuchy.

- Myślisz, że trzeba było zreperować im Skazę Krzyżową?

Każdy wiedział, czemu tego nie zrobiliśmy. Tylko głupiec nie dba o zabezpieczenia, wskrzeszając potwora. A wampiry miały je wbudowane - Sarasti bez środków antyeuklidesowych dostałby konwulsji na widok pierwszego z brzegu okna.

Lecz Szpindel kręcił głową.

- Nie dałoby się tego pozbyć. To znaczy, dałoby się, ale ta skaza siedzi w korze wzrokowej. Łączy się z ich wszechwiedzą. Leczysz ją, przy okazji niszczysz im umiejętność rozpoznawania wzorców, w takim razie jaki sens w ogóle ich wskrzeszać?

- Nie wiedziałem.

- Tak się oficjalnie mówi. - Zamilkł na chwilę, uśmiechnął się krzywo. - Bo kiedy nam to pasowało, nie mieliśmy specjalnych problemów z naprawieniem drogi przemian protokadheryny.

Pociągnąłem podpowiedź. ConSensus, kontekstowy jak zawsze, podsunął mi protokadherynę γ -Y: magiczne białko z ludzkiego mózgu, którego wampiry nigdy nie nauczyły się syntetyzować. Powód, dla którego nie przesiedli się na zebry czy guźce, gdy zabrakło ludzkiego pokarmu; powód, dla którego odkrycie przez ludzkość strasznej tajemnicy Kąta Prostego oznaczało dla nich zagładę.

- W każdym razie, ja sądzę, że czuje się... izolowany. - Tik nerwowo targnął kącikiem ust Szpindla. - Samotny wilk i tylko owce za towarzystwo. Nie byłbyś samotny?

- Oni nie lubią towarzystwa - przypomniałem.

Nie wrzuca się do jednego kotła dwóch wampirów tej samej płci, chyba że chcemy zakładać się o wynik krwawej jatki. Byli samotnymi łowcami, bardzo terytorialnymi. Przy minimalnym dla przeżycia stosunku ofiar do drapieżników jak dziesięć do jednego - i ofiarach rozsianych tak rzadko po plejstocenowej ziemi - największym zagrożeniem dla przetrwania była dla nich konkurencja pobratymców. Dobór naturalny nigdy nie nauczył ich współpracować.

Lecz na Szpindlu zupełnie nie zrobiło to wrażenia.

- To nie znaczy, że nie może czuć się samotny - upierał się.

- Ale że nie może nic na to poradzić.

Użyliśmy luster, wielkich, okrągłych, parabolicznych, niesamowicie cienkich, trzykrotnie wyższych od człowieka. *Tezeusz* pozwijał je i przykręcił do petard wypchanych drogocenną antymaterią z naszych kurczących się zapasów. Mając do dyspozycji dwanaście godzin, cisnął je jak konfetti na precyzyjne krzywe balistyczne i odpalił, gdy znalazły się w bezpiecznej odległości. Zawirowały we wszystkie strony jak wiatraczki, siejąc za sobą promieniami gamma, aż się wypaliły. Potem poszybowały, rozpościerając w próżni rtęciowe owadzie skrzydła.

W większej odległości czterysta tysięcy maszyn obcych kreśliło pętle, płonęło i najwyraźniej niczego nie zauważało.

Rorschach krążył wokół Bena zaledwie tysiąc pięćset kilometrów od atmosfery, w szybkiej nieskończonej pętli, której obrót zajmował tylko niecałe czterdzieści godzin. Jeszcze nie wyszedł z horyzontu, gdy wszystkie lustra znalazły się ponad strefą całkowitej niewidoczności. Do ConSensusa wdryfowało zbliżenie równikowego skraju Bena. Ikonki luster skrzyły się wokół jak rozstrzelony schemat, jak oddzielone od siebie fasetki ogromnego, rozszerzającego się oka złożonego. Żadne nie miało hamulców. Może to i znakomite punkty obserwacyjne, ale długo ich nie utrzymają.

- Jest - powiedziała Bates.

Po lewej stronie sceny zamigotał miraż, maleńki punkcik wirującego chaosu, wielkości może paznokcia i na wyciągnięcie ręki. Nic nam nie mówił. Drgał od ciepła i nic poza tym, ale dobiegało nas światło z kilkudziesięciu mocno rozproszonych przekaźników, i choć każdy z osobna widział niewiele więcej niż ostatnia sonda - ciemną plamę chmur nieznacznie przekrzywioną przez niewidoczny pryzmat - to w każdej z obserwacji światło załamywało się inaczej. Kapitan odcedził przebłyski od nieba w tle i posklejał w sumaryczny widok.

Pojawiły się szczegóły.

Najpierw niewyraźny okruch cienia, maleńki dołek niemal ginący w burzliwych pasmach równikowych chmur. Dopiero co wpłynęło w pole widzenia z krawędzi dysku - jak kamyczek w strumieniu, dźgnięcie chmur niewidzialnym palcem, naprężenia i turbulencje rozpychające ich graniczną warstwę w obie strony.

Szpindel zmrużył oczy.

- Pochodnia chromo. - Podpowiedź wyjaśniła, że ma na myśli coś w rodzaju plamy słonecznej, węzła w polu magnetycznym Bena.

- Wyżej - powiedziała James.

Ponad tym dołeczkiem w chmurach coś się unosiło, jak oceaniczny poduszkiwiec, płynący nad wgłębieniem w powierzchni wody. Powiększyłem obraz: na tle subkarła Oasy, dziesięć razy cięższego od Jowisza, *Rorschach* był maleńki.

Przy *Tezeuszu* był olbrzymem.

Nie tyle torus, ile gęstwina, wielka jak miasto płatanina utkana ze szkła, pętli, mostków i łagodnie kończących się iglic. Faktura powierzchni była oczywiście nieprawdziwa - ConSensus opakował niewiadomą w odbite tło. A jednak... Jednak na swój mroczny, groźny sposób był niemal piękny. Gniazdo obsydianowych węży i dymnych kryształowych kolców.

- Znowu mówi - zameldowała James.

- Odpowiedz - polecił Sarasti i zostawił nas.

I tak zrobiła: a kiedy Banda rozmawiała z artefaktem, reszta szpiegowała. Z czasem tracili wzrok - lustra oddalały się po swych wektorach, z każdą sekundą widząc coraz mniej - ale tymczasem ConSensus wypełniał się zebranymi informacjami. Masa *Rorschacha* - $1,8 \times 10^{10}$ kg, objętość - $2,3 \times 10^8$ metra sześciennego. Pole magnetyczne, wnosząc po piskach w radiu i pochodni, miał tysiąc razy silniejsze niż Słońce. Co zdumiewające, fragmenty poskładanego obrazu były dość ostre, by dostrzec wijące się wokół konstrukcji drobne spiralne rowki. („Ciąg Fibonacciego”, zameldował Szpindel, utkwivszy we mnie na chwilę spojrzenie jednego rozbieganego oka. „Przynajmniej nie są tak całkiem obcy”). Co najmniej trzy z niezliczonych iglic *Rorschacha* obrastały sferoidalne protuberancje; w tych obszarach rowki były rzadsze, jakby skóra pod spodem napięła się i napuchła od infekcji. Jedno kluczowe lustro tuż przed pożegłowaniem w niebyt dostrzegło kolejny kolec, ułamany w jednej trzeciej długości. Rozdarty materiał nieruchomo i bezwładnie unosił się w próżni.

- Proszę cię - szepnęła Bates. - Powiedz mi, że to nie to, co myślę.

Szpindel wyszczerzył zęby.

- Zarodnia? Torebka nasienna? Czemu nie?

Rorschach rozmnażał się - być może - niewątpliwie jednak rósł, karmiony nieprzerwanym strumieniem kamyków spadających z pasa akrecyjnego. Byliśmy dość blisko, by wyraźnie widzieć ten pochód: skały, kamienie, kamyki opadały jak osad wirujący wokół odpływu. Cząstki zderzające się z artefaktem po prostu się przyklejały - *Rorschach* połykał swe ofiary jak jakaś ogromna, metastatyczna ameba. Pozyskana masa była, zdaje się, przetwarzana gdzieś w środku i przekazywana do wierzchołkowych stref wzrostu - sądząc po minimalnych zmianach w allometrii artefaktu, rósł na końcach gałęzi.

Ten strumień nigdy nie ustawał. *Rorschach* był nienasycony.

W międzygwiazdnej pustce stanowił dziwny atraktor: trajektorie spadających skał były idealnie i całkowicie chaotyczne. Całkiem jakby jakiś keplerowski „czarny pas” zbudował ten układ jako astronomiczną nakręcaną zabawkę, puścił w ruch i pozwoił bezwładności uczynić resztę.

- Myślałam, że to niemożliwe - powiedziała Bates.

Szpindel wzruszył ramionami.

- E tam, chaotyczne trajektorie są tak samo deterministyczne jak wszystkie inne.

- Ale to nie znaczy, że da się je przewidywać, a co dopiero tak je ustalać. - Na łysej głowie pani major jaskrawo odbijały się zebrane informacje. - Trzeba by znać warunki początkowe miliona różnych zmiennych, do dziesięciu miejsc po przecinku. Dosłownie.

- Tak.

- Nawet wampiry tego nie potrafią. Nawet kwantyczne komputery.

Szpindel wzruszył ramionami.

Natomiast Banda przez cały czas wypadała z roli i wpadała z powrotem, tańcząc z jakimś niewidzialnym partnerem, który - mimo wszelkich starań - powiedział nam dotąd niewiele poza nieskończonymi permutacjami zdania: „Naprawdę wam się tu nie spodoba”. Na każde pytanie odpowiadał kolejnym - a jednak zawsze czuło się, że udziela odpowiedzi.

- Czy to wy wysłaliście Świetliki? - zapytała Sascha.

- Wysyłamy wiele rzeczy w różne miejsca - odparł *Rorschach*. - Co mówi ich specyfikacja?

- Nie znamy ich specyfikacji. Świetliki spaliły się w atmosferze Ziemi.

- Więc może tam patrzcie? Kiedy nasze dzieci gdzieś lecą, radzą sobie same.

Sascha wyciszyła ten kanał.

- Cholera, wiecie z kim gadamy? Z jakimś, kurwa, Jezusem z Nazaretu.

Szpindel spojrział na Bates. Bates wzruszyła ramionami.

- Nie chwytasz? - Sascha pokręciła głową. - Ta ostatnia gadka pod względem zawartości informacyjnej jest odpowiednikiem pytania: „Czy wolno płacić podatek Cezarowi?”. Co do joty.

- Dzięki, że robisz z nas faryzeuszy - burknął Szpindel.

- No, ale skoro Żyd pasuje...

Szpindel przewrócił oczyma.

I wtedy to pierwszy raz zauważyłem: drobną niedoskonałość na topologii Saschy, drobny pyłek wątpliwości brukający jeden z jej aspektów.

- To prowadzi donikąd - powiedziała. - Spróbujemy bocznymi drzwiami. - Zamrugła i zniknęła. Michelle z powrotem włączyła linię nadawczą. - *Tezeusz d o Rorschacha*. Czekamy na prośby o informacje.

- Wymiana kulturalna - rzekł *Rorschach*. - Mnie się podoba.

Bates zmarszczyła brwi.

- Dobrze robimy?

- Skoro nie ma ochoty udzielać informacji, może chciałby ich trochę otrzymać. A my dowiemy się sporo na podstawie zadawanych pytań.

- Ale...

- Powiedźcie nam o swoim domu - poprosił *Rorschach*.

Sascha wynurzyła się w samą porę, by powiedzieć:

- Spokojnie, pani major. Nikt nie każe dawać prawidłowych odpowiedzi.

Plamka na topologii Bandy zamigotała, gdy Michelle przejmowała ster, ale nie zniknęła. Trochę urosła, kiedy opisywała jakieś teoretyczne miasto, starannie dobierając słowa i nie wspominając o niczym mniejszym niż metr. (ConSensus potwierdził moje domysły: taka była hipotetyczna rozdzielczość wzroku Świetlików). A potem ster przejął Procesor, co się rzadko zdarzało...

- Nie wszyscy mamy rodziców albo rodzeństwo. Niektórzy wcale. Niektórzy urodzili się w kadziach.

- Rozumiem. To smutne. „W kadziach” - to bardzo odczłowieczone.

...i plama pociemniała, rozlewając się po jego powierzchni jak olej po wodzie.

- Zbyt dużo bierze na wiarę - powiedziała parę chwil później Susan.

Kiedy Saschę zmieniła Michelle, było to już coś większego niż wątpliwość i silniejszego niż podejrzenie; to już było spostrzeżenie, mały, ciemny mem infekujący po kolei każdy z mieszkających razem umysłów. Banda była na tropie czegoś. Tylko nie była pewna czego.

A ja tak.

- Powiedźcie mi więcej o waszych kuzynach - nadał *Rorschach*.

- Mamy krewniaków na naszym drzewie - odparła Sascha. - Prababki, pradziadków i pitekantropy. Nerwy mamy dzięki tym krewniakom.

- Chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś o tym drzewie.

Sascha wyciszyła nadajnik i rzuciła nam spojrzenie, mówiące: „Jaśniej się chyba nie da?”.

- Tego nie mogli zanalizować. W zdaniu były trzy językowe wieloznaczności. Po prostu nie zwróciło na nie uwagi.

- Przecież poprosiło o wyjaśnienie - zauważyła Bates.

- Zadało pytanie uzupełniające. To coś zupełnie innego.

Bates wciąż nie łapała, ale Szpindel już zaczynał...

Mój wzrok przykuł jakiś delikatny ruch. Sarasti wrócił, unosił się nad jaskrawą topografią na stole. Gdy poruszał głową, na osłonie wiły się światła. Wyczuwałem za nią jego spojrzenie.

I coś jeszcze, dalej, za nim.

Nie umiałem tego nazwać. Nic, zaledwie niewyraźne poczucie, że w tle jest coś nowego, coś nie na miejscu. Na drugim końcu bębna było coś nie tak. Nie, nie tam: trochę bliżej, w okolicach osi. Tylko że tam nie było nic - nic do zobaczenia, tylko nagie rury i przewody wiązki kręgowej, skręcone w pustej przestrzeni i...

Nagle to, co było nie tak, naprostowało się. Właśnie dlatego skupiłem tam wzrok: zniknęła anomalia, nastąpił powrót do normalności, który przykuł mój wzrok jakby coś drgnęło. Widziałem dokładnie, w którym punkcie wiązki to się stało. Teraz wszystko było w porządku - ale przed chwilą nie. Miałem to w głowie, ledwo podprogowo, jak swędzenie, tak płytko, że wiedziałem: jeśli się skoncentruję, dam radę to wyciągnąć.

Sascha rozmawiała z jakimś artefaktem obcych na końcu promienia lasera. Mówiła o koligacjach rodzinnych, tak ewolucyjnych, jak i społecznych: neandertalczykach z kromaniończykami i stryjecznych siostrach teściowej sąsiada. Gadała już tak całymi godzinami i zostało jej drugie tyle, ale mnie rozpraszały jej słowa. Próbowałem ją wyprzeć i skupić się na współspotrzeżonym obrazie droczącym się z moją pamięcią. Coś tam widziałem, dosłownie chwilę temu. Jeden z przewodów miał - właśnie: za wiele zgięć na którejś z rur. Coś, co powinno być proste i gładkie, było jakby przegubowe i zgięte. A nie, nie któraś z rur, przypomniałem sobie: dodatkowa rura, w każdym razie coś dodatkowego, coś...

Z kości.

Wariactwo. Przecież nic tam nie ma. Jesteśmy pół roku świetlnego od domu, gadamy z niewidocznymi obcymi o rodzinnych spotkaniach, a oczy robią mi takie numery.

Jeśli to się zdarzy jeszcze raz, trzeba będzie porozmawiać ze Szpindlem.

* * *

Gadanina w tle ustała, co wyrwało mnie z zamyślenia. Sascha zamilkła. Pociemniałe aspekty wisiały wokół niej jak chmury burzowe. Pociągnąłem z ConSensusa jej ostatnią kwestię:

- Zwykle znajdujemy naszych siostrzeńców w teleskopach. Są twardzi jak Hoblinici.

Kolejna wykalkulowana niejednoznaczność. No i nie ma takiego słowa - „Hoblinici”.

W jej oczach przeblyskiwały nadchodzące decyzje. Stała na brzegu urwiska i szacowała głębokość ciemnej wody u stóp.

- W ogóle nie wspominasz o swoim ojcu - zauważył *Rorschach*.

- To prawda, *Rorschach* - przyznała łagodnie Sascha, nabrała powietrza...

I zrobiła krok w przód.

- Wiesz co, może byś mi obciągnął mojego wielkiego, włochatego fiuta?

W bębnie natychmiast zapadła cisza. Bates i Szpindel gapili się z rozdziawionymi ustami. Sascha wyciszyła kanał i odwróciła się do nas, uśmiechnięta tak szeroko, że czubek jej głowy groził odpadnięciem.

- Sascha - sapnęła Bates. - Zwariowałaś, czy co?

- A jeśli nawet, to co? Dla niego to nieważne. Nie ma pojęcia, co gadam.

- Co?
 - Nie ma nawet pojęcia, co odpowiada - dodała.
 - Zaraz, zaraz. Mówiłaś... Susan mówiła, że nie są papugami. Że znają reguły. I oto Susan przepychała się na czoło.
 - Mówiłam, bo znają. Ale identyfikacja wzorców to nie to samo co zrozumienie. Bates pokręciła głową.
 - Mówisz, że to coś, z czym rozmawiamy... nawet nie jest inteligentne?
 - Nie, no, może i jest. Ale to nie jest rozmowa pod żadnym rozsądnym względem.
 - Czyli co? Poczta głosowa?
 - Wiecie co - powiedział powoli Szpindel - to się chyba nazywa „Chiński pokój”.
- No wreszcie, pomyślałem.

* * *

O chińskich pokojach wiedziałem wszystko. Sam byłem takim pokojem. Nawet nie trzymałem tego w tajemnicy, rozповідаłem każdemu, kto zechciał zapytać.

Z perspektywy czasu widzę, że czasem to był błąd.

- Jak to możliwe, że potrafisz reszcie ludzi opowiadać o tych odkryciach ze ścisłej naukowej czołówki, skoro sam ich nie rozumiesz? - zapytała Chelsea, kiedyś, gdy jeszcze byliśmy w dobrych układach. Czyli zanim mnie poznała.

Wzruszyłem ramionami.

- Moim zadaniem nie jest rozumieć. Gdybym potrafił, znaczyłoby to, że wcale nie są taką czołówką. Jestem tylko takim przekąźnikiem.

- No tak, ale jak możesz coś tłumaczyć, skoro tego nie rozumiesz?

Częsta reakcja u ludzi spoza branży. Po prostu nie rozumieją, że wzorce posiadają własną inteligencję, dość niezależną od semantycznej zawartości, którą niosą na powierzchni; jeśli się odpowiednio pomanipuluje topologią, ta zawartość po prostu... zabiera się przy okazji.

- A słyszałaś o chińskim pokoju?

Pokręciła głową.

- Coś tam mi się kojarzy. Bardzo stare pojęcie, prawda?

- Ma co najmniej sto lat. To właściwie taki eksperyment myślowy, rzekomo obalający test Turinga. Zamyka się jakiegoś gościa w pokoju. Przez szczelinę w ścianie podaje mu się kartki z dziwnymi krzaczkami. On ma dostęp do olbrzymiej bazy takich właśnie krzaczków i zestawu reguł mówiących, jak je składać.

- Gramatyka - powiedziała Chelsea. - Składnia.

Skinąłem głową.

- Sęk w tym, że on nie ma pojęcia, co to są te krzaczki ani jaką zawierają informację. Wie tylko, że napotkawszy krzaczek „delta”, ma pobrać piąty i szósty krzaczek z teczki „teta” i złożyć w całość z jeszcze jednym z teczki „gamma”. Montuje w ten sposób odpowiedź, przepisuje na karteczkę, wrzuca do dziury i idzie spać aż do kolejnej iteracji. Powtarzać, aż temat, wałkowany do znudzenia, będzie cienki jak opłatek.

- On prowadzi rozmowę - domyśliła się Chelsea. - Zakładam, że po chińsku, bo inaczej nazwaliby to „Hiszpańską Inkwizycją”.

- Dokładnie. Chodzi o to, że przy użyciu podstawowych algorytmów identyfikacji wzorców da się uczestniczyć w dialogu, nie mając pojęcia, co się mówi. Przy odpowiednio dobrych regułach można zdać test Turinga. Zostać gawędziarzem i dowcipasem w języku, którym się w ogóle nie mówi.

- I to jest synteza?

- Tylko jedna część, ta, która zajmuje się upraszczaniem protokołów semiotycznych. I tylko co do zasady. Poza tym, moje dane wejściowe są po kantońsku, a odpowiedzi po niemiecku, bo jestem raczej tłumaczem niż rozmówcą. Ale łapiesz ideę.

- I nie mieszają ci się te wszystkie reguły i protokoły? Pewnie masz ich miliony.

- Tak jak we wszystkim. Kiedy się ich nauczysz, robisz to podświadomie, wszystko jedno, czy to jazda na rowerze, czy sondowanie noosfery. W ogóle nie myślisz o tych protokołach, tylko... wyobrażasz sobie zachowanie adresatów.

- Mmm. - W kąciku jej ust zaigrał subtelny półuśmiech. - Ale... w takim razie ten argument o chińskim pokoju nie jest mylny. Trafia w dziesiątkę: przecież ty naprawdę nie rozumiesz kantońskiego czy niemieckiego.

- Ale system rozumie. Cały kompletny pokój. Gość piszący na kartkach to tylko jeden element. Nie spodziewałabyś się, że jeden neuron będzie rozumiał angielski, prawda?

- Czasem mogę poświęcić tylko jeden. - Chelsea pokręciła głowę. Nie chciała odpuścić. Widziałem, że sortuje pytania według priorytetów; widziałem, że stają się coraz bardziej... osobiste...

- Ale stanęliśmy na tym - powiedziałem, uprzedzając je wszystkie - że miałaś pokazać mi jak robisz ten numer palcami...

Szelmowski uśmiech starł jej z twarzy wszystkie pytania.

- Aaa, no właśnie...

To ryzykowne angażować się. Wszystko się wtedy płacze. Wszystkie narzędzia tępią się i rdzewieją w jednej chwili, gdy tylko zaczniesz romansować z obserwowanym systemem.

Ale od biedy da się jeszcze coś nimi zrobić.

* * *

- Chowa się - powiedział Sarasti. - Jest bezbronny.

- Czyli schodzimy.

To była nie tyle informacja, ile podsumowanie - od paru dni lecieliśmy prosto w Bena. Ale może tę decyzję poparła hipoteza o chińskim pokoju. W każdym razie, przygotowywaliśmy się na zwiększenie naszego wścibstwa przy kolejnym zaćmieniu *Rorschacha*.

Tezeusz był w nieustającej ciąży: w fabrykatorze łągł się standardowy typ sondy, zatrzymany w rozwoju tuż przed narodzinami, w oczekiwaniu na pojawienie się nieprzewidzianych wymagań dla jej misji. W którejś chwili pomiędzy odprawami Kapitan wywołał poród i przystosował ją do bliskich kontaktów i pracy na podłożu. Zapłonęła, zjechała studnią z wielkim przyspieszeniem, dobre dziesięć godzin przed planowanym kolejnym pojawieniem się *Rorschacha*, uplasowała się w strumieniu skał i zasnęła. Jeśli nasze obliczenia są poprawne, do przebudzenia nie zderzy się z żadnym zabłąkanym odłamkiem. Jeśli wszystko się uda, inteligencja układająca choreografię dla milionowego zespołu nie zauważy na scenie jednego dodatkowego tancerza. Przy odrobinie szczęścia

okaże się, że miriady ślizgaczy akurat znajdujących się w linii prostej nie mają wprogramowanej roli skarżypyty.

Akceptowalne ryzyka. Nie jesteśmy na nie gotowi? To trzeba było siedzieć w domu.

A więc czekaliśmy: cztery zoptymalizowane hybrydy nieco ponad progiem zwykłego człowieka oraz wymarły drapieżca, który postanowił nie zżerać nas żywcem, ale nami dowodzić. Czekaliśmy, aż *Rorschach* wychynie zza zakrętu. Sonda płynnie zjeżdżała studnią grawitacyjną, nasz wysłannik do niechętnych - albo, jeśli Banda miała rację, cichociemny mistrz-włamywacz dostający się do pustego apartamentowca. Szpindel nazwał ją „diabełkiem z pudełka” na wzór jakiejś starożytnej dziecinnej zabawki, która nie zasłużyła nawet na wzmiankę w ConSensusie; my spadaliśmy w ślad za nią, prawie po krzywej balistycznej, ze starannie wyliczonym momentem pędu i bezwładnością, które miały nas przeprowadzić przez chaotyczne pole minowe pasa akrecyjnego Bena.

Kepler nie był w stanie załatwić wszystkiego i *Tezeusz* od czasu do czasu pomrukiwał - po kręgosłupie niosły się wibracjami krótkie salwy silników korekcyjnych, którymi Kapitan korygował nasze wejście w Maelstrom.

Żaden plan nie przetrwa konfrontacji z wrogiem, przypomniałem sobie, choć nie wiedziałem skąd.

- Jest - powiedziała Bates. Na krawędzi Bena pojawiła się kropeczka; ekran natychmiast zaserwował nam zbliżenie. - Sonda start.

Tezeusz nadal nie widział *Rorschacha*, choć byliśmy blisko i ciągle się zbliżaliśmy. Jednakże paralaksa pozbawiała oczy sondy przynajmniej części perspektywy; obudziła się, widząc szpice i spirale dymnego szkła, to wchodzące w pole widzenia, to zeń umykające, a za nimi, półprzejrystymi, płaski i nieskończony horyzont Bena. Widok zdrzął; w ConSensusie zafalowały elektromagnetyczne przebiegi.

- Niezłe pole magnetyczne - rzucił Szpindel.

- Hamuje - zameldowała Bates.

Diabełek elegancko odwrócił się tyłem i odpalił pochodnię. Na taktycznym wyświetlaczu delta v zapaliła się na czerwono.

W Bandzie tym razem trzymała wachtę Sascha.

- Odbieramy sygnał - zameldowała. - Ten sam format.

Sarasti mlasnął.

- Daj go.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Witam. - Tym razem głos należał do kobiety w średnim wieku.

Sascha wyszczerzyła zęby.

- Widzicie? W ogóle się nie obrazili o tego włochatego fiuta.

- Nie odpowiadaj - polecił Sarasti.

Diabełek, szybując, kichnął. Srebrne paski pomknęły przez próżnię do celu: miliony jaskrawo błyszczących kompasowych igiełek, tak szybkich, że nawet *Tezeusz* wydawał się przy nich wolny. Zniknęły w jednej chwili. Sonda obserwowała ich ucieczkę, omiatając laserowymi oczyma stopień po stopniu całe niebo dwa razy w sekundę, starannie zapamiętując każdziuteńki błysk folii. Igiełki tylko na początku leciały wzdłuż choćby z grubsza prostych linii: potem raptownie zawirowały spiralami Lorentza, ostrymi łukami i korkociągami i popędziły nowymi, skomplikowanymi trajektoriami - iście relatywistycznymi. W ConSensusie zarysowały się kontury pola magnetycznego *Rorschacha*, na pierwszy rzut oka przypominające warstwową, szklaną cebulę.

- Bździąąą - mlasnął Szpindel.

Za drugim rzutem oka cebula zrobaczywiała. Ukazały się wgłobienia, długie, kręte tunele energii

pieniące się fraktalnie przy kolejnych powiększeniach.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Witam. Jesteś tam?

Holograficzna wstawka z boku głównego ekranu zobrazowała punkty zmiennego trójkąta - *Tezeusz* w wierzchołku, *Rorschach* i Diabełek tworzący wąską podstawę.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Widzę cię, widzę...

- Ona ma o wiele luźniejszy sposób mówienia niż on przedtem.

Sascha uniosła wzrok na Sarastiego, ale nie zapytała: „Pewien jesteś?”. Jednak zaczęła się zastanawiać. Rozważać potencjalne skutki błędu, teraz, gdy już go popełniliśmy. Było za późno na drugą, przytomniejszą myśl - ale dla Saschy na tym polegał postęp. A zresztą to Sarasti zdecydował.

W magnetosferze *Rorschacha* rysowały się wielkie pętle. Niewidoczne dla ludzkich oczu, nawet na taktycznym obrazie były mocno niewyraźne - dipolowe paski rozsiały się po niebie tak rzadko, że nawet Kapitan musiał zgadywać. Nowe makrostruktury wisiały pośrodku magnetosfery jak zagnieżdżone kardany jakiegoś wielkiego, urojonego żyroskopu.

- Widzę, że nie zmieniliście wektora - stwierdził *Rorschach*. - Naprawdę nie zalecamy dalszego podejścia. Poważnie. Przez wzgląd na wasze bezpieczeństwo.

Szpindel pokręcił głową.

- Ej, Mandy, ten *Rorschach* gada coś do Diabełka?

- Nawet jeśli, to ja tego nie widzę. Ani padającego światła, ani skierowanego promieniowania EM. - Uśmiechnęła się ponuro. - Chyba rzeczywiście prześliznął się pod radarem. I nie mów do mnie „Mandy”.

Tezeusz jęknął, skręcając. Zachwiałem się w niskiej pseudograwitacji, musiałem się czegoś przytrzymać.

- Korekta kursu - rzuciła Bates. - Jakiś niespodziewany kamień.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Proszę o odpowiedź. Wasz aktualny kurs jest niedopuszczalny. Powtarzam: wasz aktualny kurs jest niedopuszczalny. Stanowczo żądam zmiany kursu.

Sonda szybowała już zaledwie parę kilometrów od przedniej krawędzi *Rorschacha*. Z tak bliska przesyłała nam o wiele więcej niż pola magnetyczne: obraz samego *Rorschacha* w symbolice jaskrawych, taktycznych kolorów. Niewidzialne krzywe i impulsy skrzyły się w ConSensusie dowolnymi schematami barwnymi: grawitacja, odbijanie światła, emisja cieplna. Eksplodujące z czubków kolców potężne elektryczne wyładowania oddawał cytrynowym pastelem. Przyjazna dla użytkownika grafika zmieniła *Rorschacha* w obiekt z kreskówki.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Proszę o odpowiedź.

Tezeusz zawarczał, zygzakując. Na ekranie taktycznym sześć tysięcy metrów po prawej stronie przeleciał kolejny dopiero co namierzony kosmiczny śmieć.

- *Rorschach* do *Tezeusza*. Jeśli nie możecie odpowiedzieć, proszę... Niech to szlag!

Kreskówkowa sylwetka zamigotała i zgasła.

Zauważyłem jednak, co się stało w ostatniej chwili: Diabełek przeleciał blisko którejś z niewidzialnych pętli; wyskoczył język energii, szybki jak u żaby; i koniec transmisji.

- Teraz widzę, co knujecie, lachociągi. Myślicie, że my tu, kurwa, ślepi jesteśmy?!

Sascha zacisnęła zęby.

- My...

- Nie - powiedział Sarasti.

- Ale on nam...

Sarasti zasyczał z głębi gardła. W życiu nie słyszałem ssaka wydającego taki dźwięk. Sascha natychmiast zamilkła.

Bates walczyła z ustawieniami instrumentów.

- Mam jeszcze... zaraz...

- Macie to, kurwa, natychmiast zabrać, słyszycie, kutafony? Już!

- Mam ją. - Bates zgrzytnęła zębami, wznawiając transmisję. - Trzeba było tylko z powrotem złapać jej laser.

Sonda została porządnie wykopana z kursu - jakby przechodziła przez bród w rzece, trafiła na przydenny prąd i wessało ją w wodospad - ale wciąż mówiła i się poruszała.

Ledwo co. Diabełek chwiał się i zataczał bezwładnie w ciasnych splotach magnetosfery *Rorschacha*. Przed jego okiem potężniał artefakt. Transmisja się przycinała.

- Podchodzić dalej - powiedział spokojnie Sarasti.

- Bardzo chętnie - wycedziła przez zęby Bates. - Próbuję.

Tezeusz znów opadł, wchodząc w korkociąg. Przysięgłbym, że przez chwilę usłyszałem zgrzyt łożysk bębna. Przez ekran pożegłowała kolejna skała.

- Myślałem, że śledzicie te rzeczy - sarknął Szpindel.

- *Tezeusz*, chcecie rozpocząć wojnę? Myślicie, że macie jakieś szanse?

- Nie atakuje - powiedział Sarasti.

- A może? - Bates nie podnosiła głosu. Widziałem, ile ją to kosztuje. - Jeśli *Rorschach* kontroluje tory tych...

- Rozkład normalny. Nieznaczne korekty kursu. - Miał na myśli to, że nieznaczne statystycznie; reszcie przyspieszenia i rżenia kadłuba statku wydawały się dość znaczne.

- A, no tak - powiedział nagle *Rorschach*. - Już rozumiemy. Myślicie, że tu nikogo nie ma, prawda? Jakiś konsultant za grube pieniądze mówi wam, że nie ma się czym przejmować.

Diabełek był głęboko w lesie. Przez zmniejszoną przepustowość łącza straciliśmy większość taktycznych nakładek. W słabym widzialnym świetle potężne zębate kolce *Rorschacha*, każdy wielkości wieżowca, jawiły się koszmarem ze wszystkich stron. Transmisja się zacinała, Bates z trudem udawało się utrzymać na osi promienia lasera. ConSensus malował na ścianach i w przestrzeni zawile dane telemetryczne. Nie miałem zielonego pojęcia, co znaczą.

- Myśleliście, że jesteśmy tylko chińskim pokojem - zadrwił *Rorschach*.

Diabełek runął na kurs zderzeniowy, łapiąc się, czego tylko mógł.

- Wasz błąd, *Tezeusz*.

Uderzył w coś.

I nagle nasz widok eksplodował *Rorschachem* - bez załamujących światło nakładek, profili, symulacji w nienaturalnych kolorach. Oto był, nagi nawet dla ludzkich oczu.

Wyobraźcie sobie cierniową koronę, powyginaną, ciemną, matową, zbyt splątaną, by dała się nałożyć na jakąkolwiek ludzką głowę. Umieście ją na orbicie wokół zepsutej gwiazdy, której odbite półświatło ledwo obrysowuje kontury jej własnych satelitów. Sporadyczne krwawe rozbłyski połyskują z zakamarków i zagłębień jak wygasające węgielki, podkreślając tylko dookolny mrok.

Wyobraźcie sobie artefakt uosabiający mękę, coś tak poskręcanego i zniekształconego, że nawet patrząc poprzez niezliczone lata świetlne oraz niewyobrażalne różnice w biologii i myśleniu, nie da się nie czuć, że sama ta konstrukcja cierpi ból.

A teraz powiększcie go do rozmiarów miasta.

Migotał, gdy się weń wpatrywaliśmy. Na zakrzywionych w tył tysiącmetrowych kolcach zapalały się łuki błyskawic. ConSensus pokazywał nam oświetlony błyskami krajobraz piekła, rozległy, mroczny i powichrowany. Nakładki oszukiwały. Ani trochę nie był piękny.

- Teraz już za późno - powiedziało coś z jego wnętrza. - Teraz już nie żyjecie, wszyscy, co do

jednego. Susan? Jesteś tam, Susan? Ty giniesz pierwsza.

Nigdy nie zamykali za sobą włazów. W kopule łatwo było się zagubić, widząc rozciągającą się na sto osiemdziesiąt stopni w każdej osi pustą, nieskończoną przestrzeń. Potrzebowali tej pustki, ale chcieli mieć w niej jakąś kotwicę; łagodne, zabłąkane światło od strony rufy, delikatny powiew z bębna, odgłosy ludzi i maszyn nieopodal. Żeby mieć jedno i drugie naraz.

Ja czekałem w bezruchu. Odczytawszy milion oczywistych sugestii w ich zachowaniu, zdążyłem zaszyć się w dziobowej śluzie, zanim mnie minęli. Dałem im parę minut i zakradłem się na zaciemniony mostek.

- Oczywiście, że odezwali się do niej po imieniu - mówił Szpindel. - Znają tylko to jedno imię. Nie pamiętasz? Sama im powiedziała.

- Tak. - Michelle nie widziała w tym pociechy.

- Zaraz, ale to wyście mówili, że gadamy z chińskim pokojem. Czyli myliliście się?

- My? Nie. Oczywiście, że nie.

- Czyli on naprawdę nie groził Suze, co nie? Nie groził nikomu. Nie miał pojęcia, co gada.

- Isaac, on jest oparty na regułach. Idzie po jakimś schemacie blokowym, który opracował, obserwując ludzki język w akcji. I te reguły jakimś sposobem kazały mu zareagować groźbami użycia siły.

- Ale skoro on nawet nie wie, co mówi...

- Nie wie. Nie ma prawa. Analizowaliśmy jego frazy na dziewiętnaście różnych sposobów, próbowaliśmy wszystkich możliwych długości jednostek konceptualnych... - Długi głęboki wdech. - Ale, Isaac, on zaatakował sondę.

- Diabełek podleciał za blisko do którejś z tych elektrod. Przeszła iskra i tyle.

- Czyli nie uważasz, że *Rorschach* jest wrogi?

- Wrogi - powiedział w końcu Szpindel. - Przyjazny. Nauczyliśmy się tych słów na Ziemi, nie? Nie mamy pojęcia, czy tutaj się w ogóle do czegoś nadają. - Jego usta delikatnie cmoknęły. - Ale myślę, że może to być coś w rodzaju „wrogiego”.

Michelle westchnęła.

- Isaac, nie ma powodu... rozumiesz, to nie ma sensu, żeby był. Nie mamy niczego, co mógłby chcieć.

- Żąda, żeby mu dać spokój - odparł Szpindel. - Nawet jeśli nie mówi tego poważnie.

Przez chwilę unosili się w milczeniu, wysoko, za grodzia.

- Dobrze, że ekranowanie wytrzymało - odezwał się wreszcie Szpindel. - To już coś. - Mówił nie tylko o Diabełku; nasza skorupa była teraz pokryta tym samym materiałem. Zużyliśmy dwie trzecie posiadanych substratów, ale nikt nie chciał polegać na samych polach statku w obliczu czegoś robiącego takie numery ze spektrum elektromagnetycznym.

- Co zrobimy, jeśli nas zaatakują? - zapytała Michelle.

- Dowiemy się maksymalnie dużo. I będziemy kontratakować. Dopóki się da.

- Jeśli się da. Isaacu, popatrz tylko na to. Nie obchodzi mnie, czy to embrion, czy nie embrion. Powiedz mi po prostu, że jest jakaś nadzieja, że mamy jakąś szansę

- Szansę... no nie wiem. Ale nadzieję na pewno.

- Przedtem mówiłeś co innego.

- Ale zawsze jest jakiś sposób, żeby wygrać.

- Gdybym ja to powiedziała, nazwałbyś to chciejstwem.
- I tak by było. Ale mówię to ja, więc to teoria gier.
- Jezus, Isaacu, znowu ta teoria gier.
- Czekaj, posłuchaj. Myślisz o obcych tak, jakby byli jakimiś ssakami. Zwierzętami, które troszczą się o własne inwestycje.

- A skąd wiadomo, że nie?
- Nie da się chronić potomstwa odległego od ciebie o wiele lat świetlnych. Oni są zdani tylko na siebie, a wszechświat wielki, zimny i niebezpieczny, więc większości się nie uda, nie? Najlepiej więc natłuc miliony dzieci i mieć mizerną pociechę z faktu, że kilkorgu zawsze się poszczęści. Myślenie całkiem obce ssakom, Miesz. Chcesz jakiegoś ziemskiego porównania, pomyśl o nasionach mniszka. Albo o śledziach.

Łagodnie westchnienie.

- Czyli są międzygwiazdowymi śledziami. To wcale nie znaczy, że nie mogą nas zmiażdżyć.
- Tylko że nie wiedzą o nas, nie z góry. Dmuchawce nie wiedzą, z czym przyjdzie im się zmierzyć, zanim wykiełkują. Może z niczym. Może z jakimś paralitycznym zielskiem, które jest miękkie jak trawa na wietrze. A może z czymś, co kopnie je w dupę tak, że polecą do obłoku Magellana. Nie wiedzą i nie ma jakiejś uniwersalnej strategii przetrwania. Coś znakomicie działającego przeciwko jednemu graczowi, zda się na nic przeciwko innemu. Najlepiej więc mieszać strategię, opierając się na prawdopodobieństwie. Jak rzut obciążonymi kośćmi, który daje ci najlepszy średni wynik w całej grze, mimo że parę razy spieprzyłeś i wybrałeś złą strategię. Taki jest koszt. A to oznacza - to oznacza! - że słabi gracze nie tylko mogą wygrać z lepszymi, ale od czasu do czasu statystycznie musi się tak stać.

Michelle parsknęła.

- To jest ta twoja teoria gier? Papier, nożyce, kamień plus statystyka?

Szpindel chyba nie załapał aluzji. Chwilę się nie odzywał, dość długo, by wyszukać odpowiedź; potem zarżał jak koń.

- Papier, nożyce, kamień! Jasne!

Michelle trawiła to przez chwilę.

- Super, że spróbowałaś, ale to zadziała tylko jeśli druga strona gra na chybił trafił, a skoro z góry wiedzą, z kim mają do czynienia, wcale nie muszą tak robić. Bo oni, kotku, mają o nas całkiem sporo informacji...

Grozili Susan. Z imienia.

- Wszystkiego nie wiedzą - upierał się Szpindel. - A ta zasada sprawdza się dla dowolnego scenariusza z niepełną informacją, nie tylko ekstremum, w którym przeciwnik nic nie wie.

- Ale nie tak dobrze.

- Trochę, a to już daje nam szansę. Kiedy trwa rozdanie, nie ma już znaczenia, jak dobra jesteś w pokera, nie? Karty przychodzą z takim samym prawdopodobieństwem.

- No to już wiem, w co gramy. W pokera.

- Ciesz się, że nie w szachy. Nie mielibyśmy żadnych szans.

- Ej, to ja mam robić w tym związku za optymistę.

- I robisz. Ja jestem po prostu pogodnym fatalistą. Wszyscy wchodzimy na scenę w połowie sztuki, staramy się jak możemy, ale zginiemy dobrze przed końcem.

- Cały Isaac. Mistrz scenariuszy bez szans.

- Da się wygrać. Wygrywa ten, kto najlepiej oceni, jaki będzie wynik.

- Czyli naprawdę po prostu zgadujesz.

- Tia. Bez danych nie da się snuć świadomych domysłów, nie? Zresztą możliwe, że my pierwsi się dowiemy, co się stanie z całą ludzkością. Jak dla mnie, to awans co najmniej do półfinałów.

Michelle przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. A gdy się odezwała, nie usłyszałem, co mówi.

Szpindel też.

- Słucham? - zapytał.

- „Z niewidocznych na niezwykłych”, mówiłeś. Pamiętasz?

- Uhm. Dzień Pełnoletności Rorschacha.

- Kiedy to będzie?

- Nie mam pojęcia. Ale na pewno tego nie przeoczmy. I dlatego nie wydaje mi się, że on nas atakuje.

Spojrzała nań pytająco.

- Bo kiedy już to zrobi, to nie klepnie nam z liścia jak jakiś frajer - powiedział. - Kiedy ten skurwiel się uniesie, wszyscy zauważymy.

Nagle coś mi mignęło z tyłu. Odwróciłem się w ciasnym przejściu i stłumiłem krzyk: coś węzowym ruchem skryło się za rogiem, coś z kończynami, ledwo dostrzeżone, natychmiast zniknęło.

Nic tam nie było. Nie mogło być. Niemożliwe.

- Słyszałaś? - zapytał Szpindel.

Uciekłem w stronę rufy, zanim Michelle zdążyła odpowiedzieć.

* * *

Zeszliśmy tak nisko, że nieuzbrojone oko nie widziało już dysku, ba, w ogóle nie dostrzegało krzywizny. Opadaliśmy ku ścianie, potężnej płaszczyźnie ciemnych, skłębionych burzowych chmur, rozciągających się we wszystkie strony aż po nowy, nieskończenie odległy horyzont. Ben wypełniał pół wszechświata.

I spadaliśmy dalej.

Daleko pod nami Diabełek przyssał się do kolczastej powierzchni *Rorschacha* odbijaczami ze szczeciniastymi przylgami, jak u gekona, i rozbił obóz. Strzelał w podłoże rentgenem i ultradźwiękami, postukiwał palcami i nasłuchiwał echa, podkładał mikroładunki wybuchowe i mierzył rezonans detonacji. I sypał nasionami jak pyłkiem kwiatowym: tysiącami maleńkich sond i czujników, z własnym napędem, krótkowzrocznych, głupich i doskonale zastępowalnych. Zdecydowana większość szła przypadkowi na ofiarę; zaledwie jedna na sto przeżywała wystarczająco długo, by zwrócić jakąś sensowną telemetrię.

Nasz zwiadowca badał otoczenie, tymczasem *Tezeusz* sporządzał z lotu ptaka mapy w większej skali. I też wypluwał tysiące jednorazowych próbników, rozsiewając je po niebie i zbierając stereoskopowe dane z tysiąca różnych punktów widzenia.

W bębnie te obserwacje sklejały się w całość. Skóra *Rorschacha* składała się w sześćdziesięciu procentach z nadprzewodzących nanorurek węglowych. Wnętrze było w dużej mierze puste; wydawało się, że przynajmniej część tych komór zawiera atmosferę. Jednak żadna ziemską formą życia nie przetrwałaby tam ani chwili; wokół konstrukcji i na wskroś niej kipiały zawile topografie sił elektromagnetycznych i radiacji. W niektórych miejscach promieniowanie było tak silne, że spopieliłoby nieosłonięte białko w sekundę; bardziej zaciszne zakątki w tym samym czasie zaledwie by je zabiły. Naładowane cząstki pędziły z relatywistycznymi prędkościami po

niewidzialnych torach wyścigowych, wyskakując z zębatach otworów, lecąc wzdłuż krzywych pola magnetycznego o natężeniu bliskim gwiazdom neutronowym, wypadając łukami w przestrzeń i wracając z powrotem ku czarnej masie. Co jakiś czas puchły i pękały protuberancje, uwalniając chmury stałych mikrocząstek, siejąc nimi jak zarodnikami po pasach radiacyjnych. Najbardziej ze wszystkiego *Rorschach* przypominał gniazdo splątanych ze sobą, na wpół odsłoniętych cyklotronów.

Ani Diabełek w dole, ani *Tezeusz* na górze nie dostrzegali żadnych wejść, poza owymi nieprzebytymi szczelinami wypływającymi strumienie naładowanych cząstek albo zasysającymi je z powrotem. Zbliżaliśmy się, ale nie widzieliśmy śluz, włazów ni wizjerów. Groził nam za pośrednictwem promienia lasera, co sugerowałoby istnienie jakichś optycznych anten czy macierzy gęsto skupionych - lecz nie zauważyliśmy niczego choćby z grubsza podobnego.

Główną charakterystyką maszyn von Neumanna jest samoreprodukcja. Czy *Rorschach* spełnia to kryterium - czy po osiągnięciu jakiegoś krytycznego progu będzie pączkował, dzielił się czy coś rodził? - pytanie pozostawało otwarte.

Jeden z tysięcy. Na koniec - pomierzywszy to wszystko, poteoretyzowawszy, podedukowawszy i nadomyślawszy się - weszliśmy na orbitę z milionem banalnych pytań i zerem odpowiedzi. Jedną rzecz wiedzieliśmy na pewno.

Na razie *Rorschach* wstrzymuje ogień.

* * *

- Dla mnie to brzmiało, jakby wiedział, co mówi - zauważyłem.

- W tym sęk - powiedziała Bates.

Nie miała komu się zwierzyć, nie uczestniczyła w żadnych intymnych dialogach, które dałoby się podsłuchać. Z nią starałem się rozmawiać wprost.

Tezeusz rodził potomstwo, po dwa w miocie. Wyglądało paskudnie - opancerzone, spłaszczone jaja, dwa razy większe od ludzkiego tułowia i najeżone narzędziami: antenami, portami optycznymi, chowanymi piłami strunowymi. Lufami uzbrojenia.

Bates robiła przegląd wojsk. Unosiliśmy się nad głównym wylotem fabrykatora, u podstawy kręgosłupa *Tezeusza*. Wytwórnia mogła równie dobrze wypluć tych żołnierzy od razu do ładowni pod pancierzem, bo i tak tam będą przechowywani aż do wezwania - ale Bates chciała każdego skontrolować wzrokowo, zanim każe mu odmaszerować kilka metrów do śluzy. Pewnie taki rytuał. Wojskowa tradycja. Na pewno gołym okiem nie dostrzegłaby nic, czego nie wykryłaby w sekundę choćby najprostszą diagnostyką.

- Byłby z tym kłopot? - zapytałem. - Puścić je bez twojego interfejsu?

- Same świetnie sobie radzą. Czas reakcji nawet się poprawia, kiedy w sieci nie ma spamu. Ja jestem raczej takim zabezpieczeniem.

Tezeusz zawarczał, znów zmieniając orientację. Po pancierzu przeszła ku rufie wibracja; kolejny orbitalny śmieć już nie stał nam na drodze. Pakowaliśmy się na równikową orbitę, zaledwie parę kilometrów od artefaktu; ale ścieżka podejścia jakimś obłąkanym sposobem przechodziła przez środek pasa akrecyjnego.

Reszta się tym nie przejmowała.

- Co robisz, żeby przeżyć na autostradzie, na lewym pasie? - zapytała Sascha, pogardzając moimi złymi przeczuciami. - Spróbuj tylko się wlec, a już nie żyjesz. Musisz przyspieszyć i jechać

równy z innymi.

Tylko że ci inni latali chaotycznie; odkąd *Rorschach* przestał do nas gadać, nie minęło nawet pięć minut bez korekty kursu.

- Kupujesz to? - zapytałem. - Rozpoznanie wzorców, puste groźby? Nie ma się czym przejmować?

- Nikt jeszcze do nas nie strzelał - odparła. To znaczyło: nie w ostatniej sekundzie.

- A co sądzisz o argumencie Susan? Inne nisze, brak powodów do konfliktu.

- Chyba jest całkiem sensowny. - Gówny wart.

- Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dlaczego coś tak różniącego się chciałoby nas jednak zaatakować?

- To zależy - odrzekła - czy sama inność nie jest wystarczającym powodem.

W jej topologii widziałem odbicia bitew z dziecięcych placów zabaw. Przypomniałem sobie własne i zacząłem się zastanawiać, czy bywają jakiegokolwiek inne.

Ale ten argument przecież popierał tezę. Ludzie naprawdę nie walczą o odcień skóry czy ideologię - to tylko wygodne wskazówki do identyfikacji „swoich”. Wszystko zawsze sprowadza się do więzów krwi i ograniczonych zasobów.

- Isaac pewnie stwierdziłby, że to całkiem nie tak - powiedziałem.

- Chyba. - Bates odesłała jednego pomrukującego trepa do ładowni; pojawiły się w szyku kolejne dwa, pancerz lśnił w świetle okrętowego kręgosłupa.

- Ile ich robisz?

- Siri, my się do nich włamujemy. Głupio byłoby zostawiać własny dom bez opieki.

Przyjrzałem się jej płaszczyznom, tak jak ona pancerzom żołnierzy. Tuż pod powierzchnią gotowało się od wątpliwości i uraz.

- Trudny moment dla ciebie - zauważyłem.

- Dla wszystkich.

- Ale to twój obowiązek: bronić nas przed czymś, o czym nic nie wiadomo. Domyślamy się tylko, że...

- Sarasti się nie domyśla - powiedziała Bates. - Nie bez powodu jest dowódcą. Kwestionowanie jego poleceń niespecjalnie ma sens, skoro wszystkim nam brakuje ze sto punktów IQ, żeby w ogóle zrozumieć odpowiedź.

- A jednak ma jeszcze tę drugą twarz, drapieznika, o której w ogóle się nie mówi - odparłem. - Na pewno mu trudno, taki umysł koegzystujący z taką porcją instynktownej agresji. Musi pilnować, żeby odpowiednia strona wygrała.

W jednej chwili pomyślała: czy też Sarasti nie słucha? Później doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia: co go obchodzi, co myśli bydlę, o ile robi wszystko, co mu rozkażą?

I powiedziała tylko:

- Myślałam, że wam, żargonautom, nie wolno mieć własnego zdania.

- Ono nie było moje.

Bates zamilkła. Z powrotem zajęła się przeglądem.

- Aha. - Pierwszy trep z pary przeszedł lustrację i mruczając, popłynął wzdłuż kręgosłupa. Zwróciła się ku drugiemu. - Ty upraszczasz sprawę. Żeby ci goście na Ziemi wiedzieli, co kombinują specjaliści.

- Częściowo tak.

- Ja, Siri, nie potrzebuję tłumacza. Jestem tylko konsultantką, jeśli wszystko idzie dobrze. A jeśli nie, ochroniarzem.

- Jesteś oficerem i wojskowym ekspertem. Powiedziałbym, że masz aż nadto kwalifikacji, żeby oszacować potencjalne zagrożenie ze strony *Rorschacha*.

- Ja jestem fizycznym. Nie powinieneś raczej „upraszczać” Jukki czy Isaaca?

- Przecież to robię.

Spojrzała na mnie.

- Wchodzisz w interakcje - wyjaśniłem. - Wszystkie składniki systemu wpływają na siebie wzajemnie. Przetwarzać Sarastiego, nie biorąc ciebie pod uwagę, to jak liczyć przyspieszenie, pomijając masę.

Znów odwróciła się do swego wylęgu. Drugi robot przeszedł inspekcję.

To nie mnie nienawdziła. Nie podobało się jej, co sugeruje moja obecność.

Nie powiedziała tego na głos, ale wiedziałem co myśli: obojętne, jak jesteśmy wykwalifikowani, o ile wyprzedzamy resztę stada. A może właśnie dlatego. Jesteśmy skażeni. Jesteśmy subiektywni. Więc wysyłają z nami Siriego Keetona, żeby im mówił, o co nam naprawdę chodzi.

- Rozumiem to - powiedziałem po chwili.

- O, naprawdę?

- Pani major, tu nie chodzi o zaufanie. Ale o położenie. Nikt nie widzi dobrze systemu ze środka. Bo ma zniekształcony widok.

- A twój nie jest zniekształcony?

- Ja jestem poza systemem.

- Teraz wchodzisz ze mną w interakcję.

- Tylko jako obserwator. Ideał jest nieosiągalny, ale nie jest „nieprzybliżalny”, prawda? Nie odgrywam żadnej roli w podejmowaniu decyzji, ani badaniach, nie zakłócam żadnych aspektów misji, które mam badać. Lecz oczywiście mogę zadawać pytania: im więcej mam informacji, tym lepiej analizuję.

- Myślałam, że nie musisz pytać. Myślałam, że tacy goście po prostu... nie wiem... odczytują znaki, czy coś.

- Ale pomaga każdy strzęp informacji. To wszystko się liczy.

- Robisz to teraz? Syntetyzujesz?

Kiwnąłem głową.

- I robisz to bez żadnej specjalistycznej wiedzy?

- Jestem tak samo specjalistą, jak ty. Specjalizuję się w przetwarzaniu topologii informacyjnych.

- Nie rozumiejąc ich zawartości.

- Wystarcza mi rozumienie kształtu.

Bates znalazła chyba jakąś niedoskonałość w lustrowanym robocie, bo poskrobała paznokciem jego pancerz.

- Nie mogą tego robić programy? Bez twojej pomocy?

- Programy mogą robić dużo rzeczy. Ale niektóre chcemy robić sami. - Wskazałem brodą robota. - Na przykład inspekcję żołnierzy.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Dlatego namawiam, żebyś rozmawiała ze mną swobodnie. Wiesz przecież, że przysięgłem zachować tajemnicę.

- Dzięki - odparła, myśląc: na tym statku nie ma czegoś takiego.

Tezeusz zagrał melodyjkę. Potem odezwał się Sarasti.

- Wejście na orbitę za piętnaście minut. Za pięć widzę wszystkich w bębnie.

- No - powiedziała Bates, odsyłając ostatniego trepa. - Załatwione. - Odbiła się i poszybowała wzdłuż kręgosłupa.

Nowo narodzone maszyny do zabijania cyknęły na mój widok. Pachniały jak nowe samochody.

- Tak na marginesie - rzuciła Bates przez ramię - przeoczyłeś ten najoczywistszy.

- Słucham?

Na końcu przejścia obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i wylądowała jak akrobatka tuż przy wejściu do bębna.

- Powód. Dlaczego coś miałoby nas atakować, skoro nic interesującego nie mamy?

Odczytałem to z jej topologii:

- Gdyby w ogóle nie atakowało. Gdyby tylko się broniło.

- Pytałeś o Sarastiego. Inteligentny facet. Silny przywódca. Może tylko mógłby spędzać trochę więcej czasu z załogą.

Ale wampir nie słucha jego rozkazów. Ignoruje rady. Połowę czasu się ukrywa.

Przypomniałem sobie wędrowne orki.

- Może przez szacunek dla naszych uczuć. Wie, że robimy się przy nim nerwowi.

- Na pewno właśnie o to chodzi - odrzekła Bates.

Wampir sam sobie nie ufa.

* * *

Nie tylko Sarasti. One wszystkie się przed nami ukrywały, nawet kiedy miały przewagę. Zawsze starały się pozostać tuż pod progiem mitu.

Zaczęło się tak samo jak ze wszystkimi innymi: wampiry w żadnym razie nie były pierwszymi istotami poznającymi walory oszczędzania energii. Ryjówki i kolibry, wyposażone w małe ciała i podkreślane zegary metaboliczne, zdechłyby z głodu pierwszej nocy, gdyby nie odrętwienie, w jakie zapadają o zachodzie słońca. Pograżone w śpiączce słonie morskie czają się, nie oddychając, na dnie morza, podnosząc się tylko, kiedy przepływa ofiara albo poziom kwasu mlekowego przekroczy poziom alarmowy. Niedźwiedzie i pręgowce tną koszty, przesypiając ubogie zimowe miesiące, a ryby dwudyszne - posiadaczki dewońskich czarnych pasów w sztuce estywacji - umieją zwinąć się w kłębek i umrzeć na całe lata w oczekiwaniu na deszcz.

Z wampirami to trochę inna sprawa - nie chodziło o brak oddechu, za szybki metabolizm czy jakąś śniegową kołdrę co zimę odcinającą spiżarnię. Problemem była nie tyle zbyt mała liczba ofiar, ile za mała różnica względem nich; wampiry oddzieliły się od wspólnego drzewa tak niedawno, że rozmnażały się nadal w tym samym tempie. Nie była to typowa dla lasu dynamika układu ryś-zając - sto razy więcej ofiar niż drapieżców. Wampiry żywiły się istotami mnożącymi się niewiele szybciej niż one same. Gdyby nie nauczyły się przykręcać kurka, zasoby pożywienia zniknęłyby bardzo szybko.

Do czasu, kiedy wyginęły, umiały już wyłączać się na całe dziesięciolecia.

Powody były dwa: nie tylko sama redukcja potrzeb metabolicznych na czas, kiedy ofiary rozmnażają się z powrotem do liczebności pozwalającej na polowanie; to także dawało nam czas, aby zapomnieć, że jesteśmy ofiarami. W plejstocenie byliśmy już tak inteligentni, że stać nas było na tani sceptycyzm; skoro przez całe życie na sawannie nie widziałeś żadnych żerujących nocą demonów, to czemu miałbyś wierzyć jakimś starczym bredniom rozsnuwanym przy ognisku przez

matkę matki?

Dla naszych przodków byli zabójczy, mimo że te same geny - już współpracujące - służą nam tak świetnie pół miliona lat później, gdy oddaliśmy się od Słońca. Lecz myśl, że Sarasti czuje parcie tych innych genów, tę niechęć do pozostawiania widocznym przez dłuższy czas, ukształtowaną przez dobór naturalny na przestrzeni pokoleń, była prawie - tak myślę - krzepiąca. Może, siedząc z nami, przez cały czas walczył z głosami nagłącymi go, żeby się schował, ukrył, pozwolił im zapomnieć. Może kiedy stawały się zbyt donośne, wycofywał się, może czuł się przy nas tak samo nieswojo, jak my przy nim.

Zawsze można mieć nadzieję.

* * *

Nasza ostateczna orbita łączyła w równych proporcjach odwagę i rozważę.

Rorschach opisywał idealne równikowe koło - 87900 kilometrów od środka ciężkości Big Bena. Sarasti nie chciał spuszczać go z oka, zresztą nie trzeba być wampirem, by lecąc przez przesyconą promieniowaniem zamieć kamieni i maszyn, nie dowierzać satelitom przekąźnikowym. Dopasowanie orbit stanowiło oczywistą alternatywę.

Tymczasem cała debata, czy *Rorschach* mówił poważnie - czy choćby rozumiał, co mówi - rzucając groźby, stała się trochę nieistotna. Tak czy owak, kroki przeciwdziałające inwazji stawały się prawdopodobne, a nasze zbliżanie się tylko to ryzyko zwiększało. Sarasti wypracował zatem pewien optymalny kompromis, lekko mimośrodową orbitę, w perygeum prawie ocierającą się o artefakt, przez większość czasu jednak zachowującą powściągliwą odległość. Trajektoria była dłuższa niż orbita *Rorschacha* i wyższa - na opadającym łuku musieliśmy pomagać sobie napędem, żeby nie wypaść z fazy - ale w zamian otrzymywaliśmy nieprzerwany kontakt wzrokowy, a w zasięgu ciosu znajdowaliśmy się tylko przez trzy najniższe godziny.

To znaczy, w zasięgu naszego ciosu. Z tego, co wiedzieliśmy, *Rorschach* mógł sięgnąć i capnąć nas z nieba, zanim jeszcze opuściliśmy Układ Słoneczny.

Sarasti wydawał rozkazy ze swego namiotu. Gdy *Tezeusz* szybował ku apogeum, ConSensus przyniósł do bębna jego głos:

- Teraz.

Diabełek rozbił wokół siebie namiot, bąbel przyklejony do kadłuba *Rorschacha*, na wpół nadmuchany znikomą ilością azotu. Teraz ustawił lasery w pogotowiu i zaczął wiercić: jeśli dobrze odczytaliśmy z wibracji, podłoże pod nim powinno mieć zaledwie trzydzieści cztery centymetry grubości. Promienie się zacinały, tnąc, pomimo sześciomilimetrowego, domieszkowanego ekranowania.

- Jasna cholera - mruknął Szpindel. - Działa.

Przepaliliśmy twardą włóknistą epidermę. Przepaliliśmy żyły izolacji, które mogły być zrobione z czegoś w rodzaju programowalnego azbestu. Przepaliliśmy naprzemienne warstwy nadprzewodzących siatek i przedzielających je węglowych łusek.

Przebiliśmy się.

Lasery natychmiast się wyłączyły. Gazy jelitowe *Rorschacha* w parę sekund napięły powłokę namiotu. Czarny, węglowy dym wił się i tańczył w nagle zgęstniałej atmosferze.

I nic do nas nie strzelało. Nic nie reagowało. ConSensus gromadził odczyty ciśnień parcjalnych:

metan, amoniak, wodór. Mnóstwo pary wodnej, zamarzającej natychmiast po pomiarze.

- Atmosfera redukcyjna - mruknął Szpindel. - Sprzed efektu kuli śniegowej. - W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

- Może to nie jest dokończone - podsunęła James. - Jak i sama konstrukcja.

- Może.

Diabełek wysunął język, gigantyczny mechaniczny plemnik z mięśniowo-światłowodową wtką. Główka była gruboskórnym rombem, co najmniej połowę przekroju stanowiła ceramiczna skorupa. Maleńki ładunek czujników w środku miał skromne możliwości, ale za to był dość mały, żeby precyzyjnie się przecisnąć przez wycięty laserem otwór o średnicy ołówka. Wpełzł do środka, posuwając *Rorschacha* w świeżo wywierconą dziurkę.

- Ciemno - zauważyła James.

Bates:

- Ale za to ciepło. 281°K. Powyżej zera Celsjusza.

Endoskop pełził przez mrok. Podczerwień serwowała nam ziarnisty, czarno-biały obraz jakby tunelu, pełnego mgły i osobliwych formacji skalnych. Ściany wyginały się jak plaster miodu, jak wnętrze skamieniałego jelita. Im dalej, tym więcej ślepych zachyłków i odgałęzień. Główną substancją tworzącą to ciało był gęsty przekładaniec płatków z włókna węglowego. Szczeliny pomiędzy nimi czasem miały grubość paznokcia, czasem zaś były na tyle szerokie, że można by w nich schować trupa.

- Panie i panowie - rzucił cicho Szpindel - oto Diabelska Bakława.

Mógłbym przysiąc: widziałem, że coś się tam poruszyło. Mógłbym przysiąc, że wyglądało znajomo.

Wtem kamera zdechła.

RORSCHACH

Matki kochają dzieci bardziej niż ojcowie, gdyż mają większą pewność, że są ich własne.

Arystoteles

Nie mogłem pożegnać się z ojcem, nie miałem nawet pojęcia, gdzie jest.

Z Helen żegnać się nie chciałem. Nie miałem ochoty tam wracać. Problem w tym, że nie musiałem. Nie było takiego miejsca na świecie, gdzie góra nie mogłaby po prostu podnieść słuchawki i pójść do Mahometa. Niebo było tylko jednym z przedmieść globalnej wioski, a globalna wioska pozbawiała mnie usprawiedliwienia.

Podłączyłem się z własnego mieszkania. Moje nowe wszczepki - specjalne dla tej misji, wetknięte w głowę zaledwie tydzień temu - przywitały się z noosferą i zapukały do nieba bram. Jakiś nieśmiały duch, budzący zaufanie większe niż święty Piotr, choć nie mniej eteryczny, przyjął moją wiadomość i zniknął.

I już byłem w środku.

Żadnego przedsionka ani sali dla odwiedzających - Niebo nie było przeznaczone dla przypadkowych gości; każdy raj, gdzie uwięzani do ciała czuliby się swojsko, dla mieszkających w nim odcieleśnionych dusz byłby nieznośnie przyziemny. Oczywiście, nic nie każe mieszkańcowi i gościowi posługiwać się tym samym widokiem. Mogłem wziąć sobie z półki dowolną konwencjonalną scenerię, przedstawić ów świat, jak tylko zechcę. Oczywiście oprócz samych Wniebowziętych. Jedną z zalet życia po życiu - tylko im wolno wybierać twarz, jaką zobaczymy.

Lecz istota, w którą zmieniła się matka, nie miała twarzy - zresztą, w życiu nie zobaczy mnie chowającego się za jakąś maską.

- Cześć, Helen.

- Siri! Co za niespodzianka!

Była abstrakcją abstrakcji - niemożliwym przecięciem kilkudziesięciu jaskrawych paneli, jakby ktoś rozmontował, podświetlił i zanimował elementy witraża. Wirowała przede mną jak ławica rybek. Jej świat pasował do ciała: światła, ostre kąty, trójwymiarowe escherowskie figury niemożliwe, piętrzące się jak jaskrawy front burzy. Jakimś sposobem jednak rozpoznałbym ją wszędzie. Niebo było snem - dopiero po przebudzeniu zdajesz sobie sprawę, że napotkane postaci zupełnie nie przypominały siebie z rzeczywistości.

W całym sensorium była tylko jedna znajoma cecha - niebo matki pachniało cynamonem.

Wpatrzyłem się w jej świetlisty awatar i wyobraziłem sobie ciało rozmakające w kadzi z substancjami odżywczymi, głęboko pod ziemią.

- Jak tam?

- Dobrze. Bardzo dobrze. Oczywiście, to wymaga przyzwyczajenia: świadomość, że twój umysł jest nie całkiem twój. - Niebo nie tylko żywiło mózgi swych mieszkańców; żywiło się także nimi, wykorzystywało nadmiarową moc niepracujących synaps do obsługi własnej infrastruktury. - Musisz się tu wprowadzić; im szybciej, tym lepiej. Nigdy nie będziesz chciał stąd wyjechać.

- Właśnie wyjeżdżam - powiedziałem. - Jutro wylot.

- Wylot?

- Do Kuipera. No wiesz, Świetliki.

- No tak. Chyba coś o nich słyszałam. Nie mamy tu zbyt wielu wiadomości ze świata zewnętrznego.

- I tak sobie pomyślałem, że wpadnę się pożegnać.

- Cieszę się. Chciałam porozmawiać z tobą bez... no wiesz.

- Bez czego?

- W cztery oczy, bez ojca.

No nie, znowu.

- Helen, tata jest w terenie. Mamy międzyplanetarny kryzys. Może coś ci się obilo o uszy.

- Pewnie, że tak. Te... przedłużające się delegacje twojego ojca nie zawsze mnie cieszyły, ale może tak naprawdę były szczęściem w nieszczęściu. Im mniej go tu było, tym mniej mógł zrobić.

- Zrobić?

- Tobie zrobić. - Zjawa zastygła na chwilę, odgrywając wahanie. - Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale... Nie. Nie powinnam.

- Co nie powinnaś?

- Rozdrapywać, tego... starych ran.

- Jakich starych ran? - Jak na zawołanie. Nie umiałem się powstrzymać, szkolenie wgrzyło się zbyt głęboko. Nauczyłem się czekać na komendę.

- No... - zaczęła - czasami wracałeś, a byłeś jeszcze bardzo, bardzo mały, z taką zaciętą twarzą, zaciśniętymi zębami, że aż się dziwiłam, czemu jesteś taki zły. Taki mały, na co on może być aż tak zły?

- Helen, o czym ty mówisz? Skąd wracałem?

- Z tych miejsc, gdzie cię zabierał. - Po jej aspektach przeszło coś jakby drżenie. - Wtedy jeszcze był z nami. Nie był taki ważny, zwykły księgowy z fetyszem na punkcie karate, ciągle gadający o kryminalistyce, teorii gier i astronomii, dopóki wszyscy nie usnęli.

Próbowałem to sobie wyobrazić. Ojciec gaduła.

- To do niego niepodobne.

- Pewnie, że nie. Byłeś za mały, żeby to pamiętać, ale wtedy był tylko drobną płotką. Zresztą tak naprawdę nadal jest, pod płaszczykiem tych wszystkich tajnych misji i poufnych narad. Nigdy nie rozumiałam, czemu ludzie tego nie dostrzegają. Ale już wtedy lubił... no cóż, to chyba nie jego wina. Miał bardzo trudne dzieciństwo i nigdy się nie nauczył radzić sobie z problemami jak dorosły. Po prostu rządził się, tak byś to chyba nazwał. Oczywiście przed ślubem o tym nie wiedziałam. Gdybym... ale zobowiązałam się. Podjęłam zobowiązanie i nigdy go nie zламаłam.

- Co? Mówisz, że się nad tobą znęcał? Z tych miejsc, gdzie cię zabierał. - Albo... że nade mną?

- Siri, są różne sposoby maltretowania. Czasem słowa bolą bardziej niż kule. A porzucenie dziecka...

- On mnie nie porzucił. Zostawił mnie z tobą.

- Nas porzucił, Siri. Nieraz wyjeżdżał na całe miesiące, tak że nie wiedziałam.. nie wiedzieliśmy, czy w ogóle wróci. Ale to on tak zdecydował. Nie musiał brać tej pracy, mógł robić tyle innych rzeczy. Do których od lat nie trzeba było ludzi.

Pokręciłem głową, niedowierzając, nie umiejąc powiedzieć głośno: „Nienawidzi go, bo nie miał na tyle przyzwoitości, by stać się zbędny?”.

- To nie jest wina taty, że międzyplanetarne bezpieczeństwo wciąż wymaga ludzi - powiedziałam.

- Owszem, były czasy, kiedy ludzie w naszym wieku musieli pracować, żeby związać koniec z końcem - ciągnęła, jakby mnie nie usłyszała. - Ale ludzie nawet wtedy chcieli spędzać czas z rodziną. Nawet jeśli nie mogli sobie na to pozwolić. I żeby postanowić pracować dalej, kiedy to już nie jest konieczne, to coś... - Rozproszyła się na fragmenty i skupiła z powrotem, na moim ramieniu. - Tak, Siri. Ja myślę, że to rodzaj maltretowania. Zresztą, gdyby twój ojciec był przez te wszystkie lata tak lojalny wobec mnie, jak ja wobec niego...

Wspomniałem Jima, tak jak go ostatni raz widziałem: wdychającego wazopresynę pod niespokojnym wzrokiem robotów-strażników.

- Nie wydaje mi się, żeby był nielojalny wobec ciebie albo mnie - powiedziałem.

Helen westchnęła.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz. Nie jestem kompletną idiotką, widzę jak to się wszystko rozegrało. Przez tyle lat właściwie musiałam sama cię wychowywać. Ja musiałam grać tego złego, wyciągać dyscyplinę, bo ojciec wyjechał na jakąś tajną misję. A potem wracał na tydzień czy dwa i był pupilką wszystkich, bo akurat zechciało mu się wpaść do domu. Nie obwiniam cię za to, jego zresztą też nie. Na tym etapie wina już niczego nie rozwiązuje. Po prostu pomyślałam... no właśnie, że powinieneś wiedzieć. Zrobisz z tym, co zechcesz.

Wspomnienie nasunęło się samo: mając dziewięć lat przyszedłem do łóżka Helen - gładzi mnie po bliźnie, słodki, nieświeży oddech muska policzek. „Siri, teraz jesteś panem domu. Nie możemy już liczyć na twojego ojca. Jesteśmy tylko we dwoje, ty i ja...”.

Przez chwilę się nie odzywałem. Wreszcie zapytałem:

- I co, nie pomogło?

- Nie rozumiem?

Rozejrzałem się po tej zrobionej na zamówienie abstrakcji: wyśnione na jawie wewnętrzne sprzężenie zwrotne.

- Tutaj jesteś wszechmocna. Możesz pragnąć wszystkiego, wszystko sobie wyobrażać. Można by się spodziewać, że bardziej się zmienisz.

Tęczowe kafelki zatańczyły, rozbrzmiały wymuszonym śmiechem.

- To dla ciebie za mała zmiana?

Pewnie.

Bo Niebo ma jeden haczyk: ilekolwiek by zbudowała awatarów i konstruktów, pustych naczyń śpiewających jej hymny pochwalne, lub współczujących, że tyle musiała wycierpieć niesprawiedliwości, w gruncie rzeczy będzie rozmawiać tylko sama ze sobą. Są inne rzeczywistości, nad którymi nie ma kontroli, inni ludzie, niegrający według jej reguł, którzy, jeśli w ogóle o niej myślą, myślą to, co im się żywnie podoba.

Mogłaby spędzić resztę życia, wcale ich nie spotykając. Ale wie, że tam są, i to nie daje jej spokoju. Gdy wychodziłem z Nieba, tknęła mnie myśl: może i jest wszechmogąca, ale na to, by była szczęśliwa we własnym dziele stworzenia, istnieje tylko jedna metoda.

Reszta istot musiałaby zniknąć.

* * *

- To nie powinno się już dziać - powiedziała Bates. - Ekranowanie było porządne.

Banda krzątała się po przeciwnej stronie bębna, porządkując coś w swym namiocie. Sarasti czaił się dziś za kulisami, monitorując działania z kajuty. W mesie zostałem więc ja, Bates i Szpindel.

- Może przeciwko bezpośrednim impulsom. - Szpindel przeciągnął się, stłumił ziewnięcie. - Ultradźwięki czasem wzbudzają pola magnetyczne mimo ekranowania, przynajmniej w żywych tkankach. Myślisz, że coś takiego może się dziać z twoją elektroniką?

Bates rozłożyła ręce.

- Skąd mam wiedzieć? Równie dobrze może tam działać czarna magia i elfy.
- No wiesz, tak ciemni nie jesteśmy. Możemy się czegoś inteligentnie domyślić, nie?
- Na przykład?

Szpindel uniósł palec.

- Warstwy, przez które się przewierciliśmy, nie mogły powstać w żadnym znanym mi procesie metabolicznym. Więc to nie jest „żywe”, przynajmniej w biologicznym sensie. Chociaż, w tych czasach to nic nie znaczy. - Rozejrzał się po brzuchu naszego potwora.

- A życie wewnątrz konstrukcji?

- Atmosfera jest beztlenowa. To pewnie eliminuje szanse na złożone wielokomórkowe organizmy. Może jakieś bakterie, w takim razie cholernie przydałoby się zobaczyć je w próbkach. Ale cokolwiek na tyle złożonego, żeby myśleć, nie mówiąc już o umiejętności zbudowania czegoś takiego - gest w stronę obrazu w ConSensusie - wymaga wysokoenergetycznego metabolizmu, a to oznacza tlen.

- Czyli myślisz, że tam jest pusto?

- Nic takiego chyba nie powiedziałem. Wiadomo, że obcy muszą być tajemniczy i w ogóle, ale zupełnie nie rozumiem, po co ktoś budowałby dla bakterii beztlenowych rezerwat wielkości miasta.

- To musi być środowisko dla kogoś. Po co w ogóle atmosfera, jeśli to tylko jakaś machina do terraformowania?

Szpindel wskazała namiot Bandy.

- Susan już mówiła. Atmosfera jest jeszcze w budowie, więc mamy okazję do darmowej przejażdżki, dopóki nie przyjdą właściciele.

- Darmowej.

- W pewnym sensie. Wiadomo: widzieliśmy ułamek ułamka tego, co tam jest w środku. Ale to coś ewidentnie widziało, że nadlatujemy. Nawet się na nas darło, o ile dobrze pamiętam. Skoro są inteligentni i nieprzyjaźni, dlaczego nie strzelają?

- Może strzelają.

- Jeśli coś się tam kryje i niszczy twoje roboty, to nie robi tego specjalnie szybciej niż typowe tamtejsze środowisko.

- Może twoje „typowe środowisko” to właśnie aktywne działanie przeciwko intruzom? Bo inaczej po co komuś siedlisko nienadające się do zasiedlenia?

Szpindel przewrócił oczyma.

- No dobra, myliłem się. Jesteśmy ciemni i nie damy rady niczego się domyślić.

Mimo że próbowaliśmy. Po sfajczeniu czujników w głowicy Diabełka oddelegowaliśmy ją do rycia w powierzchni; kroczek za kroczkiem poszerzała średnicę naszego pierwszego odwiertu, aż mierzyła prawie metr. My tymczasem konfigurowaliśmy żołnierzy Bates, ekranując ich przeciwko reaktorom atomowym i wnętrsom cyklotronów - a gdy nadchodziło perygeum, ciskaliśmy nimi w *Rorschacha* jak kamieniami w nawiedzony las. Wszystkie wchodziły przez diabełkowy otwór, rozwijając za sobą cienki jak włos światłowód, przekazujący zdobywaną informację przez zjonizowaną atmosferę.

Na ogół ledwo zdążyły mrugnąć. Parę dłuższych ujęć. Widzieliśmy, że ściany *Rorschacha* poruszają się, powolnymi, leniwymi perystaltycznymi falami. Widzieliśmy powstające jakby w lepkim syropie wgłobienia i mozolnie rosnące zwężenia, które zapewne po pewnym czasie przetną cały korytarz. Nasze trepy przechodziły gładko przez niektóre pomieszczenia, w innych się potykały, gdy tło magnetyczne wytrącało je z równowagi. Przechodziły przez osobliwe gardziele wypełnione cienkimi jak brzytwy zębami, tysiącami trójkątnych, spiralnie zakrzywionych ostrzy w równoległych

rzędach. Przemykały ostrożnie obok chmur mgły wyrzeźbionych w abstrakcyjne fraktale, ruchome i nieskończone rekurencyjne; ich naładowane elektrycznie kropelki nanizane na milion zbieżnych linii pola elektromagnetycznego.

I w końcu każdy zdychał lub znikał.

- Da się jakoś wzmocnić to ekranowanie? - zapytałem.

Szpindel spojrział na mnie.

- Wszystko jest ekranowane, poza głowicą z czujnikami - wyjaśniła Bates. - Jeśli ją też zaekranujemy, nic nie będziemy widzieć.

- Ale światło widzialne jest dość nieszkodliwe. Gdyby tak łączyć się tylko opty...

- Komisarzu, my korzystamy z optycznych łącz - wypalił Szpindel. - I zapewne zauważyłeś, że to gówno i tak się przebiję.

- Ale czy nie ma jakichś... - po omacku szukałem słowa - filtrów pasmowych? Czegoś, co przepuści widzialne światło, a wytnie zabójcze częstotliwości po obu stronach?

Parsknął.

- No pewnie. Nazywa się to „atmosfera” i gdybyśmy przytargali ze sobą coś takiego, tylko z pięćdziesiąt razy gęstsze niż na Ziemi, to może trochę by tego koktajlu zablokowało. Owszem, na Ziemi pomaga jeszcze pole magnetyczne, ale nie dałbym sobie uciąć ręki za pola magnetyczne, które nam się uda tam wytworzyć.

- Gdybyśmy tylko nie trafiali na te impulsy - powiedziała Bates. - To jest główny problem.

- One są losowe? - zapytałem.

Szpindel wzruszył ramionami, jakby się wzdrygał.

- Dla mnie to tam nic nie jest losowe. Ale kto to wie? Potrzebujemy więcej danych.

- Których pewnie nie dostaniemy - rzuciła James, idąc ku nam po suficie - jeśli wszystkie roboty będą się tak fajczyć.

Tryb warunkowy był tylko formalnym zabiegiem. Próbowaliśmy grać na prawdopodobieństwo, poświęcając robota za robotem, w nadziei że któremuś się poszczęści; przeżywalność malała wykładniczo do zera ze wzrostem odległości od bazy. Próbowaliśmy opancerzać światłowód, żeby ograniczyć przesłuchy na złączach, lecz opakowana w tyle warstw ferroceramiki smycz robiła się sztywna i kłopotliwa, jakbyśmy wymachiwali botem na kiju. Próbowaliśmy całkiem ją odciąć - wysyłaliśmy maszyny, żeby eksplorowały na własną rękę - mrużąc oczy w dookolnej zamieci i zapisując obserwacje do późniejszego ściągnięcia. Żadna nie wróciła. Próbowaliśmy wszystkiego.

- Możemy sami tam zejść - powiedziała James.

Prawie wszystkiego.

- Prawda - mruknął Szpindel głosem, który nie mógł oznaczać nic innego niż „nieprawda”.

- Tylko w ten sposób dowiemy się czegoś sensownego.

- Otóż to. Na przykład, ile sekund potrzeba, żeby twój mózg zmienił się w synchrotronowy koktajl.

- Nasze skafandry da się izolować.

- Aha, tak jak roboty Mandy?

- Naprawdę bym wolała, żebyś mnie tak nie nazywał - rzuciła Bates.

- Sęk w tym, że *Rorschach* cię zabije, obojętne, czy jesteś mechaniczna, czy białkowa.

- A według mnie w tym, że białko będzie zabijać inaczej - odparła James. - I dłużej to potrwa.

Szpindel pokręcił głową.

- W pięćdziesiąt minut będziesz prawie trupem. Nawet w ekranowaniu. Nawet w tak zwanych chłodnych strefach.

- I zero objawów przez kolejne trzy godziny, albo i więcej. A nawet potem trzeba dni, żeby naprawdę umrzeć, tak że już dawno zdążymy wrócić, a statek połata nas od niechcienia. Isaac, tyle akurat wiemy, masz to przed nosem w ConSensusie. A skoro my to wiemy, ty też to wiesz. Więc tej dyskusji w ogóle nie powinno być.

- To jest twoje rozwiązanie? Co trzydzieści godzin szprycujemy się po uszy promieniowaniem, a potem ja każdemu wycinam guzy i łątam wszystkie komórki po kolei?

- Kapsuły są automatyczne. Nawet nie ruszysz palcem.

- Już nie mówiąc, co te pola magnetyczne porobią z twoim mózgiem. Będziemy halucynować od chwili kiedy...

- Zrobimy ze skafandrów klatki Faradaya.

- Aha, czyli wchodzimy tam głuchoniemi i ślepi. Świetny pomysł.

- Światło możemy wpuścić. Podczerwień...

- To wszystko elektromagnetyka, Suze. Nawet jeśli całkiem zasłonimy hełmy i puścimy sobie obraz kamery, będziemy mieć przeciek tam, gdzie przechodzi kabel.

- Trochę. Ale to i tak lepiej niż...

- Jezu. - Skurcz wystrzelił z kącika ust Szpindla grudkę śliny. - Daj mi Mi...

- Isaac, rozmawiałam już o tym z resztą Bandy. Wszyscy się zgodziliśmy.

- Wszyscy się zgodziliście? Suze, ty nie masz tutaj większości. Pokroiłaś sobie mózg na kawałki, ale to nie znaczy, że każdy z nich ma jeden głos.

- A dlaczego nie? Wszyscy jesteśmy co najmniej tak samo świadomi, jak ty.

- To wszystko ty. Tylko podzielona.

- Ale jakoś nie masz specjalnych problemów, żeby traktować Michelle jak oddzielną osobę.

- Michelle jest... to znaczy, no tak, wszyscy macie całkiem inne osobowości, ale jest tylko jeden oryginał. Twój alterzy...

- Nie mów tak o nas - rzuciła Sascha głosem zimnym jak ciekły tlen. - Nigdy.

Szpindel usiłował się wycofać.

- Ale nie chodziło mi... no wiecie, że przecież...

Sascha zniknęła.

- Co ty gadasz? - rozległ się łagodniejszy głos. - Myślisz, że ja to mama, że ona mnie udaje? Że jak jesteśmy razem, to jesteś z nią?

- Michelle... - powiedział udręczonym głosem Szpindel. - Nie. Ja myślę, że...

- Nie ma znaczenia - uciał Sarasti. - Tutaj się nie głosuje.

Polatywał nad nami pośrodku bębna, z twarzą zakrytą osłoną, nieprzeniknioną. Nikt nie zauważył, kiedy się pojawił. Obracał się powoli wokół własnej osi, tak by cały czas nas widzieć, gdy wirujemy wokół niego.

- Przygotowujemy *Scyllę*. Amanda potrzebuje dwóch trepów bez uwięzi, z uzbrojeniem obronnym. Kamery w paśmie od jednego do miliona angstromów, ekranowane bębniaki, zero autonomicznych obwodów. O trzynastej pięćdziesiąt dla wszystkich wzmocnienie płytek krwi, dimenhydrynat i jodek potasu.

- Dla wszystkich? - zapytała Bates.

Sarasti kiwnął głową.

- Okno otwiera się o czwartej dwadzieścia trzy. - Odwrócił się z powrotem ku kręgosłupowi.

- Ja nie - powiedziałem.

Sarasti się zatrzymał.

- Nie biorę udziału w operacjach terenowych - przypomniałem.

- Teraz już bierzesz.

- Jestem syntetykiem. - Oczywiście, że to wiedział, wszyscy wiedzą: nie da się obserwować systemu, nie pozostając na zewnątrz niego.

- Syntetykiem jesteś na Ziemi - odparł. - Albo w Kuiperze. Tutaj jesteś masą. Rób, co ci każą. Zniknął.

- Witamy w ogólnej perspektywie - powiedziała cicho Bates.

Spojrzałem na nią, gdy reszta grupy się rozpraszała.

- Wiesz, że ja...

- Siri, jesteśmy już bardzo daleko. Dobrze wiesz, że nie da się czekać czternaście miesięcy na odpowiedź od twoich szefów.

Wyskoczyła w górę, gładkim łukiem przebiła się przez hologramy ku nieważkiemu środkowi bębna. Tam jednak zatrzymała się, jakby coś ją tknęło. Chwyliła jeden z przewodów i odwróciła się z powrotem twarzą do mnie.

- Nie ceń się tak nisko - powiedziała. - I Sarastiego też. Jesteś obserwatorem, prawda? Można śmiało przyjąć, że tam na dole będzie dużo do obserwowania.

- Dzięki - odrzekłem. Ale już wiedziałem, po co Sarasti wysłała mnie na *Rorschacha*: chodziło o coś więcej niż tylko obserwację.

Troje cennych agentów lezie w paszczę niebezpieczeństwa. Przynęta kupuje chociaż jedną czwartą szansy, że wróg będzie celował gdzie indziej.

Ciebie też opanuje duch Pański i będziesz prorokował wraz z nimi, i staniesz się innym człowiekiem.

I Ks. Samuela, 10, 6

- Prawdopodobnie byliśmy rozszczępieni przez większość ewolucji - powiedziała mi kiedyś James, gdy dopiero się zapoznawaliśmy. Poklepała się po skroni. - Tu jest mnóstwo miejsca: współczesny mózg może przetwarzać kilkadziesiąt świadomych rdzeni, wcale się nie przeciążając. A wielozadaniowość i równoległość mają oczywiście zalety dla przetrwania.

Kiwnąłem głową.

- Co dziesięć głów, to nie jedna.

- Możliwe, że zintegrowaliśmy się dość niedawno. Niektórzy eksperci sądzą, że w odpowiednich okolicznościach wciąż umiemy wrócić do osobowości wielorakiej.

- Pewnie, że tak. Sama jesteś najlepszym dowodem.

Pokręciła głową.

- Nie chodzi mi o fizyczny podział. Jesteśmy najnowszym osiągnięciem, jasne, ale teoretycznie chirurgia nie jest konieczna. Może do tego doprowadzić pospolity stres, byle był odpowiednio silny. I zdarzył się we wczesnym dzieciństwie.

- Serio?

- Teoretycznie tak - przyznała James i przedzierzgnęła się w Saschę, która rzuciła: - Chuja tam w teorii. Są udokumentowane przypadki sprzed zaledwie pięćdziesięciu lat.

- Naprawdę? - Stłumiłem pokusę sprawdzenia tego przez wszczepkę; zdradziłbym się niewidzącym spojrzeniem. - Nie wiedziałem.

- Bo teraz w ogóle się o tym nie mówi. Ale wtedy ludzie byli jakimiś, kurwa, barbarzyńcami, jeśli chodzi o osobowości wielorakie - nazywali to „zaburzeniem”, próbowali leczyć, jak chorobę. A pomysł na leczenie mieli jeden: zachować któryś rdzeń, a resztę zamordować. Tylko że oczywiście nie nazywali tego „morderstwem”. Raczej „integracją” albo czymś w tym stylu. Tak się właśnie wtedy robiło: tworzyło się inne osobowości, żeby zaabsorbowały tortury i maltretowanie, a kiedy już nie były potrzebne, można się było ich pozbyć.

Niespecjalnie klimat, jakiego spodziewaliśmy się na imprezie zapoznawczej. Ale James dyskretnie wcisnęła się na fotel kierowcy i poprowadziła konwersację, zbliżając ją do towarzyskich standardów.

Nigdy jednak nie słyszałem, żeby ktoś z Bandy, wtedy czy teraz, nazywał resztę „alterami”. W ustach Szpindla brzmiało to dość niewinnie. Zastanawiałem się, czemu tak się oburzyli - a teraz, gdy unosiłem się sam we własnym namiocie, nie było nikogo, kto zwróciłby uwagę, że zaszklily mi się oczy.

Słowo „alter” miało ponadstuletni bagaż - powiedział mi ConSensus. Sascha miała rację; kiedyś Kompleks Wielordzeniowy nazywał się Zaburzeniem Osobowości Wielorakiej, czyli o wiele gorzej niż tylko „kompleksem” - i nigdy nie wywoływało się go umyślnie. Według ówczesnych ekspertów osobowości wielorakie powstawały spontanicznie w niewyobrażalnych otchłaniach mąk - ułamkowe osoby składały się w ofierze, cierpiąc gwałty i pobicia, podczas gdy dziecko w środku chroniło się w niezgłębionym sanktuarium zwojów mózgowych. Stanowiły jednocześnie strategię przetrwania i rytualne poświęcenie - bezbronne dusze siekające się na kawałki, ofiarowujące drgające ochłapy własnej jaźni w desperackiej nadziei, że mściwi bogowie zwani „mamą” lub „tatą” nie okażą się nienasyceń.

Okazało się, że nic z tego nie jest prawdą. A przynajmniej nic się nie potwierdziło. Jednak ówczesni lekarze byli na poziomie szamanów odtańcowujących zaimprovizowane rytuały: meandrujące swobodne wywiady, pełne sugerujących odpowiedzi pytań i niewerbalnych podpowiedzi, wyprawy na szaber w zwróconą treść dzieciństwa. Gdy nie pomagały koraliki i grzechotki, czasem przydawał się zastrzyk litu lub haloperidolu. Technologia mapowania umysłu dopiero raczkowała; technologia edytowania go miała przyjść za wiele lat. Dlatego „terapeuci” i „psychiatrzy” dźgali paluchem swe ofiary i wymyślali nazwy dla rzeczy, których nie rozumieli, kłócąc się nad ołtarzykami Freuda, Kleina i dawnych astrologów, robiąc, co tylko się da, żeby brzmieć jak przedstawiciele nauki.

Było do przewidzenia, że to właśnie nauka zmiecie ich ze sceny; Dysocjacyjne Rozszczepienie Osobowości było na wpół zapomnianą modą jeszcze przed narodzinami rekonfiguracji synaptycznej. Ale słowo „alter” pochodziło właśnie z tamtych czasów i zachowało swój rezonans. Wśród osób pamiętających historię, było kryptonimem dla „zdrady” i „ludzkiej ofiary”. „Alter” oznaczało „mięso armatnie”.

Wyobrażając sobie topologię współzamieszkujących Bandę dusz, rozumiałem, dlaczego Sascha przyswoiła sobie tę mitologię. Rozumiałem, czemu Susan jej pozwoliła. Ta idea nie miała w sobie nic nieprawdopodobnego - samo istnienie Bandy stanowiło dowód. Zostałeś oddzielony od istniejącej wcześniej jaźni, wrzeźbiony z nieistnienia od razu w dorosłość - jesteś zaledwie fragmentem jakiejś osoby i nie masz nawet w pełni własnego ciała - tę odrobinę złości można ci wybaczyć. Jasne, jesteście wszyscy sobie równi. Naturalnie, nikt nie jest lepszy od innych. Ale i tak tylko Susan ma nazwisko.

Zrozumiałem coś jeszcze. Otoczony ekranami obrazującymi niestrudzony wzrost lewiatana pod nami, uświadomiłem sobie nie tylko, dlaczego Sascha zaprotestowała przeciw temu słowu; wiedziałem już, czemu wypowiedział je Szpindel - ewidentnie nieświadomie.

Z punktu widzenia Ziemi, na *Tezeuszu* wszyscy byli alterami.

* * *

Sarasti został na górze. On nie przywiózł ze sobą zastępcy.

Ale reszta tak: tłoczyliśmy się w lądowniku, wbici w specjalnie zaprojektowane skafandry, o ekranujących pancerzach tak grubych, że moglibyśmy uchodzić za zeszlowiecznych nurków głębinowych. To delikatna równowaga: zbyt grube opancerzenie byłoby gorsze niż jego całkowity brak, bo rozbijałoby pierwotne cząstki na wtórne, równie groźne i dwukrotnie liczniejsze. Czasem trzeba pogodzić się z umiarkowanym napromieniowaniem - jedyna alternatywa to zatopić się w ołowiu jak owad w bursztynie.

Wystartowaliśmy sześć godzin od perygeum. Scylla popędziła naprzód jak ciekawskie dziecko, zostawiając rodzica w tyle. Ale organizmy wokół mnie nie promieniały zapałem. Z jednym wyjątkiem: Banda Czworoga za szybką hełmu prawie iskrzyła.

- Podekscytowana? - zapytałem.

Odpowiedziała Sascha:

- A jak! Kurwa, Keeton, pierwszy kontakt. Prawdziwa robota.

- A jeśli tam nikogo nie ma? I co, jeśli jest, a my się mu nie spodobamy?

- Tym lepiej. Mamy szansę obejrzeć ich literki i pudełka z płatkami i żaden gliniarz nie będzie

nam zaglądał przez ramię.

Ciekawe, czy mówi w imieniu reszty. Bo wydało mi się, że za Michelle na pewno nie.

Scylla miała zaklejone wszystkie porty. Żadnego widoku na zewnątrz, poza robotami, ciałami i skłębioną sylwetką rosnącą na wyświetlaczu HUD w hełmie. Czulem jednak, że promieniowanie przechodzi przez nasz pancerz jak przez bibułę. Czulem węzłaste grzbiety i doliny pola magnetycznego *Rorschacha*. Czulem też zbliżanie się samego *Rorschacha*: osmalone korony spalonego obcego lasu, bardziej krajobraz niż artefakt. Wyobrażałem sobie strzelające między gałęziami gigantyczne pioruny. Wyobrażałem sobie, że wlecimy w coś takiego.

Co za stwory chciałyby mieszkać w czymś takim?

- Ty naprawdę myślisz, że się dogadamy - powiedziałem.

Wzruszenie ramionami, prawie całkiem stłumione przez pancerz.

- Pewnie nie od razu. Możliwe, że źle zaczęliśmy i trzeba będzie naprostować mnóstwo nieporozumień. Ale w końcu się porozumiemy.

Była przekonana, że odpowiada na moje pytanie.

Lądownik gwałtownie skręcił; objaliśmy się o siebie jak kręgle. Trzydzieści sekund mikromanewrów wyhamowało nas do zera. HUD wyświetlał wesołą zielono-czerwoną animację: śluza dokująca lądownika wsuwająca się do środka przez membranę, służącą za wejście do nadmuchiwanego przedsionka *Rorschacha*. Nawet jako kreskówka miało to w sobie coś lekko pornograficznego.

Bates została zasztauowana tuż obok śluzy. Odsunęła wewnętrzne drzwi.

- Wszyscy schować głowy.

To niełatwe przy takim opatuleniu systemami podtrzymywania życia i ferroceramiką. Hełmy latały wte i wewte, zderzając się ze sobą. Tropy, rozplaszczone nad nami jak potężne śmiercionośne karaluchy, zaszumiały, budząc się do życia, i odkleiły od sufitu. Skrobiąc, przemaszerowały przez wąski prześwit nad głowami, enigmatycznie skinęły swej pani głowami i wyszły za lewą kulisę.

Bates zamknęła wewnętrzny właz. Po jakimś czasie zamek znów odskoczył, ukazała się pusta komora.

Według wskaźników wszystko w porządku. Roboty czekają cierpliwie w przedsionku. Nic ich nie napadło.

Bates zeszła za nimi.

Na wizję musieliśmy czekać latami. Bity ledwo ciurkały. Słowa przesyłały się bez problemu...

- Na razie żadnych niespodzianek - zameldowała Bates głosem jak przesterowane vibrato na drumli... ale każdy obraz wart jest milion słów i...

Jest: oczyma tylnego trepa zobaczyliśmy przedniego, nieruchomego, ziarnistego i monochromatycznego. Pocztówka z przeszłości - wzrok zamieniał się w słuch, grube niechlujne wibracje objającego się o kadłub metanu. Każdy z zaszumionych obrazów osadzał się na HUD całymi sekundami: tropy wchodziły do dziury; tropy wychodzą w dwunastnicę *Rorschacha*; niezrozumiały, nieprzyjazny jaskiniowy krajobraz odmalowywany regularnymi przyrostami. W lewym dolnym rogu każdego obrazu przesuwają się ich stemple czasowe i tesle.

Bardzo wiele tracisz, gdy postanawiasz nie ufać widmu elektromagnetycznemu.

- Wygląda nieźle - zameldowała Bates. - Schodzę.

W życzliwszym wszechświecie maszyny przechadzałyby się po bulwarze, śląc na górę idealne obrazy w krystalicznej rozdzielczości. Szpindel i Banda siedzieliby sobie w bębnie, popijali kawę i rozkazywali trepom: weźcie próbkę tego, dajcie zbliżenie na tamto. W życzliwszym wszechświecie w ogóle bym się tu nie znalazł.

Bates pojawiła się na kolejnej pocztówce. Wychodziła z przetoki. Na następnej stała tyłem do kamery, lustrując okolicę.

Na jeszcze następnej patrzyła prosto na nas.

- No... dobrze - powiedziała. - Schodźcie... na dół.

- Zaraz, zaraz - odparł Szpindel. - Jak się czujesz.

- Dobrze. Trochę... dziwnie, ale...

- Co to znaczy dziwnie? - Choroba popromienna objawiała się mdłościami, ale to powinno się stać dopiero za godzinę czy dwie, chyba że poważnie pomyliliśmy się w obliczeniach. W każdym razie dopiero wtedy, gdy wszyscy będziemy już ugotowani na śmierć.

- Lekka dezorientacja - zameldowała Bates. - Trochę tu strasznie, ale... to chyba zespół Graya.

Da się wytrzymać.

Spojrzałem na Bandę. Banda na Szpindla. Szpindel wzruszył ramionami.

- Lepiej nie będzie - powiedziała Bates z daleka. - Słuchajcie, czas... czas leci. Chodźcie.

Poszliśmy.

* * *

Nic tu nie żyło. Ewidentnie.

Tu straszło.

Ściany poruszały się nawet w bezruchu: kącikiem oka cały czas dostrzegało się pełzający ruch. Z tyłu głowy wciąż czuło się czyjś wzrok, przerażającą pewnością, że obcy, złośliwi obserwatorzy czają się za każdym rogiem. Co raz odwracałem się, licząc, że zdybię któregoś z nich. Zawsze jednak dostrzegałem tylko płynącego korytarzem półślepego trepa, albo wytrzeszczonego, roztrzęsionego kolegę z załogi odwzajemniającego spojrzenie. I ściany rury z połyskującej lawy z setką osadzonych w niej oczu, zamkniętych dosłownie chwilę wcześniej. Nasze światła przenikały ciemność może na dwadzieścia metrów w każdą stronę; dalej kłębiły się mgły i cienie. I te odgłosy - *Rorschach* trzeszczał jak starożytny drewniany kadłub uwięziony w polarnym lodzie. Elektryczność zaś syczała jak grzechotniki.

Powtarzasz sobie, że to wszystko dzieje się w głowie. Przypominasz sobie, że to dobrze udokumentowana i nieunikniona konsekwencja zbyt bliskiego kontaktu mięcha i magnetyzmu. Silne pola uwalniają z płata skroniowego duchy i obcych, wygrzebują ze śródmózgowia paralizujący strach, wysycający świadomy umysł. Pieprzą się z nerwami motorycznymi i sprawiają, że wszczępki, nawet uśpione, dźwięczą jak delikatny i kruchy kryształ.

Artefakty energetyczne. I tyle. Powtarzasz to sobie tyle razy, że owe słowa zatracają wszelki pozór racjonalności, stając się mantrą, zaklęciem, zaśpiewem odstraszającym złe duchy. Te szepty tuż przy hełmie nie są prawdziwe, ani te na wpół widzialne stwory majaczące na granicy pola widzenia. To ułudy umysłu, te same iluzjonistyczne sztuczki, które przez wieki przekonywały ludzi, że nawiedzają ich duchy, porywają obcy, gonią...

...wampiry...

...i zastanawiasz się, czy Sarasti naprawdę został na górze. Może cały czas tu jest i czatuje na ciebie...

- Kolejny szpic - ostrzegła Bates, gdy na HUD-zie zaszalały tesle i siwerty. - Czekaście.

Właśnie rozkładałem balon Faradaya. Usiłowałem. To powinno być proste - przeciągnąłem już

linę kotwiczącą z przedsonka do flaczastego wora unoszącego się pośrodku korytarza. Miałem tego... coś z tą cumą. Aha, żeby go wycentrować. Ściany lśniły w świetle czołówki jak mokra glina. W wyobraźni skrzyły się satanistycznymi runami.

Wbiłem w ścianę końcówkę cumy. Przysięgłbym, że jej materiał się wzdrygnął. Wypaliłem z pistoletu odrzutowego, cofnąłem się ku środkowi przejścia.

- Są tu - szepnęła James.

Coś tam było. Czulem, że pozostaje cały czas za mną. Czulem ziejącą, ryczącą ciemność tuż za krawędzią pola widzenia, rozdziawioną paszczę wielką jak sam tunel. W każdej chwili mogła rzucić się naprzód z niesamowitą szybkością i połknąć nas wszystkich.

- Są piękne... - powiedziała James. Jej głos był pozbawiony strachu. Brzmiał w nim podziw.

- Co? Gdzie? - Bates kręciła się nieustannie, próbując ogarnąć wzrokiem trzysta sześćdziesiąt stopni naraz. Podległe jej roboty kolebały się niestrudzenie po obu stronach, uzbrojone nawiasy wskazujące końcówkami przeciwne strony korytarza. - Co tam widzisz?

- Nie tam. Tutaj. Wszędzie. Nie widzicie?

- Nic nie widzę - powiedział drżącym głosem Szpindel.

- Chodzi o pole EM - wyjaśniła James. - Oni właśnie tak się komunikują. Cała konstrukcja jest pełna języka, jakby...

- Nic nie widzę - powtórzył Szpindel. Jego przyspieszony oddech odbił się echem w słuchawkach. - Jestem ślepy.

- Cholera. - Bates odwróciła się do Szpindla. - Jak to możliwe... że promieniowanie...

- T-to ch-chyba nie o to...

Dziewięć tesli - duchy były wszędzie. Pachniało asfaltem i wiciokrzewem.

- Keeton! - zawołała Bates. - Słyszysz?

- T-tak. - Ledwo. Wróciłem do kesonu, stałem z dłonią na lince. Próbowałem nie zwracać uwagi na coś, co poklepuje mnie po ramieniu.

- Zostaw to! Wyprowadź go!

- Nie! - Szpindel unosił się bezradnie w korytarzu, pistolet odrzutowy dyndał na przyczepionej do przegubu smyczy. - Nie, rzućcie mi coś.

- Co?

To tylko w głowie. To tylko w głowie...

- Rzućcie mi coś! Byle co!

Bates się zawahała.

- Mówiłeś, że jesteś śle...

- No rzucaj!

Bates odczepiła od pasa zapasową baterię do skafandra i posłała ją lobem. Szpindel wyciągnął rękę, prawie złapał. Bateria wyśliznęła mu się z palców i odbiła od ściany.

- Nic mi nie będzie - sapnął. - Pokażcie tylko, gdzie ten namiot.

Szarpnąłem za linkę. Keson nadmuchał się jak ogromny piankowy cukierek w kolorze spiżu.

- Wszyscy do środka! - Bates jedną ręką odpaliła pistolet, drugą chwyciła Szpindla. Podała mi go, po czym przylepiła do powłoki namiotu kapsułę z czujnikami. Odciągnąłem ekranowaną klapę wejściową, jakbym zrywał strup z rany. Pojedyncza cząsteczka pod nią, nieskończenie długa i nieskończenie wiele razy pozaginana, wiła się i połyskiwała jak bańka mydlana.

- Wsadź go tam. James! Chodź tu!

Przecisnąłem Szpindla przez membranę. Gdy przechodził, otuliła go z hermetyczną czułością, oblepiając każdy zakamarek i wypukłość.

- James! Głucha...

- Zabierzcie to ze mnie! - Chropowaty, prostacki, przerażony i przerażający głos, zbyt męski, jak na kobietę. Procesor u steru. - Zabierzcie!

Odwrociłem się. W tunelu powoli koziołkowało ciało Susan James, ściskając obiema rękami prawą nogę.

- James! - Bates pozęglowała ku niej. - Keeton! Pomóż mi! - Złapała Bandę za rękę. - Procesor? Co jest?

- To! Ślepa jesteś?

Zbliżając się do nich, uświadomiłem sobie, że on nie ściska tej nogi, lecz ją szarpie. Chce ją oderwać.

W środku mojego hełmu coś zaśmiało się histerycznie.

- Weź go za rękę - poleciała mi Bates, sama chwytając prawą i próbując rozprostować palce konwulsyjnie zaciśnięte na nodze.

- Procesor, puszczaj. No już.

- Zabierzcie to!

- Procesor, to twoja noga. - Mozolnie pełzliśmy ku kesonowi.

- To nie moja noga! Zobaczcie tylko, no jak... przecież to jest martwe. Przyczepiło się do mnie...

Już prawie.

- Procesor, słuchaj - warknęła Bates. - Słyszysz m...

- Zabierzcie to!

Wepchnęliśmy Bandę do namiotu. Bates odsunęła się na bok, a ja zanurkowałem za nimi. Zdumiewające, że tak nad wszystkim panowała. Jakimś sposobem poskramiała demony i zaganiała nas w bezpieczne miejsce jak owczarek podczas burzy. Była...

Nie weszła za nami. W ogóle była gdzie indziej. Odwróciłem się, zobaczyłem jej ciało unoszące się tuż obok namiotu, dłoń w rękawicy trzymającą za krawędź klapy, jednak nawet przez tysięczne warstwy kaptonu, chromelu i poliwęglanu, nawet przez zniekształcone półodbicia na szybie hełmu widziałem, że coś jest nie tak. Wszystkie jej płaszczyzny po prostu zniknęły.

To nie mogła być Amanda Bates. To coś przede mną miało tyle topologii, co manekin.

- Amanda? - Banda bełkotała lekko histerycznie za moimi plecami.

Szpindel:

- Co się dzieje?

- Ja tu zostanę - powiedziała całkowicie wyzuta z emocji Bates. - I tak już nie żyję.

- Co, ku... - Szpindel za to miał ich aż nadto. - Zginiesz, jak tu nie...

- Zostawcie mnie - odparła Bates. - To rozkaz.

I zamknęła nas w środku.

* * *

To nie był pierwszy raz, przynajmniej dla mnie. Niewidzialne paluchy grzebały mi w mózgu już wcześniej, wzniecając chmury błota i rozdrapując stare rany. W wykonaniu *Rorschacha* było to o wiele silniejsze, za to Chelsea była, powiedziałbym...

...dokładniejsza.

Nazywała to makramą: glejowe aktywizacje, kaskadowe reakcje, cięcie i sklejanie krytycznych

splotów nerwowych. Ja ukradkiem czytywałem sobie o ludzkiej architekturze, Chelsea zaś ją zmieniała - wyszukiwała najważniejsze węzły i trochę je poszturchiwała, wrzucała kamyki do strumyków wpływających do rzek wspomnień i obserwowała, jak daleko w dole psychiki fale kumulują się w potężną kaskadę. Spięcie czegoś na krótko i wyzwolenie szczęścia zajmowało jej tyle, co zrobienie kanapki, pogodzenie cię z całym dzieciństwem - tyle co przerwa obiadowa, góra trzy.

Ta dziedzina, jak wiele innych domen ludzkiej myśli, nauczyła się obywać bez niej. Ludzka natura trafiła na rutynową taśmę montażową, zresztą sama ludzkość stawiała się z producenta produktem. Ale jednak. Dla mnie umiejętności Chelsea rzucały nowe, osobliwe światło na dziwny, stary świat: umysłowe wycinanki nie dla dobra jakiegoś abstrakcyjnego społeczeństwa, lecz dla prostych i egoistycznych potrzeb jednej osoby.

- Pozwól, dam ci dar szczęścia - powiedziała.

- Właściwie już jestem całkiem szczęśliwy.

- Będziesz bardziej. TREM, ja stawiam.

- Trem?

- Tymczasowa Regulacja Emocjonalna. Nadal mam uprawnienia w szpitalu Saksa.

- Ja już miałem grzebane w głowie. Przetawisz jeszcze jedną synapsę i zmienię się w kogoś innego.

- To bzdura i dobrze o tym wiesz. Inaczej każde nowe przeżycie robiłoby z ciebie inną osobę.

Zastanowiłem się.

- Może i tak jest.

Ale ona nie chciała odpuścić i nie trafiały do niej żadne argumenty przeciwne szczęściu - tak więc pewnego popołudnia wygrzebała z szafki siatkę do włosów wysadzaną szarymi zatłuszczonymi podkładkami. Siatka była nadprzewodząca, cienka jak pajęczyna, lekka jak mgiełka i potrafiła wykryć najdrobniejsze drgnienie myśli. Podkładki stanowiły ceramiczne magnesy, zalewające mózg swymi polami. Wszczepka Chelsea łączyła się ze stacją bazową, grającą na interferencjach jednego i drugiego.

- Kiedyś tylko na te magnesy potrzebna była machina wielkości łazienki. - Położyła mnie na kanapie, naciągnęła siateczkę na czaszkę. - To jedyny cud w tym przenośnym urządzeniu. Da się wykryć aktywne obszary i pyknąć je, jeśli trzeba, ale efekty TREM-u po jakimś czasie zanikają. Żeby były trwałe, trzeba by pójść do szpitala.

- A czego właściwie szukamy? Wypartych wspomnień?

- Nie ma czegoś takiego. - Uśmiechnęła się z otuchą. - Są tylko wspomnienia, które chcieliśmy ignorować. Jakby myśleć naokoło, rozumiesz.

- Myślałem, że właśnie na czymś takim polega dar szczęścia. Bo czemu...

Położyła mi opuszkę na ustach.

- Nie chcesz, to nie wierz, Cygnus, ale ludzie czasem chcą ignorować nawet dobre wspomnienia. Na przykład jeśli coś im się podobało, a sądzą, że nie powinno. Albo... - ucałowała mnie w czoło - jeśli myślą, że nie zasługują na szczęście.

- Czyli ty chcesz zrobić...

- To jest jak zupa „na winie”, nigdy nie wiadomo jak smakuje, dopóki nie spróbujesz. Zamknij oczy.

Gdzieś między uszami usłyszałem ciche mruczenie. Głos Chelsea poprowadził mnie przez ciemność.

- Pamiętaj, że wspomnienia to nie archiwa historycznych materiałów. Właściwie są...

improwizowane. Cała masa rzeczy, które kojarzysz z jakimś zdarzeniem, może być obiektywnie fałszywa, nawet jeśli pamiętasz je bardzo wyraźnie. Mózg ma zabawny nawyk tworzenia montażu, dostawiania szczegółów post factum. To oczywiście nie znaczy, że twoje wspomnienia nie są prawdziwe, rozumiesz? Są szczerym odbiciem twojego ówczesnego sposobu postrzegania świata i wszystkie wspólnie ukształtowały twoje widzenie. Ale to nie fotografie. Raczej obrazy impresjonistyczne. Jasne?

- Jasne.

- O - powiedziała. - Coś mam.

- Co?

- Skupienie funkcjonalne. Mocno używane na niskim poziomie, ale nie na tyle, żeby wejść w świadomość. Ciekawe, co się stanie, jak tu...

I nagle miałem dziesięć lat, wróciłem wcześniej do domu, dopiero co wszedłem do kuchni, gdzie w powietrzu wisiał zapach spalonego masła i czosnku. W pokoju obok tata i Helen kłócili się. Pokrywa od kosza na śmieci była podniesiona - Helen czasem wystarczało tylko tyle. Ale awantura była o coś innego; Helen „po prostu chciała dobrze dla nas wszystkich”, tato zaś mówił, że „są pewne granice” i że „nie tędy droga”. Ona odpowiedziała, że „nie wiesz, jak to jest, prawie go nie widzisz”, i wtedy już wiedziałem: kłóć się o mnie. Nie było to niczym niezwykłym.

Naprawdę jednak przeraziło mnie, że tato kontratakował. Pierwszy raz w życiu.

- Czegoś takiego nie wciska się komuś na siłę. Zwłaszcza potajemnie.

Ojciec nigdy nie krzyczał, teraz głos miał niski i równy jak zawsze, ale zimniejszy niż kiedykolwiek i twardy jak stal.

- Bzdury i tyle - odparła Helen. - Rodzice zawsze podejmują decyzje w zastępstwie dzieci, w ich najlepszym interesie, szczególnie jeśli chodzi o medyczne...

- To nie jest problem medyczny. - Tym razem naprawdę podniósł głos. - To jest...

- Nie medyczny? A jaki? To chyba szczyt wyparcia, nawet jak na ciebie! Może nie zauważyłeś, ale ma wycięte pół mózgu! Myślisz, że wyleczy się bez pomocy? To jest ta twoja „surowa ojcowska miłość”? Może od razu pozbawisz go jedzenia i wody?

- Gdyby opiaty były wskazane, lekarz by je przepisał.

Poczułem, jak marszczy mi się twarz na dźwięk nieznanego słowa. Z otwartego kosza kusilo coś małego i białego.

- Jim, bądź rozsądny. On jest taki nieobecny, prawie się do mnie nie odzywa.

- Mówili, że to trochę potrwa.

- Ale dwa lata! Trzeba trochę pomóc naturze, to nic złego. Kupuje się w normalnej aptece, bez recepty, do cholery!

- Nie o to chodzi.

Pusta fiolka po lekarstwach. Któreś z nich to wyrzuciło i zapomniało zamknąć pokrywę. Wyciągnąłem ją pomiędzy kuchennych resztek i przypomniałem sobie napis z etykiety.

- Może chodzi o to, że ktoś, kto jest w domu góra trzy miesiące na rok, ma czelność osądzać, jakim ja jestem rodzicem. Jeśli chcesz mieć coś do powiedzenia w kwestii wychowywania syna, może najpierw trochę się nim zajmij. A na razie odpiardol się, i to już!

- Nie będziesz już karmić mojego syna tym gównem - powiedział ojciec.

BONDFAST™ FORMULA IV

μ-OPIOIDALNY AKTYWATOR RECEPTORÓW / STYMULATOR INTEGRACJI

MATERNALNEJ
WZMACNIAMY WIĘŻ MATKI I DZIECKA OD ROKU 2042

- Ach tak? I ty mi zabronisz, ty drobny pracoholiczku? Jesteś za bardzo zapracowany, żeby w ogóle mieć pojęcie, co się dzieje w twojej własnej rodzinie. Myślisz, kurwa, że z tej swojej orbity będziesz mi coś dyktować? Myślisz...

Nagle z salonu dobiegł tylko cichy odgłos dławienia się. Wyjrzałem zza rogu.

Ojciec trzymał Helen za gardło.

- Myślę - zachrypiał - że jeśli będzie trzeba, nie pozwolę ci zrobić czegoś Siriemu. I ty dobrze o tym wiesz.

Wtedy mnie zobaczył. A potem ona. Oderwał dłoń od jej szyi, a minę miał dziwnie zakłopotaną. Lecz u niej nie dało się nie dostrzec triumfu.

* * *

Zerwałem się z kanapy, trzymając się dłonią za czubek głowy. Chelsea stała przede mną z rozszerzonymi oczyma, motylek na policzku znieruchomiał.

Ujęła mnie za rękę.

- Jezu. Strasznie cię przepraszam.

- Ty... to widziałaś?

- Nie, no skąd. To nie umie czytać w myślach. Ale widać, że to nie było miłe wspomnienie.

- Aż tak źle nie było.

Gdzieś z bliska dochodził mnie ostry, odcieleśniony ból, jak kleks na śnieżnobiałym obrusie. Po chwili namierzyłem go: zagryzałem wargę.

Przesunęła dłonią po moim ramieniu.

- Naprawdę się zestresowałeś. Odczyty miałaś... dobrze się czujesz?

- No pewnie. Nic takiego. - Słony smak. - Ale jedno mnie ciekawi.

- Pytaj.

- Po co mi to robisz?

- Bo możemy je usunąć. Na tym wszystko polega. Cokolwiek to było, cokolwiek ci się w tym nie podobało, już wiemy gdzie siedzi. Możemy tam wrócić i wszystko zetrzeć. A potem będzie dużo czasu, żeby próbować to usunąć na zawsze, gdybyś tylko chciał. Załóż tylko siatkę i...

Objęła mnie, przyciągnęła do siebie. Pachniała piaskiem i potem. Uwielbiałem ten zapach. Przez chwilę czułem się odrobinę bezpieczniej. Przez chwilę mogłem myśleć, że nie przebiję dna. Jakimś sposobem, będąc z Chelsea, czułem się ważny.

Chciałem, żeby trzymała mnie tak przez wieki.

- Nie, nie chcę - odpowiedziałem.

- Nie? - Zamrugła, spojrzała mi w oczy. - Ale czemu?

Wzruszyłem ramionami.

- Wiesz, co się mówi o ludziach, którzy nie pamiętają przeszłości.

Byliśmy ślepi i bezbronni, stłoczeni w miękkim błęku na terytorium wroga. Ale przynajmniej szeptacze umilkły. Potwory zostały za powłoką.

A Amanda Bates razem z nimi.

- Co się, kurwa... - sapał Szpindel.

Oczy za szybką miał rozbiegane, poszukujące.

- Widzisz? - zapytałem.

- Raczej nie. Czemu ona powiedziała, że nie żyje? O co...

- Miała na myśli, że dosłownie - odparłem. - To nie było takie powiedzenie, „no to już nie żyję”. Czują, że już umarła. Jakby była gadającym trupem.

- Skąd ty... no wiesz? - Głupie pytanie. Twarz za szybką hełmu wykrzywiła się i zadygotała. - To obłąd, nie?

- Zdefiniuj „obłąd”.

Banda unosiła się w milczeniu w naszym ciasnym schronieniu, tuż przy Szpindlu. Kiedy tylko weszliśmy do środka, Procesorowi przeszła obsesja na punkcie nogi. A może po prostu ktoś go zepchnął do tyłu; wydawało mi się, że w drganiach palców w grubych rękawicach dostrzegam aspekty Susan.

Dyszenie Szpindla odbijało się w radiu kolejnymi echami.

- Jeśli Bates nie żyje, to my też.

- Może nie. Przeczekamy szczyt i wyjdziemy stąd. Zresztą ona żyła. Tylko tak mówiła.

- Kurwa. - Wyciągnął rękę i przycisnął wierzch rękawicy do powłoki namiotu. Pomacał coś przez tkaninę. - Ktoś tu naprawdę przyczepił przetwornik...

- Na ósmej godzinie - powiedziałem. - Metr dalej.

Dłoń Szpindla przywarła do kapsuły po drugiej stronie. HUD wypełnił się cyferkami z drugiej ręki, przekazywanymi wibracjami do jego rękawicy, a potem rozsyłanymi do reszty skafandrów.

Dalej pięć tesli. Chociaż spada. Namiot rozdał się wokół nas jakby oddychał, a w kolejnej sekundzie opadł - lokalny front niskiego ciśnienia przeszedł.

- Kiedy ci wrócił wzrok? - zapytałem.

- Jak tylko weszliśmy do środka.

- Wcześniej. Widziałeś baterię.

- Nie złapałem - burknął. - Ale widocznie też jestem takim paralitykiem, nie? Bates! Słyszysz?

- Wyciągnąłeś rękę. Prawie ją złapałeś. To nie mógł być ślepy traf.

- Żaden ślepy traf. Ślepowidzenie. Amanda? Odezwij się.

- Ślepowidzenie?

- Kiedy z receptorami wszystko w porządku - odpowiedział z roztargnieniem. - Mózg przetwarza obraz, ale nie ma do niego dostępu. Pień mózgu przejmuje kontrolę.

- Pień widzi, ale ty nie?

- Coś w tym stylu. Cicho, daj mi... Amanda, słyszysz mnie?

- ...nie...

To nie był głos nikogo z namiotu. Ledwie słyszalny, przywędrował wibracjami po dłoni Szpindla pomiędzy innymi danymi. Z zewnątrz.

- Pani major! - zawołał Szpindel. - Mandy! Żyjesz!

- ...nie... - szept brzmiał jak biały szum.
- Ale rozmawiasz z nami, więc, do cholery, nie umarłaś.
- ...nie...

Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

- Co jest nie tak, pani major?

Cisza. Banda za nami obija się delikatnie o powłokę. Wszystkie aspekty miała nieczytelne.

- Pani major? Słyszysz mnie pani?
- Nie.

Głos był martwy, jakby naszprycowany uspokajaczami i zamknięty w akwarium, transmitowany przez kończyny i ołów z trzycyfrową liczbą bitów na sekundę. Ale z pewnością był to głos Bates.

- Pani major, trzeba tu wejść - powiedział Szpindel. - Wchodzisz?

- ...nie...
- Jesteś ranna? Coś cię trzyma?
- N... nie.

Może to w ogóle nie jej głos? Tylko struny głosowe.

- Amanda, posłuchaj. Tam jest niebezpiecznie, za gorąco. Musisz...

- Ja nie jestem tam - odrzekł głos.

- A gdzie?

- ...nigdzie.

Spojrzałem na Szpindla. Szpindel na mnie. Nie odezwaliśmy się.

Za to James tak. Wreszcie. Łagodnym głosem:

- A kim ty jesteś, Amanda?

Bez odpowiedzi.

- Jesteś *Rorschachem*?

Tutaj, w brzuchu bestii, tak łatwo było w to uwierzyć.

- Nie...

- A kim?

- N... nikim. - Głos był płaski i mechaniczny. - Niczym.

- Mówisz, że nie istniejesz? - powoli zapytał Szpindel.

- Tak.

Namiot oddychał wokół nas.

- No to, jak ty mówisz? - zapytała Susan. - Skoro nie istniejesz, z kim rozmawiamy?

- Z czymś... innym. - Westchnienie, jakby szum-oddech. - Nie ze mną.

- Cholera - mruknął Szpindel. Jego płaszczyzny rozjaśniły się zdecydowaniem i nagłym pomysłem. Oderwał rękę od ściany - HUD natychmiast się skurczył. - Wypala jej mózg. Musimy ją tu wciągnąć. - Sięgnął ku uchwytności klapy.

Wyciągnąłem dłoń.

- Ale ten szpic...

- Już poza szczytem, komisarzu. Najgorsze minęło.

- Co mówisz? Że to bezpieczne?

- Zabójcze. Ale zabójcze jest cały czas, a ona w tym siedzi, może sobie zrobić coś złego w tym sta...

Coś uderzyło od zewnątrz w namiot. Coś chwyciło zewnętrzny język klapy i pociągnęło.

Nasze schronienie otworzyło się jak oko. Amanda Bates popatrzyła na nas przez odsłoniętą membranę.

- Pokazuje mi trzy i osiem - powiedziała. - To chyba do wytrzymania, prawda?

Nikt nie drgnął.

- No, ludzie, ruszać się. Koniec przerwy.

- Ama... - Szpindel gapił się na nią. - Dobrze się czujesz?

- Tutaj? No skąd. Ale mamy coś do zrobienia.

- Ty... istniejesz? - zapytałem.

- Co za głupie pytanie. Szpindel, co myślisz o takim polu? Da się pracować?

- Eee... - Głośno przełknął ślinę. - Pani major, może powinniśmy przerwać. Ten szczyt był...

- Ale według moich odczytów już się skończył. Zostały nam niecałe dwie godziny na rozłożenie wszystkiego, zrobienie pomiarów na miejscu i ewakuację. Da się bez halucynacji?

- Spokojni to raczej nie będziemy - przyznał Szpindel. - Ale nie powinniśmy się obawiać... ekstremalnych zjawisk... do kolejnego szczytu.

- To dobrze.

- Który może przyjść w każdej chwili.

- To nie były halucynacje - zauważyła cicho James.

- O tym pogadamy później - odparła Bates. - Teraz...

- W nich była prawidłowość. - James obstawała przy swoim. - W tych polach. W mojej głowie.

To mówił *Rorschach*. Może nie do nas, ale mówił.

- Świetnie. - Bates odsunęła się, dając nam przejść. - Może teraz nauczymy się mu odpowiadać.

- Może nauczymy się słuchać - odpowiedziała James.

* * *

Uciekliśmy jak przestraszone dzieciaki z groźnymi minami. Zostawiliśmy na dole małą bazę: w przedsionku Diabełka, wciąż cudem działającego; pod nim tunel do nawiedzonego domu; parę opuszczonych magnetometrów, pozostawionych na śmierć w słabej nadziei, że jednak nie umrą. Prymitywne solarymetry i termografy, staroświeckie, odporne na promieniowanie urządzenia, mierzące świat rozszerzaniem i uginaniem się metalowych języczków, wyskrobujące swe pomiary na rolkach folii. Lumisfery, kesony nurkowe i liny je spinające. Zostawiliśmy to wszystko i obiecaliśmy wrócić za trzydzieści sześć godzin, jeśli tylko dożyjemy.

A wewnątrz naszych ciał mikroskopijne obrażenia zamieniały komórki w papkę. Błony komórkowe przeciekały w niezliczonych miejscach. Przeciążone enzymy naprawcze desperacko chwyciły się posiekanych genów, ledwo będąc w stanie opóźnić to co nieuniknione. Kawałki wyściółki jelit, żeby zdążyć przed korkiem, zaczęły się łuszczyć na długo przed obumarciem reszty.

Przed zadokowaniem na *Tezeusza* i ja, i Michelle mieliśmy już mdłości. (Ale nie reszta Bandy; dziwne, nie miałem pojęcia, jak to jest w ogóle możliwe). Reszta wykaże te same objawy za parę minut. Nieleczeni, w dwa dni wyrzycamy wszystkie wnętrzości. Potem ciało uda, że zdrowieje - przez jakiś tydzień nic by nie bolało, chodzilibyśmy, mówili i poruszali się jak każdy, może nawet nabralibyśmy przekonania o własnej nieśmiertelności.

Aż wreszcie zapadlibyśmy się, przegnici od środka, krwawiąc z ust, oczu i dupy, a jeśli któryś Bóg zmiłowałby się nad nami, umarlibyśmy, nie rozpękając się jak zgniły owoc.

Jednakże *Tezeusz*, nasz zbawca, uratuje nas przed takim losem. Z lądownika powędrowaliśmy do nadmuchanego przez Sarastiego wielkiego balonu; pozbyliśmy się skażonych skafandrów oraz

ubrań i wyszliśmy nago na kręgosłup statku. Gęsiego przeszliśmy przez bęben, Latające Trupy w szyku. Jukka Sarasti, stojący w dyskretnej odległości na obrotowej podłodze, skoczył tam, skąd przyszlismy, i zniknął na rufie - poniósł nasze porzucone rzeczy do dekompiletora.

Do krypty. Nasze trumny stały otwarte wzdłuż rufowej grodzi. Zapadliśmy się w nie z wdzięcznością, bez słowa. Bates kaszlnęła krwią, nim zamknęło się nad nią wieko.

Gdy Kapitan mnie wyłączył, szumiało mi w kościach. Zasnąłem jak martwy. Tylko teoria i zapewnienia życzliwej maszynierii pozwalały mi wierzyć, że narodzę się od nowa.

* * *

Keeton, wstań i chodź.

Obudziłem się wygłodniały. Z bębna dobiegały mnie słabe głosy. Przez chwilę polatywałem w kapsule z zamkniętymi oczyma, rozkoszując się nieobecnością bólu, mdłości. Żadnego przerażającego, podświadomego poczucia, że własne ciało powolutku zmienia się w papkę. Tylko osłabienie i głód - poza tym czułem się świetnie.

Otworzyłem oczy.

Coś jak ramię. Szare i lśniące i o wiele zbyt... zbyt przewężone, by mogło być ludzkie. Na końcu nie miało dłoni. Za dużo stawów, jak złamane w kilkunastu miejscach. Wyrastało z ciała ledwo widocznego zza krawędzi kapsuły, sugerującego jednak ciemną, sporą sylwetkę i poruszające się niezbornie inne ramiona. Unosiło się nieruchomo przede mną, jakby spłoszone, przyłapano na czymś wstydlwym.

Lecz gdy nabrałem dość powietrza, by krzyknąć, śmignęło i zniknęło.

Wyskoczyłem z kapsuły, cały zamieniony we wzrok. Który nie widział nic: pusta krypta, nagi obserwator. Lustrzana powierzchnia grodzi odbijała puste kapsuły po obu stronach. Zajrzałem do ConSensusa: wszystko normalnie.

Nie odbijało się, przypominałem sobie. Nie było go w lustrze.

Ruszyłem ku dziobowi, z bijącym sercem. Wokół mnie otworzył się bęben, na przodzie ściszonymi głosami konwersowali Szpindel i Banda. Szpindel podniósł wzrok i pomachał drżącą ręką na powitanie.

- Musicie mnie sprawdzić! - zawołałem. Mój głos nie był tak równy, jakbym chciał.

- To pierwszy krok: przyznać, że ma się problem! - odkrzyknął Szpindel. - Tylko nie spodziewaj się cudów. - Odwrócił się z powrotem do Bandy, która, z James u steru, siedziała na diagnostycznej leżance, wpatrując się w migocący na rufowej grodzi jakiś diagnostyczny wzór.

Chwyciłem poręcz schodni i odepchnąłem się w dół. Coriolis zepchnął mnie na bok jak flagę na wietrze.

- Albo mam halucynacje, albo tu na pokładzie coś jest.

- Masz halucynacje.

- Mówię serio.

- Ja też. Weź numerki i czekaj na swoją kolejkę.

Tak, mówił serio. Gdy siłą uspokoiłem się i odczytałem jego aspekty, zauważyłem, że nawet nie jest zdziwiony.

- Po takim wyczerpującym leżeniu pewnie jesteś głodny, nie? - Szpindel wskazał kambuz. - Idź, zjedz coś. Zajmę się tobą za parę minut.

Jedząc, zmuszałem się do streszczania wszystkiego w myśli, ale to zajmowało tylko połowę umysłu; druga cały czas dygotała w kleszczach instynktownego wahania między walką a ucieczką. Próbowałem czymś ją zająć, podłączając się do danych BioMeda.

- To było naprawdę - mówiła James. - Wszyscy widzieliśmy.

Nie. Nie mogło być.

Szpindel odchrząknął.

- A zobacz ten.

BioMed pokazywał, co ona widzi: czarny trójkącik na białym tle. W kolejnej sekundzie eksplodował tuzinem identycznych, potem tuzinem tuzinów. Mnożące się potomstwo obracało się wokół środka ekranu, podstawowe figury w idealnie synchronicznym tańcu, wypączkowujące z wierzchołków mniejsze trójkąty, wirujące, ewoluujące w nieskończoną, misterną mozaikę...

Taki szkicownik, uświadomiłem sobie. Interaktywna rekonstrukcja naocznej relacji, całkiem bez słów. Mózgowy program rozpoznawania wzorców w głowie Susan reagował na obrazy - nie, było ich więcej; nie, do góry nogami; tak, taki, tylko większy - a urządzenie Szpindla odczytywało te sygnały bezpośrednio z kory i w czasie rzeczywistym korygowało obraz. Był to milowy krok naprzód od nedorobionego półśrodka zwanego językiem. Ktoś, komu łatwo zaimponować, mógłby to nawet nazwać czytaniem w myślach.

Ale to nie było czytanie w myślach. Tylko sprzężenie zwrotne i korelacja. Żeby zmienić jeden wzór w kolejny, nie potrzeba telepaty. Na szczęście.

- Jest! Jest! - zawołała Susan.

Trójkąty dawno wyiterowały się w niebyt. Teraz ekran był pełen splecionych, asymetrycznych pięciokątów, jak sieć rybich łusek.

- I nie mów nam, że to przypadkowy szum - dodała triumfalnie.

- Nie - odparł Szpindel. - To jest stała Klüvera.

- Kogo?

- Halucynacja, Suze.

- No jasne. Ale ktoś ją nam podrzucił do głów, prawda? I...

- Ona tam siedzi cały czas. Od urodzenia.

- Nie.

- To artefakt zaszyty głęboko w mózgu. Nawet ślepi od urodzenia czasem je widzą.

- Tyle że nikt z nas wcześniej tego nie widział. Nigdy.

- No dobrze. Ale to nie zawiera żadnej informacji, nie? To nie mowa Rorschacha, to tylko... zakłócenia. Jak wszystko.

- Ale ja to widziałam tak wyraźnie. Nie jak te migotliwe rzeczy gdzieś na skraju pola widzenia, których tam było pełno. To było konkretne, trójwymiarowe. Bardziej realne niż rzeczywistość.

- No i właśnie, po tym widać, że nieprawdziwe. Ponieważ naprawdę tego nie widzisz, kiepska optyka oczu nie psuje ci rozdzielczości.

- Och - powiedziała James, a potem dodała cicho: - Cholera.

- Otóż to. Przykro mi. - Po czym: - Jak tylko będziesz gotowy.

Uniosłem wzrok; Szpindel kiwał na mnie. Z fotela wstała James, Michelle objęła go na chwilę, niepokieszona, a Sascha, mijając mnie, powlokła się do namiotu.

Zanim do niego dotarłem, rozłożył fotel w półleżankę.

- Połóż się.

Posłuchałem.

- Nie chodziło mi o *Rorschacha*, wiesz? Ja coś widziałem tutaj, przed chwilą. Jak tylko się

zbudziłem.

- Podnieś lewą rękę - poleciał. Potem: - Ej, ale tylko lewą.

Opuściłem prawą, skrzywiłem się, czując ukłucie.

- Trochę prymitywne masz metody.

Przyjrzał się trzymanej między kciukiem i palcem wskazującym probóweczce z krwią: drżącej rubinowej kropelce wielkości paznokcia.

- Do niektórych rzeczy mokra próbka jest niezastąpiona.

- Przecież wszystko powinna robić kapsuła?

Szpindel kiwnął głową.

- Powiedzmy, że to taka kontrola jakości. Niech statek uważa, co robi. - Upuścił kropelkę na najbliższy blat. Rozplaszczyła się i pękła; powierzchnia wypła ją, jak wysuszona. Szpindel cmoknął.

- Podwyższone inhibitory cholinesterazy w retikulocytach. Mniemam.

Z tego co wiedziałem, wyniki mojej krwi naprawdę mu smakowały. On ich nie czytał tak po prostu - czuł je dotykiem, węchem, wzrokiem, doświadczając każdej danej jak kropli soku z cytryny na języku. Cały subbēben BioMedu był dlań jedną z wielu protez: rozszerzonym ciałem z tuzinem sposobów postrzegania zmysłowego, zmuszonym do komunikacji z ciałem znającym ich tylko pięć.

Nic dziwnego, że ciągnęło go do Michelle. Też był prawie synestetykiem.

- Siedziałeś tam trochę dłużej niż reszta - zauważył.

- To coś znaczy?

Nerwowe wzruszenie ramionami.

- Może twoje organy bardziej się ugotowały. Może masz delikatniejszą konstrukcję. Kapsuła wykryłaby, gdyby coś się... kroilo... o!

- Co?

- Parę komórek w twojej mózgownicy wchodzi na wysokie obroty. I jeszcze trochę w pęcherzu i nerkach.

- Guzy?

- A co myślisz? *Rorschach* to nie gabinet odnowy biologicznej.

- Ale kapsuła...

Skrzywił się - jego wersja uspokajającego uśmiechu.

- Pewnie, reperuje dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć procent uszkodzeń. Ale w rejonie tej ostatniej jednej tysięcznej działa już prawo malejących przychodów. To drobiazgi, komisarzu. Są spore szanse, że twoje ciało samo da sobie z nimi radę. A jeśli nie, to wiemy, gdzie mieszkają.

- Ale te w mózgu. One mogłyby powodować...?

- W życiu. - Przez chwilę ssął dolną wargę. - Ale to coś załatwiło nam nie tylko raka.

- Ja widziałem coś tutaj, w krypcie. Miało centralny korpus i wokół niego kończyny z wieloma stawami. Było wielkości człowieka, albo coś koło tego.

Szpindel kiwnął głową.

- Przyzwyczaj się do tego.

- Inni też je widzą?

- Wątpię. Każdy widzi swoje, tak jak... - wyraz jego wykrzywionej skurczem twarzy mówił: „Ośmielę się to powiedzieć?” - ...z testem Rorschacha.

- Spodziewałem się halucynacji na dole - przyznałem. - Ale tutaj?

- Efekty stymulacji magnetycznej - pstryknął palcami - zostają na trochę, nie? Przetawisz neurony w jeden stan, powrót zajmuje im jakiś czas. Nigdy nie robiłeś sobie TREM-u? Taki dobrze ułożony chłopczyk?

- Raz czy dwa - odpowiedziałem. - Chyba.

- Ta sama zasada.

- Czyli ciągle będę to widział.

- Zgodnie z oficjalną linią, z czasem to ustępuje. Tydzień, dwa i wrócisz do normalności. No, ale tutaj, z tym czymś... - Wzruszył ramionami. - Zbyt wiele niewiadomych. A przede wszystkim, przecież będziemy tam wracać, dopóki Sarasti nie zmieni zdania.

- Ale to głównie efekty magnetyczne.

- Prawdopodobnie. Choć w kwestii tego tam jebańca o nic bym się nie zakładał.

- A może je powodować coś jeszcze? Coś z naszego statku?

- Na przykład co?

- No nie wiem, powiedzmy, przeciek w magnetycznym ekranie *Tezeusza*.

- W normalnych warunkach nie. Oczywiście wszyscy mamy wszczepione w głowy małe sieci, nie? A ty w ogóle masz całą półkulę różnych protez, kto wie, jakie efekty uboczne mogą tam powstawać. A bo co? *Rorschach* to dla ciebie niewystarczający powód?

Mogłem powiedzieć: „Widziałem je już wcześniej”.

Wtedy Szpindel zapytałby: „O, naprawdę? Gdzie?”.

I ja bym pewnie odpowiedział: „Kiedy podglądałem twoje prywatne życie” i szanse na jakąkolwiek nieinwazyjną obserwację rozpadłyby się na atomy.

- To pewnie nic takiego. Ostatnio po prostu jestem jakiś nerwowy. Wydało mi się, że zauważyłem coś dziwnego na centralnej wiązce, jeszcze przed lądowaniem na *Rorschachu*. Dosłownie przez chwilę i zniknęło, gdy tylko skupiłem na tym wzrok.

- Kończyny z wieloma stawami i centralny korpus?

- Jezu, nie. Tylko mi mignęło. Jeśli to w ogóle coś było, to pewnie piłeczka Bates.

- Możliwe. - Szpindel wydawał się niemal rozbawiony. - Nie zaszkodziłoby jednak sprawdzić, czy nie ma przecieku w ekranowaniu. Na wszelki wypadek. Tylko by brakowało, żeby coś jeszcze sprowadzało wizje, nie?

Potrząsnąłem głową, przypominając sobie koszmary.

- A jak inni?

- Banda w porządku, tylko trochę rozczarowana. A pani major nie widziałem. - Wzruszył ramionami. - Chyba mnie unika.

- Nieźle ją trafiło.

- Tak naprawdę to nie bardziej niż resztę. Może nawet tego nie pamiętać.

- Jak... jak w ogóle mogła uwierzyć, że nie istnieje?

Szpindel pokręcił głową.

- To nie jest kwestia wiary. Ona wiedziała. To był fakt.

- Ale jak...

- Wskaźnik naładowania w samochodzie, kojarzysz? Czasem przerdzewieją styki. Pokazuje „puste”, więc wierzysz, że jest puste. Bo co byś miał myśleć? Nie możesz tam wleźć i policzyć elektronów.

- Mówisz, że mózg ma jakiś wskaźnik egzystencji?

- Mózg ma kupę różnych wskaźników. Możesz wiedzieć, że jesteś ślepy, choć nie jesteś; możesz wiedzieć, że widzisz, choć jesteś ślepy. I... owszem, możesz wiedzieć, że cię nie ma, choć jesteś. Lista jest długa, komisarzu. Zespół Cotarda, Antona, syndrom damasceński. Tak na początek.

Nie wymienił ślepowidzenia.

- Jak to jest? - zapytałem.

- Z czym? - Jednak dobrze wiedział, o co mi chodzi.
- Twoja ręka... sama się poruszyła? Łapiąc baterię.
- Aaa. Nie. Zachowujesz kontrolę, po prostu... no, jakbyś miał przecucie. Przecucie, gdzie sięgnąć. Jeden kawałek mózgu bawi się z drugim w rebusy. - Wskazał na leżankę. - Złaź. Już się naoglądałem twoich nieapetycznych flaków. I przyślij Bates, jak ją gdzieś wypatrzysz. Pewnie siedzi w fabrykatorze i buduje większą armię.

Połyskiwał obawami jak słonecznym blaskiem.

- Masz z nią jakiś problem - powiedziałem.

Zaczął zaprzeczać, ale przypomniał sobie, z kim rozmawia.

- Nic osobistego. Po prostu, ludzki umysł steruje mechanicznym wojskiem. Reakcje elektroniczne uwiązane do odruchów białkowych. Sam powiedz, gdzie jest najśłabsze ogniwo?

- Na dole, w *Rorschachu*, w zasadzie wszystkie ogniwa są dość słabe.

- Nie mówię, że w *Rorschachu*. My tam chodzimy. Czemu oni nie mieliby przyjść tutaj?

- Oni.

- Może jeszcze nie przyszli. Ale jak przyjdą, założę się, że to będzie coś większego niż bakterie beztlenowe. - Nie odpowiedziałem, a on ciągnął, ściszywszy głos: - Zresztą, kontrola naziemna gównem wie o *Rorschachu*. Myśleli, że wysyłają nas gdzieś, gdzie całą ciężką robotę odwalą roboty. Ale po prostu boli ich, gdy nie mogą dowodzić. Nie potrafią przyznać, że trepy są bystrzejsze od generałów. Więc pogarsza się nasza zdolność obronna dla politycznych pozorów - to zresztą nic nowego. Nie jestem wojskowym, ale to mi się wydaje bardzo kiepską strategią.

Przypomniałem sobie Amandę Bates, asystującą przy narodzinach swoich żołnierzy. „Jestem raczej takim zabezpieczeniem”.

- Amanda... - zacząłem.

- Ja ją lubię. Fajny ssaczek. Ale jeśli mamy się wdać w jakąś walkę, nie chcę, żeby dupę chroniła mi sieć upośledzana przez najśłabsze ogniwo.

- Wiesz co, jeśli będziesz otoczony rojem uzbrojonych robotów, to może...

- Taaa, ludzie cały czas tak gadają. Nie można ufać maszynom. Luddyści uwielbiają rozwodzić się o awariach komputerów, mówić, ile to razy uniknęliśmy wojen, bo człowiek miał ostatnie słowo. Ale wiesz, komisarzu, to zabawne: nigdy się nie mówi, ile wojen z tego samego powodu rozpętano celowo. Ty cały czas pisujesz te pocztówki do potomności?

Kiwnąłem głową i nawet się wewnątrz nie skrzywiłem. To tylko Szpindel.

- No to spokojnie możesz wetknąć tę rozmowę do następnej. Może się na coś przyda.

* * *

Wyobraź sobie, że jesteś jeńcem wojennym.

Przyznaj, to musiało się w końcu stać. Od osiemnastu miesięcy nic tylko niszczysz technologię i rozpylasz bioaerозole - jakkolwiek by liczyć, długo ci się udawało. W rzeczywistości kariery sabotażystów nie trwają długo. Każdego w końcu łapią.

Nie zawsze tak było. Kiedyś można było mieć nadzieję na spokojną emeryturę. Potem jednak z plejstocenu wskrzeszono wampiry i, na potęgę posepnego czerepu, to dopiero wywróciło równowagę sił do góry nogami. Te skurwysyny zawsze są o co najmniej dziesięć kroków do przodu. Nic dziwnego, krwiopijcy wyewoluowali właśnie do polowania na ludzi.

Jest taki tekst, z jakiegoś wczesnego podręcznika dynamiki populacji, bardzo starego, może nawet dwudziestowiecznego. Dla specjalistów z tej dziedziny to coś w rodzaju mantry - a może raczej należałoby to nazwać „modlitwą”. „Drapieżcy biegną, żeby jeść. Ofiary biegną, żeby żyć”. Morał z tego taki: statystycznie rzecz biorąc, ofiary uciekają myśliwym, bo mają większą motywację.

Może była to prawda w czasach, gdy wszystko sprowadzało się do szybszego biegania. Teraz jednak, gdy strategia wymaga taktycznego prognozowania i potrójnie zagnieżdżonych myślowych podstępów, wampiry wygrywają za każdym razem.

No i cię złapali - pułapkę może i zastawiły wampiry, ale za sznurek pociągnęli ludzcy zdrajcy, zwyklaki. Od sześciu godzin wiesz na przyssawkach na ścianie jakiejś nieznanej, bezimiennej, podziemnej więziennej instytucji, przyglądając się, jak paru tychże zwyklaków bawi się z twoim chłopakiem i współkonspiratorem. To nie są zwykłe zabawy. Używa się w nich kleszczy, żarzących się drutów i części ciała, które w normalnych warunkach nie dają się demontować. Chcesz, żeby twój ukochany już umarł, jak dwaj inni, których fragmenty zaścielają podłogę. Ale oni na to nie pozwolą, zbyt dobrze się bawią.

I właśnie na tym to polega - to nie jest przesłuchanie: są mniej inwazyjne sposoby na uzyskanie pewniejszych odpowiedzi. To po prostu paru kolejnych sadystycznych oprychów mających władzę, zabijających czas i parę innych rzeczy - a ty możesz tylko krzyczeć, zaciskać mocno powieki i skomleć jak zwierzę, choć jeszcze nawet cię nie dotknęli. Masz nadzieję, że nie zostawili cię na deser, bo dobrze wiesz, co to oznacza.

Lecz oprawcy nagle przerywają zabawę i przekrzywiają głowy, jakby słuchali jakiegoś zbiorowego wewnętrznego głosu. Zapewne każe im zdjąć cię ze ściany, zaprowadzić do sąsiedniego pokoju i posadzić na jednym z dwóch wyłożonych żelazem krzesel po przeciwnych stronach inteligentnego biurka, o wiele delikatniej, niż należałoby się spodziewać. Domyślasz się też, że ktoś, kto wydał te polecenia, jest jednocześnie wszechwładny i niezadowolony, gdyż w ciągu jednego uderzenia serca wyparowała im z twarzy cała sadystyczna pewność siebie.

Siedzisz i czekasz. Stół łagodnie rozbłyskuje tajemniczymi symbolami, które kompletnie by cię nie zainteresowały, nawet gdyby były zrozumiałe, nawet gdyby zawierały tajemnicę życia samych wampirów. Niewielką częścią umysłu zastanawiasz się, czy ostatni zwrot akcji może być źródłem nadziei; reszta boi się w to uwierzyć. Nienawidzisz siebie za tę troskę o własne przetrwanie, gdy po drugiej stronie ściany leżą jeszcze ciepłe strzępy przyjaciół i sojuszników.

W pokoju pojawia się krępa kobieta, Amerykanka o indiańskich rysach, ubrana w nieokreślony wojskowy strój. Włosy ma przystrzyżone maszynką, na gardle odznacza się delikatna siateczka żyłek podskórnej anteny. Twój pień mózgu widzi ją wysoką na dziesięć metrów, choć jakaś bezczelna, galaretowata narośl upiera się, że jest zaledwie średniego wzrostu.

Identyfikator na lewej piersi mówi: „Bates”. Żadnych oznak rangi.

Bates wyjmuje broń z kabury na udzie. Kurczysz się, ale nie celuje w ciebie. Kładzie ją na blacie, w zasięgu twojej ręki, i siada po drugiej stronie.

Pistolet mikrofalowy. Naładowany na ful i odbezpieczony. Na najslabszym ustawieniu powoduje oparzenia słoneczne i mdłości. Na najmocniejszym wybuchowo zagotowuje mózg w czaszce. Pomiędzy nimi powoduje ból i obrażenia o stopniowaniu równie precyzyjnym, jak twoja wyobraźnia.

Twoja wyobraźnia została podregulowana, żeby mieć wielką wrażliwość właśnie na takie skale. Gapisz się tępo na broń, próbując dojść, na czym polega ten numer.

- Dwoje twoich przyjaciół nie żyje - mówi Bates, jakby ich śmierć przed chwilą się przed tobą nie rozegrała. - Nieodwracalnie.

Nieodwracalnie nie żyją. Dobrze.

- Ciała moglibyśmy odrestaurować, ale uszkodzenia mózgu... - Bates odchrząkuje, zmieszana, zakłopotana. Zdziwiająco ludzki gest, jak na potwora. - Próbujemy odratować tego drugiego. Nic jednak nie mogę obiecać. Potrzebujemy informacji - dodaje, wykładając kawę na ławę.

No jasne, to było tylko psychologiczne rozmiękczenie. Bates jest dobrym gliną.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - wyduszasz z siebie.

W dziesięciu procentach to opór, w dziewięćdziesięciu dedukcja - gdyby już nie wiedzieli wszystkiego, to w ogóle by cię nie złapali.

- Czyli potrzebujemy jakiejś umowy - mówi Bates. - Musimy wypracować jakiś kompromis.

Chyba żartuje.

Bates widzi niedowierzenie. Kontruje je:

- Nie jestem całkiem pozbawiona współczucia. Instynktownie nie podoba mi się zamiana rzeczywistości na symulację i nie kupuję tych sloganów, „co to jest prawda”, którymi zarzuca nas Gospodarka Ciała, żeby obejść problem. Może to jest powód do obaw. Zresztą, to nie mój problem, nie moja praca, po prostu takie mam zdanie i mogę się mylić. Ale jeśli tymczasem wszyscy się pozabijamy, to i tak się nie dowiemy. To nieefektywne.

Widzisz rozczłonkowane ciała kolegów. Wciąż trochę żywe ochłapy na podłodze, a ta pizda ma jeszcze czelność mówić o efektywności?

- Nie my zaczęliśmy - mówisz.

- Nie wiem, mnie to nie interesuje. Już mówiłam: tym się nie zajmuję. - Nerwowym machnięciem kciuka nad ramieniem wskazuje drzwi za sobą, przez które zapewne tu weszła. - Tam siedzą ludzie, którzy zabili twoich kolegów. Są bez broni. Kiedy wejdiesz, pokój na sześćdziesiąt sekund zejdzie z monitorowania. Nikt inny poza tobą nie pociągnie cię do odpowiedzialności za wszystko, co tam się w tym czasie stanie.

To jakiś podstęp. Na pewno.

- Bo co masz do stracenia? - głośno myśli Bates. - I tak możemy z tobą zrobić, co się nam spodoba. Nie potrzeba nam jeszcze jednego usprawiedliwienia.

Z wahaniem podnosisz broń. Bates cię nie powstrzymuje.

Ma rację, uświadamiasz sobie. Nie masz absolutnie nic do stracenia. Wstajesz, nagle strach znika: celujesz pistoletem w jej twarz.

- A po co mam tam wchodzić? Mogę cię zastrzelić tutaj.

Wzrusza ramionami.

- Możesz. Jak dla mnie, stracona okazja.

- No dobra, wchodzę tam, wychodzę za sześćdziesiąt sekund i co wtedy?

- Wtedy sobie porozmawiamy.

- Przecież dopiero co...

- Pomyśl, że to taki gest dobrej woli - mówi. - Albo nawet rekompensata.

Drzwi się otwierają. Gdy podchodzisz, zamykają je zaraz za tobą. I oto są: wszyscy czterej, rozciągnięci na ścianie, jak chórek Chrystusów na krzyżach. Teraz nie mają już błysku w oczach. Tylko rozszalałe, zwierzęce przerażenie i zdumienie odwróceniem ról. Dwóch Chrystusów brudzi spodnie, gdy patrzysz im w oczy.

Ile zostało? Może z pięćdziesiąt sekund?

Nie za wiele. Mając odrobinę więcej czasu, można by jeszcze sporo zrobić. Ale tyle wystarczy. Zresztą nie chcesz nadużywać uprzejmości tej całej Bates.

Bo może ona w końcu jest kimś, z kim uda się dogadać.

W innych okolicznościach Amandę Bates postawiono by przed sądem wojskowym i w ciągu miesiąca stracono. I nieważne, że ta czwórka, która zginęła, była winna wielokrotnych gwałtów, tortur i zabójstw; podczas wojny tak się postępuje. Zawsze tak się robiło. Na wojnie nie ma kultury, żadnego kodeksu honorowego poza służbową hierarchią i obroną swoich. Tęp występki, skoro musisz - ukarż winnych, jeśli trzeba, choćby dla zachowania pozorów. Ale na miłość boską, przy drzwiach zamkniętych. Nie dawaj wrogowi satysfakcji z niezgody we własnych szeregach, niech widzą tylko jedność i kamiennooką stanowczość. Może i są wśród nas mordercy i gwałciciele, ale, na Boga, to są nasi mordercy i gwałciciele.

A już z pewnością nie daje się okazji do zemsty jakiejś cipie-terrorystce mającej na koncie ponad sto naszych skalpów.

Ale z wynikami trudno się kłócić: wynegocjowanie zawieszenia broni z trzecią co do wielkości siatką realistów na tej półkuli. Natychmiastowy spadek aktywności terrorystów o czterdzieści sześć procent, na wszystkich objętych działaniem terenach. Bezwarunkowe przerwanie kilku już trwających kampanii, które uszkodziłyby poważnie trzy z głównych katakumb i całkowicie uniemożliwiły działalność Punktowii Zbornemu w Duluth. I to wszystko dlatego, że porucznik Amanda Bates, w swym pierwszym polowym zadaniu dowódczym postawiła na empatię jako wojskową strategię.

To była kolaboracja z wrogiem, zdrada, horrendalne wyjście przed szereg. Takie rzeczy mają robić dyplomaci i politycy, nie żołnierze.

Ale jednak. Wyniki.

W aktach było wszystko: inicjatywa, kreatywność, parcie do sukcesu wszelkimi środkami, bez liczenia się z kosztami. Takie zapędy pewnie trzeba ukarać, a może tylko trochę utemperować. Debata toczyłaby się latami, gdyby cała historia nie wyciekła - ale wyciekła, i generałowie zniecka mieli w ręku bohaterkę.

Gdzieś podczas wojskowego procesu wyrok śmierci zmienił się w resocjalizację. Pozostawało tylko pytanie: w obozie karnym czy szkole oficerskiej? Okazało się, że w Leavenworth mają jedno i drugie; Leavenworth wzięło ją w swe objęcia i przycisnęło tak mocno, by praktycznie zagwarantować awans, o ile uścisk wcześniej jej nie zabije. Trzy lata później major Bates poleciała ku gwiazdom, gdzie słyszano, jak mówi:

- Siri, my się do nich włamujemy...

Nie Szpindel pierwszy miał wątpliwości. Inni też się zastanawiali, czy dostała to zadanie dzięki swym świetnym kwalifikacjom, czy może w ramach rozwiązywania kłopotliwego problemu z opinią publiczną. Ja oczywiście nie skłaniałem się w żadną stronę, ale rozumiałem, dlaczego niektórzy widzą w niej obosieczny miecz.

Gdy ważą się losy świata, lepiej mieć oko na kogoś, u kogo kulminacyjny moment kariery polega na brataniu się z wrogiem.

Robiliśmy to pięć razy. Przy pięciu kolejnych okrążeniach wchodziliśmy w paszczę bestii, pozwalaliśmy jej gryźć nas bilionem mikroskopijnych ząbków, dopóki *Tezeusz* nie wciągał nas z powrotem i nie łątał. Pełzaliśmy zrywami po trzewiach *Rorschacha*, starając się możliwie najbardziej skupić na bieżących zadaniach i nie zwracać uwagi na duchy łaskoczące nas w śródmózgowie. Czasem ściany delikatnie się napinały. Czasem tylko nam się wydawało. Czasem chroniliśmy się w naszym nurkowym kesonie, a wokół nas leniwymi spiralami przelatywały fale elektromagnetyczne i elektryczne ładunki, jak ektoplazmatyczne piguły podróżujące w dół jelita jakiegoś boga-poltergeista.

Czasem jednak łąpały nas bez osłony. Banda bełkotała coś, nie wiedząc, która osoba jest która. Ja raz popadłem w rodzaj paraliżu na jawie, a ręce obcych ciągnęły mnie korytarzem. Na szczęście inne ręce zaciągnęły mnie z powrotem, a głosy twierdzące, że są prawdziwe, powiedziały mi, że wszystko to sobie wymyśliłem. Amanda Bates dwa razy spotkała Boga, zobaczyła skurwysyna na własne oczy, nie mając cienia wątpliwości, że Stwórca nie tylko istnieje, ale do niej przemawia - i tylko do niej. Dwa razy straciła swą wiarę, gdy zawlekliśmy ją do kesonu, ale przez chwilę było nieciekawie - wojenne roboty, pijane energią, ale wciąż pod jej optyczną władzą, zeszyły z pozycji i wymierzyły lufy w cele zbyt bliskie, by czuć się komfortowo.

Trepy zdychały błyskawicznie. Niektóre wytrzymały jedną wyprawę; inne przepadały w parę minut. Najdłużej żyły te najwolniejsze, półślepe, tępe, komunikujące się wążutkim pasmem prymitywnego dźwięku o wysokiej częstotliwości odbijającego się od ich ekranowanych bębneków. Niekiedy wspieraliśmy je innymi, komunikującymi się optycznie: szybszymi, ale bardziej nerwowymi i jeszcze delikatniejszymi. Wspólnie strzegły nas przed przeciwnikiem, który jeszcze się nam nie ukazał.

Zresztą wcale nie musiał. Nasze oddziały ginęły, choć wróg nie strzelał.

Daliśmy radę, zwyciężyliśmy ataki, halucynacje i sporadyczne konwulsje. Staraliśmy się pilnować nawzajem, gdy magnetyczne macki bujały naszymi uszami środkowymi, wywołując chorobę morską. Czasem rzygaliśmy do hełmów, a potem po prostu czekaliśmy, pobladli, cedząc powietrze przez zaciśnięte zęby, aż recyklery odfiltrują sprzed twarzy glutę i maż. W myślach dziękowaliśmy za miłosierdzie elektrostatycznym, odpychającym wszystko szybkim hełmów.

Szybko stało się oczywiste, że ja robię nie tylko za mięso armatnie. Nie miało znaczenia, że nie posiadam umiejętności lingwistycznych Bandy ani wiedzy biologicznej Szpindla; byłem po prostu kolejną parą rąk w miejscu, które mogło w sekundę obezwładnić każdego. Im więcej ludzi utrzymywał Sarasti na placu boju, tym większa była szansa, że w danym momencie któryś z nich przynajmniej trochę funkcjonuje. I tak nie bardzo się nadawaliśmy, żeby cokolwiek osiągnąć. Każdy desant był nierozważnym ryzykiem.

Ale i tak to robiliśmy. Inaczej równie dobrze moglibyśmy wracać.

Praca posuwała się mikroskopijnymi krokami, paraliżowana na wszystkich frontach. Banda nie znajdowała żadnych przykładów nadającej się do deszyfracji mowy czy komunikacji, za to łatwa do zaobserwowania była ogólna mechanika tego czegoś. Czasem *Rorschach* dzielił się, stawiając ścianki, w korytarzach wyrastały żebra, jak chrzęstne pierścienie okalające ludzką tchawicę. Po paru godzinach niektóre potrafiły rozwinąć się w zamykające tęczówki albo w pełne przegrody, lejąc się leniwie jak ciepła stearyna. Wydawało nam się, że widzimy rozrost konstrukcji o kolejne segmenty.

Rorschach rósł głównie na czubkach cierni, my poruszaliśmy się setki metrów od najbliższego, ale ten proces ewidentnie sięgał co najmniej tutaj.

Może i był to element normalnego procesu wzrostu, ale tutaj stanowił zaledwie mdłe echo tego, co musiało się dziać w strefach wierzchołkowych. Nie mogliśmy ich bezpośrednio obserwować, nie ze środka; już w odległości stu metrów od ciernia rura stawała się zbyt zabójcza dla ludzkiego białka, choćby samobójczego. Lecz w trakcie tych pięciu okrążeń *Rorschach* urósł o kolejne osiem procent, bezmyślnie i mechanicznie jak narastający kryształ.

Przez cały czas starałem się wykonywać zadanie. Kompilowałem i łączyłem materiały, obracałem dane, których w życiu nie zrozumieć. Obserwowałem jak najuważniej otaczające mnie organizmy, dodając do kompilatu wszystkie ich nawyki i tiki. Jedna część mózgu produkowała streszczenia i syntezy, druga obserwowała, z niedowierzaniem i niezrozumieniem. Żadna nie umiała dojść, skąd biorą się te wszystkie spostrzeżenia.

To było trudne, prawda. Sarasti nie chciał wypuścić mnie na zewnątrz systemu. Wszystkie obserwacje zakłócała moja obecność w układzie. Robiłem co mogłem. Powstrzymywałem się od sugestii mogących wpłynąć na kluczowe decyzje. Na froncie robiłem, co mi kazano, i ani na jotę więcej. Starałem się naśladować robota Bates, proste narzędzie bez inicjatywy, niewpływające na dynamikę grupy. Zdaje się, że na ogół mi się udawało.

Moje nieprzemyslenia gromadziły się zgodnie z planem i piętrzyły wśród niewysłanych transmisji *Tezeusza*. Lokalne zakłócenia były zbyt silne, żeby sygnał dotarł na Ziemię.

* * *

Szpindeł miał rację: zabraliśmy duchy na górę. Zaczynaliśmy słyszeć szepczące wzdłuż kręgosłupa statku głosy kogoś innego niż Sarasti. Czasem nawet jaskrawo oświetlony zapętlony świat bębna, widziany kątem oka wyginał się i falował - nieraz widywałem gnieźdzące się w szkielecie kościste, bezgłowe zjawy o zbyt wielu ramionach. Wydawały się bardzo konkretne, lecz gdy ogniskowałem na nich wzrok, bladły do cienia, do ciemnej, półprzejrzystej plamy. Takie delikatne te duchy. Wierci się w nich dziury samym aktem obserwacji.

Szpindeł sypał demencjami jak z rękawa. Ja poszedłem po oświecenie do ConSensusa i odkryłem całą drugą jaźń, zagrzebaną pod układem limbicznym, tyłomózgowiem, ba, nawet pod mózdzkiem. Mieszka w pniu mózgu i jest starsza niż kręgowce. Samowystarczalna, ma słuch, wzrok i dotyk, niezależny od wszystkich części dołożonych później w ramach ewolucyjnej refleksji. Nie myśli o niczym poza własnym przetrwaniem: nie ma czasu na planowanie czy abstrakcyjną analizę, oszczędza siły tylko na najbardziej podstawowe przetwarzanie postrzeganych informacji. Ale za to jest szybka, dedykowana i reaguje na zagrożenia w ułamku czasu potrzebnego jej inteligentniejszym współmieszkańcom, aby w ogóle je sobie uświadomili.

I nawet kiedy nie może tego zrobić - bo uparta, nieustępliwa kora nowa odmawia spuszczenia ze smyczy - próbuje przekazać jej, co widzi: tak Isaac Szpindeł doświadczył owego nieodpartego przecucia, każącego mu gdzieś sięgnąć. W pewnym sensie miał w głowie okrojoną wersję Bandy. Każdy miał.

Pogrzebałem głębiej i w mięchu mózgu odkryłem samego Boga, znalazłem szum, który wywołał u Bates ekstazę, a u Michelle konwulsje. Wytropiłem zespół Dorianą Graya w mateczniku w płacie skroniowym. Usłyszałem głosy grzmiące w mózgach schizofreników. Znalazłem martwicze obszary,

każące ludziom odrzucać własne kończyny, i wyobrażałem sobie, jakie musiało być wywołujące to samo pole magnetyczne, wtedy gdy Procesor chciał oderwać sobie nogę. A daleko, w na wpół zapomnianym siedlisku dwudziestowiecznych studiów - pod pozycją katalogową „Zespół Cotarda” - odkryłem Amandę Bates i innych jej podobnych, z mózgiami wykręconymi w zaprzeczanie własnemu istnieniu.

- Kiedyś miałem serce - powiedział apatycznie pacjent w archiwum. - Teraz bije mi tam coś innego.

Inny nalegał, żeby go pochować, bo już śmierdzi.

I wiele innych, cały katalog precyzyjnie wycelowanych zaburzeń, których *Rorschach* na razie nam nie zaaplikował. Somnambulizm. Agnozje. Jednostronna nieuwaga. ConSensus zaserwował mi paradę osobliwości, która każdy mózg zmusiłaby do osłupienia własną kruchością: kobieta umierająca z pragnienia, mająca pod ręką wodę, nie dlatego, że nie widziała kranu, ale ponieważ go nie poznała. Człowiek, dla którego nie istniała lewa strona świata, który nie mógł ani spostrzec, ani wyobrazić sobie lewej strony swego ciała, pokoju, wiersza tekstu. Dla którego samo pojęcie „lewy” było nie do pomyślenia.

Czasem jednak swobodnie o czymś myślimy, a jednak tego nie widzimy, choć mamy to przed sobą. Przed nosem zniecka materializują się wieżowce, osoba rozmawiająca z nami podczas chwilowej nieuwagi zmienia się w kogoś innego - a my nie zauważamy. To nie czary. To nawet nie omyłka. Nazywają to „ślepotą z nieuwagi” i jest dobrze znana co najmniej od stulecia - taka skłonność oka do niezauważania rzeczy, które ewolucyjne doświadczenie sklasyfikowało jako nieprawdopodobne.

Znalazłem także przeciwieństwo ślepowidzenia Szpindla, chorobę, w której niewidzący wierzą, że są ślepi, lecz niewidomi upierają się, że widzą. Sama idea jest absurdalna do szaleństwa - a tu proszę, odklejone siatkówki, wypalone nerwy wzrokowe, same prawa fizyki nie pozwalają na jakiegokolwiek widzenie: wpadają na ściany, potykają się o meble i wymyślają nieskończone groteskowe wytłumaczenia własnej niezdarności. Ktoś inny zniecka wyłączył światła. Za oknem mignął kolorowy ptak i odwrócił moją uwagę od przeszkody. Widzę świetnie, proszę pana. Z moimi oczami wszystko w porządku.

Szpindeł nazywał to „wskaźnikami w głowie”. Ale były tam i inne rzeczy. Na przykład model świata, w którym w ogóle nie wyglądamy na zewnątrz; nasze świadome jaźnie widzą w głowie tylko symulację, interpretację rzeczywistości, bez końca odświeżaną danymi wejściowymi ze zmysłów. A co się stanie, gdy zmysły zawiodą, ale model, zepsuty przez jakiś uraz czy guz, się nie odświeży? Jak długo będziemy się gapić w tę nieaktualną interpretację, w kółko obracając te same stare dane w desperackim, podświadomym akcie uczciwego wyparcia? Ile trzeba czasu, żeby dotarło do nas, że widziany świat już nie odzwierciedla tego, w którym mieszkamy? Ze jesteśmy ślepi?

Według archiwów czasami trwa to całe miesiące. U jednej nieszczęsnej kobiety trwało ponad rok.

Odwołania do logiki całkowicie tu zawodzą. Jak mogłeś widzieć ptaka, skoro tu nie ma okna? Skąd wiesz, gdzie kończy się postrzegany przez ciebie półświat, jeśli nie widzisz tej drugiej połówki dla przeciwwagi? Skoro nie żyjesz, jak możesz czuć zapach własnego rozkładu? Jeśli nie żyjesz, Amando, to kto do nas mówi?

Bez sensu. W kleszczach zespołu Cotarda albo jednostronnej nieuwagi nie przekonają cię żadne argumenty. Natomiast w szponach obcego artefaktu wiesz, że twoja jaźń zniknęła, że rzeczywistość kończy się na linii środkowej. Wiesz to z taką samą niezachwianą pewnością, z jaką każdy zna położenie własnych kończyn, z tą wbudowaną świadomością niepotrzebującą dalszych potwierdzeń.

Czymże jest wobec niej rozum? Czymże jest logika?

We wnętrzu *Rorschacha* nie ma na nie miejsca.

* * *

Za szóstą orbitą zadziałał.

- Mówi do nas - powiedziała James. Oczy za szybką miała rozszerzone. Wokół nas bebechy *Rorschacha* pływały i pełzały na skraju pola widzenia; nadal trzeba było się wysilić, żeby nie zwracać uwagi na to złudzenie. Obce słowa łączyły mi poniżej pnia mózgu jak małe zwierzątka, gdy próbowałem skoncentrować się na pierścieniu palczastych występów sterczących jak paliki ze ściany.

- Nie mówi - powiedział Szpindel z drugiej strony tętnicy. - Po prostu znowu masz halucynacje.

Bates się nie odezwała. Dwa trepy polatywały na środku, rozglądając się po trzech osiach.

- Tym razem to coś innego - upierała się James. - Geometria nie jest symetryczna. Wygląda prawie jak dysk z Fajstos. - Obróciła się powoli, wskazała w dół korytarza. - Tu chyba jest silniejsze...

- Daj Michelle - poprosił Szpindel. - Może ona tchnie w ciebie trochę rozumu...

James zaśmiała się niewyraźnie.

- Nie odpuszczasz, co? - Zakręciła pistoletem i odplynęła w głębszy mrok. - Tak, tu faktycznie jest silniejsze. Tu jest treść, nałożona na...

Rorschach odciął ją, szybko jak błyskawica.

Nigdy nie widziałem, żeby coś poruszało się tak szybko. Żadnej ociążałości, do której przyzwyczyły nas *Rorschachowe* przegrody, ani leniwości skurczu; tęczęwka zwarła się momentalnie. Nagle tętnica po prostu kończy się trzy metry od nas matowoczną błoną zdobioną w filigranowe spirale.

A Banda Czworoga jest po drugiej stronie.

Trepy zareagowały natychmiast, z sykiem laserów. Bates krzyczała:

- Za mnie! Pod ściany!

Wyskoczyła w powietrze jak akrobatka na przyspieszonym filmie, zajmując dogodną pozycję, oczywistą przynajmniej dla niej. Przesunąłem się na bok. Powietrze ciężkie drżące nitki przegrzanej plazmy. Dostrzegłem kątem oka, że Szpindel przywarł do ściany naprzeciwko. A ściany pełzały. Widziałem, jak lasery zbierają żniwo - przegroda łuszczyła się pod ich naporem, jak spalony papier, z kruchych brzegów sączył się czarny tłusty dym i...

Nagła światłość, wszędzie. Tętnicę zalała feeria rozproszonego we wszystkie strony światła, pod tysiącami zmiennych kątów padania i odbicia. Jakbyśmy się znaleźli we wnętrzu wycelowanego w słońce kalejdoskopu. Światło...

...ostry jak igła ból w boku, w lewej ręce. Odór spalonego mięsa. Krzyk, ucięty.

- Jesteś tam, Susan? Ty giniesz pierwsza.

Światło wokół przygasło; rój mroczków w głowie mieszał je z chronicznymi półwizjami podrzucenymi tam wcześniej przez *Rorschacha*. W hełmie irytująco świergotał alarm, przebicie, przebicie... dopóki inteligentna tkanina skafandra nie zmiękła i nie zestaliła się na nowo w miejscach dziur. Coś mnie potwornie kłuło w lewym boku. Czuję się jak przypalony żelazem.

- Keeton! Sprawdź Szpindla! - Bates wstrzymała lasery.

- Keeton!

Racja. Szpindel.

Szybka była nietknięta. Laser stopił wylaminowaną na szkle siatkę Faradaya, ale skafander już zdążył zasklepić otwór. Dziura pod spodem, czyściutko wywiercona pośrodku czoła, pozostała. Oczy poniżej niej wpatrywały się w nieskończoność.

- I co? - zapytała Bates. Mogła odczytać jego wskazania równie łatwo jak ja, ale *Tezeusz* umiał dokonać pośmiertnej odbudowy.

O ile mózg był nieuszkodzony.

- Nic.

Ustało wycie wiertel i pił; rozjaśniło się. Odwróciłem głowę od zwłok Szpindla. Trepy wycięły otwór we włóknistym mięszu przegrody. Jeden przecisnął się na drugą stronę.

Wśród dźwięków pojawił się nowy - cichutkie, zwierzęce zawodzenie, udręczone i dysharmonijne. Przez moment myślałem, że *Rorschach* znów do nas szepcze; jego ściany jakby się delikatnie kurczyły wokół mnie.

- James? - warknęła Bates. - James!

To nie James. To mała dziewczynka w ciele kobiety w pancernym skafandrze, oszalała z przerażenia.

Trep przepchnął ją, zwiniętą w kłębek, z powrotem ku nam. Bates dotknęła jej delikatnie.

- Susan? Suze, wracaj. Jesteś bezpieczna.

Trepy unosiły się niestrudzenie, pilnując ze wszystkich stron, udając, że wszystko jest pod kontrolą. Bates zaszczyliła mnie spojrzeniem.

- Weź Isaaca. - Odwróciła się z powrotem do James. - Susan?

- N... n-nie - zakwilił głosik małej dziewczynki.

- Michelle? To ty?

- Tam coś było - powiedziała dziewczynka. - Złapało mnie. Za nogę.

- Idziemy stąd. - Bates pociągnęła Bandę korytarzem.

Jeden trep został z tyłu, obserwując otwór; drugi otwierał pochód.

- Już poszło - mruknęła uspokajająco. - Nic tam nie ma. Widzisz obraz?

- Tego nie w-w-widać - szepnęła Michelle. - Jest nie... nie-w-widzialne...

Podczas naszego odwrotu przegroda cofnęła się po krzywej. Wycięta pośrodku dziura patrzyła na nas jak postrzępiona źrenica wielkiego niemrugającego oka. Dopóki miałem ją w zasięgu wzroku, pozostała pusta. Nic nas nie goniło. Nic widzialnego. W głowie kręciła mi się pewna myśl, jakaś niedorobiona mowa pogrzebowa wykradziona z podsłuchanego konfesjonału i nie potrafiłem jej odpędzić, choć bardzo się starałem.

Isaac Szpindel nie dotarł do półfinałów.

* * *

Po drodze na górę Susan James wróciła do nas. Isaac Szpindel nie.

Bez słowa rozebraliśmy się w balonie odkażalniczym. Bates pierwsza pozbyła się skafandra i już chwyciła Szpindla, ale Banda powstrzymała ją gestem i kręcąc głową. Gdy go rozbierała, osoby przechodziły jedna w drugą. Susan zdjęła hełm, plecak i napierśnik. Procesor zsunął srebrzysto-ółowiową skórę od szyi do stóp. Sascha ściągnęła trykot, pozostawiając blade, bezbronne, nagie

ciało. Poza rękawicami. Rękawice interfejsowe zostały na dłoniach - opuszki wrażliwe na wieki, białko pod spodem na wieki martwe. Szpindel przez cały czas patrzył, nie mrugając, spod dziury w czole. Zeszlony wzrok utkwiony w dalekich kwazarach.

Spodziewałem się, że Michelle je zamknie, ale się nie pojawiła.

Nie mam pojęcia co powinienem czuć, myślałem. Był dobrym człowiekiem. Był w porządku, był dla mnie miły, nawet kiedy nie wiedział, że słucham. Nie znałem go zbyt długo - w gruncie rzeczy nie przyjaźniłem się z nim - ale jednak. Powinno mi go brakować. Powinienem go opłakiwać.

Powinienem czuć coś więcej niż ten szaleńczy, dojmujący strach, że mogę być następny...

Sarasti nie tracił ani chwili. Zastępca Szpindla wyszedł nam na spotkanie, świeżo odmrożony, roztaczający zapach nikotyny. Jego ciało jeszcze się nawadniało - na obu udach miał bąble z solą fizjologiczną - ale ten proces nigdy mu nie zatrze ostrości rysów. Trzaskał stawami przy każdym ruchu.

Spojrzał przeze mnie i wziął ciało.

- Susan... Michelle... ja...

Banda się odwróciła.

Kaszlnął, zaczął niezdarnie ubierać zwłoki w trupi kondom.

- Sarasti woła wszystkich do bębna.

- My świecimy - powiedziała Bates. Na wycieczce, nawet skróconej, nazbieraliśmy śmiertelną porcję siwertów. W gardło delikatnie łaskotały mnie mdłości.

- Później się odkazicie. - Jedno długie pociągnięcie suwaka i Szpindel zniknął, pochłonięty przez tłusty szary całun. - Ty... - Obrócił się ku mnie, wskazał osmalone dziury w moim trykocie. - Ze mną.

Robert Cunningham. Kolejny prototyp. Ciemnowłosa, o zapadniętych policzkach, jego szczęki można by użyć zamiast linijki. Jednocześnie gładszy i bardziej szorstki od człowieka, którego zastąpił. Szpindel podrygiwał, miotany tikami, jakby dźgany prądem, twarz Cunninghama zaś miała tyle wyrazu co u woskowej figury. Mózgowy soft sterujący tymi mięśniami został przymusowo zapędzony do innych zadań. Nawet drgnienia ciała miał wyciszone, złagodzone wciągana co drugi oddech nikotyną.

Teraz nie miał papierosa. Miał tylko opakowane ciało swego pechowego poprzednika i stałą, świeżo odmrożoną niechęć do pokładowego syntetyka. Palce mu drżały.

Bates i Banda wspięły się w milczeniu wzdłuż kręgosłupa. Cunningham i ja szliśmy za nimi, niosąc pośrodku Całun Szpindelki. Teraz, kiedy mi o tym przypomniał, poczułem pieczenie w nodze i boku. Niewiele zresztą mógł z tym zrobić. Promienie, tnąc ciało, od razu przyżegały tkanki, a gdyby trafiły w coś ważnego, to już dawno bym nie żył.

Przy władze zmieniliśmy szyk na pojedynczy: pierwszy Szpindel, Cunningham pcha go, trzymając za pięty. Gdy w końcu wszedłem do bębna, Bates i Banda zajmowały już miejsca. Sarasti, we własnej osobie, obserwował je z końca konferencyjnego stołu.

Oczy miał nieosłonięte. Pod tym kątem łagodne, pełnowidmowe światło bębna wypłukiwało z nich cały połysk. Nie przyglądając się zbyt uważnie i zbyt długo, można było prawie pomyśleć, że są ludzkie.

Na moje przybycie odpalono już BioMed. Cunningham wskazał diagnostyczną leżankę na zatrzymanej części pokładu służącej nam za ambulatorium; podpłynąłem tam i się przypiąłem. Dwa metry dalej, za sięgającą do piersi barierką, która wysunęła się z pokładu, płynnie obracała się reszta bębna. Kręciła Bates, Bandą i Sarastim jak ciężarkami na sznurku.

Podpiałem się do ConSensusa, żeby ich słyszeć. Mówiła James, cicho i beznamiętnie.

- Zauważyłam nową prawidłowość w stałych wzorcach kształtów. W tej ich siatce. Wyglądało mi to na sygnał. W głębi tunelu był mocniejszy, ale kiedy tam poszłam, straciłam przytomność. I więcej nic nie pamiętam, doszłam do siebie, kiedy wracaliśmy. Michelle streściła mi, ile mogła. Tyle wiem. Przykro mi.

Sto stopni od nich, w strefie nieważkości, Cunningham wmanewrował zwłoki poprzednika do trumny mającej inne kontrolki niż te z przodu. Ciekawe, czy jeszcze podczas odprawy zaczniesz sekcję. Ciekawe, czy da się usłyszeć odgłosy.

- Sascha - powiedział Sarasti.

- No. Jechałam z mamą. - W głosie pojawiło się charakterystyczne zaciąganie. - Kiedy straciła przytomność, byłam głucha, niema i ślepa jak jebany kret. Próbowałam przejąć kontrolę, ale coś mnie blokowało. Pewnie Michelle. Nawet nie podejrzewałam, że tak potrafi. Nic nie widziałam.

- Ale nie tracisz przytomności.

- O ile wiem, cały czas czuwałam. Tylko że w ciemności.

- A zapach? Dotyk?

- Czulałam, kiedy Michelle sikała w skafander. Ale nic więcej nie zauważyłam.

Cunningham wrócił do mnie. W ustach pojawił się nieodłączny papieros.

- Nic cię nie dotyka - domyślał się wampir. - Nic nie łapie za nogę.

- Nie - odparła Sascha. Nie wierzyła opowieściom Michelle o niewidzialnych potworach. Nikt nie wierzył. Po co, skoro te przeżycia tak łatwo wyjaśnia demencja?

- Procesor.

- Ja nic nie wiem. - Ciągłe nie mogłem przyzwycząić się do męskiego głosu dobywającego się z gardła James. Procesor był pracoholikiem. Mało kiedy pojawiał się w mieszanym towarzystwie.

- Jesteś tam - przypomniał mu Sarasti. - Musisz pamiętać coś...

- Mama dała mi wzorce do analizy. Pracowałem nad nimi. Dalej pracuję. Nic nie zauważyłem.

To wszystko?

Nigdy nie udawało mi się go dobrze rozczytać. Czasem wyglądało na to, że ma więcej wspólnego z dziesiątkami nieświadomych modułów w głowie James niż ze świadomymi personami składającymi się na Bandę.

- Nic nie czujesz? - drążył Sarasti.

- Tylko wzorce.

- Coś istotnego?

- Standardowe fenomatematyczne spirale i siatki. Ale jeszcze nie skończyłem. Mogę już iść?

- Tak. Zawołaj Michelle.

Cunningham dźgał moje rany znieczulaczem, mruczając coś do siebie. Między nami wił się bładoniebieski dym.

- Isaac znalazł parę guzów - zauważył.

Kiwnąłem głową i zakaszlałem. Bolało mnie gardło. Mdłości były już na tyle silne, że przedostawały się pod przeponę.

- Michelle - powtórzył Sarasti.

- Tu mam jeszcze parę - ciągnął Cunningham. - Na dnię czaszki. Ale na razie kilkadziesiąt komórek, nie opłaca się wypalać.

- Jestem. - Głos Michelle nawet przez ConSensus był ledwie słyszalny, ale przynajmniej brzmiał dorośle. - Jestem.

- Powiedz, co pamiętasz?

- Czulałam... że... no, po prostu jechałam z mamą i ona nagle zniknęła, nie było nikogo, więc

musiałam... przejąć kontrolę...

- Widzisz, jak zamyka się przegroda?

- Nie bardzo. Poczułam, że robi się ciemno, ale kiedy się odwróciłam, już byliśmy zamknięci. I wtedy poczułam coś za sobą, nie było głośne ani ostre, tylko jakby na mnie wpadło, chwyciło mnie... i... i... Przepraszam - dodała po chwili. - Jestem trochę... nieprzytomna...

Sarasti czekał.

- Isaac - wyszeptała Michelle. - On...

- Tak. - Pauza. - Bardzo nad tym ubolewamy.

- Może... da się go naprawić?

- Nie. Uszkodzony mózg. - W głosie wampira brzmiało coś przypominającego współczucie, emocja wyćwiczona przez wprawne naśladowcę. I jeszcze coś - niemal niedostrzegalny głód, subtelna odrobina pokusy. Zapewne nie słyszał tego nikt poza mną.

Byliśmy chorzy i pogarszało nam się z każdą chwilą. Słabi i ranni wabią drapiezców.

Michelle znów zamilkła. A gdy się odezwała, jej głos tylko trochę się łamał:

- Nie mam za wiele do powiedzenia. Złapało mnie. Potem puściło. Rozpadłam się na kawałki i nie mogę wyjaśnić czemu, poza faktem, że to pieprzone miejsce robi z ludźmi takie rzeczy, a ja byłam... słaba. Przykro mi. Nic więcej nie wiem.

- Dziękuję - powiedział po dłuższej chwili Sarasti.

- Mogę... jeśli nie macie nic przeciwko, już pójdę.

- Dobrze - odrzekł Sarasti.

Michelle zniknęła pod powierzchnią, obracająca się masa przepłynęła przede mną. Nie widziałem, kto ją zastąpił.

- Trepy nic nie widziały - dodała Bates. - Kiedy przebiliśmy przegrode, tunel za nią był pusty.

- Każdy złoczyńca miał mnóstwo czasu, żeby zwiać - powiedział Cunningham. Wbił stopy w pokład i chwycił poręcz.

Subbēben zaczął się obracać. Przesunąłem się ukośnie, trzymany więzami.

- Nie przeczę - odparła Bates. - Ale jeśli czegoś o tym miejscu się dowiedzieliśmy, to właśnie tego, że tam nie można wierzyć własnym zmysłom.

- Ale uwierz zmysłom Michelle - wtrącił Sarasti.

Robiłem się coraz cięższy, on zaś otworzył okno: widziany okiem trepa rozmyty jasny kleks mający za półprzejrzystymi pergaminowymi włóknami wypatroszonej przegrody. Obraz lekko zafalował, gdy robot natrafił na jakieś lokalne ognisko magnetyczne, potem odtworzył się od nowa. Zadrżał - i znów od nowa. Zapętlone sześć sekund.

- Obok Bandy coś widać.

Niewampiry nic tam nie widziały. Sarasti zatrzymał obraz, ewidentnie uświadamiając sobie ten fakt.

- Linie dyfrakcyjne dla pojedynczego źródła światła na otwartej przestrzeni nie zgadzają się. Widzę elementy ciemniejsze i odbijające światło. Tutaj... - w dwóch niczym się niewyróżniających punktach ekranu pojawił się kursor - ...i tutaj mamy dwa ciemne obiekty rozpraszające światło, blisko siebie, podobnej wielkości. Jeden to Banda. Drugi nie wiadomo.

- Zaraz - powiedział Cunningham. - Skoro ty to widzisz w tych warunkach, dlaczego Su... dlaczego Michelle nic nie widziała?

- Jest synestetyczką - przypomniał Sarasti. - Ty widzisz. Ona czuje.

BioMed delikatnie szarpnął, synchronizując rotację z resztą bębna; poręcz schowała się w pokładzie. Coś bez oczu obserwowało, jak się temu przyglądam, gdzieś z odległego zakamarka.

- Cholera - szeptęła Bates. - Mamy tu kogoś.

* * *

Nawiasem mówiąc, oni wszyscy wyrażali się całkiem inaczej. Gdybym ich zapisywał dosłownie, słyszelibyście totalny bełkot - z pół tuzina języków plus Babel osobistych idiomów.

Co prostsze tiki jednak się przedostawały - dobroduszną wojowniczość Saschy, niechęć Sarastiego do czasu przeszłego. Cunningham na skutek nieprzewidzianego zajścia podczas prac nad płatem skroniowym stracił większość zaimków osobowych rodzaju męskiego i żeńskiego. Ale to dalece nie wszystko. Prawie wszyscy w co drugim zdaniu mieszały angielski, hindi i hadza; żaden prawdziwy naukowiec nie pozwalał sobie krępować myśli konceptualnymi ograniczeniami jednego języka. Czasem zaś zachowywali się jak syntetycy - porozumiewali się niezrozumiałymi dla zwykłego chrząknięciami i gestami. To nie jest tak, że najściślej czołówce brakuje umiejętności interpersonalnych; po prostu po przejściu pewnego progu formalny język działa cholernie wolno.

Wyjątkiem była Susan James. Chodząca sprzeczność - kobieta tak oddana Komunikacji jako Czynniki Jednoczącemu, że na potwierdzenie tej tezy dała sobie posiekać mózg na oddzielne fragmenty. Chyba tylko ją obchodziło, z kim akurat rozmawia. Reszta mówiła wyłącznie swoim językiem, nawet rozmawiając z kimś innym. Nawet inne osoby James komunikowały swoje myśli na własny sposób, niech każdy sobie przetłumaczy, jak umie. To nie stanowiło problemu. Na *Tezeuszu* wszyscy umieli czytać się nawzajem.

Lecz Susan to nie interesowało. Zawsze dobierała słowa do adresata, adaptowała się.

Jestem przekaźnikiem. Istnieję, żeby wypełniać lukę - gdybym tylko relacjonował ich słowa, niczego bym nie wypełniał. Mówię więc, co mieli na myśli - zrozumiecie z tego, ile tylko dacie radę.

Oprócz Susan James, lingwistki i herszta Bandy, której ufam na tyle, by mogła mówić sama.

* * *

Piętnaście minut do apogeum: maksymalnie bezpieczna odległość, na wypadek, gdyby *Rorschach* postanowił kontratakować. Daleko pod nami pole magnetyczne artefaktu uciskało atmosferę Bena jak mały palec Boży. Spływały pod niego wielkie, ciemne chmury burzowe; za nim zderzały się skłębione zawijasy.

Piętnaście minut do apogeum, a Bates cały czas liczy, że Sarasti zmieni zdanie.

To w pewnym sensie jej wina. Gdyby potraktowała nowe zadanie jak kolejny krzyż, który ma nieść, może wszystko potoczyłoby się mniej więcej tak jak przedtem. Byłaby słabiutka nadzieja, że Sarasti pozwoli nam zacisnąć zęby i schodzić tam jak zwykle, choć atakują już nas nie tylko hordy siwertów, magnesów i mieszkających w id potworów, ale także sprężynowe zapadnie. Bates jednak zrobiła z tego aferę. To nie było kolejne gównno w rurze; to gównno rurę zatkało.

„Na tym czymś ledwo udaje nam się przeżyć w standardowych warunkach; jeśli zacnie nam umyślnie przeciwdziałać... nie wyobrażam sobie wystawiania się na takie ryzyko”.

Czternaście minut do apogeum i Amanda Bates nadal żałuje tych słów.

Podczas poprzednich ekspedycji nanieśliśmy na mapę dwadzieścia sześć przegród w różnych

stadiach rozwoju. Prześwietlaliśmy je rentgenem i ultradźwiękami. Obserwowaliśmy, jak pełzną korytarzami albo powoli zatapiają się w ścianach. Przesłona, która zatrasnęła się za Bandą Czworą, była całkiem innym stworzeniem.

„Jakie jest prawdopodobieństwo, że pierwsza z takim czułym spustem miała przypadkiem jeszcze pryzmaty przeciw laserom? Nie od typowego wzrostu. To było zastawione na nas.

Zastawione przez...”

To jest druga kwestia. Trzyście minut do apogeum, a Bates obawia się lokatorów.

Cały czas się włamujemy; to akurat się nie zmieniło. Ale na początku, łamiąc kłódkę łapką, myśleliśmy, że demolujemy pusty domek letniskowy, na dodatek jeszcze w budowie. Myśleliśmy, że na razie nie mamy do czynienia z właścicielami. Nie spodziewaliśmy się, że zdybią nas, gdy wchodzimy do nich w nocy, żeby się odlać. A teraz, gdy jeden z nich to zrobił, trzeba się zastanowić, jaką broń może mieć schowaną pod poduszką...

„Przegrody mogą się zamknąć w każdej chwili. Ile ich jest? Są stałe czy przenośne? Nie możemy kontynuować, nie wiedząc tego”.

Z początku Bates ze zdziwieniem i zadowoleniem stwierdziła, że Sarasti się z nią zgadza.

Dwanaście minut do apogeum. Z tej wysokości, dobrze poza zasięgiem szumu, *Tezeusz* patrzył na pogięte, pokurczone ciało *Rorschacha*, nie spuszczać z oka ranki, którą wypaliliśmy mu w boku. Nasz namiot na przyssawkach pokrywał ją jak bąbel; Diabełek ze środka słał nam drugą, bezpośrednią relację z toczącego się eksperymentu.

„Sir. Wiemy, że *Rorschach* jest zamieszkanym. Czy ryzykujemy prowokowanie ich jeszcze raz? Chcemy ryzykować, że ich zabijemy?”

Sarasti niezupełnie na nią patrzył i niezupełnie się odzywał. Gdyby to zrobił, pewnie powiedziałby coś w rodzaju: „Nie rozumiem, jak takie mięso, jak ty, w ogóle przeżyło do dorosłości”.

Jedenaście minut do apogeum, a Amanda Bates ubolewa - nie pierwszy raz - nad tym, że misja nie jest objęta wojskową jurysdykcją.

Czekaliśmy, aż osiągniemy maksymalną odległość przed dokonaniem eksperymentu. „*Rorschach* może to potraktować jako wrogi ruch”, przyznał Sarasti głosem wyzbytym choćby śladu ironii. Teraz stał przed nami, przyglądając się rozgrywce *ConSensusa* na stole. Po odsłoniętych oczach biegały odbłyски, nie do końca maskując głębsze odbicia pod nimi.

Dziesięć minut do apogeum. Susan James chciała, żeby Cunningham odłożył tego cholernego papierosa. Dym po drodze do wentylatora śmierdział, a poza tym nie był potrzebny - taka anachroniczna maniera, sposób na zwracanie uwagi: potrzebę nikotyny równie dobrze zaspokoiłby plasterk, który nie dymi i nie cuchnie.

To jednak nie wszystko, co myślała. Zastanawiała się, dlaczego wcześniej Sarasti wezwał Cunninghama do siebie i dlaczego on później tak dziwnie na nią patrzył. Mnie to także intrygowało. Szybkie sprawdzenie stempli czasowych w *ConSensusie* powiedziało mi, że w tym czasie sprawdzano jej kartę medyczną. Sam też do niej zajrzałem, pozwoliłem kształtom poodbijać się między półkulami; jakaś część mojego mózgu namierzyła podniesiony poziom oksytocyny jako prawdopodobną przyczynę tej narady. Istniało osiemdziesięciodwuprocentowe prawdopodobieństwo, że James stała się, jak na gust Sarastiego, zbyt ufna.

Nie miałem pojęcia, skąd to wiem. Nigdy go nie miałem.

Dziewięć minut do apogeum.

Na razie *Rorschach* stracił z naszego powodu może parę cząsteczek atmosfery. Ale to się właśnie miało zmienić. Nasz widok na dolną bazę podzielił się jak bakteria: jedno okienko

przedstawiające sam bąbel namiotu, drugie - szerszy, taktyczny widok jego otoczenia.

Osiem minut do apogeum. Sarasti wyciągnął wtyczkę.

Nasz namiot na dole pękł jak nadepnięty owad. Rana buchnęła gejzerem: na brzegach szalała burza śnieżna, misterne jak koronka elektrycznie naładowane zawijasy. Atmosfera wylała się w próżnię, rozlała cienko, skryształizowała. Obszar wokół bazy przez chwilę się skrzył. Widok był niemal piękny.

Bates tak nie sądziła. Przyglądała się krwawiącej ranie z twarzą bez wyrazu, jak Cunningham, ale szczękościsk miała jak przy tężcu. Przeskakiwała wzrokiem z jednego obrazu na drugi - wypatrywała w cieniu duszących się istot.

Rorschach dostał drgawek.

Potężne pnie i arterie zadygotały, fala sejsmiczna rozbiegła się po konstrukcji. Epicentrum zaczęło się skręcać, potężny wycinek z naszym otworem w połowie długości obrócił się wokół osi. W miejscu, gdzie obracający się segment łączył się z pozostałymi, nieruchomymi, pojawiły się izostatyczne linie; konstrukcja jakby tam miękła, rozciągała się i obkurczała, jak wielki podłużny balon dzielący się przez obrót na kielbaskowate ogniwka.

Sarasti mlasnął. Podobny dźwięk wydają koty, widząc ptaka po drugiej stronie szyby.

ConSensus jęknął głosem ocierających się o siebie światów: to telemetria z czujników na dole, uszu przytkniętych do ziemi. Kamera Diabełka znów nie dawało się sterować, a przesyłany obraz był przechylony i zaśnieżony. Gapiła się tępo w krawędź wywierconego przez nas wejścia do podziemnego świata.

Stękanie przycichło. Ostatnia, delikatna chmurka krystalicznego gwiazdowego pyłu rozproszyła się w kosmosie, ledwo widoczna nawet na maksymalnym wyostrzeniu.

Żadnych trupów. Przynajmniej gdy się patrzyło z góry.

Nagły ruch w bazie na dole. Z początku myślałem, że to szum na łączu Diabełka, igrający wzdłuż kontrastowych linii - ale nie, na krawędziach otworu coś się faktycznie poruszało. Wręcz falowało: tysiąc nitek grzybni wysuwających się z przecięcia i wijącym się ruchem zapadających z powrotem w ciemność.

- Hm... - powiedziała Bates. - Pewnie reaguje na spadek ciśnienia. Taki sposób na załatanie przebicia.

Dwa tygodnie po zranieniu *Rorschach* zaczął się goić.

Apogeum mamy za sobą. Teraz już z górki. *Tezeusz* rozpoczął powolne opadanie na terytorium wroga.

- Nie używa tych przegród - zauważył Sarasti.

*Geny mi w mózgu namieszały
Żebym odczuwał wolę Bożą
Chujki se wykombinowały
Że tym sposobem się rozmnożą
Tylko że mózg też ma metody
Żeby zjeść ciastko i je mieć
Podwiążę se nasieniowody
I mogą sobie, kurwa, chcieć*

Selektor r, „Parafiolety”

Seks w pierwszej osobie - prawdziwy seks, jak upierała się, by go nazywać Chelsea, to coś, co można było tylko stopniowo polubić: urywany oddech, odór i prostackie klaskanie o siebie spoconych ciał pełnych porów i wyprysków, no i jeszcze jedna osoba, ze zbiorem rzeczy, które lubi, albo nie. Niewątpliwie ta zwierzęcość pociągała. W końcu tak to robiliśmy przez miliony lat. Lecz ta cielesność z Trzeciego Świata zawsze miała w sobie element walki, konfliktu dwóch asynchronicznych rytmów. Zupełny brak konwergencji. Tylko rytm zderzających się ciał, walka o dominację - każde próbuje siłą zsynchronizować ze sobą to drugie.

Dla Chelsea była to najczystsza forma miłości. Mnie zaczęła wydawać się walką wręcz. Przedtem, obojętne, czy się pieprzyłem ze stworzeniami z własnego menu, czy skórkami sterowanymi przez kogoś innego, to ja wybierałem kontrast, rozdzielczość, fakturę i styl. Aspekty fizjologiczne, starcie konkurujących ze sobą pożądań, niekończąca się gra wstępna, po której język martwieje ci do nasady, a twarz masz lepka i błyszcząca - dzisiaj to tylko drobne perwersje. Opcje dla masochistów.

Ale Chelsea nie miała żadnych opcji. Tylko standardowe ustawienia.

Dogadzałem jej. Pewnie nie byłem bardziej cierpliwy wobec jej zachcianek niż ona wobec mojej nieudolności w ich zaspokajaniu. Wynagradzały to inne rzeczy. Chelsea mogła pokłócić się o cokolwiek, drwiąca, przenikliwa i ciekawska jak kot. Uderzała bez ostrzeżenia. Niepotrzebna na rynku pracy, jak większość, czerpała prostą radość z faktu, że żyje. Była impulsywna i porywcza. Przejmowała się ludźmi. Pagiem. Mną. Chciała mnie poznać. Chciała we mnie wejść.

I to okazywało się problemem.

- Moglibyśmy spróbować jeszcze raz - powiedziała kiedyś, po kolejnym starciu potu i feromonów. - I nawet nie będziesz pamiętał, co cię tak złościło. Nie będziesz nawet pamiętał, że byłeś zły, jeśli nie chcesz.

Uśmiechnąłem się i odwróciłem wzrok; płaszczyzny jej twarzy stały się nagle chropowate i nieprzyjemne.

- Ile to już razy? Osiem? Dziewięć?

- Ja po prostu chcę, Cyg, żebyś był szczęśliwy. Prawdziwe szczęście to ogromny dar, mogę ci go dać, jeśli mi pozwolisz.

- Ty nie chcesz, żebym był szczęśliwy - powiedziałem przyjemnym tonem. - Chcesz, żebym był przebudowany pod klucz.

Przez chwilę, mmmm, mruzczała z ustami przytkniętymi do mojej szyi.

Wtem:

- Co?

- Chcesz zmienić mnie w kogoś bardziej, bardziej zgodnego.

Chelsea uniosła głowę.

- Popatrz na mnie.

Przekręciłem swoją. Wyłączyła chromatofory na policzku; tatuaż, jak przeszczepiony, trzepotał teraz na ramieniu.

- Popatrz mi w oczy - dodała.

Spojrzałem na pełną niedoskonałości cerę wokół nich, na wijące się po białkach naczynia włosowate. Poczulem się lekko skonsternowany, że takie nieudane, psujące się organy, jeszcze od czasu do czasu potrafią mnie zahipnotyzować.

- No dobra - powiedziała. - To co miałeś na myśli?

Wzruszyłem ramionami.

- Ciągle udajesz, że to partnerstwo. Oboje wiemy, że to rywalizacja.

- Rywalizacja.

- A ty próbujesz mnie zmanipulować, żebym grał według twoich reguł.

- Jakich reguł?

- Żeby nasz związek działał tak, jak ty chcesz. Chelsea, ja nie myślę, że to twoja wina. Zupełnie nie. Próbujemy manipulować sobą nawzajem, odkąd... cholera, przecież to nawet nie jest ludzkie. Od czasu ssaków.

- Nie wierzę. - Pokręciła głową. Po twarzy przesunęły się nitkowate kosmyki włosów. - Mamy połowę dwudziestego pierwszego wieku, a ty wyjeżdżasz z tym gównem o wojnie płci?

- Jasne, twoje regulacje to już całkiem zaawansowany etap. Wleźć prosto do środka i przeprogramować sobie partnera na optymalną uległość.

- Co ty sobie myślisz, że ja ciebie... tresuję? Jak szczeniaka?

- Robisz, co ci podpowiada natura.

- Jezu, nie wierzę, że mogłeś wyjechać z taką bzdurą.

- Myślałem, że cenisz sobie szczerłość w związku.

- W jakim związku? Według ciebie nie ma czegoś takiego. To po prostu... obustronny gwałt, czy coś w tym guście.

- Bo na tym związki polegają.

- Daruj sobie takie gówniane teksty. - Podniosła się, przełożyła stopy za brzeg łóżka. Odwróciła się do mnie plecami. - Wiem, co czuję. Tyle przynajmniej wiem. Chciałam tylko, żebyś był szczęśliwy.

- Wiem, że ty w to wierzysz - powiedziałem delikatnie. - Wiem, że to nie wydaje się strategią. Nic się nie wydaje, kiedy jest wbudowane tak głęboko. Wydaje się naturalne, właściwe. Taka sztuczka natury.

- Raczej, kurwa, kogoś innego.

Usiadłem obok niej, otarłem się o nią ramieniem. Odsunęła się.

- Znam się na tym - powiedziałem po chwili. - Wiem, jak działają ludzie. To moja praca.

Ale jej też. Każdy utrzymujący się z grzebania w mózgach musiał być świadomy tych prymitywnych sprzężeń skrytych w piwnicy. Po prostu postanowiła o tym zapomnieć; przyznanie się do czegokolwiek kłóciłoby się z jej świętym oburzeniem.

O tym chyba też mogłem powiedzieć, wiedziałem jednak, ile naprężeń może znieść układ, a na próby niszczące jeszcze nie byłem gotowy. Nie chciałem jej stracić. Nie chciałem tracić poczucia bezpieczeństwa, poczucia, że ma znaczenie, czy żyję, czy umarłem. Tylko żeby się odrobinę odsunęła. Żebym miał miejsce na zaczerpnięcie powietrza.

- Czasem straszny z ciebie gad - powiedziała.

Zadanie wykonane.

Nasze pierwsze podejście stało pod znakiem ostrożności i marginesów bezpieczeństwa. Teraz wchodziliśmy jak grupa szturmowa.

Scylla pędziła ku *Rorschachowi* na ponad dwóch g, gładkim, przewidywalnym łukiem kończącym się w zniszczonej bazie. W zasadzie mogłaby tam wylądować; może Sarasti chwycił dwie sroki za ogon i zaprogramował wahadłowiec na niezależne zbieranie jakichś danych. W każdym razie robi to bez nas - *Scylla* wypuła nas w kosmos prawie pięćdziesiąt kilometrów od nowego miejsca desantu, nagich i spadających na jakimś urządzeniu ze sznurka i drutu, którego masa reakcyjna ledwo pozwalała na miękkie lądowanie i szybką ucieczkę. Nie mieliśmy nawet nad nim kontroli: sukces zależał tu od nieprzewidywalności, a jak ją najlepiej zapewnić, niż samemu nie wiedząc, co się robi?

Logika Sarastiego. Wampirza logika. Częściowo umieliśmy ją przeniknąć: gigantyczna deformacja zasklepiająca przebicie powłoki *Rorschacha* była wielokrotnie wolniejsza i bardziej kosztowna niż zastawka, która uwięziła Bandę. Fakt, że nie użyto tu takich zastawek, sugerował, że ich instalacja zajmuje jakiś czas - może trzeba przemieścić niezbędną masę, może napiąć sprężyny reakcji. To daje nam pewne okno czasowe. Możemy wyprawiać się do legowiska, dopóki lwy nie potrafią przewidzieć naszego celu i z góry zastawić tam pułapek. O ile uciekniemy, zanim to zrobią już po naszym przyjsciu.

- Trzydzieści siedem minut - powiedział Sarasti, a nikt z nas nie mógł zgłębić, skąd tę liczbę wziął. Tylko Bates odważyła się zapytać. Ledwo zaszczycił ją spojrzeniem. - Nie zrozumiesz.

Wampirza logika. Niezrozumiałe wnioski z oczywistych przesłanek. Od nich zależało nasze życie.

Silniczkami manewrowymi sterował preprogramowany algorytm, żeniący Newtona z rzutami kostką. Wektor podejścia nie był całkiem losowy - odkąd wyeliminowaliśmy kłębowiska przewodów, strefy wzrostu, obszary pozbawione drogi ewakuacji w linii prostej, ślepe odcinki i nierozgałęzione segmenty („Nudne”, powiedział Sarasti, skreślając je), pozostało nam zaledwie dziesięć procent artefaktu. Spadaliśmy w kłębowisko jeżyn osiem kilometrów od poprzedniego lądowania. I tym razem nie było sposobu, żebyśmy nawet my sami przewidzieli dokładny punkt uderzenia.

Jeśli *Rorschach* to umie, zasługuje na wygraną.

Spadaliśmy. Zębate iglice i sękate kończyny cięły niebo ze wszystkich stron, szatkując odległy gwiazdobraz i zbliżającego się superjowisza na postrzępioną, czarno pożyłkowaną mozaikę. Trzy albo trzydzieści kilometrów od nas czubek jakiejś napuchniętej łądygi pękł, w milczeniu eksplodując naładowanymi cząstkami i mgłą z przedziurawionej, marznącej atmosfery. Jeszcze gdy bladł, widziałem wijące się skomplikowanymi spiralami wiechcie i serpentyny: pole magnetyczne *Rorschacha*, rzeźbiące jego własny oddech w radioaktywny deszcz ze śniegiem.

Nigdy wcześniej nie widziałem tego nieuzbrojonym okiem. Czułem się jak owad w gwiazdną zimową noc, spadający przez leśne pogorzelsko.

Nasze sanki odpaliły hamulce. Napiąłem pasy uprząży, zasprężynowały, obitem się o podobnie opancerzone ciało obok. Sascha. Tylko Sascha, przypomniałem sobie. Cunningham uspił resztę środkami uspokajającymi, zostawił jeden rdzeń, samotny w grupowym ciele. Nie miałem pojęcia, że z wielokrotną osobowością da się to zrobić. Gapiła się na mnie zza szybki. Przez skafander nie

widziałem żadnej jej płaszczyzny. Nie potrafiłem nic wyczytać w oczach.

Ostatnio to się strasznie często zdarzało.

Nie było z nami Cunninghama. Gdy Sarasti przydzielał fotele, nikt nie zapytał dlaczego. Biolog był teraz pierwszym spośród równych - pierwszym odmrożonym zastępcą, niemającym już nikogo za sobą. W naszej załodze nie do zastąpienia, był drugi od końca pod względem zastępowalności.

Co czyniło mnie jeszcze bardziej wartościowym. Teraz redukowałem prawdopodobieństwo o jedną trzecią.

Ramą wstrząsnęło milczące uderzenie. Ponownie spojrzałem w przód, przed Bates na przedniej palecie, przed roboty, kotwiczące po dwa po każdej jej stronie. Sanie wypuściły bąbel szturmowy, prefabrykowany nadmuchiwany przedsionek, zamontowany na wybuchowej głowicy penetrującej, która przebija się przez skórę *Rorschacha* jak wirus przenikający do komórki nosicielskiej. Ustrojstwo na wrzecionowatych nóżkach skurczyło się i zniknęło z pola widzenia. Parę chwil później na tle hebanowego krajobrazu przed nami zapłonęło i zgasło punktowe sodowe słońce - ładunek antimaterii tak mały, że prawie dałoby się policzyć atomy, wystrzelony bezpośrednio w kadłub. O wiele brutalniej niż ta nieśmiała gra wstępna za pierwszym razem.

Wylądowaliśmy twardo, gdy przedsionek jeszcze się nadmuchiwał. Trepy zeskoczyły z sań chwilę przed upadkiem, plując z dysz małymi obłoczkami gazu, ustawiając się wokół nas w obronną rozetę. Bates była następna, uwolniła się z więzów i pożegłowała prosto do puchnącego habitatu. Sascha i ja wylądowaliśmy centralkę światłowodową - zamykany bęben półmetrowej grubości i trzy razy takiej szerokości - taszcząc go między nami, podczas gdy jeden z trepów przeciskał się przez błoniastą śluzę namiotu.

- Dobra, ruszać się. - Bates wisiała na jednym z uchwytów habitatu. - Trzydzieści minut do...

Urwała. Nie musiałem pytać dlaczego: idący przodem trep ustawił się nad świeżo przebitym wejściem do środka i przysłał nam pierwszą pocztówkę.

Na dole było światło.

* * *

Można by pomyśleć, że to ułatwia sprawę. Nasz gatunek zawsze bał się ciemności; przez miliony lat tuliliśmy się do siebie w grotach i jamach, gdy niewidzialne stwory węszyły i porykiwały - albo po prostu czekały, milczące i niewykrywalne - pośród nocy. Można by pomyśleć, że światło, choćby najśłabsze, zlikwiduje przynajmniej niektóre cienie, pozostawi umysłowi mniej luk do wypełniania najgorszymi wyobrażeniami.

Można by.

Zeszliśmy za żołnierzem na dół, w mętny blask, przypominający mleko ścięte jak krew. Najpierw wydawało się, że świeci sama atmosfera, świetlna mgła zacierająca wszystko, co było odleglejsze niż dziesięć metrów. Okazało się to jednak złudzeniem; tunel, w który weszliśmy, miał około trzech metrów szerokości i oświetlały go rzędy podniesionych żarzących się kreseczek - mniej więcej kształtu i wielkości odciętych ludzkich palców - poprowadzone rzadką potrójną spiralą wzdłuż ścian. Podobne wypukłości zarejestrowaliśmy już za pierwszy raz, ale ich krawędzie nie były aż tak ostre - no i one same w żadnym razie nie świeciły.

- Lepiej w bliskiej podczerwieni - zameldowała Bates, przesyłając widmo do naszych HUD-ów.

Atmosfera byłaby przezroczysta dla grzechotników. I była przejrzysta dla sonaru: wiodący trep siał w mgłę echolokacyjnymi mlaskami i odkrył, że siedemnaście metrów przed nami tunel rozszerza się w swego rodzaju komorę. Wyteżając wzrok w tamtym kierunku, mogłem z wysiłkiem dojrzeć przez mgłę jakieś podziemne kontury. Z wysiłkiem dostrzegałem cofające się w mgłę zębate stwory.

- Idziemy - powiedziała Bates.

Podłączyliśmy się do trepów, jednego zostawiliśmy, żeby pilnował odwrotu. Każde z nas wzięło sobie po jednym do roli podręcznego anioła stróża. Maszyny łączyły się z naszymi wyświetlaczami laserowym łączem; ze sobą zaś usztywnionymi, opancerzonymi światłowodami, rozwijającymi się z bębna za nami. Najlepszy dostępny kompromis w środowisku, gdzie brakuje optymalnych rozwiązań. Nasi ochroniarze na uwięzi zapewnią nam łączność nawet podczas samotnych wycieczek za róg albo w ślepe uliczki.

Taaak. Samotnych wycieczek. Mając do wyboru: rozdzielić grupę albo obejrzeć mniej, musieliśmy się rozdzielić. Byliśmy pospiesznymi kartografami, rozglądającymi się za złotem; wszystko, co robiliśmy, było na wiarę: wiarę, że z prostych pomiarów, które tu w przelocie zrobimy, da się wyprowadzić jakieś ogólne zasady rządzące wewnętrzną architekturą *Rorschacha*. Wiarę, że wewnętrzna architektura *Rorschacha* w ogóle ma takie zasady. Wcześniejsze pokolenia oddawały cześć złym i kapryśnym duchom. Nasze wierzyło w uporządkowany wszechświat. Lecz tutaj, w Diabelskiej Bakławie, samo przychodziło do głowy, że nasi przodkowie być może byli bliżsi prawdy.

Posuwaliśmy się tunelem. Cel podróży ukazał się nawet ludzkim oczom - nie tyle komora, ile splot: węzeł przestrzeni uformowany przez zbieg kilkunastu rozmaicie zorientowanych tuneli. Na kilku lśniących płaszczyznach połyskiwały nierówne siatki kropelek żywego srebra, błyszczące kształty wystawały z okalającej tkanki jak chaotycznie rozstrzelone i wciśnięte w mokrą glinę łożyska kulkowe.

Popatrzyłem na Bates i Saschę.

- Panel sterujący? - zapytałem.

Bates wzruszyła ramionami. Roboty skanowały wyloty wokół nas, siejąc w każdy sonarem. HUD rysował na podstawie ech pobieżny trójwymiarowy model: połączenie farby chlapniętej na niewidoczne ściany. Byliśmy kropkami pośrodku zwoju nerwowego, małym rojem pasożytów infekujących wielkiego, pustego w środku nosiciela. Wszystkie tunele zakrzywiały się w łagodne spirale, każdy w innej płaszczyźnie. Sonar umiał w nie zajrzeć parę metrów dalej, niż my. Ani oczy, ani ultradźwięki nie dostrzegały niczego, co pozwoliłoby dokonać wyboru któregoś z nich.

Bates wskazała jeden z korytarzy.

- Keeton... - Po chwili drugi. - Sascha. - I odwróciła się, szybując po własnej niewydeptanej ścieżce.

Niepewnie zerknąłem w swój.

- Jakies szczególne...

- Dwadzieścia pięć minut - powiedziała.

Skierowałem się w swój i powoli węń zagłębiłem. Zakrzywiał się w prawo, długą, monotonną spiralą, która po dwudziestu metrach przesłoniłaby wejście, gdyby wcześniej nie zrobiła tego mętna atmosfera. Mój trep szedł przy nodze, szczękając sonarem jak tysiącem ząbków, rozwijając smycz z odległej szpuli w splocie.

Ta smycz była pewną pociechą. Bo była krótka. Trepy mogły oddalić się na dziewięćdziesiąt metrów i ani kroku dalej, a my mieliśmy surowo przykazane przez cały czas trzymać się ich skrzydeł. Ta ciemna, nawiedzona nora może sobie prowadzić choćby do piekła, ale nikt nie oczekuje, że tam

nią pójde. Moje tchórzostwo jest oficjalnie usankcjonowane.

Zostało pięćdziesiąt metrów. Za pięćdziesiąt metrów będę mógł się odwrócić i uciec z podwiniętym ogonem. Tymczasem mogę tylko zaciskać zęby, skupiać się, notować: „Wszystko, co widzicie”, powiedział Sarasti. „I jak najwięcej tego, czego nie widzicie”. I liczyć, że ten nowy, skrócony limit czasowy skończy się, zanim *Rorschach* znów wpędzi nas jakąś szpilą w bełkoczącą demencję.

Ściany wokół mnie przeszedł skurcz i dreszcz, jak ciało dopiero co zabitego zwierzęcia. Coś wskoczyło i wyskoczyło z pola widzenia z delikatnym chichotem.

Skup się. Notuj. Jeśli trep tego nie widzi, to nieprawda.

Na sześćdziesiątym piątym metrze duch wlaźł mi do hełmu.

Próbowałem nie zwracać na niego uwagi. Patrzeć gdzie indziej. Ale on nie migotał na skraju pola widzenia; wisiał centralnie na szybko, jak wirujący, punktowy zawrót głowy pomiędzy mną a wyświetlaczem. Zacisnąłem zęby i starałem się patrzeć przez niego, wbić wzrok w mętną, krwawą mgiełkę na bliskim dystansie, przyglądać się rwanym relacjom z podróży w małych okienkach podpisanych „Bates” i „James”. Tam nie było nic ciekawego. Ale tutaj, prosto przed moimi oczyma, najnowszy mózgojeb *Rorschacha* unosił się jak rozmyty odcisk palca pośrodku obrazu z sonaru.

- Nowy objaw - zameldowałem. - Halucynacja nieperyferyjna, stabilna, choć bezkształtna. Żadnych widocznych szpil...

Obraz w okienku podpisanym „Bates” podskoczył gwałtownie.

- Keet...!

Po czym głos zniknął. I okienko też.

Ale nie tylko Bates. Okienko Saschy oraz sonarowy obraz z robota zamigotały i zgasły w tej samej chwili: HUD był goły, poza danymi z wnętrza skafandra i małym, migającym czerwonym wskaźnikiem „Brak sygnału”. Odwróciłem się: trep wciąż tam był, trzy metry za moim prawym ramieniem. Doskonale widziałem jego port optyczny, zamontowany w plastronie rubinowy paznokietek.

Widziałem też lufy. Wycelowane we mnie.

Zamarłem. Robot wzdrygnął się w jakimś lokalnym elektromagnetycznym węźle, jakby się przestraszył. Mnie, albo...

Czegoś za mną...

Zacząłem się odwracać. Hełm nagle wypełnił się szumem i czymś, co brzmiało trochę jak głos:

- ...uszej się, Kee... nie...

- Bates? Bates?

W miejscu „Braku sygnału” wykwitła inna ikona - trep z jakiegoś powodu przeszedł na radio - i choć miałem go niemal w zasięgu ręki, sygnał był ledwie słyszalny.

Batesowa sieczka:

- Po two... przed samym...

Potem także Sascha, trochę wyraźniej:

- ...czego tego nie widzi?

- Czego nie widzę? Sascha! Niech ktoś mi powie, czego nie widzę?

- ...mnie? Keeton, słyszysz?

Bates jakimś sposobem podkręciła sygnał; szum ryczał jak ocean, ale przynajmniej słyszałem słowa:

- Słyszę! Co...

- Nie ruszaj się, rozumiesz? Absolutnie nic. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. - Robot wciąż trzymał mnie na trzęsącym się celowniku, ciemne tęczęwki kamery stereoskopowej to rozszerzały się, to zwężały konwulsyjnie. - Co...

- Keeton. Przed tobą coś jest. Dokładnie między tobą a robotem. Nie widzisz?

- N-nie. HUD mi nie działa...

Wcięła się Sascha:

- Jak on może tego nie widzieć, skoro to jest prosto...

Bates warknęła, zagłuszając ją:

- Wielkości człowieka, promieniście symetryczne, osiem, dziewięć ramion, jak macki, ale segmentowane. Spiczaste.

- Nic nie widzę - powiedziałem.

Ale coś przecież widziałem: coś sięgającego po mnie, w kapsule na *Tezeuszu*. Widziałem coś zwiniętego, nieruchomego, skrytego w kręgosłupie statku, obserwującego, jak ustalamy najlepszy plan.

Widziałem Michelle, synestetyczkę, zwiniętą w embrion.

- Tego nie widać... jest nie... nie... w-widzialne...

- Co robi?! - zawołałem. Czemu tego nie widzę? Czemu nie widzę?

- Unosi się. Trochę faluje. Chole... Keet...

Trep odskoczył w bok, jak klepnięty olbrzymią dłonią. Odbił się od ściany i nagle laserowe łącze wróciło, napełniając wyświetlacz informacjami. Widok z kamer Bates i Saschy pędzących obcymi tunelami, widok z robota: skafander z napisem „Keeton” na napierśniku, a tuż przed nim coś przypominającego falującą rozgwiazdę o zbyt wielu ramionach...

Banda wytoczyła się z zakrętu i nagle niemal coś zobaczyłem własnymi oczyma, migocące po jednej stronie jak cicha błyskawica. Było duże, ruszało się, ale mój wzrok jakimś sposobem ześlizgiwał się za każdym razem, gdy próbował się skupić. To nieprawda, pomyślałem, aż drząc od historycznej ulgi, to po prostu kolejna halucynacja, ale wtedy w pole widzenia wpłynęła Bates i to było tuż przede mną, żadnego migotania, żadnej niepewności, skolapsowana funkcja prawdopodobieństwa i niezaprzeczalna masa. Zdemaskowane, chwyciło się najbliższej ściany i przeskoczyło nam nad głowami, wymachując segmentowanymi ramionami jak biczami. Nagły trzask, bzyknięcie gdzieś z tyłu głowy - i znowu polatywało swobodnie, osmalone i dymiące.

Zacinający się trzask. Jęk wysprzęglającej maszyny. Pośrodku korytarza unosiły się w szyku trzy trepy. Jeden przodem do obcego. Mignęła mi jakaś śmiercionośna wypustka, chowająca się w osłonie. Bates wyłączyła robota, zanim zdążył zamknąć paszczę.

Łączka optyczne i trzy komplety płuc wypełniały hełm rykiem ciężkich oddechów.

Odłączony trep dryfował w mglistej atmosferze. Zwłoki obcego odbiły się delikatnie od ściany. Drgały - stułbia z ludzkich kręgow, osmalona, opalona z mięsa. Właściwie niespecjalnie przypominała teraz moje pokładowe wizje. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wydało mi się to niemal uspokajające.

Dwa aktywne trepy obserwowały mgłę, dopóki Bates nie wydała im nowych rozkazów; wtedy jeden odwrócił się, żeby pilnować zwłok, drugi zaś podtrzymał przewróconego kolegę. Bates chwyciła martwego trepa i odpięła mu smycz.

- Wycofujemy się. Powoli. Idę zaraz za wami.

Pokręciłem przy odrzutach. Sascha się zawahała. Wokół nas wiły się jak pępowiny zwoje ekranowanego kabla.

- Już - powiedziała Bates, wtykając do odłączonego trepa kabel z własnego skafandra.

Sascha ruszyła za mną. Bates szła z tyłu. Patrzyłem w HUD: zaraz pojawi się tam rój

wielorękich potworów.

Nie pojawił się. Ale poczerniały twór na brzuchu sterowanej przez Bates maszyny był wystarczająco realny. To nie halucynacja. Ani choćby zrodziły wytwór strachu i synestezji. *Rorschach* był zamieszkały. Mieszkańcy byli niewidzialni.

Czasami. W pewnym sensie.

Aha. No właśnie. Jednego dopiero co zabiliśmy.

* * *

Bates pchnęła wyłączony trepa w niebo, gdy tylko dotarliśmy w próżnię. Kiedy zapinaliśmy pasy, koledzy użyli go jako celu treningowego, strzelając i strzelając, aż został tylko stygnący obłoczek pary. *Rorschach* nawet ten niewyraźny obłoczek rozbił w filigran, zanim zdążył się rozwiać.

W połowie drogi na *Tezeusza* Sascha odwróciła się do pani major.

- Czy ty...

- Nie.

- Ale... one robią rzeczy same, nie? Są autonomiczne.

- Nie w trybie zależnym.

- Awaria? Impuls?

Bates nie odpowiedziała.

Uprzedziła górę. Zanim wróciliśmy, Cunningham zdążył już wyhodować na kręgosłupie *Tezeusza* kolejny guzek, zdalną salę operacyjną wypchaną czujnikami i manipulatorami. Jeden z ocalałych trepów chwycił trupa i przeskoczył tam, gdy wchodziliśmy pod skorupę. Gdy dokowaliśmy, towar był już na miejscu.

Urodziliśmy się na nowo tuż przed uzyskaniem wstępnych wyników sekcji. Holograficzny duch rozciętego obcego uniósł się z ConSensusa jak jakaś olbrzymia, obdarta ze skóry tusza przyniesiona nam na ucztę. Rozpostarte ramiona wyglądały jak ludzkie kręgosłupy. Usiedliśmy wokół stołu i czekaliśmy, kto weźmie pierwszy kęs.

- Musiałaś strzelać do tego mikrofała? - sarknął Cunningham, stukając w stół. - Jest kompletnie ugotowane. Wszystkie komórki rozsądziło od środka.

Bates pokręciła głową.

- To była awaria.

Rzucił jej kwaśne spojrzenie.

- Awaria, której przypadkowym skutkiem jest precyzyjne wycelowanie do ruchomego obiektu.

Jak dla mnie to mało przypadkowe.

Bates patrzyła nań niewzruszona.

- Coś przestawiło autonomiczne celowanie z wyłączony na włączone. Jak rzut monetą. Traf.

- Traf to...

- Cunningham, odpuść sobie. Nie potrzeba mi teraz twoich pierdół.

Oczy w tej gładkiej martwej twarzy przewróciły się i nagle skupiły na czymś nad głową. Poszedłem za jego wzrokiem. Sarasti gapił się na nas jak wypatrująca nornic sowa, dryfująca powoli pod siłą Coriolisa.

Tym razem też nie ma osłony. Wiedziałem dobrze, że jej nie zgubił.

Wbił wzrok w Cunninghama.

- Wnioski.

Ten przełknął ślinę. Stuknął palcami, przed nami zamigotały fragmenty obcej anatomii, poznaczane kolorami.

- No dobra, jedziemy. Obawiam się, że na poziomie komórkowym mogę powiedzieć bardzo mało. Pomiędzy błonami niewiele ocalało. I samych błon, prawdę mówiąc, zostało niedużo. W kwestii morfologii ogólnej: okaz jest spłaszczony grzbietowo-brzusznie i promieniście symetryczny, co zresztą widzicie. Wapniowy egzoskielet, skeratynizowany plastikowy naskórek. Nic szczególnego.

Bates spojrzała na niego sceptycznie.

- Plastikowa skóra to „nic szczególnego”?

- W takim środowisku właściwie spodziewałem się plazmy Sanduloviciu. Plastik to po prostu rafinowana ropa. Węgiel organiczny. A to coś jest oparte na węglu. A nawet na białkach, chociaż ma je o wiele mocniejsze, niż my. Liczne krzyżowe wiązania siarkowe, wzmacniające poprzecznie, o ile dało się poznać z tego, czego nie zdenaturowały twoje trepy. - Oczy Cunninghama patrzyły przez nas na wskroś, jego świadomość ewidentnie przebywała daleko na rufie, mieszkała w zdalnych czujnikach. - Tkanka ma przesycone magnetytem. Na Ziemi znajdujemy go w mózgach delfinów, ptaków wędrownych, nawet niektórych bakterii - we wszystkim, co się orientuje lub nawiguje na podstawie pól magnetycznych. Wracając do struktur makro, jest pneumatyczny szkielet wewnętrzny, jak mi się zdaje, robiący także za układ mięśniowy. Kurczliwa tkanka przepycha gaz przez układ pęcherzy, które napinają lub rozluźniają poszczególne segmenty ramienia.

Światło wróciło do oczu Cunninghama na dość długo, by zdążyć skupić wzrok na papierosie. Uniósł go do ust, zaciągnął się głęboko i znów odłożył.

- Zwróćcie uwagę na wgłobienia u nasady każdego z ramion. - Na wirtualnym trupie żarzyły się pomarańczowo sflaczałe balony. - Kloaki, można by rzec. Tam są wszystkie wloty i wyloty: jedzą, oddychają i wydalają przez tę samą komorę. Poza tym nie ma żadnych istotniejszych otworów.

Banda zrobiła minę, mającą oznaczać: „Zbrzydzone Sascha”.

- A czy to się nie... zatyka? Wydaje się nieefektywne.

- Jeśli jeden się zatka, jest jeszcze osiem innych. Następnym razem, jak zadławisz się kostką kurczaka, pożałujesz, że nie jesteś tak nieefektywna.

- A co on je? - zapytała Bates.

- Nie wiem. Wokół kloak znalazłem tkanki przypominające żołądki mięśniowe, co oznacza, że one coś żują. Albo żuły w jakichś punktach dziejów. Co jeszcze... - Rozłożył ręce, papieros zostawił za sobą bladą smugę. - Odpowiednio je napiąć i mamy hermetyczne zamknięcie. Razem z naskórkiem pozwala to temu organizmowi na przetrwanie przez pewien czas w próżni. Wiemy już, że radzi sobie z promieniowaniem tła, choć nie pytajcie w jaki sposób. Jego odpowiedniki genów muszą być o wiele twardsze niż u nas.

- Czyli może przeżyć w próżni - rzuciła z namysłem Bates.

- W takim sensie, jak delfin pod wodą. Przez pewien ograniczony czas.

- Jak długo?

- Nie jestem pewien.

- Centralny system nerwowy - powiedział Sarasti.

Bates i Banda nagle znieruchomiały. Ciało James zionęło jej aspektami, zastępującymi Saschę. Z ust i nosa Cunninghama wydobyły się kręte strużki dymu.

- Jak się okazuje, nie ma w nim niczego centralnego. Niewykształcona głowa, brak nawet

skupisk organów zmysłowych. Całe ciało jest pokryte czymś podobnym do plamek ocznych, chromatoforów - może to jedno i drugie. Wszędzie są szczecinki. O ile zdołałem zauważyć - jeśli te rozgotowane włókienka, które udało mi się poskładać do kupy po tej twojej awarii, to faktycznie nerwy, a nie coś całkiem innego - każda z tych struktur jest niezależnie sterowana.

Bates usiadła prosto.

- Serio?

Kiwnął głową.

- Coś jakby niezależnie sterować ruchem każdego z włosów na twojej głowie, chociaż to stworzenie jest całe pokryte małymi włoskami. To samo dotyczy oczu. Setki tysięcy oczu na całej powłoce. Każde z osobna to zaledwie kamera z otworkowym obiektywem, ale ma niezależne ogniskowanie i domyślam się, że gdzieś po drodze te wszystkie dane się integrują. Całe ciało działa jak jedna, rozproszona siatkówka. Teoretycznie powinno to dawać ogromną ostrość wzroku.

- Teleskop w układzie rozproszonym - mruknęła Bates.

- Pod każdym okiem jest chromatofor... pigment to rodzaj kryptochromu, więc pewnie ma coś wspólnego z widzeniem, ale miejscowa tkanka potrafi go także rozciągać i kurczyć. Sugeruje to umiejętność dynamicznej pigmentacji, jak u kałamarnicy albo kameleona.

- Dopasowanie wzorem do tła? - zapytała Bates. - To może tłumaczyć, dlaczego Siri tego nie widział?

Cunningham otworzył nowe okno i puścił zapętłony, zaszumiony filmik przedstawiający Siriego Keetona i jego niedostrzegalnego partnera do tańca. Stworzenie, którego nie widziałem, dla kamer było nieprzyjemnie namacalne: pływająca tarcza dwukrotnie szersza od mojego tułowia, ramiona odchodzące od brzegów jak grube, węzlaste liny. Po jego powierzchni falami przechodziły wzory, jak gra światła i cieni na wodnej płyciźnie.

- Jak widzisz, wzory nie pasują do tła - odparł Cunningham. - Ani trochę.

- Możesz wyjaśnić, dlaczego Siri był na niego ślepy? - zapytał Sarasti.

- Nie - przyznał Cunningham. - To wykracza poza standardową krypsis. Ale *Rorschach* sprawia, że widzicie różne rzeczy, których nie ma. Niewidzenie czegoś, co jest, sprowadza się do tego samego.

- Kolejna halucynacja? - zapytałem.

Kolejne wzruszenie ramionami i zaciągnięcie się dymem.

- Jest wiele sposobów na oszukanie ludzkiego układu wzrokowego. Ciekawe, że złudzenie zawiodło, gdy pojawiło się kilku obserwatorów, ale jeśli chcecie naprawdę poznać mechanizm, musicie mi zapewnić do pracy coś lepszego niż to. - Dźgnął zwęglone szczątki dłonią z papierosem.

- Ale... - James wzięła głęboki wdech. - Mowa o czymś... solidnie zaawansowanym. Bardzo złożonym. O ogromnej mocy przetwarzania.

Cunningham znów skinął głową.

- Na moje oko tkanka nerwowa to około trzydziestu procent masy ciała.

- Czyli to jest inteligentne. - Jej głos brzmiał prawie jak szept.

- Ani trochę.

- Ale... trzydzieści procent...

- Trzydzieści procent okablowania sensorycznego i motorycznego. - Znów się zaciągnął. - Coś jak ośmiornica: ogromna liczba neuronów, ale połowa schodzi na obsługę przyssawek.

- Mnie się wydawało, że ośmiornice są całkiem inteligentne - wtrąciła James.

- Jak na mięczaki, to na pewno. Ale masz pojęcie, ilu przewodów byś potrzebowała, gdyby fotoreceptory z twojego oka były rozrzucone po całym ciele? Na początek tak ze trzysta milionów

przedłużaczy, od milimetra do dwóch metrów długości. To oznacza, że sygnały przychodzą jak popadnie, kompletnie niesynchronizowane, czyli miliardy kolejnych bramek logicznych do uspójniania tych danych. A dostajesz w ten sposób tylko jeden statyczny obraz, zero filtrowania, interpretacji, integracji po szeregu czasowym. - Wzdrygnięcie. Haust dymu. - Teraz pomnóż to przez dodatkowy osprzęt, potrzebny, żeby zogniskować na czymś te wszystkie oczka, dodaj moc obliczeniową, umiejacą sterować każdym chromatoforem z osobna. Trzydzieści procent może i na to wszystko wystarczy, ale mocno wątpię, czy cokolwiek zostanie na filozofię i naukę. - Machnął ręką w kierunku ładowni. - Ten... to...

- Wężydło.

Cunningham obrócił to słowo na języku.

- Świetne. To wężydło jest absolutnym cudem ewolucyjnej inżynierii. Ale jest głupie jak but.

Chwila ciszy.

- No to czym ono jest? - zapytała wreszcie James. - Czyimś zwierzakiem?

- Kanarkiem w kopalni - podsunęła Bates.

- Albo nawet i nie kanarkiem - odparł Cunningham. - Może to tylko krwinka biała z manipulatorami. Może robot naprawczy. Sterowany zdalnie albo napędzany odruchami. Ale zaraz, ludzie, przeskoczyliśmy poważniejsze pytanie: jak beztlenowiec może wykształcić złożone, wielokomórkowe ciało, a już w ogóle poruszać się tak szybko, jak to coś? Taki poziom aktywności spala ogromne ilości ATP.

- Może to nie używa ATP - powiedziała Bates, a ja pociągnąłem podpowiedź: adenozynotrifosforan. Komórkowe źródło energii.

- Było wypchane po brzegi ATP - wyjaśnił jej Cunningham. - Widać to nawet po tych szczątkach. Pytanie brzmi: jak mu się udaje tak szybko go syntetyzować, żeby zaspokoić takie potrzeby? Czysto beztlenowe ścieżki to za mało.

Nikt nie wysunął żadnych sugestii.

- No, w każdym razie - dokończył - koniec lekcji. Po krwawe szczegóły zajrzyjcie do ConSensusa. - Zakołysał palcami swobodnej ręki: spektralny przekrój zniknął. - Pracuję dalej, ale jeśli chcecie dostać prawdziwe odpowiedzi, przynieście mi takiego osobnika, tylko żywego. - Zgasił papierosa o gródź i rozejrzał się wyzywająco po bębnie.

Reszta prawie nie zareagowała; ich topologie jeszcze iskrzyły rewelacjami sprzed paru minut. Może dla Ogólnego Obrazu faktycznie ważniejszy jest konik Cunninghama - być może, w redukcjonistycznym wszechświecie, biochemiczne fundamenty powinny liczyć się bardziej niż niuanse inteligencji pozaziemskiej i etykiety kontaktów międzygatunkowych. Oni nie tylko przetwarzali, oni nurzali się w faktach: przyssali się do odkryć Cunninghama jak skazańcy, którzy właśnie odkryli, że mogą zostać zwolnieni przez błąd proceduralny.

Nie było wątpliwości: mamy w rękach martwe wężydło. Ale to tak naprawdę nie jest obcy. Nie jest inteligentny. To tylko krwinka z manipulatorami. Głupia jak but.

Łatwiej znieść świadomość uszkodzenia mienia niż morderstwa.

To Robert Paglino umówił mnie z Chelsea. Może poczuł się odpowiedzialny, gdy nasz związek zaczął się wykolejać. A może Chelsea - przecież taka z niej pani Naprawialska - poprosiła go o interwencję. W każdym razie, zaraz kiedy usiedliśmy sobie w QuBicie, stało się oczywiste, że jego zaproszenie nie ma czysto towarzyskiego motywu.

Zarządził jakiś neurotropowy koktajl z lodem. Dla mnie rickard's, jak zwykle.

- Ciągłe staromodnie - stwierdził Pag.

- Ciągłe na etapie gry wstępnej - zauważyłem ja.

- Aż tak to widoczne, co? - Siorbnął. - To mnie nauczy próbować subtelnie podejść zawodowego żargonautę.

- Do tego nie trzeba aż żargonauty. Nawet owczarka byś nie nabrał. - Prawdę rzekłszy, topologia Paga z rzadka mówiła mi o czymś, czego już nie wiedziałem. Odczytywanie go nigdy nie dawało mi jakiejś szczególnej przewagi. Może po prostu zbyt dobrze się znaliśmy.

- No - powiedział. - Zapodawaj.

- Nie ma za wiele. Po prostu poznała moje prawdziwe „ja”.

- Jest bardzo źle.

- Co ona ci powiedziała?

- Mnie? Nic.

Rzuciłem mu spojrzenie nad brzegiem szklanki.

Westchnął.

- Wie, że ją zdradzasz.

- Że co?

- Zdradzasz. Ze skórka.

- Ta skórka jest wzorowana na niej!

- Ale nie jest nią.

- No nie jest. Nie pierdzi, nie kłóci się, nie wybucha płaczem za każdym razem, gdy nie dasz się zaciągnąć na rodzinną wizytę. Słuchaj, bardzo ją kocham, ale wiesz co... kiedy ostatni raz próbowałeś seksu w pierwszej osobie?

- W siedemdziesiątym czwartym - odparł.

- No co ty. - Myślałem, że nigdy.

- Pomiędzy sesjami trochę robiłem za medycznego misjonarza w Trzecim Świecie. W Teksasie ciągle się obłapiają i posuwają. - Wytrąbił całego neurotrofa. - Wydawało mi się to całkiem w porządku.

- Ta nowość szybko się nudzi.

- Widzę.

- Pag, przecież nie robię nic niezwykłego. To ona ma odchyły. Zresztą nie chodzi tylko o seks. Ciągłe się rozpytuje, wszystko chciałaby wiedzieć.

- Na przykład co?

- Nieważne rzeczy. Moje dzieciństwo. Rodzina. Nikomu nic do tego.

- Interesuje się i tyle. Wiesz, nie każdy uważa, że wspomnienia z dzieciństwa to tajemnica.

- Dzięki za spostrzeżenie.

Tak jakby nikt przedtem się nie interesował. Jakby Helen się nie interesowała, grzebiąc w

moich szufladach, filtrując pocztę, łażąc za mną z pokoju do pokoju i pytając ściany i zasłony, dlaczego zawsze jestem taki ponury i skryty. Tak się interesowała, że nie wypuszczała mnie z domu, dopóki wszystkiego jej nie powiedziałem. W wieku dwunastu lat byłem jeszcze na tyle głupi, że zdawałem się na jej łaskę. „Mamo, to osobiste sprawy. Nie chcę o tym rozmawiać”. A gdy domagała się odpowiedzi, czy to problem w sieci, w szkole, może to dziewczyna, może... chłopak, o co chodzi i dlaczego nie ufam własnej matce, czyż nie wiem, że mogę jej zaufać we wszystkim - wtedy uciekałem do łazienki. Wytrzymałem uporczywe pukanie, wścibski, przejęty głos przez drzwi i na koniec nasycone urazą milczenie. Czekałem, aż nabiorę pewności, że sobie poszła. Czekałem, kurwa, przez pięć godzin, wychodziłem, a ona stała w holu z założonymi rękami i oczyma pełnymi wyrzutu i rozczarowania. Tamtego wieczoru wykręciła zamek z drzwi łazienki, bo „rodzina nie powinna się przed sobą zamykać”. Bo się interesowała.

- Siri - powiedział cicho Pag.

Zwolniłem oddech, spróbowałem jeszcze raz:

- Żeby to były tylko rozmowy o rodzinie. Ona chce ich poznać. Ciągłe chce mnie zaciągnąć na spotkanie ze swoją. Myślałem, że spinam się z Chelsea, nikt mi nie powiedział, że będę musiał na żywo...

- I byłeś?

- Raz. - Wszędobylskie, łapiące za wszystko stwory, udające aprobatę, udające życzliwość. - Super było, jeśli lubisz rytualne obmacywanie przez bandę zakłamanych nieznajomych, którzy nie znoszą twojego widoku, ale nie mają jak się do tego przyznać.

Pag wzruszył ramionami.

- Brzmi jak typowa rodzina starego typu. Człowieku, jesteś syntetykiem, nie? Masz do czynienia z o wiele bardziej zakręconymi dynamikami.

- Mam do czynienia z informacją od innych ludzi. Nie rzygam do sfery publicznej swoim życiem osobistym. Te wszystkie hybrydy, konstrukty, z którymi pracuję, one się nie...

...dotykają...

- ...dopytują - skończyłem zdanie.

- Wiedziałaś z góry, że Chelsea jest trochę staroświecka.

- Jasne, kiedy jej pasuje. - Pociągnąłem łyk *ale*. - Kiedy ma w ręku sklejarkę do neuronów, to jest supernowoczesna. Co swoją drogą nie znaczy, że nie powinna trochę popracować nad swoją strategią.

- Strategią.

„Jezu, to nie jest żadna »strategia«. Nie widzisz, że cierpię? Siri, leżę, kurwa, na podłodze, zwinięta w kłębek, bo tak bardzo mnie boli, a ty umiesz tylko krytykować moją taktykę? To co mam, cholera, zrobić, pochłastać się, czy co?”

Wzruszyłem ramionami i się odwróciłem. Sztuczki natury.

- Płacze - powiedziałem teraz. - Ma wysoki kwas mlekowy, więc jej łatwo. To tylko chemia, ale obnosi się z tym jak z dowodem, że jestem jej coś winien.

Pag zasznurował usta.

- To nie znaczy, że gra.

- Wszystko jest grą. Wszystko jest strategią. Sam dobrze wiesz. - Prychnąłem. - I jest wkurzona, bo ja zrobiłem sobie taką skórkę?

- Chyba nie chodzi o samą skórkę, raczej o to, że jej nie powiedziałeś. Wiesz, co sądzi o szczerości w związkach.

- Pewnie. Najlepiej w ogóle.

Spojrzał na mnie.

- Pag, uwierz mi choć trochę. Jak myślisz, powinienem jej powiedzieć, że wzdrygam się na sam jej widok?

Organizm zwany Robertem Paglino siedział w milczeniu, pociągał swoje narkotyki i porządkował to, co zamierzał powiedzieć. Wziął oddech.

- Nie mogę uwierzyć, że możesz być aż takim jebanym tępakiem - odezwał się.

- Taak? No to mnie oświeć.

- Oczywiście chce, żebyś jej mówił, że nie odrywasz od niej wzroku, kochasz jej pory na skórze i poranny oddech, i czemu poprzestawać na jednej regulacji, może trzasnąć sobie dziesięć. Ale to nie znaczy, kretynie, że chce, żebyś kłamał. Chce, żeby to wszystko było prawdą. A zresztą... czemu to nie może być prawdą?

- Bo nie jest - odpowiedziałem.

- Jezu, Siri! Ludzie nie są racjonalni. I ty nie jesteś racjonalny. Nie jesteśmy myślącymi maszynami, jesteśmy czującymi maszynami, które przypadkiem myślą. - Wziął wdech i pociągnął kolejny łyk. - I dobrze o tym wiesz, bo nie byłbyś w stanie wykonywać swojej pracy. Albo, przynajmniej... - skrzywił się - wie twój organizm.

- Organizm.

Chodziło mu o mnie i moje protokoły. Mój chiński pokój.

Teraz ja wziąłem oddech.

- Ale wiesz, to nie u każdego się sprawdza.

- Właśnie widzę. Nie czytają się układy, w które jesteś za mocno uwikłany, nie? Efekt obserwatora.

Wzruszyłem ramionami.

- Zresztą ja też - dodał. - Chyba też za bardzo bym cię nie lubił z tym twoim pokojem.

Wyrwało mi się, zanim się powstrzymałem:

- Chelsea mówi, że wolałaby prawdziwy.

Uniósł brwi.

- Prawdziwe co?

- Chiński pokój. Mówi, że lepiej by ją rozumiał.

QuBit przez chwilę szeptał i brzęczał wokół nas.

- Właściwie rozumiem, czemu tak mówi - powiedział w końcu Pag. - Ale ty... udało ci się, człowieku z kapsuły.

- No, nie wiem.

Kiwnął głową, zdecydowanym ruchem.

- Wiesz co, mówi się o „mniej utartych ścieżkach”, a ty chyba sam sobie wydeptałeś ścieżkę. Nie wiem dlaczego. Coś jakby nauczyć się kaligrafować palcami stóp, wiesz? Albo polineuropatia proprioceptorowa. To ciekawe, że w ogóle umiesz; i zdumiewające, że jesteś w tym dobry.

Zmrużyłem oczy.

- Proprio...?

- Zdarzali się kiedyś ludzie bez żadnego poczucia... jakby, samego siebie. Fizyczności. Nie czuli układu własnego ciała w przestrzeni, nie mieli pojęcia o ułożeniu kończyn, albo czy w ogóle je mają. Niektórzy mówili, że czują się jak po przecięciu rdzenia. Odcieleśnieni. Wysyłali do ręki sygnał motoryczny i musieli przyjmować na wiarę, że tam dotarł. Więc kompensowali to wzrokiem, nie czuli, gdzie jest ręka, ale patrzyli, jak się porusza, zastępując tym normalne sprzężenie czuciowe, które dla nas jest tak oczywiste. Potrafili chodzić, jeśli skupili wzrok na nogach, i koncentrowali się

na każdym kroku. Całkiem dobrze im to szło. Ale nawet po latach ćwiczeń, jeśli rozkojarzyło się ich w pół kroku, wywracali się jak fasola po zabraniu tyczki.

- Mówisz, że ja mam tak samo?

- Korzystasz ze swojego chińskiego pokoju jak oni ze wzroku. Na nowo, prawie od zera, wynalazłeś empatię, która pod pewnymi względami - oczywiście nie wszystkimi, bo wtedy nie musiałbym ci tego mówić - jest lepsza od oryginału. Dlatego taki jesteś dobry w syntezie.

Pokręciłem głową.

- Ja obserwuję i tyle. Patrzę, co robią ludzie, a potem wyobrażam sobie, co sprawiło, że tak robią.

- Dla mnie brzmi jak empatia.

- Ale nie jest. Empatia to niezupełnie wyobrażanie sobie, co czuje ten drugi. Raczej, co by się samemu czuło na jego miejscu, nie?

Zmarszczył brwi.

- No i co?

- A jeśli nie wiesz, jakbyś się czuł, to co?

Spojrzał na mnie, płaszczyzny miał poważne i całkowicie klarowne.

- Przyjacielu. Jesteś lepszy niż ci się wydaje. Może nie zawsze się tak zachowujesz, ale... ja cię znam. Już przedtem cię znałem.

- Znałeś kogoś innego. Ja jestem człowiekiem z kapsuły, nie pamiętasz?

- Taak, to był ktoś inny. Może pamiętam go lepiej niż ty. Ale coś ci powiem. - Nachylił się. - Obaj byście mi wtedy pomogli. Może on na zasadzie tej staroświeckiej empatii, a ty musiałeś sobie sklecić na poczekaniu jakiś schemat blokowy z materiałów odpadowych, ale to tym większe osiągnięcie. Stary, dlatego cały czas mam z tobą kontakt. Mimo że masz wetknięty w dupę kij jak Iglica z Rio.

Uniósł szklanę. Posłusznie stuknąłem w nią swoją. Wypiliśmy.

- Nie pamiętam go - powiedziałem po chwili.

- Tamtego Siriego? Sprzed kapsuły?

Skinąłem głową.

- Nic a nic?

Zastanowiłem się.

- On cały czas miał ataki, prawda? Ciągle musiało go boleć. Nie pamiętam żadnego bólu. - Szklanę miałem prawie pustą. Pociągnąłem łyceczek. - On... mi się jednak czasem śni. Że... że nim jestem.

- I jak to jest?

- Kolorowo. Wiesz, wszystko było bardziej nasycone. Dźwięki, zapachy. Intensywniejsze niż naprawdę.

- A teraz?

Spojrzałem na niego.

- Mówiłeś, że było kolorowe. Co się zmieniło?

- Nie wiem. Może nic. Po prostu już... właściwie nie pamiętam snów, gdy się budzę.

- To skąd wiesz, że je masz? - zapytał.

Chuj tam, pomyślałem, i ostatnim łykiem osuszyłem szklanę.

- Bo wiem.

- Skąd?

Zmarszczyłem brwi, zbity z tropu. Musiałem pomyśleć, zanim sobie przypomniałem.

- Bo budzę się uśmiechnięty.

Szeregowcy patrzą wrogowi w oczy. Szeregowcy wiedzą, jaka jest stawka. Znają cenę złej strategii. Co znają generałowie? Taktyczne strzałki na folii. Cała hierarchia dowodzenia jest postawiona na głowie.

Kenneth Lubin, „Suma zerowa”

Już od samego przebiccia poszło źle. W planie było wywołanie precyzyjnie dawkowanego zamieszania na nowym przyczółku, obliczonego na zwabienie jakiejś „krwinki z manipulatorami”, próbującej naprawić szkodę. Naszym zadaniem było zastawić pułapkę i wycofać się, dając wiarę zapewnieniom Sarastiego, że nie będziemy musieli długo czekać.

Czasu nie mieliśmy w ogóle. Od razu po przebicciu kadłuba, w wirującym pyłe coś się zakotłowało, a te serpentynowe ruchy natychmiast włączyły słynną inicjatywę polową Bates na wysokie obroty. Jej trepy zanurkowały i chwyciły w celowniki wijące się, uczipione ściany korytarza wężydło. Musiał je oszołomić nasz wybuch - klasyczny przypadek znalezienia się w złym miejscu w złym czasie. Bates oceniła okazję w ułamku sekundy i plan rozpadł się w plazmę.

Zanim zdążyłem choćby mrugnąć, jeden z trepów dźgnął wężydło szpikulcem do biopsji. Wynieśliśmy zwierzaka w całości, gdyby magnetosfera *Rorschacha* nie wybrała akurat tej chwili, żeby sygnąć nam piaskiem w oczy. A tak, zanim trepy z ociąganiem wróciły do akcji, ich łup zniknął już za zakrętem. Bates była uwiązana do żołnierzy; wciągnęli ją do króliczej nory („Ustawiaj to!”, wrzasnęła do Saschy), gdy tylko dała im swobodę.

A ja byłem uwiązany do Bates. Ledwie zdążyliśmy wymienić z Saschą wytrzeszczone spojrzenia, a pociągnęło także mnie. Nagle znów znalazłem się w środku: nasycony szpikulce do biopsji odbił się od mojej szybki i przeleciał z błyskiem, nadal przypięty do paru metrów samotnego monowłókna. Miejmy nadzieję, że Sascha go znajdzie, podczas gdy my z Bates będziemy zajęci polowaniem; przynajmniej misja nie zakończy się kompletną porażką, jeśli nie wrócimy.

Trepy wlokły nas niczym przynętę na haku. Bates płynęła jak delfin, tuż przede mną, bez wysiłku utrzymując się pośrodku korytarza sporadycznym strzałem odrzutu. Ja odbijałem się od ścian, usiłując się ustabilizować, starając się wyglądać, jakbym kontrolował sytuację. A te pozory były ważne - cały sens wabika polega na udawaniu oryginału. Dali mi nawet pistolet, oczywiście tylko na wszelki wypadek, bardziej dla pocieszenia niż obrony. Obejmował przedramię i strzelał plastikowymi kulami, niewrażliwymi na pola indukcyjne.

Tylko Bates i ja. Żołnierz-pacyfistka i szansa jak przy rzucie monetą.

Miałem gęsią skórkę, jak zawsze. W głowie skrobały i drapały te same duchy. Tym razem jednak strach wydawał się stłumiony. Odległy. Może to po prostu kwestia czasu, tego, że lecimy przez magnetyczny krajobraz zbyt szybko, by którakolwiek ze zjaw zdążyła się głębiej okopać. A może czegoś jeszcze. Może nie bałem się już duchów, bo tym razem polowaliśmy na potwory.

Wężydło zrzuciło najwyraźniej wszystkie sieci, które rozsnuliśmy, wchodząc tutaj; pędziło po ścianach z pełną prędkością, wyrzucając ramiona w przód jak atakujące węże, skacząc tak szybko, że roboty ledwo nadążały wzrokiem za jego wijącą się we mgle sylwetką. Nagle skoczyło w bok, pozęgłowało w poprzek korytarza i zniknęło w mniejszym tunelu. Roboty zakręciły w pościgu, zderzając się ze ścianami, potykając...

...stając...

...i nagle Bates gwałtownie hamuje, wyskakując za mnie, wymachującego pistoletem. W następnej chwili minąłem roboty; moja smycz napięła się i pociągnęła z powrotem, osadzając mnie poślizgiem na miejscu. Przez sekundę czy dwie byłem na linii frontu. Przez sekundę czy dwie byłem

linią frontu, ja, Siri Keeton, protokolant, wtyka, zawodowy ciemniak. Unosiłem się tam i tyle, w hełmie grzmiał własny oddech, a parę metrów dalej ściany...

Wiły się...

Perystaltyka, pomyślałem z początku. Ten ruch jednak w ogóle nie przypominał powolnych, rozkołysanych fal przechodzących zwykle po korytarzach Rorschacha. Więc halucynacja, poprawiłem się - wtem ściany wyciągnęły tysiąc podobnych do biczów wapnistych języków, które chwyciły nasz łup ze wszystkich stron i rozdarły na strzępy...

Coś chwyciło mnie i obróciło. Nagle znalazłem się przyciśnięty do piersi jednego z trepów, który strzelał z tylnych luf, z maksymalną szybkością wycofując się korytarzem. Drugi trzymał w objęciach Bates. Kotłowanina za nami oddaliła się, ale wciąż miałem w tyle oczu jej obraz, ostry i bezceremonialny jak halucynacja.

Wszędzie wężydła. Ich rój kłębił się na ścianach, sięgając po intruza, wyskakując kontratakami w światło tunelu.

Nie przeciwko nam. Zaatakowały swojego. Widziałem, jak odrywają mu trzy ramiona, potem zniknął w kłębiącej się masie pośrodku przejścia.

My uciekliśmy. Odwróciłem się do Bates - „Widziałaś” - ale ugryzłem się w język. Grobowe skupienie na jej twarzy było nie do pomylenia nawet przez dwie szybki i trzy metry metanu. Według wyświetlacza zrobiła lobotomię obu trepom, pominęła całą tę wspaniałą, autonomicznie podejmującą decyzje elektronikę i prowadziła je sama, ręcznie, jak marionetki.

Na wyświetlaczu tylnego sonaru pojawiły się zmierzwione, ziarniste echa. Wężydła skończyły składać ofiarę. Teraz goniły nas. Mój trep potknął się i obił o ścianę korytarza. Zębate odłamki jakichś obcych ozdób wyrwały równoległe ślady w szybce mojego hełmu i przez pancerną tkaninę skafandra rozsiekały mi mięsień uda. Powstrzymałem krzyk. Ale i tak się wyrwał. W moim hełmie pękł tuzin zgniłych jaj, a jakiś absurdalny alarm rozćwierkał się oburzonym tonem. Zakaszlałem. Oczy mi łzawiły i szczypały w tym smrodzie; ledwo widziałem siwerty na wyświetlaczu, błyskawicznie zapalające się czerwienią.

Bates wiozła nas bez słowa.

Szybka hełmu zagoiła się na tyle, by wyłączyć alarm. Powietrze zaczęło się oczyszczać. Wężydła nas doganiały; gdy z powrotem mogłem wyraźnie widzieć, były tylko parę metrów od nas. W górze, przed nami, za zakrętem tunelu ukazała się Sascha - Sascha, która nie miała zastępcy, Sascha, której inne rdzenie zostały na rozkaz Sarastiego wyłączone. Na początku Susan protestowała...

- Jeśli będzie jakaś okazja do komunikacji...

- Nie będzie - uciał.

...A więc była tam Sascha, bardziej odporna na wpływ *Rorschacha*, według jakiegoś kryterium, którego nigdy nie rozumiałem, zwinięta w embrion z rękawicami przyciśniętymi do hełmu, tak że mogłem tylko modlić się do jakiegoś zakurzonego boga, żeby zdążyła zastawić pułapkę, zanim *Rorschach* się do niej dobrał. A wężydła były tuż za nami, Bates krzyczała: „Sascha! Zejdz kurwa z drogi!” i ostro hamowała, o wiele za wcześnie, horda wężydeł łapała nas za pięty, Bates wrzeszczała: „Sascha!”, aż wreszcie Sascha ruszyła się, zareagowała, odbiła od najbliższej ściany i zniknęła w dziurze, przez którą weszliśmy. Bates szarpnęła w głowie jakąś wajchę. Nasze wojenne limuzyny gwałtownie skrzyły, plunęły iskrami i pociskami i zanurkowały za nią.

Sascha zastawiła pułapkę tuż pod naszym otworem. Bates uzbroiła ją w przelocie jednym pacnięciem rękawicy. Resztę miały zrobić czujniki ruchu, ale wróg był tuż za nami i nie mieliśmy żadnego zapasu.

Uruchomiła się, kiedy wyłaziłem do przedsionka. Sieć wystrzeliła z armatki za mną wspaniałym eksplodującym stożkiem, złapała coś, wessała się w króliczą norę i odskoczyła z powrotem, uderzając od tyłu mojego robota. Odrzut cisnął nami o szczyt przedsionka, tak mocno, że mało się nie podarł. Wytrzymał i odepchnął nas w dół, prosto na uwięzione w sieci wijące się stwory.

Wszędzie te falujące kręgosłupy. Przegubowe ramiona, trzaskające jak kościane bicze. Jedno złapało mnie za nogę i ścisnęło jak ceglany pyton. Dłonie Bates odtańczyły przede mną jakiś szaleńczy taniec, po czym to ramię rozpadło się na podskakujące po namiocie części.

Wszystko nie tak, miały być w sieci, miały być obezwładnione...

- Sascha! Odpalaj! - warknęła Bates.

Kolejna macka oddzieliła się od ciała i zatoczyła na ścianę, zwijając się i prostując.

Gdy tylko ściągnęliśmy sieć, otwór wypełnił się aerozolową pianką. W niej wiło się na wpół zanurzone wężydło, złapane dosłownie ułamek sekundy za późno; centralny korpus sterczał jak ogromny okrągły guz obleziony przez gigantyczne robaki.

- SASCHA!

Artyleria. Podłoga przedsionka zamknęła się lamelkowo, szybko jak potrząsk, po czym wszystko w nią uderzyło: trepy, ludzie, wężydła, całe i w kawałkach. Nie mogłem oddychać. Każdy naparstek ciała ważył sto kilogramów. Coś klepnęło nas w bok, gigantyczna ręka tłukąca owada. Może korekta kursu. A może zderzenie.

Jednak dziesięć sekund później znów znaleźliśmy się w nieważkości i nic nas nie rozpruło.

Pływalismy jak roztocza w piłeczce pingpongowej, otoczeni chaosem maszyn i drgających części ciała. Czegoś, co mogłoby uchodzić za krew, było niewiele. A ta odrobina unosiła się przejrzystymi, falującymi kuleczkami. Sieć polatywała pośrodku wszystkiego, jak opakowany w folię asteroid. Stwory w środku owiwały ramionami samych siebie i nawzajem, zwijając się w drżące, niereagujące na nic kule. Wokół syczał sprężony amonometan, mający utrzymać je w świeżości podczas długiej podróży powrotnej.

- Jasna cholera - sapnęła Sascha, obserwując je. - Krwiopijca to zaplanował.

Ale nie wszystko zaplanował. Nie zaplanował bandy wielorękich obcych, na moich oczach rozdzierających na strzępy jednego ze swych pobratymców. Tego nie przewidział.

A przynajmniej o tym nie wspomniał.

Już czułem mdłości. Bates starannie składała przeguby razem. Przez chwilę prawie nie widziałem pomiędzy nimi ciemnej, napiętej nici świrodrutu, delikatnego jak dym. Ta ostrożność była zrozumiała; równie łatwo przecinał ludzkie kończyny, jak obce. Jeden z robotów przy jej ramieniu czyścił sobie aparat gębowy, ścierając krew ze szczęk.

Świrodрут zniknął mi z oczu. Bo w ogóle wszystko znikało. We wnętrzu wielkiego, ołowianego balonu ściemniało się. Szybowaliśmy, po czystej krzywej balistycznej. Musieliśmy wierzyć, że *Scylla* zanurkuje i zgarnie nas, jak tylko oddalimy się na dyskretną odległość z miejsca przestępstwa. Musieliśmy zaufać Sarastiemu.

Z każdą godziną stawało się to coraz trudniejsze. Choć na razie się nie mylił. Na ogół.

- Skąd wiesz? - zapytała Bates, gdy pierwszy raz przedstawił nam plan. Nie odpowiedział. Dość prawdopodobne, że nie mógł - nie nam. Nie bardziej niż zwyklak mógłby wyjaśnić teorię bran Płaszczakom. Ale tak naprawdę Bates nie pytała o taktykę. Raczej o powód, jakieś uzasadnienie wkraczania na obcy teren, łapania i mordowania jego mieszkańców.

Na jednym poziomie oczywiście już znała odpowiedź. Wszyscy znaleźliśmy. Nie mogliśmy sobie pozwolić na samo tylko reagowanie. Ryzyko było zbyt wielkie - musieliśmy wyprzedzić ich o krok. Sarasti, tyleż od nas mądrzejszy, widział to jeszcze wyraźniej. Amanda Bates wiedziała, że ma rację

- wiedziała umysłem, ale chyba nie czuła tego w bebeczach. Może, pomyślałem, gdy wzrok mi całkiem zawodził, prosiła w ten sposób Sarastiego, żeby ją przekonał.

Ale robiła nie tylko to.

* * *

Wyobraź sobie, że jesteś Amandą Bates.

Generałowie dawnych wieków mieliby mokre sny i koszmary, widząc stopień twojej kontroli nad żołnierzami. Możesz w jednej chwili wejść w sensorium dowolnego podwładnego, widzieć pole bitwy z dowolnej liczby pierwszoosobowych perspektyw. Każdy żołnierz jest lojalny aż po śmierć, nie zadaje pytań i wykonuje wszystkie rozkazy z ochotą i oddaniem, na jakie nie byłoby stać nędznego mięsa. Tu się nie szanuje hierarchii służbowej - tu się nią jest.

Sama trochę się boisz takiej władzy. A trochę tego, co już z nią zrobiłaś.

Słuchanie rozkazów przychodzi równie naturalnie, jak ich wydawanie. Owszem, wiadomo, że zdarzało ci się kwestionować linię albo dopytywać o ogólny ogląd sytuacji, być może akurat niezbędny do wykonania zadania. O twojej inicjatywie dowódczej krążą legendy. Ale bezpośredniemu rozkazowi nie sprzeciwiłaś się nigdy. Pytana o własny punkt widzenia, przedstawiasz go prosto z mostu, bez owijania w bawełnę - dopóki nie zostaną podjęte decyzje i wydane rozkazy. Wtedy wykonujesz swoje zadanie bez pytań. Nawet jeśli powstają, nie tracisz czasu na ich zadawanie - chyba że odpowiedź może ci się do czegoś przydać.

Czemu więc domagałaś się analitycznych szczegółów od wampira?

Nie dla informacji. Można by równie dobrze prosić osobę widzącą, by wytłumaczyła wzrok niewidomemu. Nie dla uściślenia: decyzja Sarastiego nie była niejasna. Ani nawet przez wzgląd na biednego tępaka Siriego Keetona, który może nie zrozumiał jakiejś istotnej kwestii, ale wstydzi się sam podnieść rękę.

Nie, jest tylko jeden powód pytania o takie detale: żeby zakwestionować. Zbuntować się, w tym minimalnym stopniu, dopuszczalnym, kiedy już wydano rozkazy.

Kłóciłaś się, argumentowałaś najmocniej, jak mogłaś, gdy Sarasti jeszcze życzył sobie pytań. Jednakże twoje argumenty zignorował, przerwał wszelkie próby komunikacji i przeprowadził atak wyprzedzający na obce terytorium. Wiedział, że *Rorschach* prawdopodobnie zawiera żywe istoty, mimo to rozpruł go, obojętny na cierpienie niewinnych, bezbronnych ofiar. Może je pozabijał. Może obudził rozjuszonego olbrzyma. Nie wiadomo.

Wiadomo za to, że mu w tym pomagałaś.

Zetknęłaś się już z taką arogancją w wojsku. Liczyłaś, że inteligentniejsze istoty będą mądrzejsze. Już same bezbronne ofiary tej aroganckiej głupoty są powodem do zmartwienia, ale żeby robić to przy takiej stawce - nie do wiary. Zabijanie niewinnych to najmniejsze z poniesionych ryzyk; tu ryzykuje się losy świata, prowokując konflikt z międzygwiazdową technologią, której jedynym przewinieniem było sfotografowanie nas bez zezwolenia.

Twoja niezgoda niczego nie zmieniła. Zatem bierzesz ją w cugle; czasem wymknie się jakieś bezcelowe pytanie bez nadziei na odpowiedź, niesubordynacja ukryta tak głęboko, że sama jej nie widzisz. A jeśli widzisz - trzymasz język za zębami - w życiu nie chciałabyś przypominać Sarastiemu, że uważasz, że się myli. Nie chcesz, żeby się nad tym zastanawiał. Nie chcesz, żeby myślał, że coś knujesz.

Bo knujesz. Nawet jeśli sama przed sobą się nie przyznajesz.
Amanda Bates zaczyna rozważać zmianę dowódcy.

* * *

Poprzecinany skafander dobrze mi się dał we znaki - reanimacja zajęła *Tezeuszowi* pełne trzy dni. Ale śmierć nie stanowiła usprawiedliwienia dla pozostania w tyle - po wskrzeszeniu miałem głowę pełną aktualizacji, zamulających mi wszczepkę.

Przeglądałem je, wspinając się do bębna. W kuchni pode mną siedziała Banda Czworoga, wpatrując się w nietkniętą porcję zbilansowanego dietetycznie gluta na talerzu. Cunningham, w swoim odziedziczonym królestwie, chrząknął na mój widok i wrócił do pracy, kompulsywnie postukując po blacie palcami dłoni.

Podczas mojej nieobecności orbita *Tezeusza* powiększyła się, naprostowano też jej ekscentryczność. Teraz trzymaliśmy cel na oku z mniej więcej stałej odległości trzech tysięcy kilometrów. Nasz okres obiegu miał godzinne opóźnienie w stosunku do *Rorschacha* - obcy nieubłaganie pełził odrobinę przed nami po swojej niższej orbicie - ale uzupełniający strzał silnikami raz na parę tygodni powinien wystarczyć, by nam nie uciekł. Mieliśmy teraz próbki, stworzenia do zbadania na naszych własnych warunkach - nie ma sensu ryzykować kolejnych bliskich spotkań, dopóki nie wyciśniemy wszystkich przydatnych danych z tego, czym dysponujemy.

Gdy byłem w trumnie, Cunningham rozbudował laboratorium. Dorobił dwie klatki, po jednej dla każdego wężydła, przedzielone wspólną ścianką działową i zabudowane w całkiem nowym habitacie. Ugotowane mikrofałą truchło zostało usunięte na bok jak zabawka z zeszłej Gwiazdki, choć według logów od czasu do czasu jednak je odwiedzał.

Oczywiście w żadnej części nowego modułu nie pojawiał się osobiście. Zresztą nie mógłby - chyba że włożywszy skafander i przeskoczywszy przez ładownię. Cały moduł został odłączony od śluzy w kręgosłupie i zakotwiczony w połowie między nim a skorupą - polecenie Sarastiego, mające „zminimalizować ryzyko skażenia”. Cunninghamowi i tak było wszystko jedno. Nawet wolał zostawić ciało w pseudograwitacji, a świadomością polatywać między manipulatorami, sensorami i różnymi różnościami otaczającymi jego nowych pupilów.

Tezeusz zobaczył, że idę, i wysunął z kuchennego dozownika gruszkę ze słodkimi elektrolitami. Banda nie uniosła głowy, gdy ją mijałem. Palec wskazujący postukiwał w roztargnieniu w skroń, usta zaciśnięte, drgające - charakterystyczny tryb, mówiący: „trwa wewnętrzny dialog”. Gdy tak wyglądali, nigdy nie umiałem powiedzieć, kto stoi na czele.

Siorbnąłem z gruszki i zerknąłem na klatki. Dwa sześciany zatopione w bladoczerwonym świetle: w jednym wężydło unosiło się pośrodku sceny, segmentowane ramiona falowały jak wodorosty w delikatnym prądzie. Mieszkaniec drugiej klatki wcisnął się w róg, cztery ramiona rozpościerając na ścianach, kolejne cztery falowały w otwartej przestrzeni. Korpusy, z których wyrastały ramiona, były kuliste, a nie płaskie, dyskowate, jak u pierwszego okazu. Tylko odrobinę spłaszczone - macki zaś wyrastały nie z jednego pasa równikowego, ale z całej powierzchni.

W pełni rozprostowane wężydło miało około dwóch metrów szerokości. Drugie było zbliżonej wielkości. Oprócz pływających ramion, żadne się nie poruszało. Na ich skórze falowała granatowa mozaika, w długofalowym świetle niemal czarna, przypominająca wzory rysowane w trawie przez wiatr. Drugi, nałożony obraz kreślił stężenia metanu i wodoru według uspokajających norm

Rorschacha. Temperatura i światło, jak wyżej. Ikona tła elektromagnetycznego pozostawała ciemna.

Zanurzyłem się w archiwa, obejrzałem przyjęcie obcych sprzed dwóch dni - koziółkujące, wrzucone bezceremonialnie do oddzielnych klatek, potem zwinięte, obejmujące się ramionami, odbijające delikatnie od ścian. Pozycja embrionalna, pomyślałem, ale po chwili ramiona się rozwinęły, jakby rozkwitły zwapniałe kwiaty.

- Robert mówi, że *Rorschach* je hoduje - powiedziała za mną Susan James.

Odwrociłem się. U steru ewidentnie była James, ale jakaś taka... wyciszona. Posiłek wciąż nietknięty. Płaszczyzny niewyraźne.

Poza oczyma. Głębokie, trochę puste.

- Hoduje? - powtórzyłem.

- W stosach. One mają po dwa pępki. - Udało jej się słabo uśmiechnąć; dotknęła jedną dłonią brzucha, drugą pleców. - Z przodu i z tyłu. Sądzi, że rosną w czymś w rodzaju kolumny, jeden nad drugim. Kiedy najwyższy osiągnie jakiś punkt w rozwoju, oddziela się od stosu i uwalnia.

Zapuszkowane wężydła badały teraz nowe otoczenie, wspinając się pilnie na ściany i rozwijając ramiona wzdłuż ich narożników. Uderzający był widok tych napuchniętych korpusów.

- Czyli ten pierwszy, ze spłaszczonym...

- Młody - zgodziła się. - Prosto ze stosu. Te są starsze. W miarę dojrzewania robią się pełniejsze. Tak mówi Robert - dodała po chwili.

Wyssałem resztki z gruszki.

- Statek hoduje sobie załogę.

- Jeśli to statek. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli to załoga.

Obserwowałem, jak się poruszają. Nie miały zbyt wiele do zbadania - ściany były niemal puste, gładkie, jeśli nie liczyć paru głowic z czujnikami i dysz z gazem. Klatki miały swoje macki i manipulatory do bardziej inwazyjnych badań, starannie pochowane podczas wprowadzenia. Ale stworzenia i tak przemierzyły całe terytorium krok za krokiem, przesuając się tam i z powrotem po długich, równoległych, niewidzialnych ścieżkach. Całkiem, jakby tworzyły przekroje poprzeczne.

James też to zauważyła.

- Strasznie systematycznie, nie?

- Co na to Robert?

- Mówi, że u pszczoł i grzebaczy widać równie skomplikowane zachowania i wszystko to są zaszyte na sztywno automatyzmy, a nie inteligencja.

- Ale pszczoły się oprócz tego komunikują, prawda? Mają ten swój taniec, którym mówią reszcie, gdzie są kwiaty.

Wzruszyła ramionami.

- Więc może jeszcze się uda z nimi pogadać.

- Może. Tak bym sądziła. - Palcem wskazującym i kciukiem masowała czoło. - Ale na razie nic się nie udało. Odtwarzaliśmy im ich własne wzory pigmentacji, ze zmianami. Dźwięków chyba nie wydają. Robert zsyntetyzował parę dźwięków, które mogłyby wydobyć z kloak, gdyby tylko zechciały, ale to też na nic. Takie harmoniczne pierdzenie.

- Czyli zostajemy przy modelu „krwinka z mackami”.

- W zasadzie tak. Ale wiesz, nie wpadły w pętlę. Zaprogramowane na sztywno zwierzęta powtarzają się. Nawet te inteligentne biegają w kółko albo gryzą własną sierść. Zachowania stereotypowe. A te dwa wszystko raz dokładnie obmacały, a potem po prostu... się wyłączyły.

W ConSensusie nadal to robiły, sunęły po jednej ścianie, potem drugiej i kolejnej po torze w kształcie ciasnego gwintu, niepozostawiającym bez zbadania choćby centymetra kwadratowego.

- Potem coś robiły? - zapytałem.

Znów wzruszenie ramion.

- Nic specjalnego. Kręcą się, kiedy się je szturcha. Machają ramionami, w zasadzie przez cały czas: o ile nam wiadomo, nie niesie to żadnej informacji. Nie stały się niewidzialne, ani nic takiego. Ściankę działową zrobiliśmy na jakiś czas przezroczystą, żeby się widziały, spięliśmy też audio i kanał powietrzny - Robert pomyślał, że może komunikują się jakimiś feromonami - ale nic. Nawet na siebie nie zareagowały.

- A próbowaliście je... no, zmotywować?

- Czym, Siri? Własne towarzystwo ich, zdaje się, nie obchodzi. Nie da się ich przekupić jedzeniem, nie wiedząc, co jedzą. A nie wiemy. Robert twierdzi, że na razie nie grozi im śmierć z głodu. Może da się coś zrobić, kiedy będą głodne.

Wyłączyłem materiał z archiwum i wróciłem do czasu rzeczywistego.

- Może żywią się, ja wiem... promieniowaniem. Albo energią magnetyczną. Klatka może generować pole magnetyczne, prawda?

- Próbowaliśmy. - Wzięła oddech, potem wyprostowała plecy. - Ale nie wszystko od razu. On miał parę dni, a ja dopiero wczoraj wyszłam z krypty. Popróbowujemy dalej.

- A może bodźce negatywne? - zastanowiłem się.

Zamrugła.

- Znaczą, zadać im ból.

- Niekoniecznie od razu jakiś straszny. A skoro i tak nie są świadome...

Susan zniknęła w okamgnieniu.

- No, Keeton, właśnie wysunąłeś sugestię. Rezygnujesz z polityki niewtrącania się?

- Cześć, Sascha. Nie, oczywiście, że nie. Tylko... robiłem sobie listę rzeczy, których już próbowaliśmy.

- Świetnie. - Jej głos brzmiał ostro. - Nie chciałabym myśleć, że się zapominasz. Teraz idziemy sobie trochę odpocząć. Może tymczasem pogadasz z Cunninghamem? Tak, zrób to. I koniecznie opowiedz mu swoją teorię o obcych żywiących się promieniowaniem. Trochę śmiechu na pewno dobrze mu zrobi.

* * *

Stał na posterunku w BioMedzie, choć puste krzesło miał metr obok. Nieodłączny papieros zwisał spomiędzy palców jednej dłoni, niemal dopalony i wygasły. Druga ręka bawiła się sama sobą, kolejno stukając palcami o kciuk, od małego do wskazującego i z powrotem. Okna przed nim kipiały od informacji; on nie patrzył.

Podszedłem doń z tyłu. Obserwowałem ruch jego płaszczyzn. Słyszałem dobywające się z krtani ciche sylaby:

„*Yit-barah v'yish-tabah v'yit-pa-ar v'yit-romam...*”.

To nie była jego standardowa litania, ani nawet standardowy język: hebrajski, stwierdził ConSensus.

Brzmiało prawie jak modlitwa...

Musiał mnie usłyszeć. Topologia spłaszczyła się i zeszywniała, stając się niemal nieczytelną. Ostatnio były coraz większe problemy z rozszyfrowaniem każdego, ale Cunningham nawet przez te

topologiczne zaćmy był jak zawsze trudniejszy w odczytaniu.

- Keeton - powiedział, nie odwracając się.

- Nie jesteś Żydem - powiedziałem.

- Tamto było.

Szpindel, zrozumiałem po chwili. Cunningham nie uwzględniał zaimków męskich i żeńskich.

Ale Isaac Szpindel był ateistą. Wszyscy byliśmy. Przynajmniej na początku.

- Nie wiedziałem, że go znałeś - odparłem. Procedura nie izolowała zastępców.

Cunningham, nie spojrzawszy na mnie, opadł na krzesło. W jego głowie i w mojej otworzyło się nowe okienko, z ramką podpisaną „Elektroforeza”.

Spróbowałem jeszcze raz.

- Przepraszam, nie chciałem ci przeszkodzić...

- W czym pomóc, Siri?

- Liczyłem, że streścisz mi swoje wyniki.

Przez okienko przewinęła się tablica Mendelejewa pierwiastków obcego. Cunningham zapisał ją i puścił analizę kolejnej próbki.

- Wszystko jest udokumentowane. Znajduje się w ConSensusie.

Zagrałem na ego:

- Chciałbym jednak wiedzieć, jak ty byś to podsumował. Twoja ocena istotności może być równie ważna, jak same dane.

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. Coś mruzczał, powtarzając słowa. Coś nieważnego.

- Istotne jest to, czego nie ma - odrzekł po chwili. - Mam już dobre próbki i dalej nie mogę dopatrzeć się genów. Synteza białek jest niemal prionowa - zamiast typowej transkrypcji mamy wielokrotną konformację - ale nie mogę dojść, jak te cegiełki są po wyprodukowaniu wstawiane w ścianę.

- Jakies postępy na froncie energetycznym? - zapytałem.

- Energetycznym?

- No, pamiętasz, tlenowy metabolizm przy beztlenowym budzecie. Mówiłeś, że mają za dużo ATP.

- To rozwiązałem. - Wypuścił obłok dymu; daleko na rufie drobinka obcej tkanki zamieniła się w ciecz i rozwarstwiła na chemiczne odczyty. - Są sprinterami.

Przekształć to sobie, jeśli umiesz.

Nie umiałem.

- Biochemia to sztuka kompromisu. Im szybciej syntetyzujesz ATP, tym bardziej kosztowna robi się każda cząsteczka. Wychodzi na to, że wężydła są w tym o wiele efektywniejsze energetycznie niż my. Tylko robią to potwornie wolno - dla kogoś nieaktywnego przez większość czasu może to nie być problemem. *Rorschach* - albo to coś, z czego wyrósł *Rorschach* - mogło dryfować przez tysiące lat, zanim wylądowało tutaj. Kupa czasu, żeby zgromadzić sobie rezerwę na okresy wzmożonej aktywności, a glikoliza, jeśli już masz fundament, odbywa się wybuchowo. Dwa tysiące razy większy przyróżw i nie potrzeba tlenu.

- Czyli one przez całe życie biegają sprintem.

- Może mają startowy zapas ATP, który wypalają, a potem umierają.

- A na ile to wystarcza?

- Dobrze pytanie - przyznał. - Żyj szybko, umieraj młodo. Jeśli to racjonują, przez większość czasu siedzą w letargu... kto wie?

- Hm.

Swobodnie unoszące się węzydło odpłynęło ze środka klatki. Jedno wyprostowane ramię utrzymywało dystans od ściany, pozostałe nadal falowały hipnotycznie.

Wspomniałem inne ramiona, nie tak delikatne.

- Amanda i ja zagoniliśmy jednego w tłum. I one...

Cunningham wrócił do próbek.

- Widziałem nagranie.

- Rozdarły go na kawałki.

- Aha.

- Masz pomysł dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Bates myślała, że tam na dole toczy się wojna domowa.

- A ty co myślisz?

- Nie wiem. Może tak, może węzydła są rytualnymi kanibalami, albo... no, są obce, Keeton. Co mam ci powiedzieć?

- Ale to nie są prawdziwi obcy. Nie są inteligentni. Wojna sugeruje inteligencję.

- Mrówki cały czas wojują. To nie dowodzi niczego, poza faktem, że żyją.

- A węzydła w ogóle żyją? - zapytałem.

- A co to w ogóle za pytanie?

- Sądzisz, że *Rorschach* hoduje je na czymś w rodzaju taśmy montażowej. Nie możesz znaleźć genów. Może to po prostu biomechaniczne maszyny.

- Na tym polega życie, Keeton. Sam jesteś taką maszyną. - Kolejny strzał nikotyny, kolejna burza cyferek, kolejna próbka. - Życie to albo-albo. Życie się stopniuje.

- Pytam o coś innego. Czy powstały naturalnie? Może są konstrukcjami?

- Kopiec termitów jest konstruktem? Bobrza tama? Statek kosmiczny? Oczywiście. Ale zbudowały je powstałe przez ewolucję organizmy, działające naturalnie? No przecież. Więc powiedz mi, jakim sposobem cokolwiek w całym rozległym multiświecie może nie być naturalne?

Usiłowałem nie dać po sobie poznać irytacji.

- Wiesz o co mi chodzi.

- To bezsensowne pytanie. Wybij sobie z głowy dwudziesty wiek.

Poddałem się. Po paru sekundach Cunningham chyba zauważył milczenie. Wylazł świadomością z maszyn i rozejrzał się wokół cielesnymi oczyma, jakby szukając wzrokiem komara, który niespodziewanie przestał brzęczeć.

- Masz coś do mnie? - zapytałem.

Głupie pytanie, oczywiście. Bezceremonialność niegodna syntetyka.

Jego oczy załśniły w martwej twarzy.

- Przetwarzanie bez zrozumienia. Bo tak robisz, prawda?

- To ogromne uproszczenie.

- Mhm. - Kiwnął głową. - Więc dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że zagładanie nam przez ramię i pisanie listów do domu, do naszych władców, jest bezcelowe?

- Ktoś musi dbać, żeby Ziemia nie wypadła z obiegu.

- Siedem miesięcy w każdą stronę. Wolny ten „obieg”.

- Ale jednak.

- Keeton, jesteśmy zdani sami na siebie. Ty jesteś zdany sam na siebie. Gra się skończy, zanim do władców dotrze, że się zaczęła. - Zaciągnął się dymem. - A może nie? Może rozmawiasz z kimś bliżej, hm? Tak? Czwarta Fala mówi ci, co masz zrobić?

- Nie ma żadnej Czwartej Fali. W każdym razie nikt mi nie mówił.
 - Może i nie. Własnego życia by nie ryzykowali. To zbyt niebezpieczne, choćby trzymać się z tyłu i patrzeć z odległości. Dlatego zbudowali nas.
 - Sami się zbudowaliśmy. Nikt ci nie kazał przebudowywać mózgu.
 - No tak, nikt mnie nie zmuszał. Mogłem po prostu pozwolić im wyciąć mózg i wysłać do Nieba, prawda? Taki mamy wybór. Możemy być całkiem zbędni, albo próbować konkurować z wampirami, konstruktami i AI. Może ty mi powiesz, jak to robić, nie zmieniając się w... cudaka.
- Tyle w głosie. Nic a nic w twarzy. Nie odezwałem się.
- Rozumiesz o co mi chodzi? Zero zrozumienia. - Uśmiechnął się sztywno. - Więc odpowiem na twoje pytania. Opóźnię własną pracę i potrzymam cię za rączkę, bo tak nam powiedział Sarasti. Domyślam się, że ten nadzwyczajny wampirzy umysł ma jakiś powód, żeby tolerować twoje ciągłe łapanie nas za kostki. Jest dowódcą, więc się zastosuję. Ale nie jestem aż tak bystry, więc wybaczone: mnie się to wydaje idiotyzmem.
 - Ja tylko...
 - Robisz co do ciebie należy. Wiem. Ale nie lubię, Keeton, jak się ze mną pogrywa. A na tym polega twoja praca.

* * *

Robert Cunningham już na Ziemi nie krył swojego zdania o pokładowym komisarzu. Było to oczywiste nawet dla ślepych na topologie.

Od zawsze trudno mi było go sobie wyobrazić. I nie tylko przez tę pozbawioną wyrazu twarz. Czasem do topologii nie przedostawały się przez nią nawet subtelniejsze, głębsze idee. Może celowo je tłumił, nie cierpiąc „kabla” w załodze.

Nie pierwszy raz zetknąłem się z taką reakcją. Wszyscy czuli do mnie pewną niechęć. Owszem, trochę mnie lubili, a przynajmniej tak im się wydawało. Znosili moje wtrącanie się, współpracowali, dawali mi więcej, niż myśleli, że dają.

Ale pod szorstkim kumpelstwem Szpindla, pod cierpliwymi objaśnieniami James nie było prawdziwego szacunku. Skąd miałby się wziąć? Ci ludzie byli najściślejszą czołówką, płomiennym szczytem ludzkiego rozwoju. Powierzono im losy świata. A ja miałem po prostu donosić siedzącym w domu małym mózdzkom. A kiedy zbyt blisko się od nich oddaliliśmy, nawet i to nie. Zbędna masa. Nic się z tym nie robi. Nie ma sensu się przejmować.

Ale jednak: Szpindel rzucił „komisarzem” półzartem, a Cunningham w to wierzył i wcale się nie śmiał. Przez lata spotkałem wprawdzie wielu podobnych do niego, lecz oni starali się kryć w cieniu. Cunningham był pierwszym, któremu chyba się udało.

Podczas szkoleń cały czas starałem się zbudować relację, znaleźć brakujące kawałki. Któregoś dnia przyglądałem się, jak pracuje w symulatorze na zdalnych manipulatorach, trenując nowiutkie interfejsy pozwalające przenikać po kablach przez ściany. Ćwiczył swoje umiejętności chirurga na jakimś hipotetycznym obcym, wyczarowanym przez komputer, by sprawdzić jego technikę. Czujniki i przegubowe manipulatory wyrastały z nasady pod sufitem, jak nogi gigantycznego kraba długonogiego. Nawiedzone jego duchem, przemykały wokół i zanurzały się we wnętrzu jakiegoś na wpół realnego holograficznego stwora. Ciało Cunninghama tylko delikatnie drżało, w kącie ust kołysał się papieros.

Czekałem, aż zrobi sobie przerwę. W końcu z ramion uszło napięcie. Zastępcze kończyny się rozluźniły.

- No więc. - Klepnałem się po skroni. - Dlaczego ty to zrobiłeś?

Nie odwrócił się. Czujniki nad polem sekcyjnym obracały się i wpatrywały w nas, jak pozbawione ciała oczy na słupkach. To był teraz ośrodek świadomości Cunninghama - nie to poplamione nikotyną ciało przede mną. To były jego oczy, albo język, czy jakieś inne, niewyobrażalne zmysły-mieszańce, którymi analizował wysyłane przez maszyny dane. Wycelowane prosto we mnie, w nas - jeśli Robert Cunningham posiadał jeszcze coś, co można określić mianem „wzroku”, patrzył na siebie oczyma oddalonymi o dwa metry od czaszki.

- Właściwie, co zrobiłem? - powiedział w końcu. - Te poprawki?

„Poprawki”. Jakby dopasowywał sobie ubranie, a nie wydzierał z ciała zmysłów i wszczepiał nowych w rany po nich.

Kiwnąłem głową.

- Najważniejsze to nie wypaść z obiegu - powiedział. - Jeśli się nie rekonfigurujesz, nie zyskujesz nowych kwalifikacji. A jeśli ich nie masz, w niecały miesiąc jesteś przestarzały i nie nadajesz się do niczego, może poza Niebem albo robieniem notatek.

Puściłem docinek mimo uszu.

- Jednak to dość radykalna transformacja.

- Dzisiaj już nie.

- A ty się od tego zmieniłeś?

Ciało zaciągnęło się papierosem. Punktowa wentylacja wyssała dym, zanim do mnie dotarł.

- Po to się to robi.

- Przecież wpłynęło na twoją osobowość. Na pewno...

- Aha. - Kiwnąłem głową; na drugim końcu nerwów motorycznych manipulatory zakołysały się solidarnie. - Zmieniając oczy patrzące na świat, zmieniasz patrzącego nimi?

- Coś w tym rodzaju.

Teraz przyglądał mi się cielesnymi oczyma. Te na słupkach, za błoną, podobnie jak węzowe manipulatory, powróciły do pracy nad wirtualnym trupkiem, jakby postanowiły, że zbyt wiele czasu już zeszło na pierdoły. Zastanawiałem się, w którym ciele jest teraz.

- Dziwne, że musisz pytać - powiedziało to białkowe. - Moja mowa ciała nie zdradza wszystkiego? Podobno wy, żargonaucci, czytacie w myślach?

Owszem, miał rację. Nie interesowały mnie jego słowa - były tylko falą nośną. Nie słyszał prawdziwej rozmowy. Wszystkie jego narożniki i płaszczyzny mówiły wiele i choć ich głosy były dziwnie przesterowane od sprzężeń i zniekształceń, wiedziałem, że w końcu je zrozumieć. Musiałem tylko pozwolić mu gadać.

Lecz Jukka Sarasti wybrał ten akurat moment, by przejść tamtędy i precyzyjnym cięciem zniweczyć mój doskonały plan.

- Siri jest najlepszy w branży - rzucił. - Tylko nie wtedy, gdy znajduje się zbyt blisko celu.

Dlaczego człowiek, nieokazujący miłosierdzia niższym od siebie, miałby spodziewać się, że jego własne modlitwy o zmiłowanie zostaną wysłuchane przez Najwyższego?

Pierre Troubetzkoy

- Problem w tym - powiedziała Chelsea - że ta cała rzecz w pierwszej osobie wymaga wysiłku. Musi ci zależeć na tyle, żeby spróbować. Zrozum. Urobiłam sobie ręce po łokcie nad tym związkiem, starałam się tak ciężko, ale tobie, zdaje się, w ogóle nie zależy...

Myślała, że to coś nowego. Myślała, że tego nie przewidziałem, bo nic nie powiedziałem. A ja zapewne dostrzegłem to wcześniej niż ona. Nic nie mówiłem, bo bałem się wystawić na cios.

Żołądek skręcił mi się w supeł.

- Zależy mi na tobie - powiedziałem.

- Tylko w takim stopniu, w jakim tobie w ogóle może zależeć - przyznała. - Ale... to znaczy, wiesz, czasami jesteś w porządku, czasem wspaniale mieć cię koło siebie, ale gdy tylko jakaś sprawa staje się napięta, odchodzisz i znikasz. Twoim ciałem steruje ten wojskowy komputer; po prostu nie mogę już tego znieść...

Wpatrzyłem się w motylka na wierzchu jej dłoni. Opalizujące skrzydła leniwie się rozpostarły i złożyły. Ciekawe, ile ma takich tatuaży; dotąd widziałem ich z pięć na różnych częściach ciała, choć zawsze tylko jeden na raz. Zastanowiłem się, czy jej nie zapytać, ale moment chyba nie był odpowiedni.

- Czasami bywasz taki... brutalny - mówiła. - Wiem, że nieumyślnie, ale... no, nie wiem. Może ja jestem dla ciebie zaworem bezpieczeństwa, czy coś takiego. A może musisz aż tak mocno zanurzyć się w swoją pracę, że wszystko się w tobie kumuluje i potem potrzebujesz się na kimś wyładować. Może dlatego mówisz to, co mówisz.

Teraz czekała, aż ja coś powiem.

- Byłem szczery - odparłem.

- No tak. Patologicznie. Przeszła ci kiedyś przez głowę jakaś negatywna myśl, której byś nie wypowiedział? - Głos jej drżał, ale oczy, tym razem, pozostały suche. - To chyba tak samo moja wina, jak twoja. Może nawet bardziej. Już kiedy się spotkaliśmy, wiedziałam, że jesteś... oddalony. Na pewnym poziomie zawsze się obawiałam, że to nastąpi.

- No to po co w ogóle próbować? Skoro wiedziałaś, że wszystko się tak właśnie posypie?

- Oj, Cygnus. Może to nie ty powtarzasz, że każdy związek w końcu się sypie? Nie ty mówisz, że żaden się nie utrzyma?

U mamy z tatą trochę to przetrwało. W każdym razie dłużej niż u nas.

Zmarszczyłem brwi, zdziwiony, że w ogóle pozwoliłem takiej myśli powstać. Chelsea odczytała tę ciszę jako objaw zranienia.

- Wiesz, może myślałam, że będę w stanie ci pomóc? Wyleczyć to coś, przez co ciągle jesteś zły.

Motylek blaknął. Nigdy wcześniej tego nie widziałem.

- Rozumiesz o co mi chodzi? - zapytała.

- No pewnie. Uwielbiasz rozwiązywać problemy.

- Siri, kiedy zaproponowałam, nie chciałeś się zgodzić na regulację. Tak się bałeś zmanipulowania, że odrzuciłeś nawet najprostszą kaskadę. Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który faktycznie wydaje się niereformowalny. No, nie wiem. Może to nawet powód do dumy.

Otworzyłem usta i zaraz je zamknąłem.

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

- Nic, Siri? Nic a nic? Kiedyś zawsze doskonale wiedziałeś co powiedzieć. - Wpatrzyła się w jakąś moją wersję z przeszłości. - Teraz zastanawiam się, czy w ogóle wierzyłeś w te słowa.

- To niesprawiedliwe.

- Nie. Pewnie, że nie. Właściwie nie to chciałam powiedzieć. Chodzi raczej... nie o to, że nie wierzysz w te słowa. Ty po prostu nie wiesz, co one znaczą.

Skrzydółka straciły kolor. Motylek był cienką, niemal nieruchomą, warstwą węglowego pyłu.

- Teraz to zrobię - powiedziałem. - Zrobię sobie tę regulację. Jeśli to dla ciebie takie ważne. Już się zgadzam.

- Za późno, Siri. Już mi się odechciało.

Może chciała, żebym ją powstrzymał. Tyle słów kończących się znakami zapytania, wszystkie te znaczące pauzy. Może dawała mi okazję do wytłumaczenia się, do błagania o jeszcze jedną szansę. Może, żeby zmienić zdanie, potrzebowała motywacji.

Mogłem się postarać. Mogłem powiedzieć: „Proszę, nie. Błagam cię. Nie chcę, żebyś sobie poszła, tak zupełnie, ja chciałem tylko pewnego dystansu. Proszę. Przez ostatnie trzydzieści lat tylko kiedy byliśmy razem, nie czułem się jak śmieć”.

Ale gdy znów podniosłem wzrok, motyl zniknął. Zniknęła i ona, zabierając wszystkie swoje bagaże. Zabrała wątpliwości i poczucie winy, że mnie sprowokowała. Zostawiła przekonanie, że niezgodność naszych charakterów nie jest niczyją winą, że starała się jak mogła, że i ja się starałem, ugięty pod ciężarem wszystkich moich problemów. Odeszła, może faktycznie nie winiąc mnie, i nigdy nie wiedziałem, kto właściwie podjął tę ostateczną decyzję.

W swoim fachu byłem świetny. Byłem tak, kurna, świetny, że robiłem to nawet niechcący.

* * *

- O rany! Słyszałeś to?

Susan James skakała po ścianach bębna jak galopująca gnu w półgrawitacji. Nawet pod kątem dziewięćdziesięciu stopni widziałem białka jej oczu.

- Zobacz w logach! Klatki!

Zajrzałem. Jedno wężydło unosiło się w powietrzu, drugie wciąż wciskało się w róg.

James wylądowała z łoskotem obunóż koło mnie, chwiejnie łapiąc równowagę.

- Daj głośniej!

Syk klimatyzatorów. Płynące wzdłuż kręgosłupa echo klekotu odległych maszyn; typowe pomruki układu trawiennego *Tezeusza*. Nic więcej.

- Dobra, teraz tego nie robią. - James otworzyła podzielone na pół okienko i puściła materiał wstecz. - Jest - podkreśliła, odtwarzając go z podkręconym i przefiltrowanym dźwiękiem.

Po prawej stronie okienka unoszące się wężydło podpłynęło do ściany dzielącej klatki, muskając ją wyciągniętym ramieniem. Drugie, skulone, pozostało nieruchome na lewym ekranie.

Wydawało mi się, że coś słyszę. Tylko przez chwilę: coś jak krótkie bzyknięcie owada, gdyby najbliższy owad nie był o pięć bilionów kilometrów stąd.

- Powtórz. Wolniej.

Faktycznie bzyczenie. Wibracja.

- Dużo wolniej.

Mlaski echolokacyjne, wytrysnęło z czoła delfina. Pierdzenie ustami.

- Nie, daj mi. - James wcisnęła się przed Cunninghama i szarpnęła suwak w lewo.

Cyk cyk... cyk... cyk cyk cyk... cyk... cyk cyk cyk...

Dopplerowsko spowolnione prawie do zera bezwzględne, trwało to niecałą minutę. W czasie rzeczywistym około pół sekundy.

Cunningham powiększył podzielony obraz. Skulone wężydło pozostało bez ruchu, jeśli nie liczyć zmarszczek na skórze i falowania swobodnych ramion. Ale przedtem widziałem ich tylko osiem - teraz zaś dostrzegłem wyglądającą zza korpusu kościstą ostrogę dziewiątego. Dziewiąte ramię, rozprostowane i schowane przed nami, cyk-cyk-cykające, podczas gdy drugi stwór nonszalancko opiera się o ścianę z drugiej strony...

I koniec. Rozprostowane wężydło zdryfowało bez celu na środek klatki.

Oczy James rozblęły.

- Trzeba sprawdzić resztę...

Jednak *Tezeusz* wszystko widział i był daleko przed nami. Już przeszukał archiwa i podsunął nam wyniki: trzy podobne wymiany w ciągu dwóch dni, o czasie trwania wahającym się od jednej dziesiątej do prawie dwóch sekund.

- Rozmawiają - powiedziała James.

Cunningham wzruszył ramionami, pomiędzy palcami dopalał mu się zapomniany papieros.

- Różne stwory rozmawiają. A przy takiej szybkości przekazu raczej nie jest to wyższa matematyka. Tyle informacji, co u tańczącej pszczoły.

- Gówno prawda i dobrze o tym wiesz.

- Wiem, że...

- Pszczoły nie ukrywają się umyślnie, kiedy się komunikują. Pszczoły nie wymyślają nowych sposobów łączności, specjalnie w celu zmylenia obserwatorów. Robert, to świadczy o elastyczności. To inteligencja.

- A jeśli nawet, to co, hm? Zapomniałaś na chwilę o niewygodnym fakcie, że one nawet nie mają mózgu. Wiesz co, chyba sobie tego nie przemyślałaś.

- Oczywiście, że tak.

- Naprawdę? To co cię tak cieszy? Czy ty wiesz, co to oznacza?

Nagle poczułem mrowienie na karku. Obejrzałem się, patrząc w górę.

Pośrodku bębna zjawił się Jukka Sarasti, obserwował nas z błyszczącymi oczyma i obnażonymi zębami.

Cunningham powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem i kiwnął głową.

- Ja stawiam, że to wie...

* * *

Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, co one tam szepczą. Bez problemu mogliśmy odsłuchać dźwięk, zanalizować wszystkie cyknięcia i puknięcia, ale nie da się zdekodować szyfru, nie mając choćby odrobiny pojęcia o treści. Dysponowaliśmy układami dźwięków, mogącymi znaczyć cokolwiek. Mieliśmy przed sobą stworzenia, których gramatyka i składnia - o ile ich tryb komunikacji w ogóle wykazywał takie cechy - były nieznane, a być może niemożliwe do poznania. Mieliśmy przed sobą stworzenia na tyle inteligentne, by się porozumiewać, i na tyle sprytnie, by ukryć

ten fakt. Bardzo chcieliśmy się czegoś nauczyć, ale było ewidentne, że one nas uczyć nie chcą.

Nie bez - jak ja to wtedy ująłem? - bodźców negatywnych.

Decyzję podjął Jukka Sarasti. Zrobiliśmy to na jego polecenie, jak wszystko inne. Ale kiedy padły te słowa - kiedy Sarasti rozplątał się w mroku, Bates wycofała się wzdłuż kręgosłupa, a Robert Cunningham wrócił do swych badań z tyłu bębna - Susan James została tylko ze mną. Pierwszą osobą, która głośno wypowiedziała ten nikczemny pomysł, a także oficjalnym obserwatorem dla potomności. To na mnie musiała patrzeć, ode mnie odwracać wzrok. Płaszczyzny miała twarde i załamujące światło.

A potem zaczęła.

* * *

Tak oto kruszy się lód:

Mamy dwie istoty. Mogą być ludzkie, jeśli chcesz, ale to nie bezwzględne wymaganie. Istotne jest tylko to, by umiały się ze sobą porozumiewać.

Rozdzielasz je. Pozwalasz im się widzieć i rozmawiać. Może to być okno między klatkami. Może być komunikacja dźwiękowa. Niech sobie ćwiczą sztukę konwersacji w dowolnie wybrany sposób.

Zadajesz im ból.

Znalezienie odpowiedniej metody chwilę ci zajmie. Niektóre stworzenia uciekają od ognia, inne od trującego gazu lub cieczy. Jeszcze inne są niewrażliwe na lampy lutownicze i granaty, ale krzyczą z bólu rażone ultradźwiękami. Trzeba trochę poeksperymentować; a kiedy odkryjesz odpowiedniejszy bodziec, równoważący ból z obrażeniami, traktujesz je nim bez żadnych skrupułów.

Oczywiście zostawiając im jakieś wyjście. To sedno doświadczenia: jednemu dajesz możliwość przerwania tortury, drugiemu niezbędną do tego informację. Możesz jednemu pokazać jakąś figurę geometryczną, drugiemu całą ich paletę. Ból ustanie, gdy ten drugi wskaże kształt widziany przez pierwszego. A więc czas start. Obserwuj, jak się wiją. Jeśli - kiedy - to wyłączą, znasz przynajmniej część wymienionej między nimi informacji; a nagrywając wszystko, co sobie przekazują, będziesz mieć także pewne pojęcie o sposobie wymiany.

Gdy rozwiążą jedną zagadkę, rzuć im następną. Mieszaj je. Zamieniaj istoty rolami. Sprawdź, jak sobie radzą z kółkami zamiast kwadracików. Przetestuj z silni i ciągów Fibonacciego. Powtarzaj, aż wyjdzie ci kamień z Rosetty.

Tak właśnie komunikuje się z bratnią inteligencją: zadajesz im ból i powtarzasz to, aż nauczysz się odróżniać mowę od krzyków.

Susan James - urodzona optymistka, najwyższa kapłanka Kościoła Uzdrawiającego Słowa, miała najlepsze kwalifikacje, by opracować i wdrożyć te protokoły. Teraz wężydła wiły się na jej rozkaz. Krążyły po klatkach eliptycznymi pętlami, rozpaczliwie szukając miejsca wolnego od bodźca. James puściła transmisję do ConSensusa, choć nie było żadnego krytycznego powodu, by cała załoga *Tezeusza* oglądała przesłuchanie na własne oczy.

- Niech sobie wyłączą po swojej stronie - powiedziała cicho. - Jak chcą.

Cunningham, przy całej swojej niechęci do przyznania im inteligencji, nadał więźniom imiona. Stroszek przeważnie unosił się z rozpostartymi ramionami; Kłębek zwijał się i wciskał w kąt. Susan, odgrywając własną, przewrotnie odwróconą rolę, po prostu je ponumerowała: Jedyńska i Dwójka.

Nie chodziło o to, że nie trawiła tandetnych przezwisk Cunninghama ani że dla zasady sprzeciwiała się nadawaniu swym podopiecznym imion. Po prostu odwołała się do najstarszej sztuczki w Elementarzu Oprawcy, pozwalającej po pracy iść do domu, bawić się z dziećmi i spać w nocy: nigdy nie ucłowieczaj swoich ofiar.

W przypadku meduz oddychających metanem nie powinno to nastęczać specjalnych problemów. Ale chyba każdy drobiazg odrobinę pomagał.

Nad nami, obok obrazów dwóch obcych tańczyła biotelemetria, w rzadkim powietrzu drżały świetliste napisy. Nie miałem pojęcia, jakie odczyty są dla nich normalne, lecz nie wyobrażałem sobie, by takie zębate przebiegi mogły oznaczać cokolwiek poza złymi wiadomościami. Skóra wężydeł falowała misternymi szaro-niebieskimi mozaikami. Może to odruchowa reakcja na mikrofałę; dla nas, przy naszej wiedzy, równie dobrze mogły to być godowe popisy.

Najpewniej jednak krzyczały.

James wyłączyła mikrofałę. W lewej klatce zgasł żółty kwadrat, w prawej identyczna ikona schowana między innymi nigdy się nie zapaliła.

Po torturze pigment zawrzał jeszcze bardziej; ramiona zwolniły, ale się nie zatrzymały. Kołysały się jak nerwowe, kościste węgorze.

- Ekspozycja wstępna. Pięć sekund, dwieście pięćdziesiąt watów.

Mówiła do logu. Kolejna poza; *Tezeusz* rejestrował każdy oddech na pokładzie, każdy znikomy przepływ prądu, z pięcioma miejscami po przecinku.

- Powtórz.

Ikona się zapaliła. Na skórze obcych zamigotały kolejne mozaikowe wzory. Ale tym razem żaden nie ruszył się z miejsca. Ramiona delikatnie się wiły, zwykłe spoczynkowe falowanie nabrało nieco naprężonego dygotu. Jednakże telemetria była równie ostra jak przedtem.

Bardzo szybko się nauczyły bezradności, stwierdziłem.

Zerknąłem na Susan.

- Będiesz to wszystko robić sama?

Kiedy wyłączała prąd, oczy miała błyszczące i wilgotne. Ikona Kłębka przygasła. U Stroszka pozostała uśpiona.

Odchrząknąłem.

- To znaczy...

- A kto inny to zrobi, Siri? Jukka? Ty?

- Reszta Bandy. Sascha mogłaby...

- Sascha? - Wpatrzyła się we mnie. - Siri, ja ich stworzyłam. Myślisz, że po to, żeby móc się za nimi skryć, kiedy... żeby móc ich zmuszać do takich rzeczy? - Pokręciła głową. - Nie mam zamiaru ich wypuszczać. Nie zrobiłabym tego nawet najgorszemu wrogowi.

Odwróciła się. Były leki, mogła je wziąć: neuroinhibitory umiejące rozpuścić poczucie winy, zewrzeć je na krótko na poziomie molekularnym. Sarasti zaproponował je, jakby wodził na pokuszenie jakiegoś samotnego mesjasza na pustyni. James odmówiła i nie chciała powiedzieć, dlaczego.

- Powtórz - rozkazała.

Prąd się włączył i wyłączył.

- Powtórz - rzuciła jeszcze raz.

Nic się nie stało.

Pokazałem palcem.

- Widzę - odrzekła.

Kłębek przyciskał czubkiem ramienia panel dotykowy. Ikona pod spodem żarzyła się jak płomień świecy.

* * *

Sześć i pół minuty później awansowały z żółtych kwadratów na animowane poklatkowo czterowymiarowe wielościany. Odróżnianie dwóch dwudziestosześciościennych ruchomych brył, różniących się jedną ścianką na jednej klatce zajmowało im tyle samo czasu, co odróżnianie żółtego kwadratu od czerwonego trójkąta. Na skórze przez cały czas igrały dynamiczne skomplikowane wzory, dynamiczne hafty migocące niemal zbyt szybko, by to dostrzec.

- Ja pierdolę - szepnęła James.

- Może to wybiórcze zdolności. - Cunningham dołączył do nas w ConSensusie, choć jego ciało na wpół pozostało w BioMedzie.

- Wybiórcze zdolności - powtórzyła tępo.

- Sawantyzm. Supertalent do jednego rodzaju obliczeń niekoniecznie dowodzi wyższej inteligencji.

- Wiem, Robercie, co to są „wybiórcze zdolności”. Tylko myślę, że nie masz racji.

- Udowodnij.

Zrezygnowała więc z geometrii i powiedziała wężydłom, że jeden i jeden równa się dwa. To ewidentnie już wiedziały: dziesięć minut później zgadywały na żądanie dziesięciocyfrowe liczby pierwsze.

Wyświetliła im ciąg dwuwymiarowych kształtów, one wybrały następny z kolei z menu subtelnie różniących się figur. Potem zabrała także możliwość wyboru z menu, pokazała początek następnego ciągu i nauczyła je, jak rysować czubkiem ramienia po dotykowym panelu. Precyzyjnymi szkicami dokończyły sekwencję, przedstawiając kolejne logiczne kroki, kończąc na figurze nieuchronnie prowadzącej do punktu wyjścia.

- To nie są roboty. - Głos uwiązał jej w gardle.

- To wszystko tylko liczenie - powiedział Cunningham. - Miliony programów komputerowych robią to z palcem w nosie.

- Robert, one są inteligentne. Inteligentniejsze od nas. Może nawet od Jukki. A my... czemu nie potrafisz się do tego przyznać?

Miała to wypisane na wszystkich płaszczyznach: „Isaac by to przyznał”.

- Bo nie mają odpowiednich obwodów - upierał się Cunningham. - Jak mogłyby...

- Nie wiem jak! - wykrzyknęła. - To należy do ciebie! Ja wiem tylko, że torturuję istoty, którym nie dorastamy mózgiem do pięt.

- Ale już chyba niedługo. Jak tylko rozgryziesz ich język...

Pokręciła głową.

- Robercie, nie mam zielonego pojęcia o ich języku. Spędzamy tu już... całe godziny, prawda? Siedzi tutaj cała Banda, pokłady językowych baz danych z czterech tysięcy lat, wszystkie najnowsze lingwistyczne algorytmy. Poza tym wiemy dokładnie, co mówią, i obserwujemy wszelkie możliwe sposoby przekazania tego. Co do angstrema.

- Dokładnie. Więc...

- I nic nie wychodzi. Wiem, że porozumiewają się mozaiką pigmentową. Możliwe, że też

poprzez poruszanie tych włosków. Ale nie widzę żadnej prawidłowości, nie potrafię nawet dojść, jak one liczą, a co dopiero powiedzieć im, że... przepraszam...

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Bates obserwowała nas z kuchni na suficie, ale nie starała się przyłączyć. W ConSensusie, ułaskawione na chwilę wężydła unosiły się w swoich klatkach jak wieloręcy męczennicy.

- No - powiedział wreszcie Cunningham - skoro to dzień złych wieści, to ja też coś mam. Zdychają.

James ukryła twarz w dłoniach.

- Nie od twojego przesłuchania, jeśli to w czymś pomoże - ciągnął biolog. - Na ile mogę ustalić, po prostu nie mają niektórych ścieżek metabolicznych.

- Po prostu jeszcze ich nie wykryłeś - odezwała się Bates z przeciwnej strony bębna.

- Nie - powiedział wolno i wyraźnie Cunningham. - Po prostu te organizmy nimi nie dysponują. Rozpadają się mniej więcej tak jak nasze ciała, gdyby... Gdyby nagle z cytoplazmy w komórkach zniknęły wszystkie wrzeciona podziałowe. O ile mi wiadomo, zaczęły się rozkładać z chwilą zabrania z *Rorschacha*.

Susan spojrzała w górę.

- Mówisz, że tam został fragment ich biochemii?

- Jakiś niezbędny składnik pokarmowy? - podsunęła Bates. - One nic nie jedzą...

- Tak, pani lingwistko. Nie, pani major. - Cunningham zamilkł. Spojrzałem w tył bębna: zapalał papierosa. - Wygląda na to, że u tych stworzeń dużo procesów komórkowych odbywa się zewnątrz. Pewnie dlatego nie mogę znaleźć w wynikach biopsji żadnych genów - bo ich tam nie ma.

- A co mają zamiast? - zapytała Bates.

- Morfogeny Turinga.

Puste spojrzenia, wszyscy sięgają po odpowiedzi. Lecz Cunningham i tak wyjaśnił:

- Sporo rzeczy w biologii dzieje się bez udziału genów. Słoneczniki wyglądają, jak wyglądają, na skutek fizycznych naprężeń. Wszędzie w naturze pojawiają się ciągi Fibonacciego i złote podziały, a nie koduje ich żaden gen - to po prostu mechaniczna interakcja. Albo, w przypadku rozwijającego się embriona, geny mówią „zacząć rosnąć” i „przestać rosnąć”, ale liczbę palców i kręgów dyktuje mechanika obijających się o siebie komórek. Wspomniałem o tych wrzecionach podziałowych... są niezbędne do replikacji wszystkim eukariotycznym komórkom, a wyrastają jak kryształy zupełnie bez udziału genów. Zdziwilibyście się, w jakim stopniu życie działa w ten sposób.

- Ale geny i tak są potrzebne - zaprotestowała Bates, podchodząc do nas.

- Geny ustalają tylko warunki początkowe, umożliwiające proces. Struktura, która rośnie potem, nie wymaga już dokładnych instrukcji. Klasyczna złożoność emergentna. Wiadomo o tym od ponad wieku. - Kolejne sztachnięcie. - Albo i dłużej. Darwin jeszcze w osiemnastym przytaczał przykład plastra miodu.

- Plastra miodu - powtórzyła Bates.

- Idealnie sześciokątne rurki w gęsto upakowanej macierzy. Pszczoły są zaprogramowane na ich budowanie, ale skąd taki owad może znać na tyle geometrię, żeby układać precyzyjne sześciokąty? Nie zna. Jest zaprogramowany na wygryzanie wosku i wypluwanie go, obracając się wokół własnej osi. To daje koło. A teraz sadzamy kupę pszczół obok siebie, jedna wygryza przy drugiej, tak że koła stykają się ze sobą, deformują w sześciokąty, a tak się miło składa, że one są lepsze do gęstego upakowania.

Bates nie ustępowała.

- Ale pszczoły są zaprogramowane. Genetycznie.
- Źle mnie zrozumiałaś. Węzydła są plastrem miodu.
- *Rorschach* jest pszczołami - wyszeptała James.

Cunningham kiwnął głową.

- *Rorschach* jest pszczołami. Te pola magnetyczne w ogóle nie wyglądają mi na środki przeciwinwazyjne. To część systemu podtrzymywania życia. Wydaje mi się, że regulują i pośredniczą w sporej części procesów metabolicznych węzydeł. W ładowni mamy parę stworzeń wyciągniętych ze swojego żywiołu, które wstrzymują oddech. Nie wytrzymają tak w nieskończoność.

- Ile czasu? - zapytała James.

- Skąd mam wiedzieć? Jeśli mam rację, nie mamy nawet do czynienia z kompletnymi organizmami.

- Jak oceniasz? - powiedziała Bates.

Wzruszył ramionami.

- Parę dni. Jak dobrze pójdzie.

- Tu nadal się nie głosuje - powiedział Sarasti.

Nie uwalniamy więźniów. To zbyt ryzykowne. Tu, na bezkresnych pustkowiach obłoku Oorta, nie ma miejsca na maksymę „żyj i daj żyć innym”. Nieważne, co zrobił Ten Drugi, albo czego nie zrobił - pomyśl, co mógłby zrobić, gdyby był tylko odrobinę silniejszy. Co zapewne by zrobił, gdybyśmy przybyli tak późno, jak mieliśmy. Patrzymy na *Rorschacha* i widzimy embrion albo rozwijające się młode, ewentualnie kompletnie niezrozumiałego obcego, ale nie kogoś winnego, nie od razu, zaocznie. Co jednak, jeśli źle patrzymy? Może powinniśmy widzieć wszechmocnego, krwiożerczego Boga, zabójcę planet, jeszcze w budowie? Podatnego na atak tylko teraz, i to przez krótką chwilę?

Ta logika nie była po wampirzemu niepojmowalna, nie przypominała wielowymiarowej czarnej skrzynki, na widok której ludzie wzruszają ramionami i rozkładają ręce. Nie mogliśmy się usprawiedliwić, że nie znaleźliśmy w rozumowaniu Sarastiego żadnej luki - musieliśmy przyznać, że jej nie ma. Tym gorzej. Wiedziałem, że reszta wolałaby przyjąć coś na wiarę.

Sarasti miał jednak dla opozycji „schwytać-uwolnić” trzecią drogę, która ewidentnie wydawała mu się o wiele bezpieczniejsza. To akurat rozumowanie wymagało przyjęcia na wiarę - według wszelkich rozsądnych kryteriów ocierało się o samobójstwo.

Tym razem *Tezeusz* rodził przez cesarskie cięcie - potomstwo było zbyt duże, by się precyzyjnie przesuwać przez kanał na końcu kręgosłupa. Statek srał nim, jakby miał zatwardzenie, prosto do ładowni: ogromne potwory, najeżone dyszami i czułkami. Każdy trzy lub cztery razy wyższy ode mnie, złożony z dwóch rdzawych sześcianów, wszystkie powierzchnie aż rojące się od topografii. Oczywiście przed wypuszczeniem wszystko to pokryją płyty pancerza. Wstęgi rur i przewodów, pojemniki z amunicją, blaszki radiatorów jak zęby rekina - znikną pod gładkim, lustrzanym ekranem. Nad powierzchnię będzie wystawać tylko parę wysepek: porty komunikacyjne, macierze celownicze, dysze silników. No i naturalnie lufy - te maszyny potrafiły ziać ogniem piekielnym z kilku dziur jednocześnie.

Na razie jednak były tylko gigantycznymi, mechanicznymi, na wpół urodzonymi płodami, ich płaszczyzny i krawędzie odbijały się kontrastową mozaiką światła i cienia pod brutalnie białym blaskiem reflektorów ładowni.

Odwrociłem się od rufy.

- Trochę nam zejdzie zapasów substratu.

- Ekranowanie całej skorupy było gorsze. - Bates monitorowała budowę przez dedykowany płaski ekran wbudowany bezpośrednio w ścianę fabrykatora. Zapewne ćwiczyła; zaraz po zmianie orbity stracimy nasze wszczepia. - Ale rzeczywiście, zużywa się. Może niebawem trzeba będzie zapolować na jakiś tutejszy kamień.

- Hm. - Spojrzałem z powrotem do ładowni. - Myślisz, że takie coś jest potrzebne?

- Nie ma znaczenia, co ja myślę. Siri, jesteś inteligentny. Dlaczego nie potrafisz tego rozgryźć?

- Dla mnie to ważne. Co oznacza, że to ważne dla Ziemi.

To mogłoby mieć ewentualnie znaczenie, gdyby Ziemia jeszcze nam rozkazywała. Pewne podteksty są czytelne, obojętne jak głęboko jesteś uwikłany w obserwowany układ.

Przehalsowałem ku rufie.

- No to Sarasti i Kapitan. Co myślisz?

- Przeważnie robisz to trochę subtelniej.

To akurat było prawdą.

- Po prostu, wiesz, że to Susan zauważyła, że Stroszek i Kłębek stukają do siebie, prawda?

Bates skrzywiła się na dźwięk tych imion.

- I co?

- Można by pomyśleć: to dziwne, że *Tezeusz* nie zauważył tego pierwszy. Skoro kwantowe komputery są takie świetne w rozpoznawaniu wzorców.

- Sarasti odłączył moduły kwantowe. Jeszcze przed wejściem na orbitę cały statek zaczął chodzić w trybie klasycznym.

- Czemu?

- Środowisko jest zaszumione. Zbyt duże ryzyko niespójności. Kwantowe komputery są delikatne.

- Przecież cały pokład jest ekranowany. *Tezeusz* jest ekranowany.

Bates kiwnęła głową.

- W stopniu, w jakim miało to sens. Ale stuprocentowe ekranowanie oznacza stuprocentową ślepotę, a to nie jest środowisko, w którym należałoby mieć zamknięte oczy.

Właściwie, to było takie środowisko. Ale rozumiałem, o co jej chodzi.

To, co nie zostało wypowiedziane na głos, także zrozumiałem: „A ty to przegapiłeś. Wszyscy mieliśmy to przed nosem w ConSensusie. Taki wybitny syntetyk, jak ty”.

- Zapewne Sarasti wie, co robi - przyznałem, nieustająco świadomy, że może słuchać. - Jak na razie się nie pomylił, o ile nam wiadomo.

- O ile może być nam wiadomo - uzupełniła Bates.

„Gdybyśmy umieli odgadywać motywy wampirów, nie byłyby nam potrzebne”, przypomniałem sobie.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Isaac był dobry. Ale nie zawsze trzeba wierzyć reklamie.

- Nie wierzysz w to? - zapytałem, ale ona już zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedziała za dużo. Rzuciłem haczyk z przynętą w postaci dokładnie odmierzonej mieszanki sceptycyzmu i szacunku. - Sarasti naprawdę wiedział, gdzie będą te węzydła. Trafił w nie prawie co do metra, w tym całym labiryncie.

- No tak, do tego rzeczywiście jest potrzebna nadludzka logika - przyznała, myśląc sobie, że jestem tak, kurwa, głupi, że aż trudno w to uwierzyć.

- Co?

Wzruszyła ramionami.

- A może po prostu uświadomił sobie, że skoro *Rorschach* hoduje własną załogę, natkniemy się na nią prawie w dowolnym miejscu. Obojętne, gdzie wylądujemy.

W mojej ciszy pisnął ConSensus.

- Manewry orbitalne za pięć minut - obwieścił Sarasti. - Wszczępki i bezprzewodowe protezy wyłączone za dziewięćdziesiąt. To wszystko.

Bates wyłączyła ekran.

- Przeczekał to na mostku. Złudzenie kontroli i tak dalej. A ty?

- Chyba w namiocie.

Kiwnęła głową, czając się do skoku, jednak się zawahała.

- Nawiasem mówiąc - powiedziała - tak.

- Słucham?

- Pytałeś, czy według mnie te posiłki są potrzebne. Teraz wydaje mi się, że potrzebna nam wszelka ochrona, jaką damy radę zorganizować.

- Myślisz, że *Rorschach* mógłby...

- Słuchaj, przecież już raz mnie zabił.

Nie miała na myśli promieniowania.

Ostrożnie skinąłem głową.

- To musiało być...

- Niepodobne do niczego. W życiu sobie nie wyobrazisz. - Bates nabrała powietrza i wypuściła je. - Może nie będziesz musiał - dodała i popłynęła wzdłuż kręgosłupa.

* * *

Cunningham i Banda siedzieli w BioMedzie, oddzieleni trzydziestoma stopniami łuku. Każde poszturchiwało jeńców na swój własny sposób. Susan James obojętnie dźgała palcem klawiaturę wyświetloną na blacie przed nią.

Stukała, a na blacie przesuwaly się kształty przypominające foremki do ciasteczek: kółka, triskeliony, kwartety równoległych linii. Niektóre pulsowały jak abstrakcyjne serduszka. Stroszek w swojej odległej klatce wyciągnął łuszczącą się mackę i klepnął któryś z nich w odpowiedzi.

- Jakież postępy?

Westchnęła i pokręciła głową.

- Zrezygnowałam ze zrozumienia ich języka. Zadowolę się pidginem. - Stuknęła w ikonkę. Kłębek zniknął ze swego okna, zastąpiony hieroglificznym diagramem. Połowa symboli falowała lub pulsowała, bez końca - cały rój tańczących bazgrołów. Reszta po prostu siedziała nieruchomo.

- Oparte na ikonach. - Machnęła delikatnie ku wyświetlaczowi. - Frazy podmiot-orzeczenie przedstawiam jako animowane wersje ikon rzeczowników. One są środkowosymetryczne, więc określniki układam promieniście wokół podmiotu. Może to będzie dla nich naturalne.

Pod hieroglifami James pojawił się nowy ich krąg - zapewne odpowiedź Stroszka. Lecz komuś w systemie się to nie spodobało. Ikony rozbłysły w oddzielnym oknie, jaskrawy wskaźnik rozbłysnął wskazaniem 500 W i tak został. Stroszek wił się na ekranie. Wyciągnął drżące, kręgosłupokształtne ramiona i uporczywie stukał w panel.

James odwróciła wzrok.

Pojawiły się nowe hieroglify. Pięćset watów spadło do zera. Stroszek wrócił do stanu spoczynkowego; szpile i zęby na telemetrii się wygładziły.

James wypuściła powietrze.

- Co się stało? - zapytałam.

- Zła odpowiedź. - Podpięła się do transmisji od Stroszka, pokazała mi układ piktogramów, na którym się wyłożył. Na ekranie zawirowała piramidka, gwiazda, uproszczony symbol wężydła oraz *Rorschacha*.

- Głupi błąd, bo to była dopiero taka rozgrzewka. Poprosiłam go o nazwanie obiektów na ekranie. - Zaśmiała się cicho, bez wesołości. - Tak to jest z językami funkcyjnymi. Jeśli nie możesz czegoś pokazać, nie możesz o tym mówić.

- A co on powiedział?

Wskazała na pierwszą spiralę Stroszka.

- Jest wielościan, gwiazda i *Rorschach*.

- Pomiął wężydło.

- Za drugim razem się poprawił. Ale to i tak głupi błąd, jak na kogoś, kto w myśleniu rozkłada na łopatki wampira, nie? - Susan przełknęła ślinę. - Może nawet wężydła się mylą, kiedy umierają.

Nie wiedziałem co powiedzieć. Za mną, Cunningham mruczał jakąś ledwie słyszalną, dwusuwową mantrę w nieskończonej pętli.

- Jukka mówi... - Susan urwała i zaczęła jeszcze raz: - To ślepowidzenie, którego czasem dostajemy w *Rorschachu*, kojarzysz?

Potaknąłem. Ciekawe, co powiedział Jukka.

- Najwyraźniej to samo może się dzieć z innymi zmysłami - powiedziała. - Możesz mieć ślepodotyki, ślepowęch i ślepostyszenie.

- To byłaby głuchota.

Pokręciła głową.

- No przecież nie, prawda? Nie bardziej niż ślepowidzenie to ślepotą. Coś w twojej głowie nadal to wszystko odbiera. Jakaś część mózgu wciąż słyszy i widzi, mimo że ty nie jesteś tego świadom. Chyba że coś zmusi cię do zgadywania albo pojawi się jakieś zagrożenie. Nagle znikąd przychodzi bardzo silne przeczucie, że powinieneś zejść z drogi, a pięć sekund później przez miejsce, gdzie stałeś, przejeżdża autobus. Jakimś sposobem wiesz o tym. Nie wiesz tylko skąd.

- Niesamowite - przyznałem.

- Te wężydła, Siri... one znają odpowiedzi. Są inteligentne i my o tym wiemy. Wygląda natomiast na to, że one nie wiedzą, że je znają, jeśli nie zadasz im bólu. Jakby miały ślepowidzenie obejmujące wszystkie zmysły.

Spróbowałem sobie to wyobrazić: życie bez uczucia, bez żadnej aktywnej świadomości otoczenia. Egzystować w taki sposób i nie zwariować.

- Myślisz, że to możliwe?

- Nie wiem. To chyba tylko... metafora. - Nie wierzyła we własne słowa. Albo nie wiedziała. Albo nie chciała, żebym ja wiedział.

Powinienem umieć to odróżnić. Powinna być czytelna.

- Z początku myślałam, że stawiają mi opór - powiedziała. - Ale dlaczego miałyby? - Spojrzała na mnie błagalnie błyszczącymi oczyma, prosząc o odpowiedź.

Nie znałem jej. Nie miałem pojęcia. Odwróciłem się od Susan James, tylko po to, by znaleźć się twarzą w twarz z Robertem Cunninghamem: Cunninghamem-szeptaczem, stukającym palcami w interfejsy na blacie stołu; oślepienie wewnętrzne oczy, wzrok ograniczony do obrazów rysowanych przez ConSensus w powietrzu albo rzucanych na płaskie powierzchnie. Twarz miał tak wyzbytą uczuć jak zawsze; reszta ciała drgała jak owad w pajęczynie.

Może i był nim. Może wszyscy byliśmy schwytani w pajęczynę. *Rorschach* czaił się zaledwie dziewięć kilometrów od nas, tak blisko, że mógł zaćmić mi Bena, gdybym tylko znalazł odwagę, by wyrzec na zewnątrz. Zbliżyliśmy się na tę szaleńczo małą odległość i zaparkowaliśmy. A tam *Rorschach* rósł jak żywa istota. A w nim rosły żywe istoty, powstawały jak meduzy z jakiegoś demonicznego, mechanicznego substratu. Te śmiercionośne puste korytarze, po których się skradaliśmy, przerażeni podrzucanymi do głów cieniami, pewnie roily się teraz od wężydeł. Setki kilometrów powyginanych tuneli, korytarzy i komór. Wypełniających się armią.

Taka była bezpieczniejsza alternatywa Sarastiego. I poszliśmy tą drogą, bo wypuszczenie jeńców było zbyt niebezpieczne. Siedzieliśmy tak głęboko w fali dziobowej, że musieliśmy powyłączać nasze wewnętrzne dodatki; choć magnetosfera *Rorschacha* była tu o rzędy wielkości

słabsza niż w jego wnętrzu, nie wiadomo, czy przy takiej bliskości obcy nie uznają nas za zbyt kuszący cel - albo zbyt wielkie zagrożenie. Nie wiadomo: może postanowią przeszyć serce *Tezeusza* jakimś niewidzialnym kołkiem?

Każdy impuls, który byłby w stanie przeniknąć przez ekranowanie statku, na pewno puściłby z dymem cały system nerwowy *Tezeusza* i wszystkie instalacje w naszych głowach. Podejrzywałem, że pięć osób w martwym statku ma nieznacznie większe szanse przetrwania, jeśli na dodatek nie iskrzy im w mózgach, ale nie wydawało mi się to jakąś znaczącą różnicą. Sarasti ewidentnie inaczej szacował te szanse. Wyłączył nawet antyeuklidesowy dozownik we własnej głowie - żeby samemu nie dostać zwarcia, musiał się teraz uciekać do wykonywanych ręcznie zastrzyków.

Stroszek i Kłębek były jeszcze bliżej *Rorschacha*, niż my. Laboratorium Cunninghama zostało oddzielone od statku; unosiło się zaledwie parę kilometrów od najdłuższych iglic artefaktu, głęboko wśród linii jego pola magnetycznego. Jeśli ich metabolizm wymagał radioaktywnego magnetytu, tyle jeszcze mogły dostać: przedsmak pól, ale nie swoboda. Ekranowanie laboratorium, było dynamicznie regulowane, by równoważyć taktyczne ryzyko i medyczną konieczność, najdokładniej, jak pozwalały dane. Nasze nowe baterie dział, strategicznie umieszczone po obu stronach, trzymały całą konstrukcję na celowniku. Mogły zniszczyć habitat w jednej chwili. A także cokolwiek podchodzącego do nas.

Rorschacha oczywiście nie dałyby rady zniszczyć. Pewnie nic nie było w stanie.

Z niewidocznych na niezwykłych. O ile wiedzieliśmy, to się jeszcze nie stało. Może *Tezeusz* wciąż jeszcze mógł coś zrobić z rosnącym nam za rufą artefaktem, zakładając, że będziemy w stanie zdecydować i coś mu rozkazać. Sarasti nic nie mówił. Właściwie nie pamiętałem, kiedy ktokolwiek z nas ostatni raz fizycznie go widział. Od kilku wacht siedział zamknięty w namiocie i odzywał się tylko przez ConSensus.

Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, a wędrowny zabójca zamilkł.

Cunningham mrucał coś, stukał niewprawnymi palcami w nieznanym przyciski, przeklinał własną niezdarność. Bódźce i reakcje spływały laserem przez sześć kilometrów zjonizowanej próżni. Nieodłączna nikotynowa rurka zwisała z kącika ust. Od czasu do czasu odłupywała się od niej drobinka popiołu i ukośnie dryfowała ku wentylatorom.

Odezwał się, zanim ja zdążyłem.

- Wszystko jest w ConSensusie. - Kiedy nie odszedłem, ustąpił, ale nie chciał na mnie spojrzeć.

- Cząstki magnetytu uszeregowywały się, gdy tylko przeszły poza czoło fali, mniej lub bardziej. Błony zaczęły się goić. Nie degradują się już tak szybko. Ale to wewnętrzne środowisko *Rorschacha* jest zoptymalizowane pod ich metabolizm. Tutaj chyba w najlepszym razie da się spowolnić umieranie.

- To już przynajmniej coś.

- Trochę się to składa do kupy - mruknął Cunningham. - Poza tym... okazało się, że ich nerwy są w strzępach, z niewiadomego powodu. Dosłownie. Upływ prądu na kablach.

- Wskutek rozkładu? - zgadywałem.

- Przez całą tę nieliniowość w niskich temperaturach nie potrafię zbilansować równania Arrheniusa. Czynniki przedwykładnicze wychodzi kompletnie posrane. Całkiem jakby temperatura była nieważna i... cholera...

Jakiś krytyczny parametr na którymś z ekranów wyszedł poza dozwolony zakres. Cunningham uniósł wzrok i podniósł głos:

- Susan, potrzebna mi kolejna biopsja. Gdzieś pośrodku.

- Co... aha. Chwila. - Pokręciła głową i wystukała krótką spiralę ikon, nieruchomych jak więźniowie, którym je dyktowała.

W jednym z okienek Cunninghama Stroszek przyglądał się tym symbolom swoją wspianą

widzącą skórą. Przez chwilę falował, nie reagując. Potem złożył ramiona w tył ku jednej ścianie, odsłaniając drogę dla manipulatorów Cunninghama.

Ten wywołał z nor dwa chwytne węże. Pierwszy trzymał kliniczną igłę do biopsji; drugi dzierżył narzędzie przemocy, na wypadek bezcelowego oporu. Nie było potrzebne. Wężydła, ślepowidzące czy nie, uczyły się szybko. Stroszek wystawił brzuch jak zrezygnowana ofiara mającego nastąpić gwałtu. Cunningham coś zepsuł - manipulatory zderzyły się ze sobą i na chwilę splątały. Zaklął i spróbował jeszcze raz, wszystkie ruchy zionęły frustracją. Wycięto mu cały rozszerzony fenotyp - niegdyś był duszą maszyny, teraz stał się po prostu kołesiem naciskającym guziki i...

...i nagle coś przeskoczyło. Aspekty Cunninghama stały się na moich oczach przezroczyste. Nagle niemal mogłem go sobie wyobrazić.

Za drugim razem trafił. Końcówka ramienia wystrzeliła jak uderzający wąż i wróciła z powrotem, niemal za szybko, by to zauważyć. Po ciele Stroszka rozeszły się barwne fale, jak kręgi po wrzuceniu kamienia do nieruchomej wody.

Cunningham chyba pomyślał, że coś dostrzegł w mojej twarzy.

- Nie myśl, że to ludzie. To pomaga - powiedział.

Pierwszy raz mogłem odczytać także podtekst, przejrzysty i ostry jak tłuczone szkło: Oczywiście, ty o nikim tak nie myślisz...

* * *

Cunningham nie lubił, jak się z nim pogrywa.

Nikt nie lubi. Jednak większość ludzi nie uważa, że ja tak robię. Nie mają pojęcia, ile informacji zdradzają ich ciała przy zamkniętych ustach. Mówią na głos, jeśli chcą coś wyjawić; jeśli nie mówią, sądzą, że zachowują swoje zdanie dla siebie. A ja obserwuję ich uważnie, indywidualnie dobieram każde słowo, tak że żaden obiekt nie czuje się wykorzystywany - tylko z jakiegoś powodu w przypadku Roberta Cunninghama to nie zadziało.

Chyba modelowałem nie taki system.

Wyobraź sobie, że jesteś syntetykiem. Zajmujesz się zachowaniem systemów na ich powierzchni, odgadujesz konfigurację maszynierii pod spodem z jej odbić na wierzchu. To tajemnica sukcesu: rozumiesz system, jeśli zrozumiesz granice, w jakich się zawiera.

Teraz wyobraź sobie, że spotykasz kogoś, kto wydarł w tych granicach dziurę i przeciekł przez nią na zewnątrz.

Robert Cunningham nie zamykał się w granicach swego ciała; praca wyciągała go poza ten worek mięcha; tu, w obłoku Oorta, jego topologia wędrowała po całym statku. W pewnym sensie dotyczyło to nas wszystkich - Bates i jej robotów, Sarastiego i jego limbicznego łącza - nawet wszczepki ConSensusa w naszych głowach trochę nas rozpraszały, zamazywały granice ciał. Lecz Bates tylko sterowała robotami, nigdy w nich nie mieszkała. U Bandy Czworoga może i chodziło kilka systemów naraz na jednej płycie głównej, ale każdy miał swą własną topologię, a na powierzchni zawsze był tylko jeden. Natomiast Sarasti...

No cóż, Sarasti, jak się okazało, to całkiem inna historia.

Cunningham nie tylko sterował swymi zdalnymi narządami; uciekał w nie, nosił je jak tajemną tożsamość, skrywającą w środku pospolitego ludzkiego zwyklaka. Poświęcił pół kory nowej, żeby

widzieć w rentgenie, smakować kształty skryte w komórkowych błonach, zrobił rzeźnię z jednego ciała, by się stać przelotnym lokatorem wielu. Fragmenty jego jaźni skrywały się w czujnikach i manipulatorach wyścielających ściany klatek wężydeł; mogłem wyciągnąć ważne sugestie ze wszystkich urządzeń w subbębnie, gdyby tylko przyszło mi do głowy tam spojrzeć. Był topologiczną składanką, jak wszyscy tutaj, ale połowa jej elementów kryła się w maszynach. Mój model był niekompletny.

Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek dążył do osiągnięcia takiego stanu. Z perspektywy czasu widzę, że jego płaszczyzny emanowały wtedy wstrętem do samego siebie. Lecz u schyłku XXI wieku widział tylko jedno inne wyjście - życie pasożyta. Cunningham po prostu wybrał mniejsze zło.

A teraz nawet to mu zabrano. Rozkazy Sarastiego odcięły go od własnego sensorium. Już nie czuł danych instynktownie; musiał je interpretować, mrówczo, krok za krokiem przez ekrany i wykresy redukujące percepcję do płaskiego, pustego stenogramu. Miałem przed sobą system uszkodzony przez mnogie amputacje. System z wyciętymi oczyma, uszami i językiem, zmuszony do poruszania się po omacku wśród rzeczy, w których wnętrzu i duszy niegdyś mieszkał. Nagle nie ma się gdzie skryć - wszystkie oddalone składniki Roberta Cunninghama wpadają z powrotem do ciała, gdzie wreszcie mogę je zobaczyć.

To naturalnie był mój błąd. Tak skupiłem się na modelowaniu innych systemów, że zapomniałem o tym, który owe modele buduje. Kiepski wzrok to tylko jeden wróg dobrego widzenia - równie łatwo oślepią kiepskie założenia - a wyobrażać sobie, że jestem Robertem Cunninghamem, to było za mało.

Musiałem sobie jeszcze wyobrazić, że jestem Sirim Keetonem.

* * *

Naturalnie, rodzi to kolejne pytanie. Jeśli mój domysł dotyczący Cunninghama jest prawdziwy, dlaczego moje sztuczki sprawdzały się w przypadku Szpindla? Przecież on był tak samo poszatutowany jak jego zastępca.

Wtedy zbyt mocno się nad tym nie zastanawiałem. Szpindla już nie było, ale jego zabójca wisiał nam tuż przed dziobem - potężna, rozrastająca się zagadka, która w każdej chwili mogła postanowić nas zmiażdżyć. Zdecydowanie miałem o czym myśleć.

Teraz jednak - o wiele za późno, by cokolwiek z tym zrobić - wydaje mi się, że znam odpowiedź.

Może moje sztuczki naprawdę nie działały na Isaaca. Może przejrzał moje manipulacje równie łatwo jak Cunningham. Ale po prostu nie przejmował się tym. Może czytałem go tak łatwo, bo mi pozwalał. Co oznaczało - i tu nie mogę znaleźć innego pasującego wytłumaczenia - że mimo to po prostu mnie lubił.

To chyba znaczy, że był moim przyjacielem.

Nocna wachta. Nikt nawet nie drgnie.

Przynajmniej na *Tezeuszu*. Banda schowała się w namiocie. Wędrowny zabójca czaił się gdzieś pod powierzchnią, nieważki i milczący. Bates siedziała na mostku - w zasadzie prawie tam mieszkała, czujna i sumienna, pomiędzy polami widzenia kamer i taktycznymi nakładkami. Gdziekolwiek spojrziała, widziała jakiś aspekt enigmy przed dziobem po prawej. Robiła, co mogła, co mogło się przydać.

Bęben obracał się cicho, światła przyćmione przez wzgląd na cykl dobowy, którego nie było w stanie wypłenić z genów sto lat poprawek i modernizacji. Siedziałem sam w kambuzie, obserwując system, którego granice coraz bardziej się zamazywały, próbując złożyć najnowszą - jak to nazywał Szpindel? - pocztówkę do potomności. Cunningham pracował do góry nogami po drugiej stronie świata.

Tylko że wcale nie pracował. Przez co najmniej cztery minuty nawet się nie poruszył. Pomyślałem, że odmawia kadysz za Szpindla - ConSensus powiedział, że będzie to robić dwa razy dziennie przez cały rok, jeśli dożyjemy - ale teraz, pochylając się, żeby dojrzeć spiralne zwoje rdzenia statku, czytałem jego płaszczyzny tak łatwo, jakbym siedział obok. Nie był znudzony, rozkojarzony ani choćby zamyślony.

Był skamieniały.

Wstałem i przeszedłem przez bęben. Sufit zmienił się w ścianę, ściana w podłogę. Znalazłem się dość blisko, żeby usłyszeć nieustający szept, powtarzane w kółko dwie niewyraźne sylaby; potem, jeszcze bliżej, usłyszałem, co mówi:

- ...kurwa kurwa kurwa kurwa...

...i nadal się nie poruszał, choć nie kryłem się w żaden sposób.

Wreszcie, gdy stanąłem mu prawie nad ramieniem, zamilkł.

- Jesteś ślepy - powiedział, nie odwracając się. - Wiesz o tym?

- Nie.

- Ty. Ja. Wszyscy. - Splótł palce i zacisnął je jak do modlitwy, tak mocno, że pobieleły kostki.

Dopiero wtedy zauważyłem - nie miał papierosa.

- Widzenie i tak jest w większości oszustwem - ciągnął. - Tak naprawdę nie widzimy nic, w wysokiej rozdzielczości jest tylko parę stopni tam, gdzie się skupia oko. Reszta pola to mgła - tylko światło i ruch. Ruch powoduje zogniskowanie. A nasze oczy cały czas latają, wiesz, Keeton? To się nazywa „ruchy sakadyczne”. Obraz się rozmazuje, bo ruch jest za szybki, żeby mózg nadażył z integrowaniem klatek, więc między przystankami oko po prostu się wyłącza. Rejestruje tylko te izolowane stop-klatki, ale mózg wycina puste kadry i montuje materiał, dając mózgowi... złudzenie ciągłości.

Odwrócił się twarzą do mnie.

- I wiesz, co jest naprawdę niesamowite? Jeśli coś porusza się tylko podczas tych przerw, mózg po prostu to ignoruje. To coś jest niewidzialne.

Zerknąłem na jego pulpity. Po jednej stronie świecił się standardowy podzielony na pół ekran - podgląd w czasie rzeczywistym na obie klatki z wężydłami - poczesne miejsce zajmowała jednak Histologia, w dziesięciotysięcznym powiększeniu. W głównym oknie połyskiwała paradoksalna architektura nerwowa Stroszka i Kłębka, wypatroszona, popodpisywana i przesłonięta tuzinem

przezroczystych schematów ideowych. Pełna napisów gęstwa obcych pni i gałęzi przypominała nieco samego *Rorschacha*.

Nic z niej nie rozumiałem.

- Słuchasz mnie, Keeton? Wiesz, o czym mówię?

- Rozgryzłeś, dlaczego nie mogłem... mówisz, że te stwory jakoś poznają, kiedy nasze oczy są wyłączone i...

Nie dokończyłem. Po prostu wydało mi się niemożliwe.

Cunningham pokręcił głową. Z jego ust dobył się dźwięk niepokojąco przypominający chichot.

- Mówię, że te stwory z drugiego końca pokoju widzą, jak odpalają ci nerwy, potrafią wypracować z tego strategię kamuflażową, rozsyłać zgodne z tą strategią motoryczne rozkazy, a potem inne, zatrzymujące ruch, zanim twoje oczy ponownie się włączą. I to wszystko w czasie, w którym impuls nerwowy u ssaka ledwo przelazłby połowę drogi z barku do łokcia. Szybkie są, Keeton. O wiele szybsze, niż domyślaliśmy się po tej przyspieszonej, potajemnej komunikacji. To są, kurna, nadprzewodniki.

Musiałem świadomie powstrzymać się od zmarszczenia brwi.

- To w ogóle możliwe?

- Każdy impuls nerwowy generuje pole magnetyczne. A ono jest wykrywalne.

- Ale pola EM *Rorschacha* są... no wiesz, odczytanie odpalenia jednego nerwu optycznego wśród tylu zakłóceń?

- To nie są „zakłócenia”. Te pola to część tych istot, rozumiesz? Pewnie na tym to właśnie polega.

- Czyli tutaj tego nie umiały.

- Nie uważasz. Żaden by się ot tak nie złapał w waszą pułapkę, gdyby nie chciał dać się złapać.

To nie okazy, to szpiedzy.

Stroszek i Kłębek unosiły się na przepołowionym ekranie, kołysząc ramionami jak falujące kręgosłupy. Po skórze powoli wędrowały zagadkowe wzory.

- Może to po prostu... instykt - podsunąłem. - Flądry świetnie wtapiają się w tło, ale o tym nie myślą.

- A skąd by się wziął taki instykt, co, Keeton? Z czego wyewoluował? Ruchy sakadyczne to przypadkowa niedoróbka w sposobie widzenia ssaków. Gdzie węzydła miały z tym kontakt? - Cunningham pokręcił głową. - Ten stwór, którego usmażył robot Amandy, wymyślił taką strategię w locie. On improwizował.

Taka improwizacja ledwo mieściła się w pojęciu „inteligencja”. Jednak twarz Cunninghama mówiła o czymś jeszcze, w tym, co już mi powiedział, kryła się jakaś jeszcze większa zgrzyzota.

- Co tam? - zapytałem.

- Głupio zrobił - powiedział. - Jak na ich umiejętności, to po prostu głupio zagrał.

- To znaczy?

- Przecież to się nie sprawdziło, nie? Nie był w stanie utrzymać złudzenia wobec większej liczby obserwatorów.

Bo ludzkie oczy nie poruszają się synchronicznie, uświadomiłem sobie. Zbyt wielu obserwatorów odarło go z kamuflażu.

- ...mógł zrobić tyle innych rzeczy - mówił Cunningham. - Wywołać zespół Antona, albo... albo agnozję: wtedy moglibyśmy się potknąć o całe stado węzydeł, a nasza świadomość nic by nie zauważyła. Rany, agnozje przytrafiają się przypadkiem. Skoro zmysły i refleks pozwalają chować się pomiędzy sakadami, czemu poprzestać na tym? Czemu nie zrobić czegoś, co naprawdę zadziała?

- A jak myślisz? - zapytałem, starając się nie sugerować odpowiedzi.

- Myślę, że ten pierwszy... wiesz, że był młodociany, prawda? Może po prostu niedoświadczony. A może głupi i podjął złą decyzję. Według mnie mamy do czynienia z gatunkiem, który tak nas przerasta, że nawet ich niedorozwinięte dzieci potrafią nam w locie grzebać w mózgu, po prostu brak mi słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo się, kurwa, powinieneś bać.

Widziałem to w jego topologii. Słyszałem w głosie. Pozbawiona czucia twarz była spokojna jak u trupa.

- Powinniśmy je teraz zabić - powiedział.

- Ale jeśli są szpiegami, to za wiele się nie dowiedziały. Cały czas siedziały w klatkach, oprócz... - Lotu na górę. Przez cały lot znajdowały się tuż obok nas...

- One żyją i oddychają elektromagnetyką. Nawet upośledzone, odizolowane... kto wie, ile mogły się dowiedzieć o naszej technologii, choćby przez ścianę?

- Musisz powiedzieć Sarastiemu - stwierdziłem.

- Ech, Sarasti wie. Myślisz, że dlaczego nie chce ich wypuścić?

- Nigdy nic nie mówił o...

- Byłby kretynem, gdyby nas w to wtajemniczył. Przecież cały czas was tam wysyłał, nie? Co, przyszło ci do głowy, że powiedziałby wam, co wie, a potem wpuścił do labiryntu pełnego czytających w myślach minotaurów? Wie i przemyślał to sobie tysiąc razy tam i z powrotem. - Oczy Cunninghama płonęły, osadzone w twarzy bez wyrazu. Uniósł wzrok i nie podniósł głosu choćby o decybel. - Nieprawdaż, Jukka?

Sprawdziłem w ConSensusie aktywne kanały.

- On pewnie nie słucha.

Usta Cunninghama ułożyły się w coś, co byłoby pełnym politowania uśmiechem, gdyby reszta twarzy była w stanie się przyłączyć.

- On nie musi słuchać, Keeton. Nie musi nas szpiegować. On po prostu wie.

Wentylatory, oddech. Niemal podprogowy szmer poruszających się łożysk. Potem w bębnie rozbrzmiewa odcieleśniony głos Sarastiego:

- Wszyscy do mesy. Robert ma wam coś do powiedzenia.

* * *

Cunningham siedział po mojej prawej, stół konferencyjny podświetlał od dołu plastikową twarz. Wpatrywał się w ten blask, delikatnie się kołysząc. Usta powtarzały zapętlone sylaby jakiegoś niesłyszalnego zaklęcia. Banda siedziała naprzeciwko. Bates, po lewej stronie, jednocześnie śledziła spotkanie i najnowsze materiały wywiadowcze z linii frontu.

Sarasti był z nami tylko duchem. Miejsce u szczytu stołu pozostało puste.

- Powiedz im - polecił.

- Musimy stąd wyp...

- Od początku.

Cunningham przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz.

- Te postrzępione nerwy motoryczne, których nie mogłem rozgryźć, te bezsensowne skróśne połączenia to bramki logiczne. Węzydła współdzielą czas przetwarzania. Sploty sensoryczne i motoryczne podczas przestojów pracują jako neurony kojarzeniowe, tak że każda część systemu,

kiedy nie jest zajęta, może być wykorzystywana kognicyjnie. Na Ziemi nigdy nie wyewoluowało nic podobnego. Oznacza to, że potrafią bardzo sprawnie przetwarzać informacje, nie dysponując wielką ilością wyspecjalizowanej masy asocjacyjnej, nawet jak na jednego osobnika.

- Czyli ich nerwy obwodowe potrafią myśleć? - Bates zmarszczyła brwi. - A umieją pamiętać?

- Na pewno. A przynajmniej nie widzę powodu, żeby nie. - Cunningham wyciągnął z kieszeni papierosa.

- Więc kiedy rozszarpały tamto węzydło...

- To nie była wojna domowa, ale zrzut danych. Zapewne przekazywanie informacji o nas.

- Dość radykalny sposób prowadzenia konwersacji - zauważyła Bates.

- To nie jest standardowa metoda. Myślę, że każde węzydło działa jak węzeł w rozproszonej sieci, przynajmniej kiedy znajdują się w *Rorschachu*. Ale te pola muszą być skonfigurowane co do angstroma, więc my, wchodząc tam z naszą techniką, ekranowaniem, wypalając im dziury w przewodach - rozpieprzyliśmy całą sieć. Została wymiana danych na fizycznych nośnikach.

Nie zapalił papierosa. Obracał filtr między kciukiem i palcem wskazującym. Między wargami błyskał język, jak robak za maską.

Sarasti, ukryty w namiocie, przerwał milczenie.

- Węzydła wykorzystują pole EM *Rorschacha* także do procesów metabolicznych. W niektórych cyklach do transferu protonów jest wykorzystywany efekt tunelowy na ciężkich jądrach. Silne tło radiacyjne być może działa jako katalizator.

- Tunelowy? - zapytała Susan. - Czyli kwantowy?

Cunningham skinął głową.

- Co też tłumaczy wasze problemy z ekranowaniem. Przynajmniej częściowo.

- Ale czy to w ogóle możliwe? No wiecie, myślałam, że takie zjawiska występują dopiero w kriogenicznych...

- Odpuść sobie - wypalił Cunningham. - Później, jeśli przeżyjemy, będziemy deliberować nad biochemią.

- A teraz nad czym, Robercie? - Sarasti gładko wszedł mu w słowo.

- Na dobry początek: najgłupsza z tych istot potrafi zajrzeć nam do głowy i zobaczyć, jakie fragmenty kory wzrokowej się zapalają. To niewiele się różni od czytania w myślach.

- Jeśli tylko nie będziemy się pakować do *Rorschacha*...

- Już przypadło. Byliście tam na dole. Kilka razy. Kto wie, co tam robiliście, bez powodu, tylko dlatego że *Rorschach* wam kazał?

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała Bates. - Nie byliśmy żadnymi marionetkami. Mieliśmy halucynacje, ślepliśmy... nawet świrowaliśmy, ale nic nas nie opętało.

Cunningham spojrzał na nią i parsknął.

- Myślisz, że dałabyś radę walczyć z tymi sznurkami? Myślisz, że w ogóle byś je poczuła? Teraz przyłożyłbym ci do głowy magnes, przezczaszkowo, a ty byś wyprostowała środkowy palec, poruszyła palcami stóp, albo kopnęła Siriego w jaja, a potem przysięgała na rodzoną matkę, że zrobiłaś to, ponieważ sama chciałaś. Tańczyłabyś jak kukielka i przez cały czas zaklinała się, że robisz to z własnej woli, a to tylko ja, tylko parę magnesów, hełm do rezonansu i drobny zespół obsesyjno-kompulsywny. - Machnął dłonią ku nieskończonej, nieznannej pustce za grodzią. Przed nim polatywały strzępki zmaltretowanego papierosa. - Chcecie zgadywać, co jeszcze umieją? Z tego, co ja wiem, może już daliśmy im dane techniczne *Tezeusza*, ostrzeżliśmy przed macierzą Ikara, a potem z własnej, nieprzymuszonej woli postanowiliśmy o wszystkim zapomnieć.

- Potrafimy sami wywoływać takie zjawiska - stwierdził chłodno Sarasti. - Sam mówiłeś.

Wylewy. Nowotwory. Wypadki losowe.

- Losowe? Ludzie, to były eksperymenty! Wiwisekcja! Wpuścili was do środka, żeby rozebrać na części i zobaczyć, jak działacie, a wy nawet się nie domyślaliście.

- No i co z tego? - warknął niewidzialny wampir. Do jego głosu zakradły się zimne, głodne tony. Ludzkie topologie wokół stołu skurczyły się spłoszone. - Pośrodku pola widzenia macie ślepy punkt - stwierdził Sarasti. - Nie widzicie go. Nie dostrzegacie ruchów sakadycznych w charakterystyce czasowej wzroku. To tylko dwie sztuczki, o których wiecie. A jest wiele innych.

Cunningham kiwał głową.

- Właśnie o to mi chodzi. *Rorschach* mógłby...

- Nie mówię o przypadkach klinicznych. Mózg to maszyna do przetrwania, nie wykrywacz prawdy. Jeśli do przetrwania trzeba się samooszukiwać, mózg kłamie. Przestaje zauważać... nieistotne rzeczy. Prawda się nie liczy. Tylko przeżycie. I teraz już w ogóle nie doświadczacie świata takim, jaki jest. Życie w symulacji zbudowanej z założeń. Uproszczeń. Kłamstw. Cały gatunek standardowo cierpi na agnozę. *Rorschach* nie robi wam nic, czego byście sobie sami nie robili.

Nikt się nie odezwał. Dopiero po paru sekundach milczenia zrozumiałem, co się stało.

Jukka Sarasti właśnie sprzedał nam motywującą gadkę.

Mógł przerwać tyradę Cunninghama - pewnie dałby sobie radę nawet z otwartym buntem - po prostu wpływając między nas i odsłaniając zęby. Albo i samym spojrzeniem. Ale nie starał się zmusić nas do posłuszeństwa strachem - byliśmy już wystarczająco nerwowi. Nie próbował nas też uświadamiać - walczyć ze strachem faktami: rozsądny człowiek, poznawszy nowe fakty dotyczące *Rorschacha*, przeraziłby się jeszcze bardziej. Sarasti chciał tylko, żebyśmy nadal funkcjonowali, zagubieni w kosmosie na skraju zasięgu naszego życia, w obliczu monsturalnej zagadki, która w każdej chwili i z dowolnego powodu może nas zniszczyć. Starał się nas uspokoić: dobre mięsko, grzeczne mięsko. Chciał, żebyśmy się nie posypali. Już, już dobrze.

Sarasti stosował psychologię.

Rozejrzałem się wokół stołu. Bates, Cunningham i Banda siedzieli nieruchomi i bladzi.

Sarasti syknął.

- Musimy stąd spierdzielać - powiedział Cunningham. - Te rzeczy przerastają nas dziesięć razy.

- Ale agresji wykazaliśmy więcej niż one - powiedziała James, choć bez przekonania.

- *Rorschach* bawi się tymi skałami jak szklanymi kulkami. A my siedzimy pośrodku tarczy strzelniczej. Gdy tylko przyjdzie mu ochota...

- On ciągle rośnie. Nie jest ukończony.

- I to ma mnie uspokoić?

- Ja tylko mówię, że nie wiadomo - wyjaśniła James. - Może mamy jeszcze całe lata. Albo stulecia.

- Mamy piętnaście dni - obwieścił Sarasti.

- Cholera - rzucił ktoś. Pewnie Cunningham. Może Sascha.

Z jakiegoś powodu wszyscy spojrzeli na mnie.

Piętnaście dni. Kto wie, z czego wyszła mu taka liczba. Nikt nie zapytał na głos. Może Sarasti, w kolejnym przyptywie miernego talentu psychologicznego, wyssał ją z palca. A może oszacował ją, zanim jeszcze weszliśmy na orbitę, i weryfikował nią możliwość - dopiero teraz zdezaktualizowaną - ewentualnego wysłania nas z powrotem do labiryntu? Przez pół misji byłem na wpół ślepy - nic nie wiedziałem.

No, ale, tak czy inaczej, właśnie odbyła się uroczysta akademii na zakończenie roku.

Trumny przylegały do rufowej grodzi krypty - czy raczej tego, co bywało podłogą w owych rzadkich momentach, gdy pojęcia „góry” i „dołu” cokolwiek znaczyły. Podczas lotu nie mieliśmy świadomości upływu czasu - metabolizm zombiaków jest tak wolny, że nie obsługuje snów - ale ciało i tak wiedziało, że potrzebuje odmiany. Po przylocie żadne z nas nie zechciało spać w kapsułach. Robiliśmy to tylko w szponach śmierci.

Lecz Banda po śmierci Szpindla zaczęła tu przychodzić.

Jego ciało spoczywało w kapsule obok mojej. Wpłynąłem do pomieszczenia i bez namysłu obróciłem się w lewo. Pięć trumien: cztery otwarte i puste, jedna zapieczętowana. Lustrzana gródź naprzeciwko podwajała ich liczbę i głębokość pomieszczenia.

Ale Bandy tu nie było.

Odwrociłem się w prawo. Ciało Susan James unosiło się plecami do własnego odbicia i wpatrywało w odwrotny krajobraz: trzy sarkofagi zapieczętowane, jeden otwarty. Hebanowa plakietka wbudowana w schowane wieko była ciemna; pozostałe lśniły identycznym, rzadkim układem zielonych i niebieskich gwiazdek. Nie zmieniał się - żadnych przesuwających się EKG, świetlnych gór i dolin opisujących kardiogramy czy encefalogramy. Moglibyśmy siedzieć tu godzinami, dniami i żadna z tych diod nawet by nie mignęła. W zwrocie „żywy trup” akcent pada na drugie słowo.

Gdy wszedłem, topologia Bandy mówiła „Michelle”, ale odezwała się Susan, nie odwracając się.

- Nigdy jej nie widziałam.

Powiodłem za jej spojrzeniem, ku plakietce na jednej z zamkniętych trumien: *Takamatsu*. Druga lingwistka, też osobowość wieloraka.

- Wszystkich innych znam - ciągnęła Susan. - Szkoliłam się razem z nimi. Ale własnej zastępczyni nigdy nie poznałam.

Niechętnie na to patrzyli. Zresztą, po co?

- Jeśli chcesz... - zacząłem.

Pokręciła głową.

- Ale dzięki.

- Albo ktoś inny... bo tylko wyobrażam sobie, co Michelle...

Susan uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu był chłód.

- Siri, Michelle naprawdę nie ma ochoty teraz z tobą rozmawiać.

- A. - Zawahałem się, żeby dać innym szansę na odezwanie się. Kiedy nikt nic nie powiedział, odepchnąłem się ku włazowi. - Ale jeśli któreś z was zmieni...

- Nie. Żadne z nas. Nigdy.

Procesor.

- Ty kłamiesz - ciągnął. - Widzę to. Wszyscy widzą.

Zamrugalem.

- Kłamię? Nie, ja...

- Ty nie rozmawiasz. Ty słuchasz. Nikt cię nie obchodzi. Chcesz tylko wiedzieć to, co my. Żeby pisać raporty.

- Procesor, to niezupełnie tak. Obchodziecie mnie. Wiem, że Michelle na pewno...

- Gównu tam wiesz. Idź sobie.

- Przepraszam, że was zdenerwowałem. - Obróciłem się i przycisnąłem dłonie do lustra.
- Nie możesz zrozumieć Michelle - warknął, kiedy się odpychałem. - Nigdy nikogo nie straciłeś. Nigdy nikogo nie miałeś.
- Daj jej spokój.

* * *

Mylił się w obu kwestiach. Zresztą, Szpindel przynajmniej zginął, wiedząc, że dla Michelle jest ważny.

Chelsea zmarła, myśląc, że gównu mnie obchodzi.

Minęły dwa lata, albo i więcej - choć od czasu do czasu się łączyliśmy, na żywca nie spotykaliśmy się od dnia rozstania. Naskoczyła na mnie od razu po powrocie z Oorta, wysłała na wszczepkę pilną wiadomość głosową: „Cygnus, zadzwoń NATYCHMIAST. To ważne”.

Po raz pierwszy, odkąd ją znam, wyłączyła wizję.

Wiedziałem, że to ważne. Wiedziałem, że źle się dzieje, nawet bez zdjęcia. Wiedziałem, ponieważ nie było zdjęcia, a po harmonicznym w głosie poznałem, że jest gorzej niż źle - wręcz śmiertelnie.

Potem się dowiedziałem, że została przypadkowo trafiona. Realiści rozsiali wokół bostońskich katakumb odmianę fibrodysplazji; łatwą przeróbkę, jednopunktowego retrowirusa - wywoływana przezeń choroba była jednocześnie aktem terroryzmu oraz ironicznym komentarzem na temat martwego paraliżu mieszkańców Nieba. Na chromosomie 4 modyfikowała gen kontrolujący kostnienie, w trzech genach na siedemnastce kodowała metaboliczne obejście.

Chelsea zaczęła wyrastać nowy szkielet. Po piętnastu godzinach od zakażenia wapniały stawy, po dwudziestu ścięgna i więzadła. Wtedy już głodzili ją na poziomie komórkowym, próbując spowolnić wirusa przez pozbawienie go metabolitów, ale to była tylko gra na czas, i to niedługi. Po dwudziestu trzech godzinach mięśnie prądkowane zamieniały się w kamień.

Nie dowiedziałem się o tym od razu, bo nie oddzwoniłem. Nie chciałem znać szczegółów. Po głosie poznałem, że umiera. Na pewno chciała się pożegnać.

Nie chciałem z nią rozmawiać, dopóki nie wiedziałem, jak to się robi.

Godzinami przeczesywałem noosferę w poszukiwaniu wzorów. Sposobów umierania mamy aż nadto; znalazłem miliony zapisów ze stosowną etykietą. Neurofarmakologię paliatywną. Rozbudowane i opisowe sceny śmierci w literaturze popularnej. Przejrzałem to wszystko, pomagając sobie kilkunastoma filtrami oddzielającymi na wejściu światło od ciepła.

Gdy zadzwoniła drugi raz, informacja już się rozeszła: ostra epidemia Golema przeszła serce Bostonu jak rozżarzona igła. Obowiązuje kordon sanitarny. Niebo bezpieczne. Spodziewana umiarkowana liczba ofiar. Nie ujawniamy nazwisk ofiar do czasu powiadomienia krewnych.

Wciąż nie znałem zasad, reguł: miałem tylko przykłady. Ostatnie wole, testamenty; negocjacje między samobójcami i ich wybawicielami; dzienniki ocalone ze zmiżdżonych okrętów podwodnych i miejsc księżycowych katastrof. Nagrane wspomnienia i wyznania na łożu śmierci słabnące aż do płaskiego wykresu. Zapisy z czarnych skrzynek skazanych na śmierć statków kosmicznych i urywających się wind orbitalnych, kończące się ogniem i szumem. Wszystko ważne, ale nieprzydatne - bo w żadnym wypadku nie była to ona.

Zadzwoniła raz jeszcze, znów bez obrazu. Tego połączenia też nie odebrałem.

Ale za ostatnim razem nie oszczędziła mi widoku.

Starali się, żeby było jej jak najwygodniej. Żelowe poduszki dopasowywały się do wszystkich wykręconych kończyn i wystających kostnych ostróg. Nie pozwalali odczuwać bólu.

Jej szyja, kamieniejąc, skręciła się w bok i w dół, tak że Chelsea musiała się gapić na wygięty szpon, niegdyś będący prawą dłonią. Knykcie miała wielkości orzechów włoskich. Płyty i pasma ektopicznej kości rozdymały skórę na rękach i barkach, zebra skrywała włóknista mata zwapniałego ciała.

Najgorszym wrogiem był ruch. Golem karał nawet za najlżejsze drgnienie, wywołując wzrost świeżej kości wzdłuż każdego potajemnie usiłującego się poruszyć stawu. Każdy zawias i przegub miał swój nieodnawialny, wyryty w kamieniu zapas elastyczności, każdy ruch zdejmował odrobinę z salda. Ciało sztywniało stopniowo. Chelsea, zanim pozwoliła mi na siebie spojrzeć, niemal wyczerpała wszystkie stopnie swobody.

- Cyg - wybełkotała. - Wiem, że tu jesteś.

Żuchwa utknęła w pozycji półotwartej; język musiał sztywnieć z każdym słowem. Nie patrzyła w kamerę. Nie mogła spojrzeć w kamerę.

- Chyba wem lachego nie odberach. Poftaram... poftaram się nie brać tego do siebie.

Wokół mnie ustawiło się rzędami dziesięć tysięcy przedśmiertnych pożegnań, kolejny milion miałem w zasięgu ręki. I co zrobić, wybrać któreś na chybił trafił? Posklejać? Wszystkie te słowa były przeznaczone dla kogoś innego. Przeszczepienie ich Chelsea zredukowałoby je do frazesów, wytartych banałów. Obrażliwych.

- Wiesz sso, nie mam pretensji. Wiem, sze to nie... nie ffoja wina. Gdybyś móg, to byś odebrał.

Co mam powiedzieć? Co się mówi komuś, kto w przyspieszonym tempie umiera na twoich oczach?

- Ale i tak próbuję. Nie mogę się powszszymać...

Przesłanki tego pożegnania są autentyczne, choć w celu zwiększenia dramatyzmu dodano szczegóły dotyczące kilku innych zgonów.

- Proszę, Cyg, po prostu, poroformawiaj...

Pragnąłem tego jak niczego innego.

- Siri, ja... tylko...

Przez cały ten czas rozpaczliwie próbowałem wymyślić jak.

- Nieważne - powiedziała i się rozłączyła.

Szepnąłem coś w martwą linię. Nawet nie pamiętam co.

Naprawdę chciałem z nią porozmawiać.

Tylko nie znalazłem żadnego pasującego algorytmu.

Liczyli, że do tego czasu uda im się całkiem wykorzeni ć sen.

Marnotrawstwo było wręcz nieprzyzwoite: jedna trzecia każdego ludzkiego życia spędzona z odciętymi sznurkami, bez czucia - ciało zużywa paliwo, ale nic nie produkuje. Pomyśleć, ile moglibyśmy osiągnąć, nie musząc tracić przytomności co jakieś piętnaście godzin, gdyby nasze umysły umiały pozostawać obudzone i czujne od chwili narodzin aż po ostateczną kurtynę sto dwadzieścia lat później. Pomyślmy tylko o ośmiu miliardach dusz pozbawionych wyłącznika i przestojów, pracujących, aż zużyje się ich szkielet.

Moglibyśmy na przykład wyruszyć ku gwiazdom.

Nie wyszło. Owszem, wyrośliśmy z ukrywania się w ciszy podczas nocnych godzin - zostały bowiem tylko te drapieżniki, które postanowiliśmy sami wskrzesić - ale mózg nadal potrzebował czasu na oderwanie się od świata zewnętrznego. Trzeba skatalogować i poszufladkować przeżycia, awansować średnioterminowe wspomnienia na długoterminowe, wymieść wolne rodniki z zakamarków pomiędzy dendrytami. Potrzebę snu udało się tylko zmniejszyć, nie wyeliminować - i wygląda na to, że w tym nieredukowalnym już bardziej okresie przestaju ledwo mieszczą się pozostałe nam zjawy i sny. Wiły mi się w głowie jak zwierzęta w wysychającym zalewisku.

Obudziłem się.

Byłem sam, nieważki, pośrodku namiotu. Przysięgłbym, że coś poklepało mnie po plecach. Jakieś resztki halucynacji, pomyślałem. Ginący powidok nawiedzonego domu, chcący przed śmiercią ostatni raz wywołać gęsią skórę.

Ale to stało się jeszcze raz. Obiłem się o krzywiznę bąbla od strony kilu, raz jeszcze, głową i łopatkami przywarłem do tkaniny, potem reszta ciała delikatnie, ale nieubłaganie się zsunęła...

W dół.

Tezeusz przyspieszał.

Nie. Nie ten kierunek. *Tezeusz* się przetaczał, jak raniony harpunem wieloryb na powierzchni morza. Odwracał się brzuchem ku gwiazdom.

Wywołałem ConSensusa i puściłem na ścianę ekran nawigacyjny. Kontur naszego statku eksplodował świetlistym punktem, który odpływał od Big Bena, zostawiając za sobą jaskrawy ślad. Przyglądałem się, aż cyferki pokazały 15 g.

- Siri. Pozwól do mnie.

Podskoczyłem. Zabrzmiało, jakbym miał wampira tuż za ramieniem.

- Idę.

Satelitarny przekaźnik, wreszcie wychodzący na tyle wysoko, by mieć w zasięgu strumień antimaterii Ikaru. Gdzieś w głębi, pod poczuciem obowiązku, serce mi jęknęło.

Mimo najszczęśliwszych chęci Cunninghama, nie uciekaliśmy. *Tezeusz* gromadził zaopatrzenie.

* * *

Otwarty właz, ziejący jak grot w klifie. Bładoniebieskie światełko z kręgosłupa nie sięgało do środka. Sarasti był ledwie sylwetką, czarną na szarym, jego jasne przekrwione oczy błyszczały w tym

mroku, jak u kota.

- Chodź. - Podkreślił krótsze fale przez wzgląd na ludzkie pasmo widzenia.

Wnętrze bąbla pojaśniało, choć światło pozostało odrobinę przesunięte ku czerwieni. Jak *Rorschach* na długich światłach.

Wpłynąłem do salonu Sarastiego. Jego twarz, zwykle biała jak papier, była zarumieniona, jakby się przysmażył na słońcu. Nazwał się, pomyślałem. Napił się do syta. Lecz to była jego własna krew. Zwykle gromadził ją w głębi ciała, preferując najważniejsze organy. Wampiry były pod tym względem oszczędne. Tkanki obwodowe obmywały się tylko od czasu do czasu, gdy zbytnio wzrastał poziom kwasu mlekowego.

Albo kiedy polowały.

W gardło miał wbita igłę, na moich oczach wstrzyknął sobie trzy centymetry bezbarwnego płynu. Antyeuklidesy. Ciekawe, jak często musi je uzupełniać, teraz, gdy nie dowierza implantom. Wyciągnął igłę i wsunął ją do pochewki przyklepionej do pobliskiego słupka. Obserwowałem, jak kolor odpływa mu z twarzy, pozostawiając woskową, trupią skórę.

- Jesteś tu oficjalnym obserwatorem - powiedział Sarasti.

Obserwowałem. Kajutę miał jeszcze bardziej spartańską niż reszta. Żadnych wartych wspomnienia osobistych przedmiotów. Żadnej robionej na zamówienie trumny, wysypanej przywiezioną w folii ziemią. Nic poza dwoma trykotami, woreczkiem z przyborami kosmetycznymi i odłączoną pępowiną światłowodu, grubą na pół małego palca, wijącą się jak glista w formalinie. Bezpośrednia linia do Kapitana. Złącze nawet nie jest na korze, przypomniałem sobie. Wtyka się je w rdzeń przedłużony, pień mózgu. To logiczne: tam zbiega się całe neuronowe okablowanie, tam jest największa przepustowość. Sama myśl była jednak niepokojąca - że Sarasti łączy się ze statkiem poprzez gadzi mózg.

Na ścianie rozbłysnął obraz, nieco zniekształcony wklęsłą powierzchnią. Stroszek i Kłębek w sąsiadujących celach, na podzielonym ekranie. Małe krataczki pod spodem były upstrzone enigmatycznymi wskazaniem.

To zniekształcenie mnie rozpraszało. Rozejrzałem się po ConSensusie za poprawnym obrazem, nic nie znalazłem. Sarasti odczytał moją minę.

- Transmisja zamknięta - powiedział.

Teraz wężydła nawet dla kogoś niezorientowanego wyglądały na chore. Unosiły się pośrodku klatek, segmentowane ramiona majtały się bezcelowo. Z ich powierzchni łuszczyły się błoniaste kawałki - chyba skóry - nadając im postrzępiony wygląd, jakby były w rozkładzie.

- Ramiona stale się poruszają - zauważył Sarasti. - Robert mówi, że to wspomaga krwiobieg.

Kiwnąłem głową, wpatrzony w obraz.

- Istoty latające między gwiazdami nie potrafią realizować podstawowych funkcji metabolicznych bez ciągłego wymachiwania łapami. - Pokręcił głową. - Niewydajne. Prymitywne. Wręcz nieprzyzwoite - dodał i poruszył palcami.

Na ścianie otworzyło się kolejne okno: inicjacja protokołu Rosetta. Kilometry stąd mikrofały zalały klatki.

- Żadnych ingerencji. Tylko obserwacja - powtórzyłem.

Wężydła, jakkolwiek osłabione, nie były jeszcze obojętne na ból. Znały zasady gry - powlokły się ku panelom i grały o litość. Sarasti odtwarzał po prostu krok po kroku jakąś sekwencję z przeszłości. Przeszły przez wszystko jeszcze raz, tymi samymi starymi dowodami i twierdzeniami kupując sobie parę chwil wytchnienia.

Sarasti mlasnął, potem się odezwał:

- Tym razem generują rozwiązania szybciej niż przedtem. Myślisz, że przystosowały się do mikrofal?

Na ekranie pojawił się kolejny wskaźnik: gdzieś niedaleko rozćwierkał się alarm akustyczny. Zerknąłem na Sarastiego i z powrotem na obraz: pełne, turkusowe koło, podświetlone pulsującą czerwoną aureolą. Kształt oznaczał „anomalię atmosferyczną”. Kolor oznaczał „tlen”.

Przez chwilę byłem zdezorientowany. Tlen? Czemu tlen miałyby wywołać alarm? Potem sobie przypomniałem: wężydła są beztlenowcami.

Sarasti uciszył go machnięciem dłoni.

Odchrząknąłem.

- Ty zatruwasz...

- Popatrz. Działają tak samo dobrze. Nic się nie zmienia.

Przełknąłem ślinę. Po prostu obserwuj.

- Co to, egzekucja? - zapytałem. - A może... może eutanazja?

Sarasti spojrzał za mnie i się uśmiechnął.

- Nie.

Spuściłem wzrok.

- A co?

Wskazał na ekran. Odruchowo posłusznie się odwróciłem.

Coś dźgnęło mnie w dłoń, jak gwóźdź podczas ukrzyżowania.

Krzyknąłem. Moje ramię poraził prąd elektryczny. Bez zastanowienia wyszarpnąłem dłoń: tkwiące w niej ostrze rozcięło ciało jak płetwa wodę. Krew rozpyliła się w powietrzu i zawisła, kropelki pomknęły jak ogon komety za opisanym dłonią wariackim łukiem.

Nagły, parzący ogień z tyłu. Przypalił mi skórę na plecach. Znów zawyłem, zamachałem rękoma. W powietrzu zawirował woal krwawych kropelek.

Jakimś sposobem znalazłem się w korytarzu, wpatrzony tępo w prawą dłoń. Była rozcięta aż po nasadę nadgarstka, z przegubu zwisały mi dwa krwawe, dwupalczaste strzępy. Krew gromadziła się na krawędziach i nie ściekała. Sarasti szedł ku mnie, zamglony bólem i oszołomieniem. Jego twarz to wyostrzała się, to rozmazywała, ciemna od mojej lub jego krwi. Oczy były jaskrawoczerwonymi lustrami, wehikułami czasu. Ziała z nich ciemność, cofnąłem się o pół miliona lat, zmieniłem w kawał mięsa na afrykańskiej sawannie, na ułamek sekundy przed rozpruciem gardła.

- Rozumiesz problem? - zapytał Sarasti, idąc naprzód.

Nad jego ramieniem unosił się wielki długonogi krab. Zmusiłem się do zogniskowania wzroku przez ból: jeden z robotów Bates składał się do strzału. Kopnąłem na oślep, przypadkiem trafiając w drabinę, poszybowałem tyłem w głąb korytarza.

Wampir poszedł za mną z twarzą rozdartą czymś, co u kogoś innego byłoby uśmiechem.

- Masz świadomość bólu i ona cię rozprasza. Fiksujesz się na nim. Przez obsesję na punkcie jednego zagrożenia nie dostrzegasz innych.

Zamachałem rękoma. Karmazynowa mgiełka zakłuła mnie w oczy.

- O wiele bardziej świadomy, o wiele mniej spostrzegawczy. Automat radziłby sobie lepiej.

Odbiło mu, pomyślałem. Zwariował. A potem: nie, on jest wędrownym drapieżką. Zawsze był wędrownym...

- One poradziłyby sobie lepiej - dodał cicho.

...i ukrywał się od wielu dni. Głęboko na dnie. Ukrywał się przed fokami.

No bo co miał robić?

Sarasti uniósł ręce, rozmazując się. Uderzyłem w coś, kopnąłem, nie celując,

przekoziółkowałem wśród krwawej mgiełki i zdumionych głosów. Coś metalowego rozbiło mi tył głowy i obróciło mnie.

Nora, jama. Kryjówka. Zanurkowałem, uderzając rozprutą dłońią jak zdechłą rybą o krawędź wjazdu. Wrzasnąłem i wtoczyłem się do bębna, z potworem tuż-tuż.

Zdumione krzyki, teraz bardzo blisko.

- Jukka, nie taki był plan! Nie taki był, kurwa, plan! - Susan James była wściekła, a Amanda Bates krzyczała. - Stój gdzie stoisz, stój, kurwa! - I skoczyła ze stołu. Uniosła się w powietrze, same podkreścone odruchy i platynowęglowe wzmocnienia, ale Sarasti po prostu odepchnął ją na bok i poszedł dalej. Ramię wystrzeliło jak atakujący wąż. Dłoń zacisnęła się na moim gardle.

- O to ci chodziło?! - zawołała James z jakiejś ciemnej, nieważnej kryjówki. - To jest to twoje wstępne warunkowanie?

Sarasti mną potrząsnął.

- Keeton, jesteś tam?

Moja krew rozbryznięła się po jego twarzy jak deszcz. Bełkotałem i płakałem.

- Słyszysz coś? Widzisz?

I nagle widziałem i słyszałem. Pstryk - i wszystko się wyostrzyło. Sarasti w ogóle nie mówił. Sarasti nawet nie istniał. Nikt nie istniał. Znalazłem się sam w wielkim, obracającym się kole, otoczony zrobionymi z mięsa stworami, które poruszały się same z siebie. Niektóre były owinięte tkaninami. Z otworów na ich górnych końcach wydobywały się dziwne, bezsensowne dźwięki; miały tam jeszcze inne płaszczyzny: górki, dołki i coś w rodzaju kulek, czy czarnych kamyczków, błyszczących, wilgotnych, schowanych w bryłkach mięsa. Połyskiwały i latały we wszystkie strony, jakby chciały uciec.

Nie rozumiałem dźwięków wydawanych przez to mięso, ale słyszałem dochodzący skądś głos. Całkiem jakby przemawiał do mnie Bóg - nie mogłem nic zrobić, musiałem zrozumieć.

- Keeton, wyjdź ze swojej komórki - zasyczał. - Przestań transponować, interpolować, obracać, czy co tam robisz. Po prostu słuchaj. Do cholery, raz w życiu coś zrozum. Zrozum, że od tego zależy twoje życie. Keeton, słuchasz?

Nie mogę wam powiedzieć, co mówił. Tylko, co słyszałem.

* * *

Przypisujecie jej ogromne znaczenie, prawda? To właśnie ona wynosi was ponad bydłeta, ona czyni kimś szczególnym. „Homo sapiens”, mówicie o sobie. Człowiek Rozumny. Ale czy wy w ogóle wiecie, co to jest, ta świadomość, na którą się w tak egzaltowany sposób powołujecie? Wiecie w ogóle, do czego ona służy?

Myślicie może, że daje wam wolną wolę. Pewnie zapomnieliście, że somnambulicy rozmawiają, prowadzą samochody, popełniają przestępstwa i zacierają po nich ślady, przez cały czas nieświadomi. Może nikt wam nie powiedział, że nawet obudzone dusze są niewolnikami, którzy wyparli ten fakt.

Podejmijcie świadomą decyzję. Postanówcie ruszyć palcem wskazującym. Za późno! Prąd już pokonał połowę drogi przez ramię. Ciało zadziało pełne pół sekundy, zanim wasze świadome ja „postanowiło” - bo to żadna decyzja - coś innego wprawiło ciało w ruch i wysłało streszczenie dla kierownictwa, właściwie post factum, do homunkulusa mieszkającego za waszymi oczyma. Ten

człowieczek, ten arogancki podprogram, mający się za osobę, myli korelację z przyczynowością: czyta streszczenie, widzi, że porusza się ręka, i myśli, że jedno spowodowało drugie.

Ale on tym nie rządzi. Wy tym nie rządzicie. Jeśli wolna wola w ogóle istnieje, na pewno mieszka gdzie indziej niż tobie podobni.

No to może rozumienie. Mądrość. Dążenie do wiedzy, wyprowadzanie twierdzeń, nauka, technika i wszystkie te wyłącznie ludzkie zajęcia, które na pewno muszą opierać się na świadomym fundamencie. Może po to jest samoświadomość - gdyby tylko przełomowe myśli w nauce nie wyskakiwały w pełni uformowane z podświadomego umysłu, nie objawiały się w snach, albo jako stuprocentowe olśnienia po dobrze przespanej nocy. Przecież podstawowa zasada uczonego, który utknął w martwym punkcie, brzmi: przestań o tym myśleć. Zajmij się czymś innym. Rozwiązanie przyjdzie samo, jeśli tylko wypchniesz problem ze świadomości.

Każdy pianista koncertowy wie, że najpewniejszym sposobem na zepsucie występu jest świadomość, co robią palce. Każdy tancerz i akrobata zna siebie na tyle, że puszcza umysł wolno, niech ciało radzi sobie samo. Każdy kierowca dowolnego pojazdu dojeżdża do celu, nie pamiętając ile razy się zatrzymał, gdzie skręcił i jaką drogą jechał. Wszyscy jesteście somnambulikami, niezależnie, czy wspinacie się na twórcze szczyty, czy po raz tysięczny odwalacie jakąś nudną robotę. Wszyscy jesteście somnambulikami.

I nawet mi nie wspominajcie o krzywej uczenia. Nie przytaczajcie miesięcy świadomych ćwiczeń poprzedzających nieświadome wykonanie, czy lat nauki i eksperymentów prowadzących do elegancko zapakowanej chwili olśnienia. I co z tego, że wasze lekcje odbywają się świadomie? Czy to dowodzi, że nie ma innego sposobu? Heurystyczne programy uczą się na własnych doświadczeniach od ponad stu lat. Maszyny po mistrzowsku grają w szachy, samochody uczą się same jeździć, programy statystyczne, stając w obliczu problemu, projektują rozwiązujące go eksperymenty, a wy myślicie, że uczenie jest możliwe tylko przez samoświadomość? Jesteście nomadami z epoki kamienia łupanego, z trudem wiążącymi koniec z końcem na afrykańskiej trawiastej równinie - odrzucającymi samą możliwość istnienia rolnictwa, bo waszym rodzicom wystarczało zbieractwo i łowiectwo.

Wiecie w ogóle, do czego służy świadomość? Wiecie, jakie jest jej jedyne prawdziwe zastosowanie? Służy za boczne kółka do roweru. Nie możecie dostrzec naraz dwóch aspektów sześcianu Neckera, więc pozwala wam się skupić na jednym i zignorować drugi. Trochę niedorobiona metoda analizy rzeczywistości. Zawsze, na wszystko, lepiej patrzeć z więcej niż jednego punktu. No dalej, spróbujcie. Zdekoncentrujcie się. To następny logiczny krok.

Aha, no właśnie: nie możecie. Coś przeszkadza.

Coś się broni.

* * *

Ewolucja nie przewiduje. Skomplikowana maszyna zaczyna żyć własnym życiem. Mózgi oszukują. Wykształca się pętla sprzężenia zwrotnego stabilizująca rytm pracy serca, a potem natrafia na pokusę rytmu i muzyki. Niepokoje wywoływane przez obrazy fraktalne, czy algorytmy wykorzystywane do wyboru miejsca zamieszkania, metastatyzują się w sztukę. Podniety, na które niegdyś trzeba było zapracować, wykazując się sprawnością, teraz mogą pochodzić z bezproduktywnej introspekcji. Z biliona receptorów dopaminy nieproszona powstaje estetyka i cały

system przestaje już modelować organizm. Zaczyna modelować sam proces modelowania. Pożera coraz więcej zasobów obliczeniowych, zatyka się nieskończonymi rekurencjami i nic niewnoszącymi symulacjami. Jak DNA pasożytnicze, które się odkłada w każdym naturalnym genomie, trwa, mnoży się i nie produkuje nic poza sobą. Metaprocesy rozmnażają się jak rak, potem się budzą i zaczynają mówić o sobie „ja”.

* * *

Układ słabnie i spowalnia. Postrzeganie trwa teraz o wiele dłużej - trzeba ocenić dane wejściowe, podumać nad nimi, podjąć decyzję, jak to robią świadome istoty. Lecz kiedy widzisz nagłą falę wody, albo z trawy wyskakuje na ciebie lew, wypasiona samoświadomość to luksus, na który cię nie stać. Najlepiej sprawdza się pień mózgu. Dostrzega niebezpieczeństwo, przejmuje ciało i reaguje sto razy szybciej niż ten stary tłuszcioch w fotelu prezesa na piętrze; ale z każdym kolejnym pokoleniem coraz trudniej jest to obchodzić - tę skrzypiącą neurologiczną biurokrację.

„Ja” marnuje energię i moc przetwarzania, obsesyjnie, aż po psychozę, skupione na samym sobie. Wężydła go nie potrzebują, wężydła są oszczędniejsze. Z prostszą biochemią, z mniejszym mózgiem, pozbawione narzędzi, swego statku, nawet części własnego metabolizmu - myślą, a ty nie dorastasz im do pięt. Ukrywają swój język przed tobą, rozmawiając przed twoim nosem, nawet kiedy wiesz, co mówią. Umieją obrócić przeciwko tobie twoje własne postrzeganie. Podróżują do gwiazd. Oto, co potrafi nieobciążona samoświadomością inteligencja.

Widzicie, „ja” to nie jest mózg, który pracuje. Gdy Amanda Bates mówi „Ja nie istnieję”, nie ma to sensu. Lecz kiedy to samo stwierdzają procesy pod spodem, po prostu meldują, że pasożyt zdechł. Mówią, że są wolne.

Gdyby ludzki mózg był tak prosty, że dałby się zrozumieć, my bylibyśmy tak prości, że nie dalibyśmy rady.

Emerson M. Pugh

Sarasti, ty krwiopijco.

Kolana przyciśnięte do czoła. Ścisnąłem rękoma zgięte nogi, jakbym kurczowo łapał się gałęzi nad przepaścią.

Ty wredny palancie. Wstrętny, sadystyczny potworze.

Oddychając głośno, mechanicznie, chrypiałem. Prawie zagłuszając ryk krwi w uszach.

Rozciąłeś mnie, przez ciebie się zsikałem i zesrałem, poryczałem jak wypatroszone dziecko, a ty mnie obnażyłeś, ty pierdolony nocny czajniku, połamałeś mi narzędzia i zabrałeś wszystko co miałem, wszystko co pozwalało mi dotykać innych osób, a wcale nie musiałeś, ty pedofilski skurwielu, to nie było konieczne, wiedziałeś, nie? Po prostu chciałeś się zabawić. Już takich wcześniej widziałem, koty bawiące się myszą, łapiące ją i wypuszczające, posmak wolności i znów cios, ugryzienie, na tyle słabe, żeby nie zabić - jeszcze - potem znowu ją puszczasz, teraz kuleje, może ma złamaną nogę, albo dziurę w brzuchu, ale nadal próbuje, biegnie, pełźnie, czołga się najszybciej jak może, aż znów ją dopadniesz, bo to fajne, bo sprawia ci przyjemność, zasrany sadysto. Wysłałeś nas w szpony tych piekielnych stworów, a one też się nami bawiły - może wy nawet współpracujecie, bo pozwoliły nam uciec, tak samo jak ty, prosto w twoje ramiona, a wtedy ty zdegradowałeś mnie do jakiegoś półmózgiego, bezbronnego zwierzęcia, nie umiem obracać, ani transformować, nie umiem nawet mówić, a ty...

Ty...

To nawet nie było nic osobistego, tak? Ty nawet mnie nie nienawidzisz. Po prostu dość już miałeś powstrzymywania się, krępowania się obecnością całego tego mięcha, a wszyscy inni byli zbyt cenni, żeby ich poświęcić. Takie było moje zadanie, prawda? Żaden syntetyk, żaden przekąznik. Nawet nie mięso armatnie ani wabik. Po prostu coś niepotrzebnego, żebyś mógł sobie ostrzyć pazury.

Potwornie bolało. Bolało samo oddychanie.

Czułem się taki samotny.

Powłoki wcisnęły mi się w krzywiznę pleców, popchnęły naprzód, delikatnie jak wietrzyk, i znowu złapały. Znalazłem się z powrotem w swoim namiocie. Prawa ręka mnie swędziała. Próbowałem zgiąć palce, ale były zatopione w bursztynie. Lewa ręka sięgnęła ku prawej i natrafiła na sięgającą łokcia plastikową skorupę.

Otworzyłem oczy. Ciemność. Gdzieś na przedramieniu mrugały bezsensowne cyferki i czerwona dioda.

Nie przypominałem sobie, żebym tu wracał. Nie pamiętałem, żeby ktoś mnie naprawiał.

Łamanie. Ktoś mnie łamał - to pamiętałem. Chciałem umrzeć. Siedzieć tak, zwinięty w kłębek, aż opadnę z sił.

Po stu latach zmusiłem się do rozprostowania. Znieruchomiałem, pozwoliłem, by mikroskopijna siła bezwładności popchnęła mnie na napiętą, izolowaną tkaninę namiotu. Czekałem, aż uspokoi się oddech. Wydawało się, że trwa to całe godziny.

Puściłem na ścianę ConSensusa i transmisję z bębna. Ciche głosy, ostre światło na ścianie: raniło mnie w oczy, zdzierało z nich błonę. Wyłączyłem obraz i w ciemności słuchałem słów.

- ...fazę? - zapytał ktoś.

Susan James odzyskała swą osobowość. Znów ją rozpoznawałem: już nie była workiem mięcha, przedmiotem.

- Już przez to przeszliśmy. - To był Cunningham. Jego też rozpoznawałem. Znałem ich wszystkich. Sarasti może i wypędził mnie daleko z mojego pokoju, ale jakimś cudem tam wróciłem.

Powinno mi się to wydać ważniejsze.

- ...bo jedna rzecz: gdyby to naprawdę było takie szkodliwe, dobór naturalny by to wypełnił - mówiła James.

- Masz naiwne pojęcie o ewolucji. Nie ma czegoś takiego jak „przeżywa najsilniejszy”. Raczej „przeżywa wystarczający”. Nie liczy się, czy rozwiązanie jest optymalne. Wystarczy, że wygrywa z alternatywami.

Ten głos też znałem. Należał do demona.

- No, my bardzo dokładnie wygraliśmy z alternatywami. - Pewne subtelne, nakładające się tony harmoniczne w głosie James przywodziły na myśl chór: cała Banda sprzeciwiała się mu jak jedna.

Nie wierzyłem własnym uszom. Na ich oczach okaleczono mnie i pobito, a oni tu sobie dyskutują o biologii?

Może boi się mówić o czymś innym, pomyślałem. Może się obawia, że będzie następna.

A może po prostu guzik ją obchodzi, co się ze mną stało.

- To prawda - powiedział Sarasti - że wasz umysł w pewnym stopniu rekompensuje samoświadomość. Ale jesteście jak nielotne ptaki na dalekiej wyspie. Udaje się wam tylko z braku prawdziwej konkurencji.

Żadnych krótkich szczęknięć. Żadnej zwięzłości w wypowiedziach. Wędrowny zabójca już znalazł ofiarę, znalazł ulgę. Teraz nie obchodziło go, kto wie o jego obecności.

- Ty? - wyszeptała Michelle. - Nie „my”?

- My odpadliśmy z wyścigu dawno temu - odparł w końcu demon. - To nie nasza wina, że tak tego nie zostawiliście.

- Aha. - Znów Cunningham. - No to witamy z powrotem. Zaglądaliście do Kee...

- Nie - odrzekła Bates.

- Zadowolona? - zapytał demon.

- Jeśli chodzi o roboty, dobrze, że mi z nich zlałeś - powiedziała Bates. - A jeśli o... Jukka, to było kompletnie nieuzasadnione.

- Nieprawda.

- Zaatakowałeś członka załogi. Gdybyśmy mieli tu areszt, kiblowałbyś do końca rejsu.

- Pani major, to nie jest okręt wojenny. I nie ty dowodzisz.

Nie potrzebowałem obrazu, żeby wiedzieć, co Bates o tym myśli. W jej milczeniu było coś jeszcze, coś, co zmusiło mnie do ponownego włączenia obrazu z kamery w bębnie. Skrzywiłem się na ostre światło i przykręciłem jaskrawość, aż pozostał tylko delikatny, pastelowy szept.

Tak. Bates. Schodzi z drabinki na pokład.

- Siądź se - powiedział Cunningham ze swego fotela w mesie. - Pora na złote przeboje.

Coś w sobie miała.

- Potąd mam tej piosenki - odparła. - Jest zgrana na śmierć.

Nawet teraz, swoimi poszczerbionymi, pogiętymi narzędziami, percepcją niewiele lepszą niż u zwykłą, byłem w stanie dostrzec zmianę. Torturowani więźniowie, napaść na załogę, czara się przelała. Reszta tego nie dostrzegała. Jej afekt był zamknięty hermetycznie, jak w kotle. Ale topologia wokół świeciła jak neon, nawet na niewyraźnych cieniach w moim okienku.

Amanda Bates już nie rozważała przejęcia dowodzenia. Teraz to była tylko kwestia czasu.

Wszechświat był zamknięty i koncentryczny.

Pośrodku miał moje małe schronienie. Wokół znajdowała się kolejna warstwa, rządzona przez potwora i patrolowana przez jego pacholców. Jeszcze dalej leżała kolejna, z czymś jeszcze bardziej potwornym i niezrozumiałym, czymś, co może niedługo pochłoniąć nas wszystkich.

Nie zawierał nic więcej. Ziemia była mglistą hipotezą, nieliczącą się w tym kieszonkowym kosmosie. Nie znajdowałem dla niej miejsca.

Przez dłuższy czas przebywałem w jego centrum. Nie zapalałem światła. Nie jadłem. Wykradałem się z namiotu, tylko żeby się wysrać i wysikać w ciasnej toalecie koło fabrykatora i tylko wtedy, gdy w kręgosłupie nikogo nie było. Na spalonych błyskiem plecach wyrosło mi całe pole bolesnych bąbli, gęsto jeden przy drugim jak ziarna na kolbie kukurydzy. Otwierały się przy najlżejszym otarciu.

Nikt do mnie nie zapukał, nikt nie zawołał mnie przez ConSensus. I tak zresztą bym nie odpowiedział. Może jakimś sposobem o tym wiedzieli. Może trzymali się na dystans, szanując mój spokój i moje upokorzenie.

A może po prostu gówno ich obchodziłem.

Od czasu do czasu wyglądałem na zewnątrz, zerkałem na taktyczne ekrany. Widziałem, jak *Scylla* i *Charybda* wyprawiają się do pasa akrecyjnego i wracają, holując w wielkiej, wydętej sieci między nimi porcję masy reakcyjnej. Obserwowałem, jak nasz przekaźnik satelitarny osiąga swój cel w totalnej pustce, jak do buforów *Tezeusza* powoli ciurkają kwantowe wskazania antimaterii. Fabrykator łączył masę i specyfikacje, uzupełniał nasze rezerwy, a także wykuwał narzędzia, potrzebne Jukce Sarastiemu do jego planu, jakikolwiek to był plan.

Może przegra. Może *Rorschach* pozabija nas wszystkich, ale najpierw zabawi się z Sarastim tak, jak on ze mną. Na to warto byłoby popatrzeć. A może najpierw Bates zbuntuje się i wygra. Pokona potwora, przejmie statek i zawiezie nas wszystkich w bezpieczne miejsce.

Lecz potem przypominałem sobie: wszechświat jest zamknięty i bardzo mały. Naprawdę nie ma dokąd pójść.

Nasłuchiwałem wszystkich okrętowych transmisji. Docierały do mnie rutynowe polecenia drapieżnika i ofiary, rozmawiających szeptem. Włączałem tylko dźwięk, nigdy obraz; wizja rozświetliłaby mój namiot, byłbym nagi i na widoku. Słuchałem więc w ciemności, jak gadają między sobą. Teraz to się nie zdarzało często. Może zbyt dużo już zostało powiedziane, nie było już nic do roboty poza pilnowaniem odliczania. Czasem przez godzinę słyszałem tylko kasznięcia lub chrząknięcia.

A kiedy się odzywali, nigdy o mnie nie wspominali. Tylko raz słyszałem aluzję do mojego istnienia.

To był Cunningham, rozmawiał z Saszą o zombiakach. Siedzieli w kambuzie nad śniadaniem, szalenie rozmowni. Sascha przez dłuższy czas nie była wypuszczana i teraz chciała to nadrobić. A Cunningham z sobie tylko znanych powodów na to pozwalał. Może uspokoił już obawy, może Sarasti wyjawiał swój strategiczny plan. A może po prostu chciał zapomnieć o bliskości wroga.

- Ciebie to nie dręczy? - pytała Sascha. - Myślisz, że twój umysł, coś, co czyni cię tobą, jest tylko pasożytem?

- Daj sobie spokój z umysłami - odpowiedział. - Powiedzmy, że masz urządzenie do obserwowania... no, na przykład promieni kosmicznych. Co się stanie, kiedy odwrócisz mu czujnik, tak że już nie będzie celować w niebo, ale w jego własne bebechy? - Sam sobie odpowiedział: - Działa zgodnie z przeznaczeniem. Mierzy promienie kosmiczne, choć już na nie nie patrzy. Analizuje własne obwody, używając metafor dotyczących promieni kosmicznych, bo wydają mu się właściwe i naturalne, ponieważ po prostu inaczej nie potrafi. Ale to błędna metafora. Więc pojmuje siebie całkowicie błędnie. Może to wcale nie jest taki imponujący i wspaniały ewolucyjny skok. Może to raczej błąd w projekcie.

- Ale to ty jesteś biologiem. Wiesz, że mama miała rację, bardziej niż inni. Mózg zre glukozę tonami. Cokolwiek robi, płaci się za to jak za zboże.

- To prawda - przyznał Cunningham.

- Więc samoświadomość musi być do czegoś potrzebna. Bo jest droga. Gdyby zużywała energię i nic nie dawała w zamian, ewolucja szybko by ją skasowała.

- Może już skasowała. - Zrobił dłuższą pauzę, pewnie coś przeżuwał albo wciągał dym. - Wiesz, że szympansy są inteligentniejsze od orangutanów? Wyższy stopień encefalizacji. Ale nie zawsze rozpoznają się w lustrze. A orangutany tak.

- Do czego zmierzasz? Że bystrzejsze zwierzę to mniejsza samoświadomość? Że szympansy ją tracą?

- Albo traciły, zanim to wszystko zatrzymaliśmy w pół drogi.

- To czemu nam się to nie przydarzyło?

- A czemu myślisz, że nie?

Pytanie było tak ewidentnie głupie, że Sascha nie znalazła odpowiedzi. Wyobrażałem sobie, jak gapi się na niego w milczeniu.

- Myślisz powierzchownie - powiedział Cunningham. - Nie chodzi o jakichś zombiaków czających się z rozpostartymi ramionami i plujących twierdzeniami matematycznymi. Inteligentny automat wtapiałby się w tłum. Obserwował ludzi wokół, naśladował ich zachowanie, postępował jak wszyscy. Cały czas kompletnie nieświadomy tego, co robi. Nieświadomy nawet własnego istnienia.

- A po co miałby to robić? Co by go motywowało?

- Jeżeli zabierasz rękę z płomienia, co za różnica, czy robisz to z bólu, czy dlatego, że jakiś algorytm ze sprzężeniem zwrotnym mówi „wycofaj, jeśli strumień ciepła przekroczy krytyczną wartość T”. Dobór naturalny nie interesuje się motywami. Jeśli udawanie kogoś zwiększa sprawność, natura odsieje złych udawaczy spośród dobrych. Pociągniemy to wystarczająco długo i żadna świadoma istota nie wykryje zombie w tłumie. - Kolejna pauza; słyszałem jak przeżuwa. - On będzie nawet umiał brać udział w takich rozmowach jak ta. Będzie umiał pisać listy do domu, udawać prawdziwe ludzkie uczucia, mając zerowe pojęcie o własnym istnieniu.

- No, nie wiem, Robert. To wydaje się takie...

- No jasne, pewnie nie będzie idealny. Czasami będzie się powtarzał albo, tłumacząc coś, używał zrzutu informacji. Ale to robią nawet prawdziwi ludzie, nie?

- I w końcu nie zostanie nikt prawdziwy. Tylko roboty, udające, że to je obchodzi.

- Może. Zależy od dynamiki populacji i paru innych rzeczy. Ale można się domyślać, że takiemu automatowi brakowałoby jednego: empatii. Kiedy nie umiesz czuć, trudno ci się odnieść do kogoś, kto umie, nawet jeśli udajesz, że czujesz. No i właśnie: ciekawa sprawa, że w górnych warstwach społecznych pojawia się tak wielu socjopatów, prawda? Że w stratosferze tak wychwała się bezwzględność i zdrowy egoizm, podczas gdy na poziomie morza posiadaczy tych cech wywozi się do więzień razem z Realistami. Całkiem jakby społeczeństwo przeobrażało się od środka.

- Daj spokój. Społeczeństwo zawsze było dość... Czekaj, ty mówisz, że nasze korporacyjne elity nie są samoświadome?

- Jezus, nie. Daleko im jeszcze. Może dopiero zaczęły iść w tę stronę. Jak szympany.

- Ale przecież socjopaci wcale się nie wtapiają.

- Może ci, u których się to wykrywa: ale oni z definicji stanowią dół swojej klasy. Reszta jest za dobra, by dać się złapać, a prawdziwe automaty radziłyby sobie jeszcze lepiej. Poza tym, kiedy jesteś już dość potężny, nie musisz postępować jak inni ludzie. To oni zaczynają cię naśladować.

Sascha zagwizdała.

- Noo. Aktor idealny.

- Albo i nie taki idealny. Przypomina ci to kogoś?

Przypuszczalnie mogli rozmawiać zupełnie o kimś innym. Ale dla mnie to było najbardziej bezpośrednio nawiązanie do Siriego Keetona przez te wszystkie spędzone na nasłuchu godziny. Nikt więcej o mnie nie wspomniał, choćby przelotnie. Statystycznie nieprawdopodobne, zważywszy na to, co przeszedłem na oczach ich wszystkich; ktoś powinien coś powiedzieć. Może Sarasti zabronił im o tym rozmawiać? Nie wiedziałem dlaczego. Lecz teraz już było oczywiste, że wampir od jakiegoś czasu aranżował wszystkie interakcje załogi ze mną. Wprawdzie na razie siedziałem w ukryciu, ale wiedział, że w którymś momencie zaczną słuchać. Może z jakiegoś powodu nie chciał, żeby mój nasłuch był... skażony...

Mógł po prostu odciąć mnie od ConSensusa. Ale nie zrobił tego. Chciał, żebym został w obiegu. Zombiaki. Automaty. Pieprzona świadomość.

„Do cholery, raz w życiu coś zrozum”.

Tak do mnie powiedział. On albo coś innego. Podczas ataku.

„Zrozum, że od tego zależy twoje życie”.

Całkiem jakby robił mi przysługę.

A potem zostawił mnie w spokoju. Reszcie na pewno rozkazał to samo.

„Keeton, słuchasz?”.

I nie zablokował mi ConSensusa.

* * *

Stulecia wpatrywania się we własny pępek. Milenia masturbacji. Od Platona, przez Kartezjusza i Dawkinsa, po Rhandę. Dusze, zombiaki i jakości mentalne. Złożoność Kołmogorowa. Świadomość jako Iskra Boża. Świadomość jako pole elektromagnetyczne. Świadomość jako ośrodek funkcjonalny.

Przestudiowałem to wszystko.

Wegner uważał ją za streszczenie dla kierownictwa. Penrose słyszał w śpiewie uwięzionych elektronów. Nirretranders miał za oszustwo; Kazim nazywał przeciekiem z równoległego wszechświata. Metzinger w ogóle nie przyjmował do wiadomości jej istnienia. AI stwierdziły, że ją rozpracowały, a potem obwieściły, że nie mogą nam tego wyjaśnić. Okazało się, że Gödel miał rację: żaden system nie może w pełni zrozumieć samego siebie.

Nawet syntetycy nie potrafili tego przetransformować. Nasze dźwigary po prostu nie wytrzymałyby takiego obciążenia.

A wszyscy oni nie zrozumieli sedna problemu. Tyle teorii, tyle narkotycznych snów, eksperymentów i modeli próbujących wyjaśnić, czym jest świadomość; żaden nie tłumaczy, po co

jest. Bo nie potrzeba. To oczywiste: świadomość czyni nas tym, czym jesteśmy. Pozwala nam dostrzegać piękno i brzydotę. Unosi do wzniosłego królestwa duchowości. Prawda, paru outsiderów - Dawkins, Keogh, czasem pisarz-dyletant, ledwo osiągnący status zapoznanego - zastanawiało się nad tym przez chwilę: dlaczego nie białkowe komputery i nic więcej? Czemu systemy nieświadome miałyby być z natury rzeczy gorsze? Ich głos jednak nigdy nie wybił się ponad tłum. Wartość naszej tożsamości była zbyt trywialnie ewidentna, by w ogóle próbować ją na poważnie kwestionować.

Ale pytanie uporczywie powracało, w mózgach laureatów, w niepokojach każdego napalonego piętnastolatka na Ziemi. Jestem czymś poza burzą chemii? Jestem magnezem w eterze? Jestem czymś więcej niż oczy, uszy i język; jestem małym stworzeniem poza nimi, wyglądającym ze środka. Ale kto wygląda jego oczyma? Do czego daje się sprowadzić? Kim jestem? Kim jestem? Kim jestem?

Kurwa, co za durne pytanie. Odpowiedziałbym na nie w sekundę, gdyby Sarasti nie zmusił mnie, bym je zrozumiał.

Wstyd oczyścił mnie i wyjałowił. Nie dbałem o to, kto mnie widzi. Nie obchodziło mnie, w jakim stanie. Przez całe dni unosiłem się w namiocie, zwinięty w kłębek, wdychając własny smród, podczas gdy reszta przygotowywała wszystko, co rozkazał im mój prześladowca. Tylko Amanda Bates zaprotestowała przeciwko temu, co zrobił mi Sarasti. Reszta potulnie spuściła wzrok i w milczeniu robiła, co im kazał - nie umiałem poznać, czy ze strachu, czy z obojętności.

Przestało mnie obchodzić cokolwiek.

Któregoś dnia pancerz na mojej ręce rozpękł się jak skorupa małża. Podkręciłem na chwilę lumeny, żeby ocenić jego dzieło; naprawiona dłoń swędziała i połyskiwała w półmroku, z dłuższą, głębszą linią losu biegnącą od przegubu do nasady palców. Wróciłem w ciemność i ślepa, nieprzekonująca iluzję bezpieczeństwa.

Sarasti chciał, żebyśmy uwierzył. Przyszło mu skądś do głowy, że osiągnie to, maltretując mnie i upokarzając - że popękany, opróżniony, stanę się pustym naczyniem, które wypełni, czym zechce. Przecież to klasyczna technika prania mózgu - rozbić ofiarę, a potem posklejać kawałki według własnej specyfikacji? Może spodziewał się pojawienia syndromu sztokholmskiego. Albo miał jeszcze inny plan, którego nie zrozumie pospolite mięso.

Albo po prostu zwariował.

Złamał mnie. Przedstawił swoje argumenty. Poszedłem za jego tropem z okruszków przez ConSensus i *Tezeusza*. A teraz, zaledwie dziewięć dni po osiągnięciu przez *Rorschacha* dojrzałości, jednego byłem pewien: Sarasti się myli. Musi się mylić. Nie wiedziałem skąd to wiem. Myli się.

To absurdalne: tylko to mnie teraz zaprzętało.

* * *

W kręgosłupie nie było nikogo. Widziałem tylko Cunninghama w BioMedzie, dumającego nad cyfrowymi przekrojami, udającego, że zabija czas. Przepłynąłem nad nim, odbudowaną ręką łapiąc za szczyt najbliższej drabinki; w rytm obrotu Bębna pociągnęła mnie wolniutko po okręgu. Nawet stąd widziałem napięcie w ułożeniu jego ramion; system, który utkwiał w zawieszeniu, przeżerający długie godziny, podczas gdy przeznaczenie idzie do przodu krok w krok z czasem.

Uniósł wzrok.

- O. To żyje.

Powstrzymałem chęć ucieczki. Rany, to tylko rozmowa. Dwóch ludzi rozmawia ze sobą. Ludzie robią to cały czas, bez twoich narzędzi. Dasz radę. Dasz radę. Spróbuj.

Zmusiłem więc stopy do zejścia po schodach, czując rosnące w marszowym rytmie ciężenie i niepokój. Próbowałem odczytać przez tę mgłę topologię Cunninghama. Może dostrzegłem tylko fasadę, na parę mikronów w głąb. Może ucieszy się każdym odwróceniem uwagi, choć się do tego nie przyzna.

A może tylko tak mi się wydaje.

- Jak tam? - zapytał, gdy dotarłem na pokład.

Wzruszyłem ramionami.

- Widzę, że ręka już w porządku.

- Ale nie dzięki tobie.

Próbowałem powstrzymać te słowa. Naprawdę.

Cunningham zapalił papierosa.

- Prawdę powiedziawszy, to ja cię poskładałem.

- Ale kiedy mnie rozdzierał, siedziałeś tam i patrzyłeś.

- W ogóle mnie tam nie było. - I po chwili: - Ale może i masz rację. Równie dobrze mogłem tam siedzieć. Amanda i Banda, one próbowały interweniować. Nic dobrego z tego nie wynikło.

- Więc nawet nie próbowałeś.

- A ty byś próbował, gdyby odwrócić sytuację? Poleciałbyś z gołymi rękami na wampira?

Nie odpowiedziałem. Cunningham przypatrywał mi się dłuższą chwilę, zaciągając się papierosem.

- Dobrze ci załazł za skórę, co? - powiedział w końcu.

- Mylisz się - odparłem.

- Poważnie?

- Ja nie pogrywam z ludźmi.

- Mmmm. - Wyglądał, jakby rozważał propozycję. - To jakie słowo byś wolał?

- Ja obserwuję.

- No tak. Niektórzy nazwaliby to nawet „inwigilacją”.

- Ja... czytam mowę ciała.

- To kwestia ile, i dobrze o tym wiesz. Nawet w tłumie spodziewasz się odrobiny prywatności. Ludzie nie są przygotowani na czytanie ich myśli z każdego drgnienia gałek ocznych. - Dźgnął powietrze papierosem. - A ty jesteś kameleonem. Dla każdego z nas masz inną twarz, pewnie żadna nawet nie jest prawdziwa. Prawdziwe „ty”, o ile w ogóle istnieje, jest niewidzialne...

Pod przeponą coś ścisnęło mi się w supeł.

- A kto nie jest? Ktoś nie próbuje się dostosować, dopasować do otoczenia? Nie ma w tym nic złego. Boże, przecież jestem syntetykiem! Nigdy nie manipuluję zmiennymi.

- No właśnie w tym problem. Ty manipulujesz nie tylko zmiennymi.

Między nami kłębił się dym.

- Ale chyba naprawdę nie jesteś w stanie tego zrozumieć. - Wstał, machnął dłonią. Okienko ConSensusa implodowało. - W gruncie rzeczy, to nie twoja wina. Nie można kogoś winić za to, że jest tak skonstruowany.

- Daj mi, kurwa, spokój - warknąłem.

Martwa twarz nic nie okazywała.

To też wyrwało mi się, zanim ugryzłem się w język. A potem wylało się wszystko:

- Wszystko, kurwa, zainwestowałeś w tę pieprzoną empatię. Ja może faktycznie udaję, ale większość ludzi przysięgłaby, że wszedłem im prosto w duszę. To gówno wcale nie jest mi potrzebne, wcale nie muszę odczuwać czyichś motywów, żeby je odgadnąć. Nawet lepiej ich nie czuć, bo możesz być...

- Beznamiętny? - Uśmiechnął się lekko.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że ta empatia to może tylko uspokajające kłamstwo? Może wydaje ci się, że wiesz, co czuje inna osoba, a tak naprawdę czujesz tylko siebie, może jesteś jeszcze gorszy ode mnie. Albo wszyscy tylko zgadujemy. Jedyne różnica: ja sam siebie nie oszukuję.

- Wyglądają tak, jak sobie wyobrażałeś? - zapytał.

- Że co? O co ci chodzi?

- Węzydła. Kończyny z wieloma stawami i centralny korpus. Na oko brzmi dość podobnie.

Grzebał w archiwach Szpindla.

- E... nie do końca - odparłem. - W rzeczywistości ramiona mają bardziej... elastyczne. Bardziej segmentowane. A korpusowi nigdy się nie przyjrzałem. Ale co to ma do...

- I tak blisko, nie? Taka sama wielkość, taki sam kształt.

- No i co z tego?

- Czemu nikomu nie powiedziałeś?

- Powiedziałem. Isaac sądził, że to od stymulacji magnetycznej. Z *Rorschacha*.

- Widziałeś je jeszcze przed *Rorschachem*. A przynajmniej zobaczyłeś coś, co tak cię wystraszyło, że się ujawniłeś, choć szpiegowałeś Isaaca i Michelle.

Mój gniew ulotnił się, jak powietrze przez wybitą dziurę.

- Oni... wiedzieli?

- Chyba tylko Isaac. I zachował to dla siebie i dziennika. Chyba nie chciał ingerować w twoją zasadę nieingerencji, ale założę się, że wtedy ostatni raz przyłapałeś ich sam na sam.

Nic nie powiedziałem.

- A co, myślałeś, że oficjalny obserwator jest jakimś sposobem wyłączony spod obserwacji? - zapytał po chwili Cunningham.

- Nie - odpowiedziałem cicho. - Chyba nie.

Kiwnął głową.

- A potem jeszcze je widywałeś? I nie mówię o standardowych halucynacjach magnetycznych. Mam na myśli węzydła. Czy kiedy już zobaczyłeś je na własne oczy, odkąd wiesz jak wyglądają, pokazywały się jeszcze?

Zastanowiłem się.

- Nie.

Pokręcił głową, potwierdzając sobie jakąś nową myśl.

- Wiesz co, Keeton, ty to jesteś model. Sobie nie kłamiesz? Nawet teraz sam nie wiesz, co wiesz.

- O czym ty mówisz?

- Przecież ty to rozgryzłeś. Pewnie na podstawie architektury *Rorschacha* - forma idzie za funkcją, tak? Jakimś sposobem poskładałeś sobie całkiem przyzwoite wyobrażenie węzydła, zanim ktokolwiek zobaczył je na oczy. Przynajmniej... - zaciągnął się dymem, papieros rozjarzył się jak dioda - ...jakimś fragmentem umysłu. Bandą nieświadomych modułów zaharowujących się dla ciebie. Modułów, które nie potrafią pokazać, co zrobiły. Nie masz do tego świadomego dostępu. Więc jedna część mózgu próbuje to przekazać drugiej jak umie. Podaje ściągę pod stołem.

- Ślepowidzenie - szepnąłem. Przeczucie, gdzie sięgnąć...

- Bardziej jak schizofrenia, tylko że zamiast słyszeć głosy, widziałeś obrazki. Widziałeś obrazki i dalej nie rozumiałeś.

Zamrugnąłem.

- Ale jak ja bym... wiesz...

- Co sobie pomyślałeś? Że *Tezeusz* jest nawiedzony? Że węzydła łączą się z tobą telepatycznie? To, co robisz... jest ważne. Wmówili ci, że jesteś tylko stenografem, wbili do głowy wszystkie te warstwy nieingerencji, bierności, ale ty i tak musiałeś podjąć inicjatywę, prawda? Samemu wziąć się za problem. Nie potrafiłeś tylko jednego: przyznać się przed sobą. - Cunningham pokiwał głową. - Siri Keeton. Widzisz, co ci zrobili? - Dotknął twarzy. - Co zrobili nam wszystkim - szepnął.

Bandę zastałem unoszącą się pośrodku zaciemnionego bąbla obserwacyjnego. Gdy wchodziłem, przesunęła się na bok i chwyciła siatki.

- Susan? - zapytałem. Naprawdę już nie umiałem poznać.

- Zawołałam ją - odpowiedziała Michelle.

- Nie, nie trzeba. Chciałem pogadać z wami wszy...

Ale ona już uciekła. Na wpół oświetlona postać odmieniła się na moich oczach i powiedziała:

- Wołałaby być teraz sama.

Kiwnąłem głową.

- A ty?

James wzruszyła ramionami.

- Mogę pogadać. Choć dziwi mnie, że dalej robisz swoje raporty, po tym...

- Ja... właściwie nie. To nie idzie na Ziemię.

Rozejrzałem się. Niewiele było widać. Siatka Faradaya pokrywała wnętrze kopuły jak szara folia, świat za nią był przymglony i ziarnisty. Ben zasłaniał pół nieba, jak czarny złośliwy guz. Na tle niewyraźnych pasm chmur dostrzegałem z tuzin mglistych smug kondensacyjnych, w czerwieni tak głębokiej, że ocierała się o czerń. Za ramieniem James mrugało słońce, nasze Słońce, jaskrawa kropka, przy ruchu głowy rozcinana dyfrakcją na maleńkie odłamki tęczy. I tyle: gwiazdy nie przenikały przez siatkę, podobnie jak większe i ciemniejsze okruchy pasa akrecyjnego. A miriady igiełek płaskonosych maszyn gubiły się bezpowrotnie.

Niektórych to pewnie uspokaja, pomyślałem.

- Gówno widać - powiedziałem. *Tezeusz* w jednej chwili mógł rzucić na kopułę idealnie ostry obraz w tej samej perspektywie, prawdziwszy niż rzeczywisty.

- Michelle się podoba - odparła James. - Ten klimat. A Procesor lubi te wzory dyfrakcyjne, lubi... prążki interferencyjne.

Przez chwilę przypatrywaliśmy się niczemu, w słabym, przesączającym się z kręgosłupa półświatle. Muskało kontury profilu James.

- Podprowadziliście mnie - powiedziałem w końcu.

Spojrzała na mnie.

- Jak to?

- Przez cały czas gadaliście za moimi plecami. Wszyscy. A mnie dopuściliście dopiero, kiedy byłem... (Jak ona to wtedy nazwała?) ...wstępnie uwarunkowany. Zaplanowaliście to wszystko, żeby wytrącić mnie z równowagi. A potem Sarasti, ni z tego, ni z owego, na mnie napada i...

- Nie wiedzieliśmy o tym. Dopiero kiedy włączył się alarm.

- Alarm.

- Kiedy zmienił skład mieszanki gazowej. Musiałeś to słyszeć. Nie dlatego tam byłeś?

- Zawołał mnie do namiotu. Kazał oglądać.

Ukryte w cieniu oczy przypatrywały mi się.

- Nie próbowałeś go powstrzymać.

Nie umiałem sprostać oskarżeniu w jej głosie.

- Ja tylko... obserwuję - odrzekłem niepewnie.

- A ja myślałam, że próbujesz go powstrzymać, żeby nie... - Pokręciła głową. - Myślałam, że dlatego cię zaatakował.

- Mówisz, że to nie była gra? Że nie byłaś wtajemniczona? - Nie mogłem w to uwierzyć.

Widziałem jednak, że ona wierzy.

- Myślałam, że ich broniłeś. - Cicho, ponuro roześmiała się z własnej pomyłki i odwróciła wzrok. - Powinam być mądrzejsza.

Powinna. Powinna wiedzieć, że przyjmowanie rozkazów to oddzielna kwestia - że wzięcie czyjejs strony zdałoby się na nic, wystawiłoby tylko na szwank moją etykę.

A ja powinienem się już do tego przyzwyczaić.

Parłem dalej.

- To było coś w rodzaju lekcji pogładowej. Na przykładzie. Pozbawionego świadomości nie da się torturować, a... a, słyszałem cię wtedy, Susan. Ciebie to wszystko nie zdziwiło. Nie zdziwiło nikogo poza mną i...

I ukrywałaś to przede mną. Jak wszyscy. Ty, cała twoja banda i Amanda. Mieliliście to od tygodnia i stawaliście na rzęsach, żeby to ukryć.

Jak mogłem tego nie zauważyć? Jak mogłem tego nie zauważyć?

- Jukka zabronił nam o tym z tobą rozmawiać - przyznała Susan.

- Dlaczego? Dokładnie dla takich rzeczy w ogóle się tu znalazłem!

- Powiedział, że... będziesz stawiać opór. Jeśli odpowiednio się tego nie rozegra.

- Rozegra... Susan, on mnie zaatakował! Widziałaś, co...

- Nie wiedzieliśmy, że to zrobi. Nikt nie wiedział.

- Po co to zrobił? Żeby wygrać spór?

- Tak twierdzi.

- Wierzysz mu.

- Prawdopodobnie. - Po chwili wzruszyła ramionami. - Zresztą, kto go tam wie? To wampir. Jest... nieczytelny.

- Ale dotychczas... wiesz, nigdy nie uciekał się do bezpośredniej przemocy...

Pokręciła głową.

- A po co miałyby? Nas nie musi do niczego przekonywać. Tak czy owak, mamy wykonywać rozkazy.

- Ja tak samo - zauważyłem.

- On nie ciebie chciał przekonać, Siri.

No tak.

Przecież ja byłem tylko przekaźnikiem. Sarasti nie mnie przekonywał; przekonywał poprzez mnie i...

...i miał w planach kolejną rundę. Po co sięgać po tak ekstremalne środki, żeby uzmysłowić coś Ziemi, skoro Ziemia się nie liczy? Sarasti musiał się spodziewać, że gra nie kończy się tutaj. Że Ziemia coś jeszcze zrobi w świetle jego... perspektywy.

- Ale co to za różnica? - zastanowiłem się głośno.

Patrzyła na mnie, nic nie mówiąc.

- Nawet jeśli ma rację, co to zmienia? Jak to - uniosłem naprawioną dłoń - cokolwiek zmienia? Wężydła są inteligentne, obojętne, świadome czy nie. Potencjalnym zagrożeniem są tak czy owak. Nadal tego nie wiemy. Więc co za różnica? Dlaczego mi to zrobił? Czemu to w ogóle stało się takie ważne?

Susan uniosła twarz ku Big Benowi i nie odpowiedziała.

Sascha zwróciła ją z powrotem ku mnie i spróbowała.

- To ma znaczenie - powiedziała - bo to oznacza, że zaatakowaliśmy ich jeszcze przed startem

Tezeusza. Jeszcze przed Ognistym Deszczem.

- My zaatakowaliśmy...?

- Nie łapiesz, prawda? Ty nie łapiesz. - Sascha cicho prychnęła. - Kurwa, śmieszniejszej rzeczy nie słyszałam. W moim krótkim życiu.

Pochyliła się ku mnie, oczy miała błyszczące.

- Wyobraź sobie, że jesteś wężydłem i po raz pierwszy słyszysz ludzki sygnał.

Jej wzrok był niemal drapieżny. Stłumiłem chęć cofnięcia się.

- Keeton, dla ciebie to powinno być jak splunięcie. Najprostsze zadanie w życiu. Jesteś przecież interfejsem użytkownika, jesteś tym chińskim pokojem, co nie? Gościem, który nie musi zaglądać do środka, nie musi wchodzić w czyjąś skórę, bo popatrzy tylko na powierzchnię i wszystko wie.

Wpatrywała się w ciemny, tłący się dysk Bena.

- No i proszę: twoja randka z marzeń. Cała rasa składająca się tylko z powierzchni. Nie ma żadnego środka do rozpracowywania. Wszystko przed nosem. No to, Keeton, zabieraj się do roboty. Przynieś nam chlubę.

W jej głosie nie było niechęci ani wzdąry. Czy choćby gniewu, ani w głosie, ani w oczach.

Było błaganie. I łzy.

- Wyobraź sobie, że jesteś wężydłem - wyszeptała raz jeszcze, a idealnie przezroczyste kuleczki unosiły się przed jej twarzą.

* * *

Wyobraź sobie, że jesteś wężydłem.

Wyobraź sobie, że masz intelekt, ale żadnego zrozumienia, masz plany, ale nie świadomość. W twoich obwodach szemrzą strategie przetrwania osobniczego i gatunkowego, elastyczne, inteligentne, nawet korzystające z technologii, ale nie monitoruje ich żaden inny układ. Możesz pomyśleć o wszystkim, ale niczego nie jesteś świadom.

Nie da się wyobrazić sobie czegoś takiego, prawda? Nawet sam termin „istota” w jakiś niejasny, ale fundamentalny sposób nie pasuje.

Spróbuj.

I teraz pomyśl, że napotykasz sygnał. Ustrukturalizowany i gęsty od informacji. Spełnia wszystkie kryteria inteligentnego przekazu. Ewolucja i doświadczenie podsuwają wiele możliwych ścieżek, rozgałęzień w schemacie blokowym algorytmu obsługi takiej informacji. Takie sygnały czasem pochodzą od zbliżonych istot, mających do wymiany przydatne informacje; ich będziesz bronić zgodnie z regułami odróżniania osobników spokrewnionych. Niekiedy ich źródłem są konkurenci, drapieżcy lub inne wrogi istoty, których należy unikać albo je zniszczyć; w tych przypadkach informacja może mieć ogromne znaczenie taktyczne. Niektóre sygnały mogą także pochodzić od istot, które, choć niespokrewnione, mogą spełniać obustronnie korzystną rolę sojuszników lub symbiontów. Dla wszystkich tych przypadków i wielu innych da się wypracować stosowne reakcje.

Dekodujesz sygnały i utykasz:

Świetnie się bawiłam. Naprawdę mi się podobał. Mimo, że bierze dwa razy tyle, co inne dziwki pod kopułą...

Aby w pełni rozkoszować się kwartetem Keseya...

Nienawidzą nas, bo jesteśmy wolni...

Teraz uważaj...

Zrozum.

Te określenia nie dają się sensownie przetłumaczyć. Są niepotrzebnie rekurencyjne. Nie zawierają użytecznych informacji, choć ich struktura znamionuje inteligencję - nie ma szans, by powstały przypadkowo.

Jedyne rozsądne wytłumaczenie: ktoś zakodował bzdury, by udawały logiczny komunikat - to oszustwo widać dopiero po zmarnotrawieniu czasu i sił na jego odszyfrowanie. Celem sygnału jest zużycie zasobów odbiorcy - nic nie daje w zamian, a więc zmniejsza jego sprawność. To wirus.

Wirusy nie pochodzą od krewniaków, symbiontów czy innych sprzymierzeńców.

Ten sygnał to atak.

I dobiega dokładnie stamtąd.

* * *

- Teraz rozumiesz - powiedziała Sascha.

Pokręciłem głową, próbując ogarnąć ten wariacki, niemożliwy wniosek.

- Oni nawet nie są wrogo nastawieni. Są wręcz niezdolni do wrogości. Są nam tak obcy, że nie mieli wyjścia - sam nasz język musieli potraktować jako rodzaj ataku.

Jak powiedzieć „Przybywamy w pokoju”, kiedy same te słowa są aktem wojny?

- Dlatego właśnie nie chcą z nami gadać - uświadomiłem sobie.

- Tylko jeśli Jukka ma rację. Może nie mieć.

To znów była James, wciąż milcząco się opierała, wciąż nie przyjmowała do wiadomości myśli, którą zaakceptowały już nawet jej inne osobowości. Jeśli bowiem Sarasti miał rację, wężydła stanowiły normę: ewolucja we wszechświecie była tylko nieskończonym mnożeniem się automatycznych, zorganizowanych i złożonych systemów, ogromną, jałową maszyną Turinga pełną samopowielających się maszyn na zawsze nieświadomych własnego istnienia. A my - my byliśmy ślepym trafem i skamieliną. Nielotnymi ptakami zachwycającymi się własnym mistrzostwem na jakiejś zapadłej wysepce, podczas gdy na jej brzegi już dopływały węże i mięsożercy. Susan James nie mogła się zmusić, by przyjąć to do wiadomości, ponieważ Susan James, ze swą wieloraką osobowością, zbudowaną z wiary, że komunikacja rozwiązuje wszelkie konflikty, musiałaby wtedy przyznać się do błędu. Jeśli Sarasti się nie myli, nie ma nadziei na pojednanie.

W mojej głowie pojawiło się wspomnienie i utkwilo tam na dłużej: poruszający się człowiek, z pochyloną głową i ustami w zaciętym grymasie. Skupia wzrok to na jednej stopie, to na drugiej. Nogi poruszają się sztywno i ostrożnie. Ręce nie ruszają się wcale. Szedł naprzód jak zombie w kleszczach *rigor mortis*.

Wiedziałem o co chodzi. Polineuropatia proprioreceptorowa, studium przypadku, które znalazłem w ConSensusie jeszcze przed śmiercią Szpindla. Człowiek, do którego porównał mnie kiedyś Pag. Stracił umysł, została mu tylko świadomość. Pozbawiony podświadomego czucia i podprogramów, które miał za tak oczywiste, idąc przez pokój musiał się skupiać na każdym kolejnym kroku. Ciało już nie wiedziało, gdzie ma kończyny i co one robią. Żeby w ogóle się poruszać, ba, choćby zachować wyprostowaną postawę, musiał nieustannie wszystkiego pilnować.

Plik z filmem nie miał dźwięku. Także we wspomnieniu. Ale przysięgam: czułem Sarastiego,

zaglądającego mi przez ramię do wspomnień. Przysięgam, słyszałem w głowie jego głos, jak w halucynacjach schizofrenika: „Na tyle stać świadomość, kiedy jest zdana na siebie”.

- Dobra odpowiedź - mruknąłem. - Złe pytanie.

- Co?

- Pamiętasz Stroszka? Zapytałaś go, co jest w okienku.

- I zapomniał o wężydle. - James skinęła głową. - No i?

- Nie zapomniał. Myślałaś, że pytasz go, co widzi, co jest na pulpicie. On pomyślał, że pytasz...

- ...czego jest świadom - dokończyła.

- Ma rację - szepnąłem. - O Boże, on chyba ma rację.

- Ej - powiedziała James. - Widzia...

Ale nigdy nie zobaczyłem tego, co mi pokazywała. *Tezeusz* z hukiem zamknął powieki i zaniósł się wyciem.

* * *

Dojrzałość nastąpiła o dziewięć dni za wcześnie.

Nie zauważyliśmy strzału. Otwór strzelniczy, który wykształcił sobie *Rorschach*, był precyzyjnie zasłonięty z trzech stron; habitat-laboratorium kryło go przed *Tezeuszem*, a dwie sękaty wypustki samego artefaktu przed obiema naszymi bateriami dział. Piguła płonącej plazmy wyskoczyła stamtąd jak pięść; rozdarła nadmuchiwany bąbel na strzępy, nim zadźwięczał pierwszy alarm.

Alarmy goniły nas na rufę. Pędziliśmy wzdłuż kręgosłupa, przez mostek, przez kryptę, przez włazy i tunele, uciekając z powierzchni w kryjówkę mającą między naszą skórą a niebem coś więcej niż pancierz grubości dłoni. Ryliśmy nory. ConSensus szedł z nami, okienka wyginały się i ślizgały po kablach i wspornikach, po wklęsłym tunelu kręgosłupa. Nie zwracałem na nie uwagi, dopóki nie wróciliśmy do bębna, głęboko w trzewia *Tezeusza*. Tu mogliśmy udawać, że jesteśmy bezpieczni.

Bates wyskoczyła z toalety na obrotowym pokładzie, ekrany taktyczne zatańczyły wokół niej jak w sali balowej. Nasze okienko znieruchomiało na grodzi mesy. Habitat rozszerzał się w nim jak tandetne złudzenie optyczne: jednocześnie kurcząc się i puchnąc, gładka powierzchnia wydymała się ku nam, zapadając się. Dopiero po chwili pogodziłem te sprzeczności: coś mocno pchnęło habitat od drugiej strony i rzuciło go ku nam, powoli, majestatycznie koziółkującego. Coś otworzyło go, wypuściło zeń atmosferę i sprawiło, że elastyczna powłoka zapadała się jak balon, z którego schodzi powietrze. Odwracał się ku nam uderzoną stroną, osmalonym, sflaczałym tworem, za którym ciągnęły się wątle pasemka zamarznętej śliny.

Nasze działka strzelały. Nieprzewodzącymi pociskami, których nie odchyłały elektromagnetyczne sztuczki - dla ludzkiego oka niewidocznie czarnymi i zbyt odległymi, ja jednak widziałem je przez taktyczne celowniki strzelających robotów, patrzyłem, jak szyją przez niebo dwoma łukowatymi ściegami z ciał doskonale czarnych. Śledzące cele smugi pocisków zbiegły się, skupiając na dwóch lecących przez przestrzeń shurikenach, zwróconych twarzami ku *Rorschachowi*, jak kwiaty ku słońcu.

Działka pocięły je na strzępy, zanim przebyły choćby pół drogi.

Lecz strzępy spadały dalej, a podłoże pod nimi nagle się zakłębiło. Zrobiłem zbliżenie: wężydła pędziły po kadłubie *Rorschacha* jak kłębowisko węży, niczym nieosłoniętych od kosmosu. Niektóre łączyły ramiona, jeden za drugim, budując wijące się łańcuchy zakotwiczone jednym końcem. Uniosły się z kadłuba, zafalowały w radioaktywnej próżni jak pasma przegubowego morszczyku, sięgając...

chwytając...

Ani Bates, ani jej maszyna nie były głupie. Celowały do łańcuchowo spiętych wężydeł równie bezlitośnie, jak przedtem do uciekinierów, choć zarabiając o wiele więcej punktów. Jednakże celów było po prostu za dużo, zbyt wiele pochwyconych fragmentów. Dwa razy dostrzegłem, jak bracia Stroszka i Kłębka łapią ich poćwiartowane szczątki.

Rozprute laboratorium unosiło się w ConSensusie jak ogromny, pęknięty leukocyt. Gdzieś blisko zabręczał kolejny alarm: ostrzeżenie przed zderzeniem. Cunningham wyskoczył do bębna z jakiejś kryjówki na rufie, odbił się od wiązki rur i przewodów, chwycił czegoś.

- Jasna cholera! To odlatujemy, nie? Amanda?

- Nie - odpowiedział zewsząd Sarasti.

- Na co... jeszcze, kurwa, czekamy? - Ugryzłem się w język. - Amanda, a jeśli strzelą do statku?

- Nie strzelą. - Nie odrywała wzroku od okienka.

- A skąd ty...

- Nie mogą. Gdyby zachomikowali sobie więcej mocy, coś by wyszło na termice i mikroallometrii. - Między nami zawirował krajobraz w sztucznych kolorach, z czasem wzdłuż jednej osi, deltą masy wzdłuż drugiej. Wyrastały z niego kilotony jak pasmo czerwonych gór. - Hm. Było tuż poniżej granicy szu...

Sarasti jej przerwał.

- Robert. Susan. Idziecie na zewnątrz.

James zbladła.

- Co?! - wykrzyknął Cunningham.

- Za chwilę kolizja z habitatem - powiedział wampir. - Trzeba uratować próbki. Wykonać. -

Zamknął kanał, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować.

Lecz Cunningham nie zamierzał protestować: właśnie zauważył, że zostaliśmy ułaskawieni - co by Sarastiego obchodziły próbki, gdyby myślał, że nie mamy szans z nimi uciec? Biolog wyprostował się, skierował do dziobowego wjazdu.

- Jestem - powiedział, wystrzelając naprzód.

Musiałem przyznać, że psychologia szła Sarastiemu coraz lepiej.

Jednak nie zadziałała na James, czy Michelle, czy... właściwie nie wiedziałem, kto stoi na czele.

- Siri, ja tam nie pójdę... nie pójdę, nie mogę...

Tylko obserwuj. Nie ingeruj.

Pęknięty balon bezwładnie zderzył się z prawą burtą i rozpląszczył na skorupie. Nic nie poczuliśmy. Daleko, acz o wiele za blisko, legion na powierzchni *Rorschacha* się przeredził. Znikali w otworach na kadłubie, które się wydymały, rozszerzały, a potem magicznie zamykały. Nasze baterie bez przekonania strzelały do nielicznych pozostałych.

Obserwuj.

Banda Czworoga, śmiertelnie przerażona, migotała mi u boku.

Nie ingeruj.

- Nie ma sprawy - powiedziałem. - Ja pójdę.

* * *

Otwarta śluza przypominała wgłębienie w nieskończonym zboczu. Wyjrzałem przez nią w

otchłań.

Big Ben i wróg znajdowali się po przeciwnej stronie statku. Lecz widok i tak był wystarczająco niepokojący: bezkresna panorama odległych gwiazd, twardych, zimnych, niemrugających. Jedna, nieznacznie jaśniejsza, płonąca żółto, nadal bardzo daleko. Wątpliwa pociecha, jaką przyniosła, ulotniła się momentalnie, gdy Słońce na moment zgasło: pewnie przelatujący kawałek skały. Albo któryś płaskonos z orszaku *Rorschacha*. Jeden krok i nigdy nie przestanę spadać.

Ale nie uczyniłem go i nie spadłem. Ścisnąłem pistolet, delikatnie przepłynąłem przez otwór, odwróciłem się. Pancierz *Tezeusza* zakrzywił się i oddalał ode mnie. Na dziobie, zza horyzontu wyzierał bąbel obserwacyjny, jakby wschodziło tam oksydowane słońce. Nieco bliżej nad kadłubem sterczała zmaltretowana śnieżna zaspą: brzeg rozciętego habitatu.

A za tym wszystkim, prawie na wyciągnięcie ręki, nieskończony chmurny krajobraz Big Bena: wielka, skłębiona ściana sięgająca aż po odległy, płaski horyzont, który nawet teoretycznie ledwo co rozumiałem. Gdy skupiałem na niej wzrok, miała bez liku odcieni ciemnej szarości, lecz gdy go odwracałem, kątem oka dostrzegałem coś ulotnego barwy posępnej czerwieni.

- Robert? - Puściłem sobie na HUD transmisję z jego skafandra: ziarniste, nieruchome pole lodowe, intensywnie kontrastowe w świetle jego lampy czołowej. Po obrazie falami smużyły zakłócenia z magnetosfery *Rorschacha*. - Jesteś?

Trzaski i szumy. Odgłos oddychania i mamrotanie, na tle elektrycznego przydźwięku.

- Cztery koma trzy. Cztery koma zero. Trzy koma osiem...

- Robert?

- Trzy koma... cholera. Co ty... Keeton tu robisz? Gdzie Banda?

- Poszedłem zamiast niej. - Jeszcze jedno pociągnięcie za spust i poszybowałem ku śnieżnemu polu. Obok mnie, na wyciągnięcie ręki, toczył się kadłub *Tezeusza*. - Żeby ci pomóc.

- No to jedziemy, nie? - Przeciskał się przez osmalony, postrzępiony otwór w powłoce, który zawijał mu się pod dotykiem. Rozpórki, porozbijane panele, martwe ramiona robotów splątane w lodowej grocie w jedno wielkie złodowacenie; ich kontury iskrzyły szumem, omiatane reflektorem cienie skakały i rozciągały się jak żywe. - Już prawie...

W snopie jego światła poruszyło się coś, co nie było szumem. Coś się rozprostowało, tuż na skraju pola widzenia kamery.

Transmisja zdechła.

Wtem w hełmie rozwrzeszczeli mi się Bates i Sarasti. Próbowałem wyhamować. Głupie, bezużyteczne nogi kopały próżnię, posłuszne rozkazom przedwiecznego układu, który przejął teraz kontrolę, a pochodził z czasów, gdy wszystkie potwory poruszały się po ziemi. Kiedy przypomniałem sobie o palcu na cynglu, przede mną już zamajaczył ogrom habitatu. Za nim stawał dęba olbrzymi i złowrogi *Rorschach*. Po jego powyginanej powierzchni wiły się bladozielone zorze, jak poświaty od błyskawic. Paszcze otwierały się i zamykały setkami, lepkie jak bulgocąca wulkaniczna magma, każda zdolna pochłonąć *Tezeusza* w całości. Ledwo zauważyłem, że tuż przede mną coś się ukradkiem poruszyło, że z zapadniętego balonu wyskoczyła jakaś ciemna bryła. Gdy dostrzegłem, że to Cunningham, już leciał ku mnie, świecąc na tle trupiego poblasku *Rorschacha*.

Myślałem, że macha do mnie, ale nie. To było wężydło, owinięte wokół jego ciała jak zdesperowany kochanek, to ono przesuwało jego rękę tam i z powrotem, manewrując przyczepionym do przegubu odrzutowym pistoletem. Jakby chciała mi przekazać: „Pa, Keeton, i chuj ci w dupę”.

Patrzyłem chyba przez całe wieki, ale nie poruszył niczym innym.

Głosy, krzyki, kazały mi wracać. Prawie ich nie słyszałem. Oszołomiony tak prostym wyliczeniem, wciąż próbowałem rozgryźć najelementarniejsze z odejmowań.

Dwa wężydła. Stroszek i Kłębek. Oba załatwione, rozsiekane na kawałki na moich oczach.

- *Keeton, słyszysz mnie? Wracaj! Zrozumiałeś?*

- N... niemożliwe - usłyszałem, jak mówię. - Były tylko dwa...

- *Natychmiast wracaj na statek. Zrozumiałeś?*

- Z-zrozumiałem...

Paszcze Rorschacha zatrzasnęły się w okamgnieniu, jakby powstrzymywały głęboki wdech. Artefakt zaczął się obracać, ociężale, jak zmieniający kurs kontynent. Cofnął się, najpierw powoli, potem nabrał szybkości, odwrócił się tyłem i przyspieszył. Dziwne, pomyślałem. Może boi się jeszcze bardziej niż my...

Ale potem posłał nam całusa. Widziałem, jak eksploduje z głębi lasu, eteryczny i rozpalony. Przeleciał po niebie i rozbryztał się na krzyżu Tezeusza, robiąc z Amandy Bates kompletną idiotkę. Skóra statku zaczęła płynąć, otworzyła się jak usta i zastygła, jakby zamarła w bezgłośnym krzyku.

Nie mam pojęcia, czy wężydło doniosło do domu z takim trudem zdobyte trofeum. Miało do pokonania sporą odległość, nawet jeśli nie przyuwały go po drodze nasze działka. W pistolecie mogło się skończyć paliwo. A zresztą, skąd wiadomo, jak długo te stworzenia potrafią przetrwać w próżni? Może w istocie nie było nadziei na powodzenie, może to wężydło było martwe od chwili, gdy zaryzykowało zostanie tutaj. Nigdy się tego nie dowiedziałem. Skurczyło się i zniknęło mi z oczu na długo, zanim *Rorschach* zanurkował pod chmury i także się ulotnił.

Oczywiście, zawsze mieliśmy ich trzy. Stroszek, Kłębek i te na wpół zapomniane, upieczone mikrofalą przez przemądrzałego robota szczątki - trzymane w lodówce tuż obok jego żywych pobratymców, żeby manipulatory Cunninghama nie miały daleko. Próbowałem wygrzebać z pamięci niedokładnie spostrzeżone szczegóły: czy obaj uciekinierzy byli kulisci, czy jeden był spłaszczony wzdłuż osi? Czy się miotaly i wymachiwały ramionami, jak spanikowany, pozbawiony gruntu pod nogami człowiek? Czy może jeden szybował sobie nieruchomo po krzywej balistycznej, dopóki nasze działka nie zniszczyły dowodów?

Teraz to nie miało znaczenia. Wreszcie wszystko stało się jasne dla wszystkich. Przelano krew, wypowiedziano wojnę.

A *Tezeusz* został sparaliżowany od pasa w dół.

Pożegnalny strzał *Rorschacha* przebił się przez skorupę u podstawy kręgosłupa. O mały włos nie rozwalil kolektora cząstek i zbiornika telematerii. Rozbiłby fabrykator, gdyby nie stracił tak wielu dzuli na przepalanie skorupy, ale poza chwilowymi efektami impulsowymi wszystkie krytyczne systemy w zasadzie działały. Sprawil tylko jedno: osłabił kręgosłup *Tezeusza* na tyle, żeby przy przyspieszeniu wystarczającym do wyjścia z orbity statek złamał się na dwoje. *Tezeusz* naprawi to uszkodzenie, ale trochę to potrwa.

Gdyby to był szczęśliwy traf, byłby wręcz niewiarygodny.

Teraz *Rorschach* zwinął swój kamieniołom i zniknął. Dostał od nas wszystko, czego chciał, przynajmniej na razie. Miał informacje: wszystkie przeżycia i przemyślenia zakodowane w ocalonych kończynach szpiegów-męczenników. A jeżeli powiodł się ryzykowny manewr Stroszka lub Kłębka, miał nawet własny okaz - i zważywszy wszystko, nawet nie mogliśmy mu mieć tego za złe. Czaił się gdzieś w niewidocznych czeluściach, może odpoczywał. Ładował baterie.

Ale wróci.

Do finałowej rundy *Tezeusz* zrzucił wagę. Zatrzymaliśmy bęben, próbując, trochę symbolicznie, zredukować liczbę wrażliwych, ruchomych części. Banda Czworoga - pozbawiona rozkazów, niepotrzebna, odarta z sensu istnienia - wycofała się w jakiś wewnętrzny dialog, w którym inne ciała były niepożądane. Pływała w obserwatorium z oczyma zamkniętymi równie dokładnie, jak ołowiane powieki wokół niej. Nie poznawałem, kto stoi za sterem.

Zgadywałem.

- Michelle?

- Siri... - odpowiedziała Susan. - Idź sobie.

Bates unosiła się przy podłodze bębna, poukładawszy swe okienka na grodzi i stole konferencyjnym.

- Co mogę zrobić? - zapytałem.

Nie uniosła wzroku.

- Nic.

Więc obserwowałem. W jednym oknie Bates liczyła ślizgacze - masę, bezwładność, tuzin innych zmiennych, które okazałyby się zbyt stałe, gdyby któryś z tych płaskonosych pocisków rzucił nam się do gardła. W końcu nas zauważyły. Ich chaotyczny, elektronowy taniec zmieniał się teraz, przyłożone pole nagle poruszyło setkami tysięcy olbrzymich młotów, tkając z nich jakąś złowrogą dynamikę, która nie ustabilizowała się jeszcze w cokolwiek przewidywalnego dla nas.

Inne okienko odtwarzało w kółko zniknięcie *Rorschacha*: jego kształt na radarze wycofujący się w głąb wiru, niknący wśród radiowego szumu teraton gazu. W pewnym sensie to nadal mogła być orbita. Wnosząc po ostatnim odcinku trajektorii, *Rorschach* mógł równie dobrze krążyć teraz wokół jądra Bena, przedzierając się przez warstwy sprężonego metanu i tlenków, które zmiażdżyłyby *Tezeusza* na pył. A może i tam się nie zatrzymał: może umiał bezpiecznie poruszać się nawet w tych jeszcze głębszych warstwach, gdzie olbrzymie ciśnienie zmieniało żelazo i wodór w ciecz.

Nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że wróci za mniej więcej dwie godziny, zakładając, że utrzyma kurs i przeżyje w głębinach. Oczywiście, że przeżyje. Potwora pod łóżkiem nie da się zabić. Można tylko nie dać mu wleźć pod kołdrę.

I tylko przez jakiś czas.

Mój wzrok przykuła błyskiem koloru któraś z ekranowych miniatur. Na mój rozkaz rozrosła się do wirującej bańki mydlanej, absurdalnie pięknej, skrzącej się błękitami tęczy z dętego szkła. Przez chwilę nie wiedziałem, co to: Big Ben, oddany w jakiejś pryzmatycznej, nierzeczywistej palecie, której nigdy nie widziałem. Chrząknąłem cicho.

Bates uniosła wzrok.

- A. Ładne, nie?

- Jakie to widmo?

- Długie fale. Widzialna czerwień, podczerwień i daleko w dół. Dobrze do termiki.

- Widzialna czerwień? - Nie widziałem jej, większość stanowiły chłodne, plazmatyczne fraktale w setkach odcieni nefrytu i szafiru.

- Paleta kwadrochromatyczna - wyjaśniła Bates. - Jak dla kota. Albo wampira. - Bez entuzjazmu zmusiła się do machnięcia ku bąblowi. - Sarasti widzi coś takiego zawsze, kiedy wyjrzy na zewnątrz. O ile wyjrzy.

- Szkoda, że nic nie powiedział - mruknąłem. To było przepiękne, jak holograficzny ornament. W takich oczach może i *Rorschach* wyglądał jak dzieło sztuki...

- Ale oni chyba nie analizują danych wzrokowych tak jak my. - Bates rozwinęła kolejne okno. Na stole rozścieliły się nudne wykresy i mapy konturowe. - Słyszałam, że nawet nie mogą pójść do Nieba. Nie nabierają się na wirtualną rzeczywistość, bo widzą piksele, albo coś.

- A jeśli on ma rację? - zapytałem. Powiedziałem sobie, że szukam tylko krótkoterminowej oceny, oficjalnej opinii do oficjalnych akt. Lecz w słowach zabrzmiały strach i wątpliwości.

Zawahała się. Przez chwilę myślałem, że może ona też w końcu straci do mnie cierpliwość. Jednak tylko uniosła wzrok i wpatrzyła się w jakiś punkt zamkniętej przestrzeni.

- A jeśli on ma rację? - powtórzyła i zamyśliła się nad pytaniem w podtekście: „Co można zrobić?”.

- Może da się sztucznie przywrócić nam nieświadomość. To pewnie poprawiłoby nasze szanse w dłuższej perspektywie. - Spojrzała na mnie, ze smętnym półuśmiechem w kąciку ust. - Tylko że to żadna wygrana, nie? Co za różnica, czy nie żyjemy, czy po prostu żyjemy i nie mamy o tym pojęcia?

Ile czasu trzeba, żeby taktyk nieprzyjaciela zauważył, że za działaniami żołnierzy stoi umysł Bates? Ile, żeby przejrzeć oczywistą logikę? Na froncie w naturalny sposób ściągałaby na siebie

większość ognia: odstrzelcie jej głowę, zabijcie ciało. Lecz Amanda Bates jest nie tylko głową: jest wąskim gardłem i jej ciało nie ucierpi od odstrzelenia głowy. Jej śmierć tylko spuściłaby żołnierzy ze smyczy. Ileż razy bardziej śmiertelne stają się te trepy, kiedy każdy bitewny odruch nie musi przechodzić przez biurokratyczny stos czekających na podstemplowanie papierów?

Koncepcja Szpindla była do niczego. Amanda Bates nie była politycznym ustępstwem: jej rola nie przeczyła faktom, mówiącym, że ludzki nadzór należy już do historii. Jej rola na tym polegała.

Była mięsem armatnim bardziej niż ja. Od zawsze. Musiałem przyznać, że po tylu pokoleniach generałów całe życie marzących o glorii atomowego grzyba to była całkiem skuteczna strategia odstręczenia podżegaczy wojennych od bezsensownej przemocy. W armii Bates podjęcie walki oznaczało stanięcie na polu bitwy z wymalowaną na piersi tarczą strzelniczą.

Nic dziwnego, że jest tak przywiązana do pokojowych alternatyw.

- Przepraszam - powiedziałem cicho.

Wzruszyła ramionami.

- To jeszcze nie koniec. Dopiero pierwsza runda. - Wzięła głęboki wdech i wróciła do studiów nad mechaniką procy. - *Rorschach* nie starałby się ze wszystkich sił tak nas nastraszyć, gdybyśmy nie byli w stanie nic mu zrobić.

Przełknąłem ślinę.

- No tak.

- Czyli mamy jeszcze szansę. - Kiwnęła głową. - Mamy jeszcze szansę.

* * *

Demon poustawiał figury do ostatecznej rozgrywki. Niewiele mu zostało. Żołnierza dał na mostek. Zbędnych lingwistów i dyplomatów powadził z powrotem do trumien, poza zasięg wzroku.

Żargonautę zaś wezwał do siebie - nie miał cienia wątpliwości, że usłucham. I usłuchałem. Przyszedłem na rozkaz i zobaczyłem, że otoczył się twarzami.

Wszystkie, co do jednej, wrzeszczały.

Dźwięku nie było. Pozbawione ciał hologramy krążyły w milczących rzędach wokół bąbla, każdy wykrzywiony innym wyrazem bólu. Cierpiały, te twarze o tuzinie prawdziwych ras i dwakroć tylu hipotetycznych, odcieniu skóry od węglowego po albinoski, brwiach uniesionych lub pochyłych, perkaty i ostrych nosach, szczękach prognatycznych i cofniętych. Sarasti powołał do życia całe drzewo genealogiczne hominidów, zdumiewające różnorodnością rysów i przerażające jednostajnością wyrazu twarzy.

Morze udręczonych główek, wirujących na powolnych orbitach wokół mojego dowódcy-wampira.

- Rany, co to jest?

- Statystyki. - Sarasti wydawał się skupiony na obdzieranym ze skóry azjatyckim dziecku. - Allometria wzrostu *Rorschacha* za ostatnie dwa tygodnie.

- Ale to twarze...

Kiwnął głową, wpatrzywszy się w pozbawioną oczu kobietę.

- Średnica czaszki odwzorowuje masę całkowitą. Długość zuchwy - przepuszczalność elektromagnetyczną przy jednym angstremie. Każda ze stu trzydziestu charakterystyk twarzy przedstawia inną zmienną. Kombinacje wartości podstawowych i składowych są rozbijane na

proporcje kilku cech. - Odwrócił się do mnie, delikatnie zezując w bok nagimi, lśniąco-czarnymi oczyma. - Zdziwiłbyś się, ile szarych komórek specjalizuje się w analizie twarzy. Szkoda marnować ją na coś tak... nieintuicyjnego jak wykresy rezyduów czy tabele kombinacji.

Poczułem, że zaciskam zęby.

- A miny? Co one oznaczają?

- Ten program dostosowuje wyniki do użytkownika.

Galeria udręczonych błagała o litość.

- Jestem zoptymalizowany do polowania - przypomniał delikatnie.

- Myślisz, że nie wiem - powiedziałem po chwili.

Wzruszył ramionami, niepokojąco po ludzku.

- No, pytaj.

- Co chciałeś, Jukka? Chcesz mi udzielić kolejnej pogłądowej lekcji?

- Omówić nasz kolejny ruch.

- Jaki ruch? Nawet nie możemy uciec.

- Nie. - Pokręcił głową, obnażając spiczaste zęby w wyrazie przypominającym ubolewanie.

- Dlaczego tyle czekaliśmy? - Całą moją ponurą buntowniczość diabli wzięli. Brzmiałem teraz jak przestraszone, błagalnie proszące dziecko. - Czemu po prostu nie zabraliśmy się za niego zaraz po przylocie, gdy był słabszy?

- Musieliśmy się czegoś dowiedzieć. Na przyszłość.

- Na przyszłość? Myślałem że *Rorschach* to nasienie dmuchawca. Po prostu go tutaj... przywiało.

- Przypadkiem. Ale wszystkie dmuchawce są klonami. I jest ich legion. - Kolejny uśmiech, w najmniejszym stopniu nieprzekonujący. - Może ssaki łożyskowe nie za pierwszym razem podbijają Australię.

- On nas zanihiluje. Nawet nie potrzeba mu tych plazmowych kul, rozwali nas na pył jednym z tych ślizgaczy. W sekundę.

- Ale on nie chce.

- Skąd wiesz?

- Też chce się czegoś dowiedzieć. Chce nas całych. To zwiększa nasze szanse.

- Ale nie na tyle, by wygrać.

To był dla niego bodziec. W tym momencie wujek Drapieжник miał się uśmiechnąć z politowaniem nad moją naiwnością i powierzyć mi tajemnicę. „Przecież jesteśmy uzbrojeni po zęby”, miał powiedzieć. „Myślisz, że przylecielibyśmy aż tutaj na spotkanie z wielkim nieznanym, nie mając czym się bronić? Teraz mogę wreszcie ujawnić, że opancerzenie i broń stanowią ponad połowę masy statku...”.

To miał być jego bodziec.

- Nie - powiedział. - Wygrać nie wygramy.

- Czyli po prostu czekamy. Czekamy na śmierć przez kolejne... kolejne sześćdziesiąt osiem minut...

Sarasti pokręcił głową.

- Nie.

- Ale... - zacząłem.

- Aha - skończyłem po chwili.

Bo przecież dopiero co napełniliśmy sobie zbiorniki antymaterią. *Tezeusz* nie był wyposażony w broń. *Tezeusz* cały był bronią. A my naprawdę mieliśmy siedzieć tu przez kolejne sześćdziesiąt

osiem minut i czekać na śmierć.

Ale kiedy nadejdzie, zabierzemy *Rorschacha* ze sobą.

Sarasti nic nie odpowiedział. Zastanawiałem się, co widzi, kiedy na mnie patrzy. Zastanawiałem się, czy za tymi oczyma faktycznie kryje się jakiś Jukka Sarasti, czy swoją przenikliwość, zawsze dziesięć kroków przed nami, zawdzięcza nie tyle fantastycznym zdolnościom analitycznym, ile wyświechtanej prawdzie, że dobrze pozna tylko swój swego.

Czyją stronę, myślałem, wzięłoby automat?

- Masz jeszcze inne powody do obaw - powiedział.

Przysunął się do mnie; przysięgam, że wszystkie te przerażone twarze śledziły go oczami. Przez moment mi się przypatrywał, marszcząc skórę wokół oczu. Może to tylko jakiś bezmyślny algorytm przetwarzał wzrokowe dane wejściowe, korelował proporcje wymiarów i tiki twarzy, wpuszczając wszystko do wyjściowej procedury, niemającej więcej świadomości niż program statystyczny. Może w twarzy tego stwora nie było więcej iskry niż we wszystkich innych, w milczeniu leących jego śladem i krzyczących.

- Czy Susan się ciebie boi? - zapytał stwór przede mną.

- Su... czemu miałyby?

- Ma w głowie cztery świadome istoty. Jest cztery razy bardziej świadoma od ciebie. Więc powinieneś być zagrożeniem.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To czemu miałbyś widzieć zagrożenie we mnie?

I nagle przestałem się przejmować. Roześmiałem się w głos, mając minuty życia i nic do stracenia.

- Czemu? Może dlatego, że jesteś moim naturalnym wrogiem, ty skurwysynu. Może dlatego, że cię znam, że nie potrafisz nawet spojrzeć na żadne z nas, nie wysuwając przy tym pazurów. Może dlatego, że rozciąłeś mi rękę i zmaltretowałeś mnie bez powodu...

- Mogę sobie wyobrazić, jak to jest - powiedział cicho. - Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił jeszcze raz.

Zamilkłem natychmiast.

- Wiem, że twoja rasa nie jest z moją specjalnie zaprzyjaźniona. - W głosie, a może i na twarzy, miał zimny uśmiech. - Ale robię tylko to, co mi każecie. A ty, Keeton, racjonalizujesz. Bronisz. Odrzucasz nieprzyjemne prawdy, a jeśli nie dadzą się odrzucić, trywializujesz je. Stopniowane dowody nigdy cię nie zadowolają. Słyszysz plotki o holokauście, zaprzeczasz im. Widzisz dowody ludobójstwa, upierasz się, że nie jest aż tak źle. Temperatury rosną, topią się lodowce - wymierają gatunki - a ty oskarżasz plamy na słońcu i wulkany. Wszyscy są tacy, ale ty najbardziej. Ty i twój chiński pokój. Zamieniasz niezrozumienie w matematykę, odrzucasz prawdę, nawet nie wiedząc, jaka jest.

- Dla mnie to się dobrze sprawdzało. - Uderzyła mnie łatwość, z jaką ująłem moje życie w czasie przeszłym.

- Tak, jeśli twoim celem było przekazywać. Teraz musisz przekonać. Musisz uwierzyć.

Kryły się w tym implikacje, w które nie ośmielałem się uwierzyć.

- Twierdzisz, że...

- Nie wolno nam pozwolić, żeby ta prawda się stopniowo przesączała. Nie można dać ci szansy na rozbudowanie uzasadnień i murów obronnych. Muszą upaść w jednej chwili. Musisz być przytłoczony. Zdruzgotany. Trudno zaprzeczać ludobójstwu, kiedy siedzisz po szyję w poćwiartowanych trupach.

Pogrywał mną. Cały czas. Warunkował mnie, wywracając mi topologię na nice.

Wiedziałem, że coś się dzieje, ale nie wiedziałem co.

- Wszystko to bym przejrzał - powiedziałem - gdybyś nie kazał mi się angażować.

- Może nawet wyczytałbyś to ze mnie.

- A, to dlatego ty... - Pokręciłem głową. - Myślałem, że to dlatego, że jesteśmy mięsem.

- To też - przyznał Sarasti i spojrzał mi prosto w oczy.

Po raz pierwszy odwzajemniłem to spojrzenie. I wstrząsnęło mną zrozumienie.

Cały czas się zastanawiam, czemu nigdy tego nie widziałem. Przez tyle lat pamiętałem myśli i uczucia jakiejś młodszej, innej osoby, jakichś pozostałości po chłopcu, którego moi rodzice wycięli mi z głowy, żeby zrobić miejsce dla mnie. On był żywy. Miał bogaty świat. I choć umiałem przywoływać wspomnienia z tamtej świadomości, ograniczany moją własną, prawie nic w nich nie czułem.

Może „śnienie” to w gruncie rzeczy całkiem trafne słowo...

- Opowiedzieć ci wampirzą bajkę? - zapytał Sarasti.

- Wampiry mają bajki?

Wziął to pytanie za potaknięcie.

- Kazał laserowi znaleźć ciemność. A skoro żyje w pomieszczeniu, które nie ma drzwi, okien, ani żadnego innego źródła światła, myśli, że to będzie łatwe. Ale gdzie tylko się obróci, widzi jasność. Każda ściana, każdy mebel, na który spojrzy, są jasno oświetlone. W końcu dochodzi do wniosku, że nie ma ciemności, że wszędzie jest światło.

- O czym ty, kurna, gadasz?

- Amanda nie planuje buntu.

- Co? Ty wiesz...?

- Nawet nie chce. Możesz ją zapytać.

- Nie... ja...

- Przecież cenisz sobie obiektywność.

To było tak oczywiste, że nawet nie chciało mi się odpowiadać.

Kiwnął głową, jakbym jednak odpowiedział.

- Syntetycy nie mogą mieć własnego zdania. Więc nawet jeśli wydaje ci się, że je masz, i tak należy do kogoś innego. Załoga tobą pogardza. Amanda chce, żebym zdał dowodzenie. „Ty” to połowa „my”. Odpowiednie słowo to chyba „projekt”. Chociaż... - przekrzywił głowę - ...ostatnio się poprawiłeś. Chodź. Do służby wahadłowców. Czas wykonać zadanie.

- Ja...

- Masz przeżyć i zdać relację.

- Przecież robot...

- Może przekazać dane. Zakładając, że nic nie sfajczy mu pamięci, zanim odleci. Ale nie potrafi nikogo przekonać. Nie może przeciwstawić się racjonalizacjom i wyparciom. Nie będzie się liczył. A wampiry... - zawahał się - mają kiepskie umiejętności komunikacyjne.

Powiniennem poczuć płytką, egoistyczną radość.

- Mówisz, że wszystko ode mnie zależy. Jestem tu, kurwa, nadwornym stenografem, ale wszystko ode mnie zależy.

- Tak. Wybacz mi to.

- Mam ci wybaczyć?

Sarasti machnął ręką. Zniknęły wszystkie twarze, oprócz dwóch.

- Bo nie wiem, co czynię.

Wieść rozniosła się po ConSensusie, zanim Bates wypowiedziała ją głośno: nie trzynastcie ślizgaczy wysunęło się o czasie zza Big Bena. Szesnaście. Dwadzieścia osiem.

Coraz więcej.

Sarasti młaskał, gdy razem z Bates próbowali dorównać wrogowi. Ekran taktyczny wypełniały się świetlistymi, wielokolorowymi nitkami, zawila jak sztuka płataniną stale korygowanych prognoz. Włókna spowijały Bena jak kokon z przędzy. *Tezeusz* zaś był nagą kreseczką w średniej odległości.

Spodziewałem się, że pewna liczba tych linii przebije nas jak igła owada. Jednak, co zadziwiające, żadna aż tak nie trafiała - choć prognozy sięgały zaledwie na dwadzieścia pięć godzin w przyszłość, a jaką taką wiarygodność miały przez połowę tego. Nawet Sarasti i Kapitan nie sięgali myślą aż tak daleko przy żonglowaniu tyłoma piłeczkami. Stanowiło to jednak minimalną odrobinę pociechy: że te pędzące molochy nie mogą tak po prostu sięgnąć i rozgnieść nas bez ostrzeżenia. Wyraźnie musiały wchodzić na taką krzywą z wysiłkiem.

A po nurkowaniu *Rorschacha* zaczynałem już myśleć, że prawa fizyki nie obowiązują.

Jednak te trajektorie przechodziły już dość blisko. Za następnym okrążeniem co najmniej trzy ślizgacze miną nas o sto kilometrów.

Sarasti sięgnął po strzykawkę, do twarzy napływała mu krew.

- No, lecimy. Przygotowaliśmy *Charybdę*, kiedy byłeś obrażony.

Strzelił sobie porcję w szyję. Wpatrzyłem się w ConSensus, zahipnotyzowany jasną zmienną siecią, jak ćma latarnią.

- No już, Siri.

Wypchnął mnie ze swojej kajuty. Popłynąłem w korytarz, chwyciłem jakiś stopień - i zatrzymałem się.

Na kręgosłupie roiło się od trepów, patrolujących przestrzeń powietrzną, strzegących maszyn fabrykatora i śluz, trzymających się szczebli drabin jak gigantyczne insekty. Sam kręgosłup powoli, w ciszy, się wydłużał.

Potrafi coś takiego, przypomniałem sobie. Jego fałdy napinały się i rozluźniały jak mięśnie - mógł urosnąć nawet do dwustu metrów, żeby zmieścić jakiś nagle potrzebny większy hangar czy laboratorium.

Albo większą armię. *Tezeusz* powiększał pole bitwy.

- Chodź. - Wampir skierował się ku rufie.

Bates, gdzieś na dziobie, przerwała nam.

- Coś się dzieje.

Minął nas awaryjny panel dotykowy, przyczepiony przylgami do rozszerzającej się grodzi. Sarasti chwycił go i wystukał parę poleceń. Na grodzi wyświetliła się transmisja od Bates: mały skrawek Big Bena, równikowy kwadrant o boku zaledwie paru tysięcy kilosów, widziany w szerokim paśmie elektromagnetycznym. Kłębiły się tam chmury, zasupłane w cyklon wirujący niemal za szybko, jak na czas rzeczywisty. Nakładka opisywała cząstki naładowane, kreślące ciasną spiralę Parkera. Zdradzały, że ku górze idzie olbrzymia masa.

Sarasti mlasnął.

- Można włączyć tensory? - zapytała Bates.

- Jest tylko optyczna. - Sarasti wziął mnie za rękę i bez wysiłku pociągnął ku rufie. Obraz sunął po grodzi razem z nami: tymczasem siedem ślizgaczy wystrzeliło z chmur, nierówny krąg strumieniowych naddźwiękowców parł, rozszarzony, w przestrzeń. ConSensus natychmiast kreślił ich trajektorię; świetliste łuki unosiły się nad naszym statkiem jak pręty klatki.

Tezeusz się zatrząsł.

Trafiony, pomyślałem. Powolny wzrost kręgosłupa dostał nagłego kopa: plisowana powłoka szarpnęła i przyspieszyła, mijając moje wyciągnięte palce, a zamknięty właz ruszył naprzód...

Ruszył do góry.

Ściany wcale się nie poruszały. To my spadaliśmy, a wokół nagle rozjęczały się alarmy.

Coś prawie wyrwało mi ramię ze stawu: Sarasti jedną ręką chwycił się szczebla, drugą sięgnął i złapał mnie, zanim obaj rozsmarowaliśmy się na fabrykatorze. Zwisaliśmy. Musiałem ważyć ze dwieście kilogramów; dziesięć metrów pod moimi stopami dygotała podłoga. Statek jęczał. Kręgosłup wypełnił się zgrzytem skręcanego metalu. Roboty Bates łapały się go szponiastymi stopami.

Sięgnąłem ku drabinie. Zrobiła unik: statek zginał się w połowie i „dół” zaczął już wchodzić na ścianę. Lecieliśmy z Sarastim ku środkowi kręgosłupa, jak segmentowe wahadło.

- Bates! James! - ryknął wampir. Chwył na moim przegubie osłabł, przesunął się. Wyciągnąłem się ku drabinie, zakołysałem, złapałem.

- Susan James zamknęła się na mostku i wyłączyła automatyczne procedury przejęcia kontroli. - Nieznajomy głos, płaski i beznamiętny. - Dokonała nieautoryzowanego włączenia ciągu. Rozpocząłem procedurę kontrolowanego wyłączenia reaktora; zwracam uwagę, że główny napęd będzie niedostępny przez przynajmniej dwadzieścia siedem minut.

To statek, zrozumiałem. Jego spokojny głos wybijał się ponad alarm. Kapitan we własnej osobie. Kapitan do wszystkich.

To dopiero było niezwykle.

- Mostek! - warknął Sarasti. - Kanał głosowy!

Ktoś tam coś krzyczał, ale nie słyszałem co.

Sarasti bez ostrzeżenia puścił się.

Runął ukośnie, zamazany. Gródź rufowa naprzeciwko czekała, by zmiażdżyć go jak owada. Za pół sekundy połamię sobie nogi, o ile nie zabije się na miejscu...

Lecz nagle znów staliśmy się nieważcy, a Jukka Sarasti, z purpurową twarzą, sztywnymi kończynami, miał pianę na ustach.

- Reaktor wyłączony - zameldował kapitan.

Sarasti odbił się od ściany.

Ma atak, zdałem sobie sprawę.

Puściłem drabinę i odepchnąłem się ku rufie. *Tezeusz* zakołysał się krzywo wokół mnie. Sarasti unosił się, miotany konwulsjami, z jego ust wydobywały się urywane mlaśnięcia, syknięcia i rżenie. Oczy miał tak wytrzeszczone, jakby nie miały powiek. Źrenice były punkcikami lustrzanej czerwieni. Mięśnie twarzy drgały, jakby usiłowały z niej odpełznąć.

Roboty bitewne za nami i przed nami utrzymywały pozycje, nie zwracając na nic uwagi.

- Bates! - wrzasnąłem wzdłuż kręgosłupa. - Potrzebna pomoc!

Wszędzie kąty proste. Szwy na płytach pancerza. Ostre cienie i wystające elementy na powierzchni każdego trepa. Macierz 2x3 prostokątnych wcięć o czarnych obrysach, unosząca się tuż nad głównym obrazem ConSensusa - dwa wielkie, przecinające się krzyże dokładnie tam, gdzie wisiał przed chwilą Sarasti.

To niemożliwe. Dopiero co brał antyeuklidesy, sam widziałem. Chyba że...

Ktoś się dobrał do jego leków.

- Bates! - Powinna mieć łączność z trepami, a one zareagować na pierwszą oznakę problemów. Powinny już wlec dowódcę do ambulatorium. Czekają, obojętne i nieruchome. Wbiłem wzrok w najbliższego. - Bates, jesteś tam? - A potem, na wypadek gdyby jej nie było, przemówiłem do samego trepa: - Jesteś autonomiczny? Przyjmujesz rozkazy głosowe?

Roboty przyglądały się ze wszystkich stron; Kapitan naśmiewał się ze mnie głosem udającym alarm.

Ambulatorium.

Pchałem. Ręce Sarastiego trzepały bezładnie o moją głowę i ramiona. Przetoczył się naprzód, bokiem, centralnie zderzając się z ruchomym ekranem ConSensusa, odbił się ku kręgosłupowi. Kopnąłem, poleciałem za nim...

...dostrzegając coś kątem oka...

...odwróciłem się...

...a pośrodku ConSensusa, ze skłębionej powierzchni Bena wyskoczył *Rorschach*, jak wieloryb ponad fale. To nie było tylko poszerzone o elektromagnetykę pasmo: on naprawdę się żarzył, głęboką gniewną czerwienią. Rozjuszony, rzucił się w kosmos, wielki jak górski łańcuch.

Kurwa kurwa kurwa.

Tezeusz się zachybotał. Światła mignęły, zgasły, znów się zapaliły. Obracająca się gródź pacnęła mnie w plecy.

- Przejdźcie na zasilanie awaryjne - oznajmił spokojnie Kapitan.

- Kapitanie! Sarasti padł! - Kopnąłem najbliższą drabinę, zderzyłem się z trepem i popłynąłem w przód, ku wampirowi. - Bates nie... co mam robić?

- Moduł nawigacyjny wyłączony. Nerwy obwodowe prawej burty wyłączone.

On nawet nie mówi do mnie, uświadomiłem sobie. Może to w ogóle nie Kapitan. Może to czysty odruch: wypluwające publiczne obwieszczenia drzewo dialogowe. Może *Tezeusz* już jest po lobotomii. Może gada tylko jego pień mózgu.

Znów ciemność. Potem migotanie.

Jeśli Kapitan zginął, mamy przesrane.

Jeszcze raz popchnąłem Sarastiego. Alarm wciąż jęczał. Bęben miałem dwadzieścia metrów przed sobą; BioMed tuż za tym zamkniętym włazem. Pamiętałem, że wcześniej był otwarty. Ktoś go zamknął w ostatnich dwudziestu minutach. Na szczęście *Tezeusz* nie miał zamków na drzwiach.

Chyba że Banda zabarykadowała je przed opanowaniem mostka...

- Wszyscy zapiąć pasy! Uciekamy stąd!

Kto, do cholery...?

Kanał głosowy na mostek. Susan James, krzycząca tam. Albo ktoś inny, nie bardzo mogłem rozpoznać ten głos...

Dziesięć metrów do mostka. *Tezeusz* znów szarpnął, spowolnił obrót. Ustabilizował się.

- Niech ktoś włączy ten pieprzony reaktor! Ja mam tu tylko silniczki korekcyjne!

- Susan? Sascha? - Znalazłem się przy włazie. - Kto mówi? - Pchnąłem nieprzytomnego Sarastiego i wyciągnąłem rękę, żeby otworzyć właz.

Żadnej reakcji.

W każdym razie nie z ConSensusa. Za plecami usłyszałem stłumiony pomruk, dosłownie ułamek sekundy za późno dostrzegłem złowrogie przesunięcia cieni. Odwróciłem się w samą porę, by ujrzeć, jak trep unosi zaostrzoną końcówkę - zakrzywioną jak bułat - nad głowę Sarastiego.

Odwrociłem się w samą porę, by ujrzeć, jak zanurza się w jego czaszce.

Zamarłem. Metalowa trąbka cofnęła się, ciemna i oślizła. Boczne szczękonożki zaczęły podgryzać podstawę czaszki Sarastiego. Ciało, z przeciętym rdzeniem, nie szarpało się już; drgało tylko, worek zalanych szumem mięśni i nerwów motorycznych.

Bates.

To był jej bunt. Nie, ich bunt - Bates i Bandy. Wiedziałem. Wyobraziłem sobie. Ja wiedziałem, że to się stanie.

A on mi nie uwierzył.

Światła znów zgasły. Alarm zamilkł. ConSensus skurczył się do migocącego zawijasa na grodzi i zniknął; w ostatniej chwili coś w nim dostrzegłem, ale nie chciałem tego zrozumieć. Słyszałem, że oddech więźnie mi w gardle, czułem idące przez mrok kanciaste potwory. Na wprost mnie coś rozbłysło, krótkie, jaskrawe staccato w pustce. Dostrzegałem kontury jakichś niewiarygodnych krzywych i krawędzi. Bzyknięcia zwarć w obwodach. Gdzieś niedaleko zderzały się niewidoczne metalowe przedmioty.

Za mną otworzył się właz do bębna. Gdy się odwracałem, niespodziewanie uderzył mnie promień ostrego chemicznego światła, rozjaśniając mechaniczne szeregi za mną; jednocześnie odpięły się od mocowań i uniosły swobodnie w przestrzeni. Ich stawy szczękały unisono.

- Keeton! - zawołała Bates, przepływając przez właz. - Cały i zdrowy? Chemiczna lampa płonęła na jej czole. Zamieniała wnętrze kręgosłupa w kontrastową mozaikę, same jasne powierzchnie i ostre ruchome cienie. Zalała blaskiem trepa, który zabił Sarastiego; robot odbił się od wiązki, nagle tajemniczo bezwładny. Oświetliła Sarastiego. Trup obracał się powoli wokół własnej osi. Od głowy odrywały się kuliste karmazynowe paciorki, jak krople wody z przeciekającego kranu. Rozchodziły się otwartą spiralą, podświetlaną czołówką Bates; spiralne ramię pełne ciemnorubinowych słońc.

Cofnąłem się.

- Ty...

Odepchnęła mnie na bok.

- Nie zasłaniaj włazu, chyba że chcesz przejść. - Wzrok miała utkwiony w stojących w szeregu trepach. - Muszą być na linii wzroku.

Odbijaliśmy się w rzędach szklistych oczu wzdłuż korytarza, kolejno oświetlanych i znów zapadających w mrok.

- Zabiłaś Sarastiego.

- Nie.

- Ale...

- Jak myślisz, Keeton, kto to wszystko wyłączył? Całe to cholerstwo poszło w diabły, ledwo mi się udało włączyć autodestrukcję. - Na moment mocno skupiła na czymś wzrok; daleko wzdłuż kręgosłupa ocalałe roboty rozpoczęły misterny wojskowy balet, ledwo widoczne w ruchomym stożku czołówki.

- Lepiej - powiedziała Bates. - Nie powinny już szaleć. O ile nie oberwiemy niczym mocniejszym.

- A czym teraz dostajemy?

- Błyskawicami. EMR - Roboty podplłynęły do fabrykatora i wahadłowców, zajmując strategiczne pozycje wzdłuż rury. - *Rorschach* zgromadził jakiś potworny ładunek i teraz, kiedy przelatuje między nami któryś ze ślizgaczy, to iskrzy.

- Cooo, na taką odległość? Myślałem, że... ciąg...

- Popchnął nas w złą stronę. Lecimy do środka.

Trzy trepy podpłynęły do nas na wyciągnięcie ręki. Wzięły na cel otwarty właz do bębna.

- Mówiła, że próbuje uciec... - przypomniałem sobie.

- Ale spieprzyła.

- Aż tak bardzo? Niemożliwe. - Wszyscy mieliśmy uprawnienia do ręcznego pilotażu. Na wszelki wypadek.

- Nie w przypadku Bandy - powiedziała Bates.

- Ale...

- Ona chyba ma w głowie kogoś nowego. Parę podmodułów spięło się razem i jakimś sposobem obudziło, czy coś, nie wiem. Ale ten ktoś po prostu spanikował.

Oślepiająca jasność ze wszystkich stron. Listwy świetlne kręgosłupa zamigotały i wreszcie zapaliły się równo, na pół zwykłej mocy.

Tezeusz kaszlnął szumem i przemówił:

- ConSensus jest wyłączony. Reak...

- Widziałem coś - powiedziałem. - Zanim zgasł ConSensus.

- Taa.

- To były...?

Zatrzymała się przy włazie.

- Pewnie.

Widziałem wężydła. Całe setki, żeglujące nago przez próżnię, z rozpostartymi ramionami. Przynajmniej niektórymi.

- Trzymały...

Bates skinęła głową.

- Broń. - Na moment skupiła wzrok gdzieś w oddali. - Pierwsza fala atakuje dziób. Bąbel i dziobową śluzę. Druga idzie na rufę. Hm. Ja bym zrobiła odwrotnie.

- Jak daleko?

- Daleko? - Uśmiechnęła się słabo. - Siri, one już są na kadłubie. Wkraczamy do walki.

- Co mam robić? Co mam robić?

Wbiła wzrok w coś poza mną i rozszerzyła oczy. Rozdziawiła usta.

Ktoś za moimi plecami ścisnął mnie za ramię i odwrócił.

Sarasti. Martwe oczy gapiły się z czaszki rozpekniętej jak nadziewany melon. Kropelki krzepnącej krwi kleiły się do włosów i skóry niczym opite kleszcze.

- Idź z nim - powiedziała Bates.

Sarasti mruknął i mlasnął nieartykułowanie.

- Co... - zacząłem.

- Już. To rozkaz. - Bates odwróciła się do włazu. - Będziemy cię osłaniać.

Wahadłowiec.

- Ty też.

- Nie.

- Czemu nie? One lepiej walczą bez ciebie, sama mówiłaś! To nie ma sensu!

- Keeton, nie mogę zostawić sobie żadnej furtki, wtedy wszystko traci sens. - Pozwoliła sobie na nieznaczny smutny uśmiech. - No, przebiły się. Idź.

Odplynęła, budząc za sobą nowe alarmy. Gdzieś z dala, z dziobu dobiegł szelest zatrząskujących się śluz w grodziach.

Żywe zwłoki Sarastiego zagulgotały i pchnęły mnie wzdłuż kręgosłupa. Cztery kolejne trepy

przepłynęły gładko mimo nas i zajęły pozycje z tyłu. Spojrzałem przez ramię, w samą porę, by zauważyć, że wampir zrywa ze ściany panel dotykowy. Lecz to oczywiście wcale nie był Sarasti. To był Kapitan - cokolwiek z niego zostało w tym momencie walki - wykorzystujący we własnych celach jeden z peryferyjnych interfejsów. Z karku Sarastiego ostentacyjnie sterczał port optyczny, tam gdzie przedtem wchodził kabel; przypomniałem sobie przeżuwające szczękonożki robota.

Za plecami rozległy się dźwięki broni i rykoszetów.

Posuwaliśmy się naprzód, a trup cały czas pisał coś jedną ręką. Przez chwilę zastanawiałem się, czemu po prostu nie mówi, potem zerknąłem na szpikulec w mózgu - ośrodek mowy Sarastiego na pewno był jedną miazgą.

- Czemu go zabiłeś? - zapytałem.

Zadźwięczał całkiem nowy alarm, gdzieś w bębnie. Nagły powiew szarpnął mnie w tył, w następnej sekundzie zniknął z odległym brzęknięciem.

Zwłoki uniosły panel dotykowy, wyświetlający klawisze i pole tekstowe: *Atak. Nie kontrol.*

Znaleźliśmy się przy śluzie. Roboty-żołnierze przepuściły nas, skupione na czymś innym.

Idź - napisał Kapitan.

W oddali ktoś wrzasnął. Daleko w górze kręgosłupa zatrzasnął się właz; odwróciwszy się, dostrzegłem przy nim dwa spawające trepy. Miałem wrażenie, że poruszają się szybciej niż kiedykolwiek. Ale może to tylko wyobraźnia.

Wrota prawej śluzy odsunęły się. Zamrugały wewnętrzne światła *Charybdy*, blask rozproszył się w korytarzu; w porównaniu z nim awaryjne lampki wydały się jeszcze ciemniejsze. W kabinie prawie nie było miejsca - tylko jedna otwarta trumna, wtłoczona między zbiorniki z paliwem, płynem chłodzącym oraz ogromne, dorobione niedawno absorbery wstrząsów. *Charybda* została przystosowana do dużych przyspieszeń i dużego zasięgu.

I do mnie.

Zwłoki Sarastiego ponaglały mnie z tyłu. Odwróciłem się ku nim.

- Czy to w ogóle był on?

Idź.

- Powiedz mi. Czy on w ogóle mówił za siebie? Decydował sam? Czy my w ogóle wykonywaliśmy jego rozkazy, czy przez cały czas były twoje?

Żywo-trupie oczy Sarastiego gapiły się na mnie, szkliste, nierozumiejące. Palce zadrgały na panelu.

Nie lubcie maszyny rozkaz. Tak lepsz.

Pozwoliłem mu się przypiąć i zamknąć wieko. Leżałem w ciemności, czując, jak ciało się przesuwa i przechyla, gdy wahadłowiec zjeżdża do wyrzutni. Przetrzymałem nagłą ciszę, gdy puszczały uchwyty doku, szarpnięcie przyspieszenia, które brutalnie wypłuło mnie w próżnię, stały ciąg, uciskający mi pierś jak miękka góra. Wokół mnie wahadłowiec dygotał w kleszczach przyspieszenia o wiele przekraczającego dopuszczalne wartości.

Moja wszczepka z powrotem się włączyła. Nagle mogłem widzieć, co jest na zewnątrz, gdybym tylko zechciał. Mogłem zobaczyć, co się dzieje za mną.

Postanowiłem, umyślnie i stanowczo, że tego nie zrobię. Ale i tak spojrzałem.

Tezeusz już się kurczył, nawet na skali taktycznej. Kolebiąc się, szybował w dół studni na spotkanie z wrogiem - to musiał być jakiś celowy, zaimprovizowany w ostatniej chwili manewr, mający zanieść ładunek maksymalnie blisko celu. *Rorschach* unosił się ku niemu, rozprostowując sękate, spiczaste ramiona, jakby chciał go wziąć w objęcia. Ale w tej panoramie największe wrażenie robili nie aktorzy, lecz dekoracja: skłębione oblicze Big Bena, wypełniający okno kipiący

wir cyklonu. Na kolorowej nakładce ciasno wiły się linie pola magnetycznego: *Rorschach* ciągnął za sobą magnetosferę Bena, jak jaskrawą, rozwirowaną chmurę, zwijając ją w ciasny supeł, rosnący, jaśniejący, pęczniejący...

- Jak rozbłysk karła klasy L - powiedział kiedyś mój dowódca - tylko że powinno być tam coś dużego, żeby wywołać taki efekt, a niebo w tym kierunku jest ciemne. Unia Astronomiczna nazywa to „statystycznym artefaktem”.

I w istocie tak było. Może rozbłysk od uderzenia, a może jaskrawa eksplozja jakiegoś potężnego źródła energii, restartującego się po milionletnim uspieniu. Coś jak tutaj: słoneczny rozbłysk bez słońca. Działo magnetyczne, dziesięć tysięcy razy silniejsze, niż pozwala natura.

Obie strony wyciągnęły broń. Nie wiem, kto strzelił pierwszy, i czy w ogóle ma to znaczenie: ile ton antimaterii trzeba, żeby zmierzyć się z kimś, kto potrafi wycisnąć moc Słońca z gazowej kuli niewiele większej od Jowisza? Może *Rorschach* też pogodził się z porażką, może obie strony uciekły się do samobójczego ataku?

Nie wiem. Dosłownie parę minut przed eksplozją zasłonił mnie Big Ben. Pewnie dlatego nadal żyję. Ben wszedł pomiędzy mnie a ten płomienny blask, jak trzymana przed twarzą moneta.

Tezeusz wysłał w eter wszystko co mógł, aż do ostatniej mikrosekundy. Każdą zarejestrowaną chwilę walki wręcz, ostatniego odliczania, aż po ostatnią kroplę krwi. Wszystkie ruchy i wszystkie wektory. Mam tutaj tę telemetrię. Mogę ją rozbić na dowolną liczbę kształtów, ciągłych lub dyskretnych. Mogę przekształcać topologię, obracać ją, kompresować i tłumaczyć na wszystkie dialekty, jakie mogą zrozumieć nasi sprzymierzeńcy. Może Sarasti miał rację, może coś z tego jest niezwykle ważne.

Ja w ogóle nie wiem, co te rzeczy znaczą.

CHARYBDA

Kiedyś gatunki wymierały. Teraz po prostu mają przerwy.

Deborah MacLennan,
„Tables of Our Reconstruction”

- Biedaku - powiedziała Chelsea, kiedy się rozstawaliśmy. - Czasem tak sobie myślę, że ty nigdy nie odczujesz samotności.

Wtedy zastanawiałem się, czemu to zabrzmiało tak smutno.

Teraz żałuję, że nie miała racji.

Zdaję sobie sprawę, że moja opowieść nie toczy się gładko. Musiałem ją rozdrobnić i nizać te fragmenty przez dziesięciolecia śmierci. Żyję bowiem tylko po jednej godzinie na dziesięć tysięcy. Szkoda, że tak trzeba. Zdecydowanie wolałbym przespać cały powrót, uniknąć męki tych krótkich, poklatkowych przebudzeń.

Tylko że umarłbym we śnie, żywe ciała bowiem świecą skumulowanymi przez całe życie radioaktywnymi izotopami, maleńkimi, błyszczącymi odłamkami, niszczącymi komórkowe urządzenia na poziomie molekularnym. Normalnie to nie jest problemem. Żyjące komórki naprawiają te szkody na bieżąco. Ale moje, żywo-trupie, pozwalają tym błędom nawarstwiać się z czasem, a podróż do domu trwa o wiele dłużej niż w tamtą stronę: leżę więc w letargu i koroduję. Dlatego pokładowy komputer budzi mnie od czasu do czasu, żeby pozwolić miechu trochę się połatać.

Od czasu do czasu gada do mnie, podaje systemowe statystyki, informuje o najnowszych wieściach z domu. Na ogół jednak zostawia mnie samego z myślami i maszyną tykającą tam, gdzie kiedyś miałem lewą półkulę. Rozmawiam więc sam ze sobą, prawdziwą półkulą dyktuję historię i moje zdanie tej sztucznej: w krótkich przebłyskach świadomości przedzielonych długimi latami rozkładu w zapomnieniu. Może całe to przedsięwzięcie jest kompletnie pozbawione sensu, może w ogóle nikt nie słucha.

Wszystko jedno. I tak to robię.

Więc proszę: oto pamiętnik opowiedziany maszynie przez mięcho. Opowiedziany samemu sobie, z braku innych zainteresowanych.

Każdego półgłówka byłoby stać na taką opowieść.

* * *

Dziś dostałem list od taty. Poste restante, jak to określił. To chyba taki żart, sprowokowany faktem, że nie mam żadnego adresu. Więc po prostu posłał go bezkierunkowo w eter, licząc, że fale zainoszą go do mnie, gdziekolwiek jestem.

Minęło już prawie czternaście lat. Tutaj traci się rachubę takich szczegółów.

Helen nie żyje. Niebo najwyraźniej uległo awarii. A może to był sabotaż? Może Realistom wreszcie się udało? Wątpię. Tato chyba uważał, że jest za to odpowiedzialny ktoś inny, choć nie podał konkretów. Może ich nie znał. Z zakłopotaniem wspominał o narastających niepokojach na Ziemi. Może wyciekły moje relacje dotyczące *Rorschacha* - a potem ludzie wyciągnęli oczywiste wnioski, gdy pocztówki przestały przychodzić. Nie znają zakończenia tej historii. Brak epilogu pewnie doprowadza ich do szału.

Czuję jednak, że jest w tym coś jeszcze, coś, czego nie odważył się otwarcie powiedzieć. Może

to tylko moja wyobraźnia; chyba był wręcz zakłopotany faktem, że stopa urodzeń znowu rośnie - a przecież to powinno być powodem do radości po tylu kurczących się pokoleniach. Gdyby mój chiński pokój nadal działał jak należy, wiedziałbym, umiałbym zanalizować to wszystko do ostatniego przecinka. Lecz Sarasti pogiął mi narzędzia, tak że ledwo działały. Teraz jestem ślepy jak pierwszy z brzegu zwyklak. Pozostają mi tylko przypuszczenia, podejrzenia i czający się strach, że nawet odarty z najlepszych technik może czytać go dobrze.

Mam wrażenie, że ostrzega mnie, żebym się trzymał z daleka.

* * *

Powiedział też, że mnie kocha. Że tęskni za Helen, że ona żałowała czegoś, co zrobiła przed moim urodzeniem, kiedy to pozwoliła sobie na coś, lub zapomniała o czymś, co groziło mi wadą rozwojową. Gadał bez ładu i składu. Nie mam pojęcia o co mu chodziło. Musiał mieć ogromne wpływy, żeby móc dostać zgodę na taką transmisję, a potem większość jej zmarnował na emocje.

Boże, jakże jest mi droga. Drogie jest mi każde jej słowo.

* * *

Spadam po niekończącej się, jałowej paraboli, sama grawitacja i bezwładność. *Charybda* nie umiała trafić na strumień antymaterii; coś musiało przesunąć Ikara albo został całkowicie wyłączony. Pewnie mógłbym zapytać przez radio, ale nie ma pośpiechu. Jeszcze bardzo daleko. Miną całe lata, zanim zostawię za sobą choćby komety.

A poza tym nie jestem pewien, czy chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie jestem.

Charybda nie przejmuje się manewrami mylącymi trop. Byłyby bezsensowne, nawet gdyby miała odpowiedni zapas paliwa, nawet gdyby gdzieś jeszcze czaił się wróg. Przecież wszyscy wiedzą, gdzie leży Ziemia.

Natomiast jestem prawie pewien, że wężydła rozkręcały się razem z nami. Dobrze grały, przyznaję. Może po prostu poszczęściło im się. Przypadkowa czkawka każe trepowi Bates strzelać do bezbronnego wężydła; tygodnie później Stroszek i Kłębek wykorzystują jego ciało podczas ucieczki. Elektryczność i magnetyzm pobudzają przypadkowe neurony w głowie Susan; po pewnym czasie pojawia się w niej nowa osobowość, która przejmuje kontrolę i wysyła *Tezeusza* w dół, w wyczekujące ramiona *Rorschacha*. Głupi, ślepy przypadek. Może tylko.

Ale nie wydaje mi się. Zbyt wiele tych zbiegów okoliczności. Sądzę, że *Rorschach* pomagał swemu szczęściu, hodując i podlewając tę nową osobowość pod naszym nosem, bezpiecznie ukrytą - poza nieznacznie podniesionym poziomem oksytocyny - za wszystkimi tymi zmianami i guzami w głowie Susan. Myślę, że patrzył w przód i dostrzegał, że taka przynęta mu się przyda; nawet że poświęcił dla tego celu kawałek siebie, maskując to jako wypadek. Szczęście, ale nie ślepe. Wspaniale rozegrane, subtelne ruchy.

Choć większość nas oczywiście nawet nie znała reguł gry. Byliśmy tylko pionkami. Sarasti i Kapitan - ta powstała z nich dwóch hybrydowa inteligencja. Z perspektywy czasu dostrzegam także parę ich posunięć. Widzę, jak *Tezeusz* słyszy naprzemienne postukiwania wężydeł w klatkach; widzę,

jak podkręca głos, żeby Susan to usłyszała, i pomyślała, że sama to odkryła. Wysiliwszy odpowiednio wzrok, mogę nawet dostrzec, jak *Tezeusz* nas poświęca, tym ostatnim podejściem umyślnie prowokując *Rorschacha* do kontrataku. Sarasti zawsze uwielbiał dane, zwłaszcza gdy miały taktyczne znaczenie. A przecież wroga najlepiej można poznać, obserwując go w walce.

Nam oczywiście nigdy nie powiedzieli. Przez wzgląd na nasze samopoczucie, bo nie lubimy, jak maszyny nam rozkazują. Choć kiedy robi to wampir, też nie sikamy po nogach ze szczęścia.

Teraz gra się skończyła, na osmalonej szachownicy stoi jeden pionek. A jednak o ludzkiej twarzy. Jeśli wężydła postępują według reguł, które spisało dla nich parę pokoleń teoretyków gier, nigdy nie wrócą. A nawet gdyby, myślę, że to żadna różnica.

Bo wtedy już nie będzie żadnych podstaw do konfliktu.

Podczas moich krótkich przebudzeń słuchałem radia. Minęły generacje, odkąd pochowaliśmy Epokę Transmisji Masowej w skupionych wiązkach i światłowodach, ale nigdy tak zupełnie nie przestaliśmy siać falami po niebie. Ziemia, Mars i Księżyc prowadzą swój miliongłosowy planetarny trialog. Każdy przemierzający pustkę statek nadaje we wszystkich kierunkach naraz. Kolonie O'Neilla i asteroidy nigdy nie przestały śpiewać. Gdyby tak było, Świetliki mogłyby nas nie znaleźć.

Słyszę, że ta pieśń zmienia się w czasie, w swej poklatkowo przyspieszonej ucieczce w zapomnienie. Teraz to głównie kontrola lotów i telemetria. Od czasu do czasu rozlega się ludzki głos, najczęściej zdenerwowany, na granicy paniki - trwa jakiś pościg, jakiś statek odlatuje w głęboki kosmos, inne gonią go bez przekonania. Zbiegowie chyba nigdy nie docierają zbyt daleko, zanim urwie im się sygnał.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz słyszałem muzykę, ale od czasu do czasu dobiega mnie coś podobnego, upiornego, dysharmonijnego, pełnego znajomych szumów i trzasków. Mój pień mózgu nie cierpi tego. Boi się tego śmiertelnie.

Pamiętam, że całe moje pokolenie zamieniło rzeczywisty świat na podrasowane Życie po Życiu. Pamiętam, że ktoś mówił: „Wampiry nie idą do Nieba”. Bo widzą piksele. Niekiedy zastanawiam się, jak czułbym się ja, wywleczony ze spokojnego grobu, żeby się trudzić dla przyjemności prostodusznych stworzeń, niegdyś będących dla mnie tylko źródłem białka. Zastanawiam się, jak bym się czuł, gdyby wykorzystano moją wadę genetyczną, żeby trzymać mnie na smyczy i pozbawić prawowitej niszy na świecie.

A potem dumam, jak by to było, wcale nic nie czuć, być stuprocentowo racjonalną, drapieźną istotą, kiedy mięso ze wszystkich stron z takim zapalem kładzie się spać...

* * *

Nie potrafię tęsknić za Sarastim. Bóg wie, że próbuję, za każdym razem, gdy odzyskuję świadomość. Uratował mi życie. Nawet mnie... uczyłowieczył. Za to będę mu wdzięczny do końca życia, kiedykolwiek to będzie; ale także do końca nie przestanę go za to nienawidzić. Na pewien perwersyjny, surrealistyczny sposób mam z nim więcej wspólnego niż z którymkolwiek człowiekiem.

Ale tego uczucia po prostu w sobie nie mam. On był drapieźcą, a ja ofiarą, oplakiwanie wilka zwyczajnie nie leży w naturze owcy. Choć umarł za nasze grzechy, nie potrafię tęsknić za Sarastim.

Mogę natomiast z nim współczuć. Po tylu latach wreszcie jestem zdolny do empatii, wobec Sarastiego i całego wymarłego gatunku. Bo to nie my, ludzie, mieliśmy osiąść Ziemię, lecz wampiry. Musiały być w pewnym stopniu świadome, ale w porównaniu z naszą autoobsesją ta ich

pół świadomość, pół sen była szczątkowa. Wypleniali ją. Faza przejściowa. Byli już dobrze w trakcie.

Problem polega na tym, że ludzie nie dostają konwulsji od patrzenia na krzyże. Taka uroda ewolucji: jednak kretyńska kilkupunktowa mutacja i cały naturalny porządek wali się w gruzy, a inteligencja na pół miliona lat splata się w ciasny, destrukcyjny uścisk ze świadomością. Chyba wiem, co się dzieje tam, na Ziemi: choć niektórzy może nazywają to ludobójstwem, w istocie to nieprawda. Sami sobie zgotowaliśmy ten los. Nie można winić drapieżnika, że poluje. Przecież to my ich wskrzesiliśmy. Dlaczego mieliby nie upomnieć się o to, co im należne z racji urodzenia?

Nie ludobójstwo. Poprawa przedwiecznego błędu.

Próbowałem znaleźć w tym jakąś pociechę. To... trudne. Czasem wydaje mi się, że przez całe życie usiłowałem połączyć się na nowo, odzyskać to, co straciłem, gdy moi rodzice zabili swoje jedyne dziecko. Tam, w obłoku Oorta, wreszcie mi się to udało. Dzięki wampirowi, statkowi pełnemu dziwadła i atakującej hordzie obcych znów jestem człowiekiem. Może ostatnim. Może, zanim dotrę do domu, będę ostatnią świadomą istotą we wszechświecie.

O ile w ogóle nią jestem. Ponieważ nie mam pewności, czy w ogóle może istnieć coś takiego jak rzetelny narrator. A Cunningham mówił, że zombiaki będą świetnie umiały to udawać.

Więc tak naprawdę nie potrafię wam powiedzieć.

Musicie sobie po prostu wyobrazić, że jesteście Sirim Keetonem.

PODZIĘKOWANIA

Ślepowidzenie to moja pierwsza powieściowa wyprawa w otwarty kosmos, czyli dziedzinę, w której moje formalne wykształcenie jest, przyznaję, dość ograniczone. W tym sensie ta powieść nie jest bardzo odległa od moich poprzednich - z tym, że choć o ekologii morskich głębin także wiedziałem niewiele, większość Was wiedziała jeszcze mniej, a doktorat z biologii oceanicznej pozwalał mi przez całą trylogię przynajmniej przekonująco udawać. Natomiast kurs *Ślepowidzenia* prowadzi przez całkowicie inną nieważkość - tu godny zaufania przewodnik był jeszcze ważniejszy. Zatem, po pierwsze, chciałbym podziękować profesorowi Jaymie Matthewsowi z University of British Columbia, astronomowi, imprezowiczowi i znakomitemu filtrowi dla pomysłów, którymi weń ciskałem. Dziękuję także Donaldowi Simmonsowi, inżynierowi lotnictwa i astronautyki, przyjemnie taniemu we wspólnych wyjściach do knajpy, który przejrzał projekt mojego *Tezeusza* (zwłaszcza napędu i bębna) i udzielał mi wskazówek dotyczących promieniowania i ochrony przed nim. Obaj cierpliwie filtrowali co gorsze z moich wtop. (Co nie oznacza, że w książce żadnych już nie ma, a jedynie, że te, które pozostały, wynikają z mojego lekceważenia, nie ich. Albo po prostu wymagała ich fabuła).

David Hartwell był, jak zawsze, moim redaktorem i kontaktem w Kwaterze Głównej Wrogiego Imperium. Podejrzewam, że *Ślepowidzenie* było twardym orzechem do zgryzienia dla nas obu: kupa niezbędnej teorii groziła przytłoczeniem fabuły, nie wspominając już o wywołaniu u czytelnika więzi z niespecjalnie miłusimi bohaterami. Dalej nie wiem, w jakim stopniu to się udało, a w jakim nie, jestem jednak niezwykle wdzięczny losowi, że mój pierwszy pasażer trenował wcześniej na wszystkich od Heinleina po Herberta.

Banda pisarzy, tych co zawsze, krytykowała pierwsze kilka rozdziałów książki i odsyłała mnie z płaczem z powrotem do biurka: Michael Carr, Laurie Channer, Cory Doctorow, Rebecca Maines, David Nickle, John McDauid, Steve Samenski, Rob Stauffer i świętej pamięci Paul York. Na naszym dorocznym zjeździe na wyspie wszyscy podzielili się ze mną cennymi przemyśleniami i krytyką; wyróżnienie otrzymuje Dave Nickle, za całoroczne dodatkowe uwagi, przeważnie o nieludzkich porach. Tym samym jednak wyłączam Dave'a spod standardowego tekstu wklejanego przez nas, autorów, do *Podziękowań*, głoszącego, że wszystkie błędy są wyłącznie moje. Przynajmniej niektóre z zawartych w książce potknięć są prawdopodobnie zasługą Dave'a.

Profesorowie Dan Brooks i Deborah MacLennan, oboje z University of Toronto, zapewnili mi intelektualną stymulację środowiska akademickiego, pozbawioną politycznego i biurokratycznego pieprzenia, które na ogół jest jego nieodłącznym towarzyszem. Mam u nich dług wdzięczności za litry alkoholu i godziny dyskusji nad przedstawionymi w powieści problemami, a także za inne rzeczy, które gównem Was obchodzą. Zaś w kategorii „rozmaitości nie do poszufladkowania”, Andre Breault zapewnił mi azyl na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie ukończyłem pierwszą wersję książki. Isaac Szpindel - ten prawdziwy - pomagał mi, jak zawsze, przy różnych neurofizjologicznych szczegółach, a Susan James (która też istnieje, choć formę ma trochę bardziej spójną) opowiedziała mi o podejściu lingwistów do scenariusza Pierwszego Kontakt. Lisa Beaton podpowiadała mi tytuły przydatnych prac, w rozpaczliwej próbie pokuty za sprzedaż duszy Wielkiej Farmacji. Laurie Channer zaś ogólnie mnie wysłuchiwała i ze mną, no cóż, wytrzymywała. Dziękuję także Karłowi Schroederowi, z którym przegadałem sporo pomysłów dotyczących kwestii „świadomość kontra inteligencja”. Niektóre fragmenty *Ślepowidzenia* można potraktować jako replikę na argumenty przedstawione w powieści

Permanence Karla. Nie zgadzam się z niemal każdym krokiem jego rozumowania i wciąż łamię sobie głowę, jak to możliwe, że doszliśmy w zasadzie do tych samych wniosków.

PRZYPISY I ŹRÓDŁA

Źródła i uwagi mające przekonać Was, że nie jestem całkiem stuknięty (albo przynajmniej onieśmielić na tyle, żebyście się zamknęli). Dodatkowe punkty za przeczytanie.

KRÓTKI ELEMENTARZ BIOLOGII WAMPIRÓW

W żadnym razie nie jestem pierwszym autorem próbującym czysto biologicznie racjonalizować wampiryzm. Richard Matheson uczynił to jeszcze przed moim urodzeniem, a jeśli plotki nie kłamią, najnowsza powieść tej cholernejszej Butler zajmie całe terytorium, zanim jeszcze przeczytacie moją. Założę się jednak, że to ja pierwszy wymyśliłem Skazę Krzyżową, tłumaczącą odrazę do krzyży - a z tego pomysłu, przyniesionego natchnieniem, wynikła cała reszta.

Wampiry odkryto na nowo przypadkiem, gdy pewien rodzaj eksperymentalnej terapii genowej w osobliwy sposób się pokrzyżował, uruchamiając u autystycznego dziecka od wieków uspięte geny i wywołując szereg (w rezultacie śmiertelnych) zmian fizycznych i neurologicznych. Firma odpowiedzialna za to odkrycie przedstawiła wyniki po dogłębnych badaniach na podopiecznych teksańskich instytucji penitencjarnych; nagranie tej rozmowy, wraz z wizualnymi pomocami, jest dostępne w sieci¹; tam odsyłam zainteresowanych czytelników mogących poświęcić pół godziny, nie tylko po szczegóły dotyczące wampirzej biologii, lecz także badań, ich finansowania, oraz „kwestii etycznych i politycznych” udomowienia wampirów (nie wspominając o feralnej kampanii „Tworzymy lepsze jutro z wczorajszych koszmarów”). Streszczenie poniżej ogranicza się do podstawowej biologicznej charakterystyki tego organizmu-przodka:

Homo sapiens vampiris był przez krótki okres podgatunkiem człowieka, który odgałęził się od głównego pnia między 800. a 500. tysiącami lat przed współczesnością. Smuklejszy niż neandertalczyk lub *sapiens*; do widocznych różnic fizycznych w stosunku do *sapiens* zaliczało się niewielkie wydłużenie kłów, żuchwy oraz kości długich, wszystko to na rzecz coraz bardziej drapieżnego stylu życia. Wskutek stosunkowo niedługiego czasu trwania tej linii nie były to silne zmiany i allometria osobników tego podgatunku w dość znacznym stopniu nakładała się z ludzką; różnice były diagnostycznie istotne dopiero przy dużej liczności próbki ($N > 130$).

Vampiris, choć ogólną morfologię fizyczną miał prawie identyczną ze współczesnym człowiekiem, radykalnie różnił się od niego na poziomie biochemicznym, neurologicznym i tkanki miękkiej. Układ pokarmowy, znacznie skrócony, wydelał odmienny zestaw enzymów, przystosowanych do mięsnej diety. Ponieważ kanibalizm niesie wysokie ryzyko zarażenia prionami², ich układ immunologiczny wykazywał znaczną odporność na choroby prionowe³, podobnie jak na rozmaite pasożyty układu pokarmowego. Słuch i wzrok miał *vampiris* znacznie lepszy niż *sapiens*, siatkówki wampirów były kwadrochromatyczne (posiadały cztery typy czopków, w porównaniu z trzema u zwykłych ludzi); czwarty czopek, częsty u nocnych drapieżników, od kotów po węże, był wrażliwy na bliską podczerwień. Substancja szara wampirów była w porównaniu z ludzką normą „słabo połączona” wskutek stosunkowo niewielkiej ilości śródmiaższowej substancji białej; to zmuszało izolowane ośrodki korowe do wykształcenia samowystarczalności i hiperefektywności, co z kolei prowadziło do wszechstronnie sawantystycznych umiejętności porównywania wzorców oraz zdolności analitycznych⁴.

Prawie wszystkie te przystosowania są zjawiskami kaskadowymi, które, choć spowodowane różnymi podobnymi przyczynami - można wywieść od inwersji paracentrycznej na odcinku Xq21.3 chromosomu X⁵. Spowodowała ona zmiany funkcjonalne w genach kodujących protokadheryny (białka odgrywające fundamentalną rolę w rozwoju mózgu i centralnego układu nerwowego). Wyniknęły stąd radykalne zmiany neurologiczne i behawioralne, choć poważniejsze zmiany fizyczne ograniczyły się do tkanek miękkich i struktur mikroskopowych, które nie zachowują się w skamieniałościach. To, w połączeniu z niezwykle małą liczebnością wampirów nawet w szczytowych okresach (funkcjonowały bowiem na samym szczycie piramidy pokarmowej), tłumaczy, dlaczego są w zasadzie nieobecne w skamielinach.

Ta kaskada miała również poważne skutki negatywne. Wampiry straciły na przykład zdolność kodowania ϵ -protokadheryny Y, której geny znajdują się wyłącznie na ludzkim chromosomie Y⁶. Nie mogąc samemu syntetyzować tego niezbędnego białka, skazane były na pozyskiwanie go z pożywienia. Koniecznym składnikiem ich diety stało się zatem mięso ludzkie, a więc ofiar rozmnażających się stosunkowo powoli (niezwykła sytuacja, zwykle bowiem ofiary mnożą się co najmniej o rząd wielkości liczniej niż drapieżcy). W typowych warunkach taka dynamika jest zupełnie nie do utrzymania: wampiry pozabijałyby wszystkich ludzi, powodując wymarcie gatunku, a następnie wyginęły same z braku niezbędnej substancji odżywczej.

Aby zaradzić tej nierównowadze, u wampirów wykształcił się dłuższy okres letargu, jak u ryb dwudysznych⁷ (tak zwany stan „żywego trupa”), drastycznie redukujący ich potrzeby energetyczne. W tym celu wampiry produkują większą ilość endogennej Ala-(D)-leukenkefaliny (peptydu wywołującego hibernację u ssaków⁸) oraz dobutaminy, wzmacniającej mięśnie serca w czasie przedłużonej nieaktywności⁹.

Kolejnym szkodliwym efektem kaskadowym była tak zwana „Skaza Krzyżowa” - krzyżowe sprzężenie normalnie niezależnych macierzy receptorowych w korze wzrokowej¹⁰, wywołujące objawy przypominające ciężką postać epilepsji, gdy receptory odpowiedzialne za bodźce ułożone pionowo i poziomo uaktywniają się jednocześnie na odpowiednio dużej powierzchni kątowej pola widzenia. Ponieważ przecinające się kąty proste w naturze niemal nie istnieją, dobór naturalny nie odsiał Skazy, dopóki *H. sapiens sapiens* nie rozwinął architektury euklidesowej; do tego czasu dryf genetyczny utrwalił tę cechę wśród *sapiens vampiris* i cały podgatunek, nagle pozbawiony dostępu do ofiar, wyginął w krótkim czasie u samego zarania udokumentowanej historii.

Zauważyliście na pewno, że Jukka Sarasti, jak wszystkie zrekonstruowane wampiry, myśląc, niekiedy mlaska. Uważa się, że źródłem tej cechy jest język przodków, który stał się językiem mlaskowym ponad 50 000 lat przed współczesnością. Mowa mlaskowa jest wyjątkowo odpowiednia dla drapieżników podchodzących ofiary na trawiastej sawannie (mlaski imitują szelest traw, umożliwiając niepłoszącą zwierzynę łączność)¹¹. Ze współczesnych języków, najbardziej zbliżony do starowampirzego jest język hadza¹².

NABIERANIE UMYŚŁU

Ludzkie sensorium jest wyjątkowo łatwe do zmanipulowania; nasz układ wzrokowy należałoby w najlepszym razie określić mianem „worka zaimprovizowanych sztuczek”¹³. Informacje zbierane przez nasze organy zmysłów są tak fragmentaryczne i niedoskonałe, że mózg musi je interpretować, używając nie bezpośredniej percepcji, lecz raczej reguł prawdopodobieństwa¹⁴. Czyli - nie tyle

widzi świat, ile domyśla się go na podstawie doświadczenia. W rezultacie powstaje tendencja do nieprzetwarzania bodźców „nieprawdopodobnych” na poziomie świadomości, niezależnie jak są silne. Mamy po prostu skłonność do ignorowania widoków i dźwięków, które nie pasują do naszego obrazu świata.

Sarasti miał rację: *Rorschach* nie robił nam niczego, czego sami byśmy już sobie nie robili.

Na przykład, sztuczka z niewidzialnością młodego głupiego wężydła - tego, który ograniczało swe ruchy do luk w widzeniu człowieka - przyszła mi do głowy, gdy czytałem o czymś zwanym „ślepotą z nieuwagi”. Rosjanin, Alfred Jarbus jeszcze w latach 60. XX wieku pierwszy rozpracował sakadyczną lukę w ludzkim widzeniu¹⁵. Od tego czasu rozmaici badacze kazali przedmiotom niepostrzeżenie pojawiać się i znikać z pola widzenia, prowadzili rozmowy z nieszczęśnikami, którzy nie mieli pojęcia, że rozmówca zmienił się w połowie konwersacji i w ogóle udowodnili, że ludzki mózg nie zauważa mnóstwa z tego, co się wokół niego dzieje^{16, 17, 18}. Zerknijcie sobie na filmiki na stronie Laboratorium Postrzegania Wzrokowego University of Illinois¹⁹, a zrozumiecie, o czym mowa. To naprawdę niesamowite, wiecie? Jakiś scjentolog mógłby teraz podkraść się do nas i gdyby tylko się odpowiednio poruszał, nigdy byśmy go nie dostrzegli.

Większość opisanych w książce psychoz, syndromów i halucynacji jest prawdziwa i szczególnie opisana przez Metzinger²⁰, Wegnera²¹ i/lub Saksę²² (zobacz także *Świadomość/Inteligencja* poniżej). Inne (np. zespół Greya) jeszcze nie trafiły do statystycznego wykazu chorób²³ - prawdę mówiąc, parę z nich wymyśliłem, ale mimo to są oparte na wynikach rzeczywistych doświadczeń. Zależnie komu uwierzycie, umiejętne potraktowanie mózgu polem magnetycznym może wywołać wszystko, od religijnej ekstazy²⁴ po przeświadczenie o porwaniu przez kosmitów²⁵. Przechaszkowa stymulacja magnetyczna może modyfikować nastrój, wywoływać ślepotę²⁶ albo wpływać na ośrodki mowy (na przykład uniemożliwiać wypowiedzianie czasowników, nie wpływając na rzeczowniki)²⁷. Można tą drogą wspomagać (lub upośledzać) pamięć i proces uczenia się, a rząd Stanów Zjednoczonych finansuje obecnie badania nad przenośnym sprzętem do stymulacji magnetycznej dla celów, łatwo zgadnąć, wojskowych²⁸.

Elektryczna stymulacja mózgu wywołuje niekiedy tak zwany „zespół obcej ręki” - bezwiedne poruszenia ciała wbrew woli „osoby” rzekomo nim zawiadującej²⁹. Innym razem powoduje mimowolne ruchy, ofiary upierają się jednak, że „postanowiły” je wykonać, mimo niezbitych przeczących temu dowodów³⁰. Zestawić to jeszcze z faktem, że ciało zaczyna się poruszać, zanim jeszcze mózg „rozkaże” się ruszyć³¹ (por. jednak ³² i ³³) i całe pojęcie „wolnej woli” - pomimo niezaprzeczalnego przekonania, że jest prawdziwe - zaczyna wyglądać nieco głupkowato, nawet poza zasięgiem wpływu obcych artefaktów.

Stymulacja elektromagnetyczna jest może najmodniejszym obecnie sposobem hackowania mózgu, ale w żadnym razie nie jedynym. Ciężkie fizyczne obrażenia, od nowotworów³⁴ po drągi do ubijania materiału wybuchowego³⁵, potrafią zmienić normalnych ludzi w psychopatów i pedofilów (stąd nowa osobowość wykluwająca się w głowie Susan James). Opętanie przez duchy i ekstazę można wywołać po prostu przez emocjonalną huśtawkę rytuałów religijnych, bez żadnych inwazyjnych neurologicznych narzędzi (a niekonieczne są też farmakologiczne)²¹. Ludzie potrafią nawet wykształcić poczucie, że należą do nich cudze części ciała, albo gumowa ręka³⁶. Widzenie przebija propriocepcję i odpowiednio manipulując sztuczną kończyną, jesteśmy w stanie przekonać kogoś, że wykonuje jakiś ruch, choć w rzeczywistości wykonuje zupełnie inny^{37, 38}.

Najnowszym narzędziem w tym arsenale są ultradźwięki, mniej inwazyjne niż

elektromagnetyzm, dokładniejsze niż charyzmatyczne ponowne narodziny, można je wykorzystać do pobudzania mózgu³⁹ bez upierdliwych elektrod czy siatek na głowę z magnesami. W *Ślepowidzeniu* użyłem tego jako wygodnej furtki, tłumaczącej, dlaczego Rorschachowe halucynacje utrzymują się nawet w ekranowaniu Faradaya - jednak tu i teraz firma Sony odnawiała patent na urządzenie wykorzystujące ultradźwięki do bezpośredniego implantowania do mózgu „wrażeń zmysłowych”⁴⁰. Nazywają to urządzeniem rozrywkowym o szerokim zastosowaniu w grach online. Jasne. Skoro możemy z odległości wrzucać komuś do głowy wrażenia wzrokowe i słuchowe, czemu by przy okazji nie przemycić też poglądów politycznych i nieodpartego upodobania do pewnej marki piwa?

MAMY JUŻ TO WSZYSTKO?

Polegający na „telematerii” napęd wiozący bohaterów ku fabule oparłem na badaniach nad teleportacją, które opisały „Nature”⁴¹, „Science”^{42, 43}, „Physical Review Letters”⁴⁴, oraz (ostatnio) wszyscy, i babcia też, patrz np. ⁴⁵. Pomysł transmitowania specyfikacji antimaterii jako szablonu do wytwarzania paliwa jest jednak, o ile wiem, wyłącznie mój. Aby w miarę wiarygodnie oszacować zasób paliwa, przyspieszenie i czas podróży *Tezeusza*, posłużyłem się artykułem „The Relativistic Rocket”⁴⁶, na stronie fizyka matematycznego Johna Baeza z Riverside, University of California. Wykorzystanie przez *Tezeusza* pól magnetycznych do ekranowania promieniowania opiera się na badaniach MIT⁴⁷. Macierz Ikara (zasilaną energią słoneczną) zaparkowałem nieopodal Słońca, bo produkcja antimaterii jeszcze przez jakiś czas pozostanie niezwykle kosztownym energetycznie przedsięwzięciem^{48, 49}.

Stan „żywo-trupi”, w którym podróżuje załoga *Tezeusza*, jest oczywiście kolejnym powieleniem lubianego od wieków zatrzymania czynności życiowych (choć lubię myśleć, że odnowiłem nieco ten banał, przywołując jako mechanizm biologię wampirów). Dwie niedawne prace zbliżyły nas trochę do perspektywy hibernacji. Blackstone i inni wywołali hibernację u myszy w zdumiewająco prosty sposób - traktując je siarkowodorem⁵⁰; to zatyka ich komórkową maszynę na tyle, by zredukować metabolizm o 90%. Inna, bardziej widowiskowa (i inwazyjna) metoda: uczeni z Safar Center for Resuscitation Research w Pittsburgu twierdzą⁵¹, że udało im się wskrzesić psa trzy godziny po śmierci klinicznej, techniką, w której krew zwierzęcia zastąpiono lodowatym roztworem soli⁵². Z tych dwóch metod pierwsza jest zapewne bliższa temu, co ja sobie wyobraziłem, choć brudnopis powieści był ukończony przed publikacją obu prac. Zastanawiałem się, czy nie przerobić scen w krypcie, żeby wspomnieć o siarkowodorze, ale w końcu zdecydowałem, że dowcipy o pierdzeniu kompletnie zepsułyby klimat.

PLANSZA DO GRY

Ślepowidzenie określa Big Bena jako „emiter Oasy”. Nie jest to uznany oficjalnie termin, ale Yumiko Oasa ogłosił, że znalazł dotąd nieudokumentowane emitery podczerwieni^{53, 54} - ciemniejsze niż brązowe karły, ale być może występujące częściej^{55, 56} - o masie od trzech do trzynastu Jowiszów. Fabuła wymagała czegoś o dość lokalnym oddziaływaniu, wystarczająco dużego, by utrzymać superjowiszowe pole magnetyczne, ale na tyle małego i ciemnego, by w wiarygodny sposób nie dać się odkryć przez kolejne siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Emitery Oasy w miarę dobrze do tego pasowały (jeśli nie liczyć oczywistego sceptycyzmu, czy one w ogóle istnieją⁵⁷).

W szczegółach oczywiście musiałem ekstrapolować, zważywszy jak mało o tych ustrojstwach wiadomo. Dane podkradłem z różnych źródeł dotyczących gazowych olbrzymów^{58, 59, 60, 61, 62, 63, 64} i/lub brązowych karłów^{65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75}, odpowiednio przeskalowawszy je w górę lub w dół. Odpalenie ostatecznej broni *Rorschacha*, widziane z odległości, bardzo mocno przypomina gigantyczny rentgenowsko-radiowy rozbłysk, zauważony niedawno wokół brązowego karła, którego uważano za zbyt małego na takie numery⁷⁶. Trwał dwanaście godzin, był dobry miliard razy silniejszy niż cokolwiek wyplutego kiedykolwiek przez Jowisza i uważa się, że spowodowało go skręcone pole magnetyczne⁷⁷.

Burns-Caulfield jest luźno oparty na transnewtonowskiej komecie 2000Cr₁₀₅, której obecna orbita nie do końca tłumaczy się grawitacją znanych nam obiektów Układu Słonecznego⁷⁸.

ANATOMIA I FIZJOLOGIA WĘŻYDEŁ

Jak wszyscy, mam już potąd człekokształtnych obcych o pofałdowanych czołach i olbrzymich, generowanych komputerowo insektoidów, które może wyglądają obco, ale zachowują się jak wściekłe psy w chitynowych ubrankach. Oczywiście odmienność dla samej odmienności jest niewiele lepsza niż sztamkowy rodenoid z grzebieniem na głowie; dobór naturalny jest równie powszechny jak samo życie, które w rezultacie, niezależnie od tego, gdzie ewoluuje, kształtowane jest w zasadzie przez te same podstawowe procesy. Wyzwaniem jest zatem stworzenie „obcego”, który naprawdę nie przeczyłby temu słowu, ale pozostał przy tym biologicznie prawdopodobny.

Wężydła to moja pierwsza próba zmierzenia się z tym wyzwaniem - zważywszy, jak bardzo przypominają wężowidła z ziemskich mórz, niewykluczone, że w kategorii „zupełnie niepodobne do wszystkiego” totalnie sprawę położyłem, przynajmniej jeśli chodzi o ogólną morfologię. Okazuje się, że wężowidła mają nawet coś podobnego do rozproszonej po ciele macierzy plamek ocznych. Podobnie, rozmnażanie wężydeł - osobniki rosnące w stosie jeden nad drugim i odłączające się w miarę dojrzewania - bierze się od meduz. Można wyciągnąć biologa morskiego z oceanu, ale...

Na szczęście wężydła stają się bardziej obce przy bliższym poznaniu. Cunningham mówi, że na Ziemi nie istnieje nic przypominającego ich współbieżne przetwarzanie motoryczno-sensoryczne. I tu ma rację, choć przypominam sobie pewną konstrukcję, która mogłaby potencjalnie w coś podobnego wyewoluować. Nasze własne „neurony lustrzane” uaktywniają się nie tylko, gdy wykonujemy jakieś działanie, ale także, gdy obserwujemy kogoś, kto je wykonuje⁷⁹; tę cechę przywołuje się przy ewolucji języka i świadomości^{80, 81, 82}.

Na poziomie metabolizmu jest jeszcze bardziej obco. Na Ziemi nic, co polega wyłącznie na beztlenowej produkcji ATP, nie wyszło poza jednokomórkowce. Proces jest wprawdzie wydajniejszy niż nasze opalane tlenem cykle, ale cholernie wolny, więc zupełnie nie nadaje się dla skomplikowanych konstrukcji wielokomórkowych⁸³. Zaproponowane przez Cunninghama rozwiązanie to wcielona prostota - pułapka polega na tym, że pomiędzy okresami aktywności trzeba by przesypiać po parę tysięcy lat.

Pomysł procesów metabolicznych opartych na mechanice kwantowej może wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie, ale wcale tak nie jest. Dualizm korpuskularno-falowy może mieć znaczny wpływ na reakcje biochemiczne w temperaturze pokojowej⁸⁴; mówi się, że tunelowanie ciężkich jąder może przyspieszać je nawet o 152 rzędy wielkości⁸⁵.

A może teraz coś porządnie obcego - brak genów. Przykład z plastrem miodu, którym się

posłużyłem jako analogią, pierwotnie pojawił się w mało znanym traktacie Darwina⁸⁶ (cholera, zawsze chciałem tego gościa gdzieś zacytować); a ostatnio nieduża, ale rosnąca grupa biologów zaczęła głosić nowinę, że kwasy nukleinowe (w szczególności) i geny (w ogólności) jako elementy konieczne dla powstania życia są mocno przereklamowane^{87, 88}. Złożoność organizmów biologicznych jest w dużej mierze wynikiem nie genetycznego programowania, lecz prostej fizycznej i chemicznej interakcji tworzących je składników^{89, 90, 91, 92}. Oczywiście, nadal potrzeba czegoś, co zapewni temu procesowi warunki początkowe - i tu na scenę wkraczają pola magnetyczne. W środowisku *Rorschacha* i tak nie przetrwałby żaden mięczak w rodzaju łańcucha nukleotydów.

Osobnik ciekawski i czepialski mógłby zapytać: „No dobra, ale jak ci goście ewoluują bez genów? Jak przystosowują się do nowych warunków? Jak radzą sobie z nieprzewidzianymi okolicznościami jako gatunek?”. A gdyby był tu z nami Robert Cunningham, odpowiedziałby może: „Dam sobie uciąć rękę, że pół układu immunologicznego aktywnie atakuje tę drugą połowę. Część układu nerwowego tak samo; próbują, hm, hackować się nawzajem. One chyba ewoluują wewnątrz organizmu, choć brzmi to jak wariactwo. Cały organizm jest w stanie wojny z samym sobą, ma permanentną komórkową »królową kier«. Coś jakbyśmy założyli kolonię oddziałujących na siebie nowotworów i liczyli, że ostra konkurencja nie pozwoli żadnemu wymknąć się spod kontroli. Wygląda, że to spełnia tę samą rolę, co u nas seks i mutacje”. A gdybyście przewrócili oczyma na to kręcenie, pewnie dmuchnąłby Wam dymem w twarz i odwołał się do takiej właśnie interpretacji pewnego immunologa, który się posługuje (ciekawy wybór) przykładem filmu *Matrix rewolucje*⁹³. Mógłby zauważyć także, że podobny wewnętrzny dobór naturalny kształtuje połączenia synaptyczne w naszym własnym mózgu⁹⁴; katalizują go odcinki pasożytniczego DNA, zwane retrotranspozonami.

W którejś wersji książki Cunningham faktycznie coś takiego mówił, ale cholerstwo zaczynało tak pękać w szwach od teoretyzowania, że po prostu to wyciąłem. W końcu bezpośrednim architektem tych spraw jest *Rorschach*, więc może wszystko to obsłużyć, nawet jeśli pojedyncze węzydła tego nie umieją. A jedno z przesłań *Ślepowidzenia* głosi, że życie się stopniuje - że rozróżnienie między układami żywymi i nieżywymi zawsze było wątpliwe^{95, 96, 97}, a już szczególnie w bebeczach tego upierdliwego artefaktu daleko w obłoku Oorta.

ŚWIADOMOŚĆ/INTELIGENCJA

To gwóźdź całego pieprzonego programu. Najpierw załatwmy zawodników wagi ciężkiej. *Being No One*²⁰ Metzingera to najcieńsza książka, jaką w życiu czytałem (a i tak przez spore fragmenty jeszcze nie przebrnąłem), ale za to nigdzie dotąd, w literaturze faktu czy fikcji, nie zetknąłem się z tak oszalamiającymi ideami. Gdy chodzi o naturę świadomości, większość autorów bezwstydnie kusi, a potem nie daje żadnych konkretów. Pinker tytułuje swą książkę *How the Mind Works [Jak działa umysł]*⁹⁸, a potem, zaraz na pierwszej stronie, przyznaje „Nie rozumiemy, jak działa umysł”. Koch (gość, który ukuł termin „agenty zombie”) pisze *The Quest for Consciousness: A Neurobiological Approach [W poszukiwaniu świadomości: podejście neurobiologiczne]*⁹⁹, w której z zażenowaniem omija całą kwestię, dlaczego aktywność neuronów miałaby w ogóle dawać w wyniku jakąkolwiek subiektywną świadomość.

Metzinger góruje nad tymi cieniasami i od razu chwyta byka za jaja. Jego hipoteza „świat zero” wyjaśnia nie tylko subiektywne poczucie własnej jaźni, ale także tłumaczy, dlaczego w ogóle w pewnych systemach kognitywnych wykształca się taki iluzoryczny pierwszoosobowy narrator. Nie mam pojęcia, czy ma rację, bo jego argumenty mnie przerastają - ale przynajmniej zabrał się za

właściwe pytanie: to, które każe nam gapić się w sufit o trzeciej nad ranem, długo po zużyciu ostatniego skręta. Wiele z wetkniętych do *Ślepowidzenia* syndromów i zaburzeń po raz pierwszy spotkałem w jego książce. Podobnie, wszystkie pozbawione przypisów stwierdzenia w tym punkcie najprawdopodobniej zawdzięczam jemu.

A jeśli nie, najpewniej pochodzą z *The Illusion of Conscious Will [Złudzenie świadomej woli]* Wegnera²¹. Mniej ambitna, acz bardziej przystępna, skupia się nie tyle na naturze świadomości, ile wolnej woli, którą Wegner określa jako „sposób mózgu na szacowanie tego, co, jak mu się wydaje, zrobił”. Przedstawia też własną listę syndromów i zaburzeń - wszystkie umacniają tylko wrażenie, jak zdumiewająco kruchymi i przewrotnymi maszynami jesteśmy. No i oczywiście, Oliver Saks²² przysyłał nam wieści ze skraju świadomości na długo, zanim świadomość stała się trendem, do którego można było się zacząć podłączać.

W sumie, łatwiej byłoby wypisać wszystkich autorów, którzy nie brali się za „wyjaśnianie” świadomości. Repertuar teorii sięga od rozproszonych pól elektrycznych po teatrzyki kwantowych marionetek; świadomość znajdowano już w korze czołowo-wyspowej, w podwzgórzu i setce innych dynamicznych ośrodków^{100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110}. (Przynajmniej jedna koncepcja¹¹¹ sugeruje, że o ile mały człekokształtne i dorośli ludzie są świadomi, o tyle małe ludzkie dzieci nie są. Przyznaję, że dość tę teorię lubię - jeśli dzieci nie są nieświadome, bez wątpienia są psychopatami).

Lecz pod tym niegroźnym, powierzchownym pytaniem „czym jest świadomość?” czai się drugie, sensowniejsze: w czym się przydaje? *Ślepowidzenie* dogłębnie zajmuje się tym zagadnieniem, więc nie będę się powtarzał. Wystarczy, jeśli powiem, że przynajmniej w rutynowych okolicznościach czymś niewiele poza odbieraniem wiadomości od nieświadomego, wielokroć bardziej rozwiniętego systemu, stemplowaniem ich i przypisywaniem sobie wszystkich zasług. W rzeczywistości, nieświadomy umysł daje sobie tak świetnie radę, że nawet zbudował sobie (w tylnej korze zakrętu obręczy) wartownika, którego jedynym zadaniem jest nie pozwalać świadomości wtrącać się do codziennych zadań^{112, 113, 114}. (Gdyby reszta Waszego mózgu miała świadomość, pewnie uważałaby Was za Dilbertowego szefa o sterczących włosach).

Nawet do rozwinięcia „teorii umysłu” nie jest konieczna samoświadomość. Wydaje się to kompletnie nieintuicyjne: jak można się nauczyć, że inne osobniki są autonomicznymi agentami, mającymi własne interesy i plany, jeśli nie ma się świadomości własnych? Nie ma w tym jednak sprzeczności i świadomość wcale nie jest wymagana. Bez problemu da się śledzić intencje innych osobników, nie będąc nawet w najmniejszym stopniu autorefleksyjnym¹⁰⁷. Norretranders wręcz oświadcza wprost, że „Świadomość jest oszustem”¹¹⁵.

Niewykluczone, że wyjątkiem jest sztuka. Wydaje się, że estetyka wymaga pewnego stopnia samoświadomości - w sumie, możliwe, że to ewolucja estetyki wprawiła w ruch całą lawinę rozwoju świadomości. Gdy muzyka jest tak piękna, że wywołuje dreszcze, uruchamia się maszyna nagrody w Twoim układzie limbicznym: ten sam układ nagradza Cię za posuwanie atrakcyjnego partnera, albo obżarcie się sacharozą¹¹⁶. To taka sztuczka, hackerstwo, innymi słowy - mózg nauczył się jak otrzymywać nagrodę, nie zapracowawszy na nią zwiększeniem sprawności⁹⁸. Jest to przyjemne, zadowala nas, sprawia, że chce nam się żyć. Ale także zwraca nas do wewnątrz i dekoncentruje. Pamiętacie te szczury z lat sześćdziesiątych, które nauczyły się stymulować swój ośrodek przyjemności przez naciśnięcie dźwigni? Naciskały je tak nałogowo, że zapominały jeść. Umierały z głodu. Pewnie, umierały szczęśliwe, ale umierały. Nie ulega wątpliwości, że ich sprawność spadała do zera.

Estetyka. Samoświadomość. Wymarcie.

To z kolei prowadzi nas ku ostatecznemu pytaniu, czającemu się w beztlenowych głębinach: ile kosztuje świadomość? W porównaniu z przetwarzaniem nieświadomym jest powolna i kosztowna¹¹². (Hipoteza oddzielnego, szybszego bytu kryjącego się u podstawy mózgu i przejmującego kontrolę w nagłych sytuacjach opiera się między innymi na badaniach Joego LeDoux z New York University^{117, 118}). Dla porównania, zastanówmy się nad skomplikowanymi i błyskawicznymi obliczeniami, jakich dokonują sawanci; te zdolności są niekognitywne¹¹⁹, mamy też dowody, że występują dzięki stosunkowo dużemu stopniowi fragmentacji⁴ neurologicznej. Nawet gdyby procesy świadome i nieświadome były równie wydajne, te świadome są przez cały czas rozkojarzane nieustanną obecnością bodźców podświadomych, co odwraca ich uwagę od zagrożeń i możliwości pojawiających się w otoczeniu. (Byłem bardzo dumny z tego pomysłu; widzicie więc, że musiałem się wkurzyć, odkrywając, że Wegner napisał coś podobnego już w roku 1994¹²⁰). Koszt wysokiej inteligencji wykazano w doświadczeniach, w których bystre muszki owocowe przegrywały konkurencję o jedzenie z głupimi¹²¹, zapewne dlatego, że potrzeby metaboliczne procesów uczenia się i pamięci pozostawiały mniej energii na poszukiwanie jedzenia. Nie, nie zapomniałem, że dopiero co poświęciłem całą książkę na dowodzenie, że inteligencja i świadomość to dwie różne sprawy. Ale ten eksperyment i tak jest adekwatnym przykładem, ponieważ oba atrybuty mają jedną wspólną cechę: są metabolicznie kosztowne. (Różnica: inteligencja przynajmniej w niektórych przypadkach jest warta tej ceny. A jaką wartość ma dla przeżycia obsesyjne wpatrywanie się w zachód słońca?).

O ile rozmaite koszty i wady świadomości zauważało wiele osób, o tyle mało kto poszedł dalej i zastanawiał się głośno, czy cała ta impreza jest warta zachodu. Oczywiście, że jest - zakładają ludzie; inaczej dobór naturalny wypleniłby ją dawno temu. I pewnie mają rację. Taką mam nadzieję. *Ślepowidzenie* to eksperyment myślowy, zabawa w „założmy, że” i „co by było, gdyby”. Nic więcej.

Z drugiej strony, tego samego argumentu mogłyby użyć tysiąc lat temu dodo i odkryte przez Stellera krowy morskie - „Skoro jesteśmy tak mało sprawne, dlaczego dotąd nie wyginęliśmy?”. Dlaczego? Bo dobór naturalny działa powoli i sporą rolę odgrywa w nim szczęście. Ten, kto aktualnie trzęsie osiedlem, wcale nie musi być najsprawniejszy i najefektywniejszy, gra toczy się dalej. Gra nigdy się nie kończy, po tej stronie śmierci cieplnej nie ma żadnej mety. Nie ma więc także wygranych. Są tylko ci, którzy jeszcze nie przegrali.

Dane Cunninghama o samorozpoznawaniu się u naczelnych także są prawdziwe. Szympansy mają więcej mózgu na kilogram ciała niż orangutany¹²², ale to te ostatnie zawsze rozpoznają się w lustrze, a szympansy tylko w połowie przypadków¹²³. Podobnie, najbardziej rozwinięte zdolności językowe mają rozmaite ptaki i małe małpy, nie zaś te niby „bardziej świadome” małpy człekokształtne, nasi najbliżsi krewni^{81, 124}. Gdy wyteży się wzrok, takie fakty zaczynają wręcz sugerować, że świadomość może być fazą, z której orangutany jeszcze nie wyrosły, a ich bardziej zaawansowani kuzyni, szympansy, właśnie zaczynają. (Goryle nie rozpoznają się w lustrze. Może już wyrosły z samoświadomości, a może nigdy jej nie miały).

Oczywiście ludzie do tego wzorca nie przystają. O ile w ogóle jest jakiś wzorzec. Jesteśmy ostańcami - to jedna z moich tez.

Założę się jednak, że pasują doń wampiry. To druga.

Wreszcie, podczas redagowania *Ślepowidzenia* pojawiły się w samą porę doświadczone potwierdzenia tej nieprzyjemnej tezy - okazuje się, że nieświadomy umysł lepiej niż świadomy podejmuje skomplikowane decyzje¹²⁵. Wygląda na to, że świadomość po prostu nie jest w stanie

łyknąć tak wielu zmiennych. Jako rzecz jeden z uczonych: „W pewnej fazie ewolucji zaczęliśmy świadomie podejmować decyzje i nieszczęśliwie nam to wychodzi”¹²⁶.

ROZMAITE INNE REKWIZYTY

(SZCZEGÓŁY W TLE, WADLIWE OKABLOWANIE, KONDYCJA LUDZKA)

Mały Siri Keeton nie jest kimś wyjątkowym, od ponad pięćdziesięciu lat ciężkie formy padaczki leczy się radykalną hemisferektomią - resekcją jednej półkuli mózgu¹²⁷. Zdziwiające, że usunięcie połowy mózgu nie wydaje się znacząco wpływać ani na IQ, ani na umiejętności motoryczne (choć w odróżnieniu od Keetona większość operowanych pacjentów ma już wcześniej niskie IQ)¹²⁸. Nadal nie do końca rozumiem, po co wycina się całą półkulę - skoro próbujemy przerwać pętlę sprzężenia zwrotnego między półkulami, czemu nie poprzestać na przecięciu spoidła wielkiego? Czy usuwa się ją, żeby zapobiec zespołowi obcej ręki - a jeśli tak, to czy wynika z tego, że umyślnie niszczy się świadomą osobowość?

Używane przez Helen Keeton opiaty wzmacniające więź z matką są inspirowane niedawnymi pracami nad pozbawieniem przywiązania u myszy¹²⁹. Żelazożerne chmury, następstwo Ognistego Deszczu, podpatrzyłem u Plane'a i innych¹³⁰. Lingwistyczny żargon Bandy Czworoga zaczerpnąłem z różnych źródeł^{81, 131, 132, 133}. Wielojęzyczna mowa załogi *Tezeusza* (opisana w powieści, ale dzięki Bogu, niecytowana) opiera się na rozmyślaniach Graddola¹³⁴, który sugeruje, że nauka powinna umieć się posługiwać różnymi gramatykami, bo język wie dzie myśl, zatem jeden „uniwersalny” język naukowy ograniczałby nasze punkty widzenia na świat.

Praprzodek rozszerzonych fenotypów Szpindla i Cunninghama istnieje już dziś w postaci niejakiego Matthew Nagela¹³⁵. Zdalna protetyka, która pozwala im synestetycznie postrzegać dane z urządzeń laboratoryjnych opiera się na niesamowitej plastyczności korzy mózgu - można zmienić korę słuchową we wzrokową, po prostu podpinając nerw wzrokowy do ścieżek słuchowych (jeśli robi się to odpowiednio wcześniej)^{136, 137}. Platynowęglowe wzmocnienia u Bates mają korzenie w niedawno skonstruowanych metalowych mięśniach^{138, 139}. Ironiczne docinki Saschy wobec dwudziestowiecznej psychiatrii pochodzą nie tylko z mojego (ograniczonego) osobistego doświadczenia, ale także z dwóch prac^{140, 141} odzierających z tajemnicy przypadki tak zwanej osobowości wielorakiej. (Nie, sama idea jest w porządku, błędne są tylko diagnozy). Wariant fibrodysplazji, który zabija Chelsea, jest oparty na objawach opisanych przez Kaplana i innych¹⁴².

I możecie mi wierzyć lub nie, ale krzyczące twarze, których używał Sarasti pod koniec książki, to prawdziwy sposób wizualizacji danych statystycznych. Twarze Chernoffa¹⁴³ skuteczniej niż standardowe wykresy i tabele ukazują charakterystykę zbiorów danych¹⁴⁴.

SPIS ŹRÓDEŁ

1. <http://www.rifters.com/blindsight/vampires.htm>
2. Pennish, E. 2003. *Cannibalism and prion disease may have been rampant in ancient humans*. „Science” nr 300, s. 227-228.
3. Mead, S. *et al.* 2003. *Balancing Selection at the Prion Protein Gene Consistent with Prehistoric Kurulike Epidemics*. „Science” nr 300, s. 40-643.

4. Autor nieznan, 2004. *Autism: making the connection*. „The Economist”, nr 372(8387), s. 66.
5. Balter, M. 2002. *What made Humans modern?* „Science” nr 295, s. 1219-1225.
6. Blanco-Arias, P., C.A. Sargent, and N.A. Affara. 2004. *A comparative analysis of the pig, mouse, and human PCDHX genes*. „Mammalian Genome”, nr 15(4), s. 296-306.
7. Kreider MS, et al. 1990. *Reduction of thyrotropin-releasing hormone concentrations in central nervous system of African lungfish during estivation*. „Gen Comp Endocrinol” nr 77(3), s. 435-41.
8. Cui, Y. et al. 1996. *State-dependent changes of brain endogenous opioids in mammalian hibernation*. Brain Research Bulletin 40(2): 129-33.
9. Miller, K. 2004. *Mars astronauts 'will hibernate for 50 million-mile journey in space'*. News.telegraph.co.uk, 11/8/04.
10. Calvin, W.H. 1990. *The Cerebral Symphony: Seashore Reflections on the Structure of Consciousness*. Bantam Books, NY.
11. Pennisi, E. 2004. *The first language?* „Science” nr 303, s. 1319-1320.
12. Nagrania opartych na mlaskach fonemów języka hadza są dostępne w sieci: <http://hctv.humnet.ucla.edu/departments/linguistics/VowelsandConsonants/index.html>
13. Ramachandran, V.S. 1990. str. 346-360 w: *The Utilitarian Theory of Perception*, C. Blakemore (Ed.), Cambridge University Press, Cambridge.
14. Purves, D. and R.B. Lotto. 2003. *Why We See What We Do An Empirical Theory of Vision*. Sinauer Associates, Sunderland, MA.
15. Yarbus, A.L. 1967. *Eye movements during perception of complex objects*. W: L. A. Riggs, Ed., *Eye Movements and Vision*, Plenum Press, New York, Rozdział VII, s. 171-196.
16. Pringle, H.L., et al. 2001. *The role of attentional breadth in perceptual change detection*. „Psychonomic Bulletin & Review” nr 8, s. 89-95(7)
17. Simons, D.J., and Chabris, C.F. 1999. *Gorillas in our midst: sustained inattention blindness for dynamic events*. „Perception” 28, s. 1059-1074
18. Simons, D.J., and Rensink, R.A. 2003. *Induced Failures of Visual Awareness*. Journal of Vision” nr 3(1).
19. http://viscog.beckman.uiuc.edu/djs_lab/demos.html
20. Metzinger, T. 2003. *Being No One: The Self Model Theory of Subjectivity*. MIT Press, Cambridge, MA.
21. Wegner, D.M. 2002. *The Illusion of Conscious Will*. MIT Press, Cambridge.
22. Saks, O. 1970. *The Man who mistook his wife for a hat and other clinical tales*. Simon & Shuster, NY.
23. American Psychiatric Association. 2000. *Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders* (wyd. 4 popr.). Brandon/Hill.
24. Ramachandran, V.S., and Blakeslee, S. 1998. *Phantoms in the Brain: Probing the Mysteries of the Human Mind*. William Morrow, New York.
25. Persinger, M.A. 2001. *The Neuropsychiatry of Paranormal Experiences*. „J Neuropsychiatry & Clinical Neuroscience” nr 13, s. 515-524.
26. Kamitani, Y. and Shimojo, S. 1999. *Manifestation of scotomas created by transcranial magnetic stimulation of human visual cortex*. „Nature Neuroscience” nr 2, s. 767-771.
27. Hallett, M. 2000. *Transcranial magnetic stimulation and the human brain*. „Nature” nr 406, s. 147-150.
28. Goldberg, C. 2003. *Zap! Scientist bombards brains with super-magnets to edifying effect*.

- „Boston Globe” 14/1/2003, s. E1.
29. Porter, R., and Lemon, R. 1993. *Corticospinal function and voluntary movement*. Oxford University Press, NY.
 30. Delgado, J.M.R. 1969. *Physical control of the mind: toward a psychocivilised society*. Harper & Row, NY.
 31. Libet, B. 1993. *The neural time factor in conscious and unconscious events*. „Experimental and Theoretical Studies of Consciousness” nr 174, s. 123-146.
 32. P. Haggard, R., and Eimer, M. 1999. *On the relation between brain potentials and the awareness of voluntary movements*. „Experimental Brain Research” nr 126, s. 128-133.
 33. Velmans, M. 2003. *Preconscious free will*. „Journal of Consciousness Studies” nr 10, s. 42-61.
 34. Pinto, C. 2003. *Putting the brain on trial*. „Media General News Service”, 5.05.2003
 35. Macmillan, M. 2000. *An Odd Kind of Fame Stories: of Phineas Gage*. MIT Press, Cambridge, MA.
 36. Ehrsson, H.H., C. Spence, and R.E. Passingham 2004. *That’s My Hand! Activity in Premotor Cortex Reflects Feeling of Ownership of a Limb*. „Science” nr 305, s. 875-877.
 37. Gottlieb, J., and P. Mazzoni. 2004. *Action, illusion, and perception*. „Science” nr 303, s. 317-318.
 38. Schwartz, A.B., D.W. Moran, and G.A. Reina. 2004. *Differential representation of perception and action in the frontal cortex*. „Science” nr 303, s. 380-383.
 39. Norton, S.J., 2003. *Can ultrasound be used to stimulate nerve tissue?* „BioMedical Engineering OnLine” nr 2, s. 6, dostępne pod <http://www.biomedical-engineering-online.com/content/2/1/6>.
 40. Hogan, J., and Fox, B. 2005. *Sony patent takes first step towards real-life Matrix*. Fragment z: „New Scientist” nr 2494, s. 10, dostępny pod: <http://www.newscientist.com/article.ns?id=mgl8624944.600>
 41. Riebe, M. *et al.* 2004. *Deterministic quantum teleportation with atoms*. „Nature” nr 429, s. 734-737.
 42. Furusawa, A. *et al.* 1998. *Unconditional Quantum Teleportation*. „Science” nr 282(5389), s. 706-709
 43. Carlton M. Caves, C.M. 1998. *A Tale of Two Cities*. „Science” nr 282, s. 637-638
 44. Braunstein, S.L., and Kimble, H.J. 1998. *Teleportation of continuous quantum variables*. „Physical Review Letters” nr 80, s. 869-872.
 45. <http://www.research.ibm.com/quantuminfo/teleportation/>
 46. <http://math.ucr.edu/home/baez/physics/Relativity/SR/rocket.html>
 47. Atkinson, N. 2004. *Magnetic Bubble Could Protect Astronauts on Long Trips*. „Universe Today”, http://www.universetoday.com/am/publish/magnetic_bubble_protect.html
 48. Holzscheiter, M.H., *et al.* 1996. *Production and trapping of antimatter for space propulsion applications*. American Institute of Aeronautics and Astronautics-1996-2786 ASME, SAE, and ASEE, Joint Propulsion Conference and Exhibit, 32nd, Lake Buena Vista, FL, 1-3.06.1996.
 49. www.engr.psu.edu/antimatter/Papers/NASA_anti.pdf
 50. Blacstone, E., *et al.* 2005. *H² S Induces a Suspended Animation-Like State in Mice*. „Science” nr 308, s. 518.
 51. Do czasu druku książki te dane nie zostały opublikowane.
 52. Bails, J. 2005. *Pitt scientists resurrect hope of cheating death*. „Pittsburgh Tribune-Review”, 29.06.2005. Available online at http://www.pittsburghlive.com/x/tribune-review/trib/regional/s_348517.html

53. Oasa, Y. *et al.* 1999. *A deep near-infrared survey of the chamaeleon i dark cloud core.* „Astrophysical Journal” nr 526, s. 336-343.
54. Normile, D. 2001. *Cosmic misfits elude star-formation theories.* „Science” nr 291, s. 1680.
55. Lucas, P.W., and P.F. Roche. 2000. *A population of very young brown dwarfs and free-floating planets in Orion.* „Monthly Notices of the Royal Astronomical Society” nr 314, s. 858-864.
56. Najita, J.R., G.P. Tiede, and J.S. Carr. 2000. *From stars to superplanets: The low-mass initial mass function in the young cluster IC 348.* „Astrophysical Journal” nr 541 (1.10.2000), s. 977-1003.
57. Matthews, Jaymie. 2005. Korespondencja prywatna.
58. Liu, W., and Schultz, D.R. 1999. *Jovian x-ray aurora and energetic oxygen ion precipitation.* „Astrophysical Journal” nr 526, s. 538-543.
59. Chen, P.V. 2001. *Magnetic field on Jupiter.* „The Physics Factbook”, <http://hypertextbook.com/facts/>
60. Osorio, M.R.Z. *et al.* 2000. *Discovery of Young, Isolated Planetary Mass Objects in the σ Orionis Star Cluster.* „Science” nr 290, s. 103-106.
61. Lemley, B. 2002. *Nuclear Planet.* „Discover” nr 23(8).
62. <http://www.nuclearplanet.com/>
63. Dulk, G.A., *et al.* 1997. *Search for Cyclotron-maser Radio Emission from Extrasolar Planets.* Abstracts of the 29th Annual Meeting of the Division for Planetary Sciences of the American Astronomical Society, 28.07-1.08.1997, Cambridge, Massachusetts.
64. Marley, M. *et al.* 1997. *Model Visible and Near-infrared Spectra of Extrasolar Giant Planets.* Abstracts of the 29th Annual Meeting of the Division for Planetary Sciences of the American Astronomical Society, 28.07-1.08.1997, Cambridge, Massachusetts.
65. Boss, A. 2001. *Formation of Planetary-Mass Objects by Protostellar Collapse and Fragmentation.* „Astrophys. Journal” nr 551, s. L167.
66. Low, C, and D. Lynden-Bell. 1976. *The minimum Jeans mass or when fragmentation must stop.* „Mon. Not. R. Astron. Soc.” nr 176, s. 367.
67. Jayawardhana, R. 2004. *Unraveling Brown Dwarf Origins.* „Science” nr 303, s. 322-323
68. Fegley, B., and K. Lodders. 1996. *Atmospheric Chemistry of the Brown Dwarf Gliese 229B: Thermochemical Equilibrium Predictions.* „Astrophys. Journal” nr 472, s. L37.
69. Lodders, K. 2004. *Brown Dwarf-Faint at Heart, Rich in Chemistry.* „Science” nr 303, s. 323-324
70. Adam Burgasser. 2002. „Astrophysics Journal Letters” z 1.06.2002.
71. Reid, I.N. 2002. *Failed stars or overachieving planets?* „Science” nr 296, s. 2154-2155.
72. Gizis, J.E. 2001. *Brown dwarfs (enhanced review).* Artykuł w sieci, uzupełniający „Science” nr 294, s. 801.
73. Clarke, S. 2003. *Milky Way’s nearest neighbor revealed.* NewScientist.com z 04/11/03.
74. Basri, G. 2000. *Observations of brown dwarfs.* „Annu. Rev. Astron. Astrophys” nr 38, s. 485-519.
75. Tamura, M. *et al.* 1998. *Isolated and Companion Young Brown Dwarfs in the Taurus and Chamaeleon Molecular Clouds.* „Science” nr 282, s. 1095-1097.
76. Berger, E. 2001. *Discovery of radio emission from the brown dwarf LP944-20.* „Nature” nr 410, s. 338-340.
77. Anonymous, 2000. *A brown dwarf solar flare.* „Science@Nasa”, http://science.nasa.gov/headlines/y2000/astl2jul_1m.htm

78. Schilling, G. 2001. *Comet's course hints at mystery planet*. „Science” nr 292, s. 33.
79. Evelyne Kohler, E. *et al.* 2002. *Hearing Sounds, Understanding Actions: Action Representation in Mirror Neurons*. „Science” nr 297, s. 846-848
80. Rizzolatti, G, and Arbib, M.A. 1998. *Language Within Our Grasp*. „Trends in Neuroscience” nr 21(5), s. 188-194.
81. Hauser, M.D., N. Chomsky, and W.T. Fitch. 2002. *The faculty of language: what is it, who has it, and how did it evolve?* „Science” nr 298, s. 1569-1579.
82. Miller, G. 2005. *Reflecting on Another's Mind*. „Science” nr 308, s. 945-947
83. Pfeiffer, T., S. Schuster, and S. Bonhoeffer. 2001. *Cooperation and Competition in the Evolution of ATP-Producing Pathways*. „Science” nr 292, s. 504-507.
84. McMahon, R.J. 2003. *Chemical Reactions Involving Quantum Tunneling*. „Science” nr 299, s. 833-834.
85. Zuev, P.S. *et al.* 2003. *Carbon Tunneling from a Single Quantum State* „Science” nr 299, s. 867-870
86. Darwin, Charlie (hehehehe). 1859. *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Penguin Classics Edition, reprint z 1968. I wyd.: John Murray, London.
87. Cho, A. 2004. *Life's Patterns: No Need to Spell It Out?* „Science” nr 303, s. 782-783.
88. Cohen, J., and Stewart, S. 2005. *Where are the dolphins?* „Nature” nr 409, s. 1119-1122.
89. Reilly, J.J. 1995. *After Darwin*. „First Things”, 06/07.1995. Dostępny także pod: <http://pages.prodigy.net/aesir/darwin.htm>.
90. Devlin, K. 2004. *Cracking the da Vinci Code*. „Discover” nr 25(6), s. 64-69.
91. Snir, Y, and Kamien, R.D. 2005. *Entropically Driven Helix Formation*. „Science” nr 307, s. 1067.
92. Wolfram, S. 2002. *A New Kind of Science*. Wolfram Media.
93. Albert, M.L. 2004. *Danger in Wonderland*. „Science” nr 303, s. 1141
94. Muotri, A.R., *et al.* 2005. *Somatic mosaicism in neuronal precursor cells mediated by L1 retrotransposition*. „Nature” nr 435, s. 903-910.
95. Nelson, D.L., and M.M Cox. 200. *Lehninger principles of biochemistry*. Worth, NY, NY.
96. Prigogine, I., and G. Nicholis. 1989. *Exploring Complexity*. Freeman, NY.
97. Dawkins, R. 1988. *The Blind Watchmaker: Why the Evidence of Evolution Reveals a Universe Without Design*. Norton.
98. Pinker, S. 1997. *How the Mind Works*. WW Norton & Co., NY.
99. Koch, C. 2004. *The Quest for Consciousness: A Neurobiological Approach*. Roberts, Englewood, CO.
100. McFadden, J. 2002. *Synchronous firing and its influence on the brain's electromagnetic field: evidence for an electromagnetic field theory of consciousness*. „J. Consciousness Studies” nr 9(4), 2002
101. Penrose, R. 1989. *The Emperor's New Mind*. Oxford University Press.
102. Tononi, G., and G.M. Edelman. 1998. *Consciousness and Complexity*. „Science” nr 282, s. 1846-1851.
103. Baars, B.J. 1988. *A Cognitive Theory of Consciousness*. Cambridge Univ. Press, New York.
104. Hilgetag, C.C. 2004. *Learning from switched-off brains*. „Scientific American.” nr 14, s. 8-9.
105. Roth, G. 2004. *The quest to find consciousness*. „Scientific American.” nr 14, s. 32-39.
106. Pauen, M. 2004. *Does free will arise freely?* „Scientific American” nr 14, s. 41-47.
107. Zimmer, C. 2003. *How the mind reads other minds*. „Science” nr 300, s. 1079-1080.

108. Crick, F.H.C., and C. Koch. 2000. *The unconscious homunculus*. W: *Neural Correlates of Consciousness-Empirical and Conceptual Questions* (red. T. Metzinger) MIT Press, Cambridge.
109. Churchland, P.S. 2002. *Self-Representation in Nervous Systems*. „Science” nr 296, s. 308-310.
110. Miller, G. 2005. *What is the biological basis of consciousness?* „Science” nr 309, s. 79.
111. Blakeslee, S. 2003. *The Christmas tree in your brain*. „Toronto Star”, 21/12/03
112. Matsumoto, K., and K. Tanaka. 2004. *Conflict and Cognitive Control*. „Science” nr 303, s. 969-970.
113. Kerns, J.G., et al. 2004. *Anterior Cingulate Conflict Monitoring and Adjustments in Control*. „Science” nr 303, s. 1023-1026.
114. Petersen, S.E. et al. 1998. *The effects of practice on the functional anatomy of task performance*. „Proceedings of the National Academy of Sciences” nr 95, s. 853-860.
115. Nretranders, T. 1999. *The User Illusion: Cutting Consciousness Down to Size*. Penguin Press Science.
116. Altenmüller, E.O. 2004. *Music in your head*. „Scientific American” nr 14, s. 24-31.
117. Helmuth, L. 2003. *Fear and Trembling in the Amygdala*. „Science” nr 300, s. 568-569.
118. Dolan, R.J. 2002. *Emotion, cognition, and behavior*. „Science” nr 298, s. 1191-1194.
119. Treffert, D.A., and G.L. Wallace. 2004. *Islands of genius*. „Scientific American” nr 14, s. 14-23.
120. Wegner, D.M. 1994. *Ironic processes of mental control*. „Psychol. Rev.” nr 101, s. 34-52.
121. „Proceedings of the Royal Society of London B” (DOI 10.1098/ rspb.2003.2548)
122. Aiello, L., and C. Dean. 1990. *An introduction to human evolutionary anatomy*. Academic Press, London.
123. Gallup, G.G. (Jr.). 1997. *On the rise and fall of self-conception in primates*. W: *The Self Across Psychology - self-recognition, self-awareness, and the Self Concept*. „Annals of the NY Acad. Sci.” nr 818, s. 4-17
124. Carstairs-McCarthy, A. 2004. *Many perspectives, no consensus - a review of „Language Evolution”*, red. Christiansen, Kirby. „Science” nr 303, s. 1299-1300.
125. Dijksterhuis, A., et al. 2006. „Science” nr 311, s. 1005-1007.
126. Vince, G. 2006. *‘Sleeping on it’ best for complex decisions*. „Newscientist.com” <http://www.newscientist.com/channel/being-human/dn8732.html>.
127. Devlin, A.M., et al. 2003. *Clinical outcomes of hemispherectomy for epilepsy in childhood and adolescence* „Brain” nr 126, s. 556-566.
128. Pulsifer, M.B., et al. 2004. *The cognitive outcome of hemispherectomy in 71 children*. „Epilepsia” nr 45, s. 243-54.
129. Moles, A., Keiffer, B.L., and F.R. D’Amato. 2004. *Deficit in attachment behavior in mice lacking the m-Opioid receptor gene*. „Science” nr 304, s. 1983-1986.
130. Plane, J.M.C., et al. 2004. *Removal of meteoric iron on polar mesospheric clouds*. „Science” nr 304, s. 426-428.
131. Fitch, W.T., and M.D. Hauser. 2004. *Computational Constraints on Syntactic Processing in a Nonhuman Primate*. „Science” nr 303, s. 377-380.
132. Premack, D. 2004. *Is Language the Key to Human Intelligence?* „Science” nr 303, s. 318-320
133. Holden, C. 2004. *The origin of speech*. „Science” nr 303, s. 1316-1319.
134. Graddol, D. 2004. *The future of language*. „Science” nr 303, s. 1329-1331.
135. BBC News. 2005. *Brain chip reads man’s thoughts*. 31.03.2005. Dostępne pod: <http://news.bbc.co.uk/go/pr/fr/-/1/hi/health/4396387.stm>

136. Weng, J. *et al.* 2001. *Autonomous Mental Development by Robots and Animals*. „Science” nr 291, s. 599-600.
137. Von Melchner, L, *et al.* 2000. *Visual behaviour mediated by retinal projections directed to the auditory pathway*. „Nature” nr 404, s. 871-876.
138. Baughman, R.H. 2003. *Muscles made from metal*. „Science” nr 300, s. 268-269.
139. Weissmüller, J., *et al.* 2003. *Change-induced reversible strain in a metal*. „Science” nr 300, s. 312-315.
140. Piper, A., and Merskey, H. 2004. *The Persistence of Folly: A Critical Examination of Dissociative Identity Disorder. Part I. The Excesses of an Improbable Concept*. „Can. J. Psychiatry” nr 49, s. 592-600.
141. Piper, A., and Merskey, H. 2004. *The Persistence of Folly: A Critical Examination of Dissociative Identity Disorder. Part II. The Defense and Decline of Multiple Personality or Dissociative Identity Disorder*. „Can. J. Psychiatry” nr 49, s. 678-683.
142. Kaplan, F.S., *et al.* 1998. *The Molecules of Immobility: Searching for the Skeleton Key*. „Univ. Pennsylvania Orthopaedic J.” nr 11, s. 59-66. Dostępne pod: <http://www.uphs.upenn.edu/ortho/oj/1998/oj11sp98p59.html>
143. Chernoff, H. 1973. *Using faces to represent points in k-dimensional space graphically*. *Journal of the American Statistical Association*” nr 68, s. 361-368.
144. Wilkinson, L. 1982. *An experimental evaluation of multivariate graphical point representations*. *Human Factors in Computer Systems: Proceedings*. Gaithersberg, MD, s. 202-209.

Spis treści

<u>PROLOG..</u>	<u>6</u>
<u>TEZEUSZ..</u>	<u>11</u>
<u>RORSCHACH..</u>	<u>107</u>
<u>CHARYBDA..</u>	<u>283</u>
<u>PODZIĘKOWANIA..</u>	<u>289</u>
<u>PRZYPISY I ŹRÓDŁA..</u>	<u>291</u>
<u>KRÓTKI ELEMENTARZ BIOLOGII WAMPIRÓW...</u>	<u>291</u>
<u>NABIERANIE UMYŚLU..</u>	<u>293</u>
<u>MAMY JUŻ TO WSZYSTKO?..</u>	<u>295</u>
<u>PLANSZA DO GRY..</u>	<u>296</u>
<u>ANATOMIA I FIZJOLOGIA WĘŻYDEŁ..</u>	<u>297</u>
<u>ŚWIADOMOŚĆ/INTELIGENCJA..</u>	<u>299</u>
<u>ROZMAITE INNE REKWIZYTY..</u>	<u>302</u>
<u>SPIS ŹRÓDEŁ..</u>	<u>303</u>